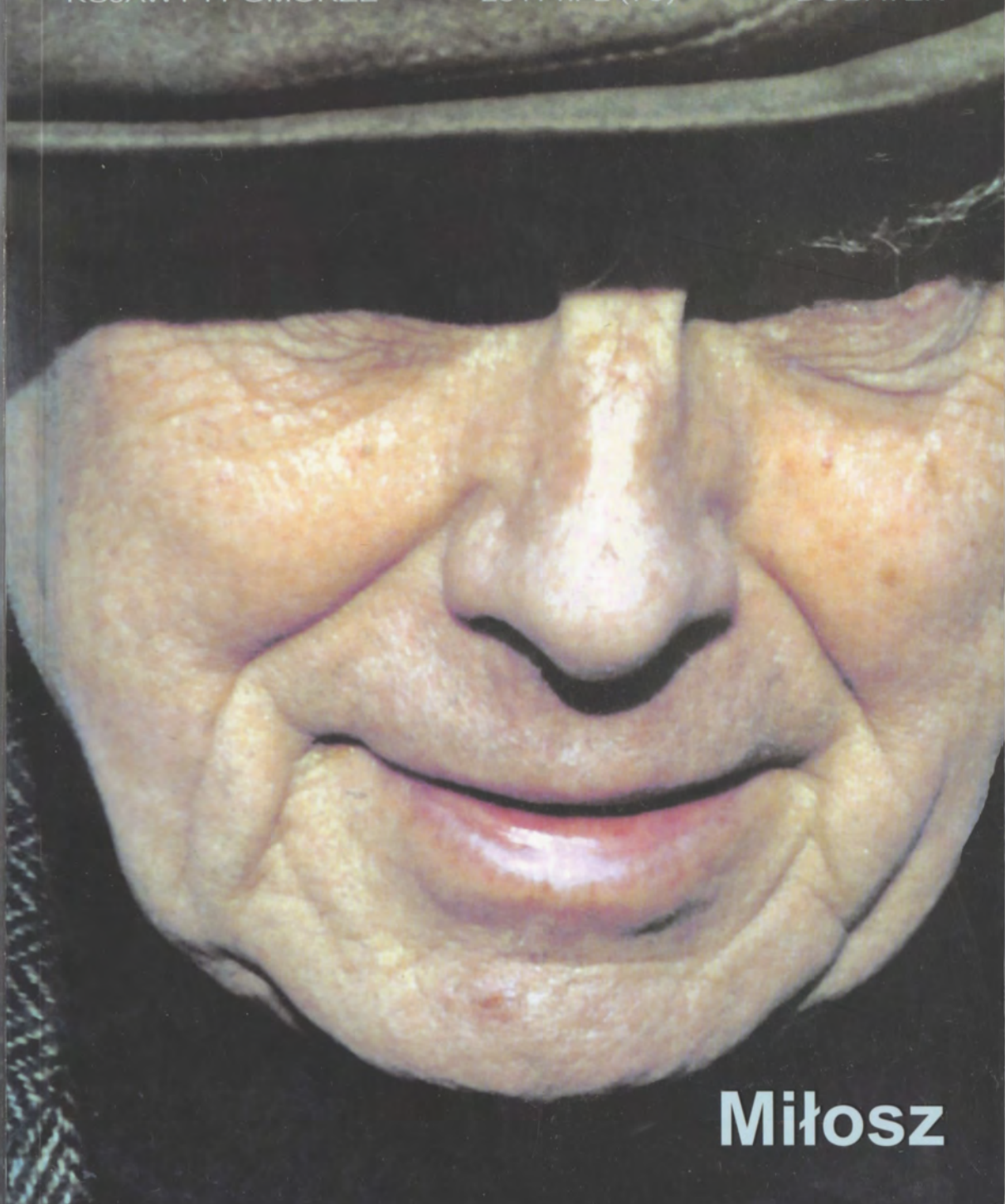


# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2011 nr 2 (70)

DODATEK



**Miłosz**

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

## *Zespół:*

ADAM BEDNAREK, JAN BŁOŃSKI, STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT,  
MICHAŁ GŁOWIŃSKI, MAREK KĘDZIERSKI, JULIAN KORNHAUSER, LESZEK SZARUGA

## *Redakcja:*

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI – redaktor naczelny  
GRZEGORZ KALINOWSKI – sekretarz redakcji

## *Wydawca:*

Wojewódzki Ośrodek Kultury i Sztuki w Bydgoszczy przy finansowej pomocy  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

## *Adres redakcji:*

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6  
tel. 52 585 15 00, tel./fax 52 585 15 06  
e-mail: kwartalnik@wok.bydgoszcz.com  
www.kwartalnik.art.pl  
87-100 Toruń, ul. Podmurna 60  
tel./fax 56 622 20 65

Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser  
Korekta: Barbara Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Na okładce: Czesław Miłosz w opactwie Gethsemani w stanie Kentucky odwiedzający grób przyjaciela  
trapisty Thomasa Merona, wiosna 1983. Fot. Renata Gorczyńska.

Wszystkie utwory oraz listy Czesława Miłosza. Copyright © 2011 by The Czeslaw Milosz Estate.  
All rights reserved.

Dziękujemy Anthony'emu Miłoszowi oraz Agnieszce Kosińskiej za zgodę na wykorzystanie  
utworów Czesława Miłosza.

Nakład: 600 egz.

Skład, łamanie, druk i oprawa: Przedsiębiorstwo Poligraficzno-Usługowe MULTIGRAF,  
85-135 Bydgoszcz, ul. Bielicka 76 C, tel./fax 52 340 41 37

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2011 nr 2 (70)

Rok XVIII

## SPIS RZECZY

CZESŁAW MIŁOSZ	5	W garnizonowym mieście
	6	Normalizacja
CZESŁAW MIŁOSZ	9	Nowoczesność zwana też modernizmem
CZESŁAW MIŁOSZ	23	Krawat Aleksandra Wata
ALEKSANDER FIUT	25	Wąt i Miłosz: egzorcyzmowanie diabła w historii
CZESŁAW MIŁOSZ	35	Sztukmistrz
Z ANDRZEJEM BUSZĄ rozmawia ALEKSANDER FIUT	37	„Linijki godne rzeźbienia w marmurze”
CZESŁAW MIŁOSZ	45	Wtajemniczenie
	46	O świecie // *** (zamieszkać w zdaniu...)
RENATA GORCZYŃSKA	47	Sekretarz osobista. Berkeley, jesień 1980
Podróżny świata	63	CZESŁAW MIŁOSZ na fotografiach RENATY GORCZYŃSKIEJ
CZESŁAW MIŁOSZ	79	Dobroć
CZESŁAW MIŁOSZ	81	List do Michała Kubiaka
CZESŁAW MIŁOSZ	85	Ale książki
<b>GŁOSY I GŁOSY</b>		
„Ale książki będą na półkach...”	87	– najważniejsze książki i wiersze CZESŁAWA MIŁOSZA: JACEK BOLEWSKI SJ, KAZIMIERZ BRAKONIECKI, VÁCLAV BURIAN, STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT, OLGA GLONDYS, MICHAŁ GŁOWIŃSKI, RENATA GORCZYŃSKA, HENRYK GRYNBERG, JACEK GUTOROW, WOJCIECH GUTOWSKI, JULIA HARTWIG, GRZEGORZ KALINOWSKI, BOGUSŁAW KIERC, KS. JANUSZ A. KOBIERSKI, ANTONI LIBERA, KRZYSZTOF LISOWSKI, PAWEŁ MACKIEWICZ, PIOTR MATYWIECKI, LESZEK ALEKSANDER MOCZULSKI, KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ANNA NASIŁOWSKA, MIECZYSLAW ORSKI, JERZY PLUTOWICZ, JAN POLKOWSKI, MAREK SKWARNICKI, KS. JAN SOCHOŃ, SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK, LESZEK SZARUGA, PIOTR SZEWC, ANDRZEJ SZUBA, JANUSZ SZUBER, MARTA WYKA, JOANNA ZACH, ANDRZEJ ZAWADA

CZESŁAW MIŁOSZ	215	Metamorfozy
	216	*** (obróćeni twarzami ku Niemu...)
CZESŁAW MIŁOSZ w Toruniu i w Bydgoszczy	217	Na fotografiach
CZESŁAW MIŁOSZ w „Kwartalniku Artystycznym”	229	
O CZESŁAWIE MIŁOSZU w „Kwartalniku Artystycznym”	231	
CZESŁAW MIŁOSZ	235	Sanctificetur
	236	O zbawieniu
<b>VARIA</b>		
VÁCLAV BURIAN	237	Wizyta Miłosza w Ołomuńcu
Z Archiwum KRYSTYNY i STEFANA CHWINÓW	241	
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	245	Dedykacje Miłosza
<b>RECENZJE</b>		
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	251	Spizarnia literacka
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	257	Rozmowy absolutnie wspaniałe
<b>NOTY O AUTORACH</b>	263	
<b>NOTY O KSIĄŻKACH</b>	267	
<b>NOWE KSIĄŻKI</b>	278	



Ale książki będą na półkach, prawdziwe istoty...  
Czesław Miłosz



*Czesław Miłosz*

## W garnizonowym mieście

W garnizonowym mieście z tęsknotą za stolicami.  
Aparat kinematografu szumiał i wyświetlał marzenie  
o Grecie Garbo, Rudolfie Valentino.  
A tutaj tylko turkot chłopskich furmanek  
w dzień targowy, nuda i muchy w cukierni.  
Poeci pożyczali sobie pisemka awangardy  
z kubistycznym portretem i manifestem o metaforze,  
który ułożył ktoś kto wrócił z Paryża.  
Pisali wiersze pastuszkowie i uczniowie mełamedy,  
pod umpfa, umpfa trąb defilady i pienia procesji,  
sami zbyt postępowi, żeby zastanawiać się nad religią.  
Drogi były pyłne, kury rozbiegały się w popłochu.  
Salcia, Zuzia, Rebeka nuciły tango i przymierzały kapelusze  
przerobione według ostatniej mody.  
I ja tam byłem, tamtejsze piwo piłem,  
w moim dawnym życiu eleganta i snoba.

[sierpień 2003]

## Normalizacja

Działo się to dawno, przed wprowadzeniem  
powszechnej poprawności genetycznej.

Chłopiec czy dziewczyna, stojąc nago przed lustrem,  
badali defekty swojej budowy.

Nos zbyt wystający, uszy jak łopuchy,  
podbródek cofnięty jak u debilów,

piersi za małe, piersi za duże, krzywa łopatka,  
za krótki penis, lędźwie za tłuste albo za chude.

I żeby choć kilka więcej centymetrów wzrostu!

W takim domu wypadło mieszkać całe życie.

Kryć się, udawać, maskować swoje braki.

Ale jakoś tam musieli łączyć się w pary.

Według niezrozumiałych upodobań – eteryczne istotki  
z grubasami, chudzielcy lubujący się w polciach słoniny.

Mieli nawet przysłowie: „Każda potwora znajdzie  
swego amatora”. Więc może uczyli się tolerować niedostatki  
u swego partnera, wierząc, że on im też wybacza.

Teraz każdy błąd genetyczny spotyka się z takim  
zgorzeniem, że gotowi są pluć i kamienować.

Jak zdarzyło się w mieście K. pewnej dziewczynie  
tak krępej, krótkonogiej i cycastej,

że nie pasowała do niej żadna sukienka z przeglądu mody,  
została więc uchwałą Rady Miasta wygnana.



Nie tęsknijmy jednak do czasów sprzed normalizacji.  
Pomyślmy jakie męki, ile trwożliwie spoconych myśli,  
ile podstępów, żeby wydać się pomimo wszystko  
ponętym.

[2003]

Czesław Miłosz

Czesław Miłosz

110 druków

Nowoczesność  
zwana też modernizmem

Żywiłem się zupami z trujących grzybów, przeżyłem dzięki silnemu organizmowi, i teraz próbuję objąć myślą mój wiek dwudziesty. Na obrzeżach Europy, skąd pochodzę, wyglądał on nieco inaczej niż w jej wielkich stolicach, i inny musiał być życiorys kogoś, kto dorastał na przykład w Dzielnicy Łacińskiej Paryża, choć i tam występowały te same prawidłowości. Natomiast mieszkańiec Węgier, Rumunii czy Jugosławii i ja byliśmy całkiem podobni. Dlatego po prostu, że były to kraje wyraźnego podziału na inteligencję i lud, tudzież kraje o znacznej liczbie językowych i etnicznych "mniejszości". Krzyżowanie się tych dwóch cech czy obciążeń daje znaczną ilość kombinacji i dostarcza użytecznego klucza.

Nie należałem do ludu i nie należałem do mniejszości, w każdym razie nie w sensie etnicznym. Zarazem jednak sumienie mnie jątrzyło czyli tak jak oświeceni w początku dziewiętnastego wieku, zrzeszeni lożach i związkach młodzieży, buntowałem się przeciwko porządkowi świata i chciałem go zmienić, a dokonać tego mieliśmy naturalnie my, to jest wiedzący i czujący, w przeciwieństwie do sennych i obojętnych. Zmienić oczywiście na korzyść wszystkich poniżonych i pozbawionych przywilejów, zbyt ciemnych, żeby cokolwiek chcieć i rozumieć. Ten rodowód naszej myśli, od Oświecenia i Rewolucji Francuskiej, powinien być tutaj przypomniany, choćby dlatego, że duże są trudności destylacji, tak żeby zamiast chaosu i nadmiernego bogactwa poglądów i dążeń ustanowić kilka głównych tematów.

Podobno Rewolucja Francuska nie dokonała tego, co trzeba i reszty miała dopełnić rewolucja komunistyczna. Tak przynajmniej twierdzili brodaci prorocy socjalizmu. Wydarzenia 1917 roku i ich następstwa okazały się, nie waham się dziś twierdzić, samą esencją krwawego stulecia. Poprzedziła je pierwsza wojna światowa, która zniszczyła dziewiętnastowieczne poczucie ładu i bezpieczeństwa. Ten ład był zresztą wysoce wątpliwy również dla wielu umysłów epoki postępu i dobrobytu - dość czytać o nędzarzach umierających (nie w przenośni) z głodu na ulicy Glasgowu u Hermana Melville czy o Londynie 1862 roku u Dostojewskiego. Tym niemniej Francuzi, Niemcy, Anglicy wstąpili w wiek dwudziesty pod znakiem

Czesław Miłosz

## Nowoczesność zwana też modernizmem\*

Żywiłem się zupami z trujących grzybów, przeżyłem dzięki silnemu organizmowi i teraz próbuję objąć myślą mój wiek dwudziesty. Na obrzeżach Europy, skąd pochodzę, wyglądał on nieco inaczej niż w jej wielkich stolicach i inny musiał być życiorys kogoś, kto dorastał na przykład w Dzielnicy Łacińskiej Paryża, choć i tam występowały te same prawidłowości. Natomiast mieszkańiec Węgier, Rumunii czy Jugosławii i ja byliśmy całkiem podobni. Dlatego po prostu, że były to kraje wyraźnego podziału na inteligencję i lud, tudzież kraje o znacznej liczbie językowych i etnicznych „mniejszości”. Krzyżowanie się tych dwóch cech czy obciążeń daje znaczną ilość kombinacji i dostarcza użytecznego klucza.

Nie należałem do ludu i nie należałem do mniejszości, w każdym razie nie w sensie etnicznym. Zarazem jednak sumienie mnie jątrzyło, czyli tak jak oświeceni w początku dziewiętnastego wieku, zrzeszeni w lożach i związkach młodzieży, buntowałem się przeciwko porządkowi świata i chciałem go zmienić, a dokonać tego mieliśmy naturalnie my, to jest wiedzący i czujący, w przeciwieństwie do sennych i obojętnych. Zmienić oczywiście na korzyść

---

\* Pierwodruk eseju, który Czesław Miłosz podarował Aleksandrowi Fiutowi; nieznacznie uzupełniono interpunkcję. (Red.)

wszystkich poniżonych i pozbawionych przywilejów, zbyt ciemnych, żeby cokolwiek chcieć i rozumieć. Ten rodowód naszej myśli, od Oświecenia i Rewolucji Francuskiej, powinien być tutaj przypomniany, choćby dlatego, że duże są trudności destylacji, tak żeby zamiast chaosu i nadmiernego bogactwa poglądów i dążeń ustanowić kilka głównych tematów.

Podobno Rewolucja Francuska nie dokonała tego, co trzeba i reszty miała dopełnić rewolucja komunistyczna. Tak przynajmniej twierdzili brodaci prorocy socjalizmu. Wydarzenia 1917 roku i ich następstwa okazały się, nie waham się dziś twierdzić, samą esencją krwawego stulecia. Poprzedziła je pierwsza wojna światowa, która zniszczyła dziewiętnastowieczne poczucie ładu i bezpieczeństwa. Ten ład był zresztą wysoce wątpliwy również dla wielu umysłów epoki postępu i dobrobytu – dość czytać o nędzarzach umierających (nie w przenośni) z głodu na ulicy Glasgow u Hermana Melville'a czy o Londynie 1862 roku u Dostojewskiego. Tym niemniej Francuzi, Niemcy, Anglicy wstąpili w wiek dwudziesty pod znakiem nie tylko wiary w postęp, ale także w rodzaju dionizyjskiej ekstazy, dzięki której jednym stają się Eros i Thanatos; co do Rosji, to międzynarodowy sukces *ballet russes* i paryska premiera *Le Sacre du Printemps* Strawiańskiego w 1913 roku są jakby przygrywką do wielkiego teatru okrucieństwa i śmierci na polach bitew, wskazują też na udział inteligencji rosyjskiej w nowym pogańskim kulcie.

Wstąpienie w wojnę odbyło się w euforii. Wypada zrewidować powtarzane ciągle oskarżenia pod adresem monarchów, że niby oni to byli odpowiedzialni, podczas gdy ludy ubrane w mundury mordowały się wzajemnie wbrew swojej świadomości i woli. Może stosuje się to do chłopca z Karpat czy spod Riazania, ale nie do tłumów z ulic Berlina, Wiednia czy Paryża, wśród których nie było już analfabetów. Z opisanych manifestacji i pochodów porwanego patriotycznym entuzjazmem tłumy w Berlinie wynika, że cesarz Wilhelm, nawet gdyby bardzo chciał, nie mógłby opierać się temu, co przedstawiało mu się jako wola zbiorowa. Tak owocowała cywilizacja, do której osiągnięć zaliczano ludobójstwo, niezależnie od tego czy innego manewru dyktatorów, były dziełem mnóstwa ludzi piśmiennych, myjących zęby i korzystających z łazienek, skandujących hasła wzięte z popularnych, (pseudo) naukowych broszur.

Pierwsza wojna światowa była na obrzeżach Europy tą wojną ludów, o którą modlili się poeci rodzących się nacjonalizmów. Od Kongresu Wiedeńskiego ich posłanie czekało sto lat, aż spełniło się dzięki przegranej cesarzy. Jednak

powstające teraz państwa narodowe zaczynały istnieć mając tuż obok nową potencjalną stolicę światowego imperium, Moskwę. To sąsiedztwo powinno było pozwolić, przynajmniej teoretycznie, na lepszą znajomość kolejnych przemian w kraju rewolucji niż to było dostępne Europie Zachodniej i Ameryce.

Trujące grzyby, o których wspomniałem, rosły w lesie nowoczesnej poezji i sztuki. Znak równania stawiano pomiędzy wszelką awangardowością w sztuce i lewicową ideologią, która określała siebie zawsze wobec najważniejszego wydarzenia, dzieła Lenina, zwykle pozytywnie, rzadziej negatywnie, najczęściej za pomocą milczącego przyjęcia głównej przesłanki o identyczności artystycznego i politycznego przewrotu.

Odwiedzam muzea nowoczesnego malarstwa i mówię sobie: ależ tak, na złe czy na dobre, tutaj ukształtował się kanon mego stulecia. Z szacunkiem odnoszę się do wielkich patronów nowoczesnej poezji, a nawet do wynalazków, które wpłynęły na nasz styl, jak „słowa na wolności” futurystów, dada czy surrealizm. Mówię „nasz styl”, bo o nas przecie chodzi, a „my” to inteligencja, dajmy na to, jak ją nazywano, „twórcza”. Najdziwniejsze chyba w naszych przygodach jest to, że kultywując dziedzictwo Rewolucji Francuskiej, przyznając sobie miejsce wiedzących i oświeconych przewodników ludu, mieliśmy poczucie, że otacza nas masa, która nic a nic nie rozumie z tego, co robimy. Ortega y Gasset wcześniej określił przewrót w sztuce nowoczesnej jako z gruntu arystokratyczny, sprzeczny z upodobaniami ludzi przeciętnych, i użył terminu „dehumanizacja sztuki”. Zdawało się nam, że to tylko tępi burżuje nas nie lubią, choć przecie tak samo nie lubili nas robotnicy i chłopi, jak i wszelkiego rodzaju politycy, łącznie z biurokratami rewolucji. Pamiętam epitety, jakimi publiczna opinia obrzucała niezrozumiałe wiersze i obrazy: futuryści, bolszewicy, wywrotowcy, bluźniercy. Dzisiaj te epitety wydają mi się godne zastanowienia. Wtedy jednak nie zastanawiałem się nad argumentami Ciemnogrodu. I dopiero niedawno cała sieć niepodejrzewanych związków między sztuką i polityką zaczęła się wyłaniać spod migotliwej gry pozorów.

Dlaczego t r z e b a b y ł o karmić się trującymi grzybami, podczas gdy ci, co spożywali grzyby jadalne, pozostawali jałowi? Są to tajemnice *Zeitgeistu*, który zdawał się sprzyjać niejasności, poplątaniu, mieszaninie rozgarnięcia i głupoty, szlachetnych impulsów i samodurstwa, a obracał się przeciwko prostodusznym, praktykującym staroświeckie cnoty.

Pewna moja przygoda warta jest przypomnienia. Miałem w Wilnie kolegę próbującego sił w literaturze, ale który był całkowicie wyłączony z naszego towarzystwa, jako że my doskonale wiedzieliśmy, kto ma prawo uważać się za jednego z nas. Zewnętrznym, najłatwiejszym do zastosowania kryterium były poglądy polityczne. Ponieważ uważał się za tzw. narodowca, to już wystarczyło, żeby go odtrącić, a przecież nasze poglądy nie były bynajmniej skryształizowane i trudno byłoby nas umieścić w którymś z istniejących stronnictw. Tym niemniej pewien krąg zainteresowań czy nawet pewna aura były niezbędnym warunkiem, żeby zyskać tytuł młodego pisarza, poety czy prozaika. Ów student został później dziennikarzem radiowym, wydał też trzy powieści. W pierwszej opisuje swój konflikt z nami i nawet wprowadza poetę nazwiskiem Lubosz. Opowiada, jak raz zaprosił poetę na swój wieczór autorski, a ten z niesłychaną arogancją i pogardą powiedział, że nie ma czasu na słuchanie reakcyjnych bredni. Ta scena dostatecznie tłumaczy nienawiść, jaką ten kolega mnie poprzysiągł i dość obrzydliwe rzeczy, które miał o mnie wypisywać. Ja jednak teraz, kiedy od dawna nie żyje, rozmyślam nad jego przypadkiem i sądzę, że działał przeważnie w dobrej wierze. Znalazłem u niego charakterystykę tych mieszkańców Wilna, którzy jego zdaniem pracowali na szkodę ojczyzny. Byli to tzw. krajowcy, którzy zaprzeczali stuprocentowej polskości Wilna i całego regionu, powołując się na istnienie w nim innych narodowości, jak też my t.j. młodzi literaci o orientacji lewicowej, uważani przez niego za agentów Kominternu.

Dobro i zło są u niego sprawnie rozdzielone, po jednej stronie stoi rzymski katolicyzm i polski patriotyzm, po drugiej ich wrogowie, czy to przez nadmiar liberalnych skrupułów, czy wręcz przez uwierzenie w rewolucyjne doktryny. Jego narodowy program zdawał się być przyjęty jako lekarstwo na zbyt trudne do rozwikłania zawilości Wileńszczyzny. Bo przecie Wilno było niemal w połowie miastem żydowskim, mówiącym głównie w jidysz, nie po polsku i tak obce jak to tylko możliwe kłopotom polskich nacjonalistów. Natomiast wieś nie bardzo wiedziała co znaczy narodowość i określała siebie jako katolików albo prawosławnych. Tych pierwszych dawało się przekonać, że są Polakami, przekonywaniem tych drugich, że są Białorusinami zajmowali się komuniści, po to, co prawda, żeby zamiast służyć sprawie niepodległej Białorusi służyć centrum w Moskwie. Polski program nacjonalistyczny naznaczony był świadomością rzeczywistego zagrożenia przez olbrzyma ze

wschodu, wątpliwe jednak czy pomysł szybkiej polonizacji tego pogranicznego obszaru był realistyczny.

Muszę jednak przyznać, że mój kolega i jemu podobni poprawnie reagovali na straszne wieści o terrorze przenikające przez zamkniętą wschodnią granicę. Oni to głośno mówili i pisali w swojej prasie o tamtym kraju jako o imperium zła. Mylili się co do nas, zaliczając nas (awangardę różnych rodzajów) globalnie do agentów Kominternu, choć niektórzy z nas rzeczywiście nimi zostali. Wprowadziłem tę postać, żeby zakreślić wyraźną linię, która oddzielała bezkompromisową wierność hasłu „Bóg i ojczyzna” od barwnej i ponętnej „nowoczesności” z jej mnóstwem zauroczeń, błędów logicznych i podstępów dialektyki.

Trzy autobiograficzne powieści mego antagonisty, w których prowadzi swego bohatera nazwiskiem Oszurko ulicami przedwojennego Wilna, następnie przez okupację sowiecką, niemiecką, wreszcie powstanie warszawskie, oflag i Italię, są dla mnie trudnym problemem, jakim jest przeciętność nie znająca problemów. Mentalność wszystkich postaci jest mi doskonale znana i zapytuję siebie, skąd ten mój niejasny ból jak ćmienie zęba, kiedy czytam o obyczajach przedwojennej polskiej inteligencji nieświadomej infernalnych pułapek stulecia.

Konflikt tu napomknięty miał zasięg nie ograniczony do jednego kraju i powtarzał się w Budapeszcie, Belgradzie czy Pradze, a nawet, przy odpowiednim podstawieniu nazw lepiej dostosowanych do innego społeczeństwa, w New Yorku. To nawet godne podziwu, do jakiego stopnia środowiska literacko-artystyczne w owych latach 1929–1939 tworzyły się równolegle, nie wiedząc wzajemnie o sobie. Umieć dzisiaj bez trudu rozpoznać nasze opcje i spory w kołach zgrupowanych dokoła nowojorskich pism takich jak „The New Masses” czy „The Partisan Review”. Wszędzie też, jak się zdaje, działało to samo prawo koterii tj. dopuszczanie albo wyłączenie na zasadzie nie pisanych i nawet nie uświadamianych jasno wymagań. W Polsce rządziła koteria „Wiadomości Literackich”, ale bunt „Awangardy” przeciwko jej rządowi w gruncie rzeczy przeciwstawiał jedną koterię drugiej.

Myliłby się, kto by w tych kawiarnianych obrzędach dopatrywał się zjawisk ważnych jedynie dla gospodarstwa literatury i sztuki. Miały one praktyczne znaczenie dla milionów ludzi przeciętnych, zupełnie nieświadomych, że ich

losy zależą od gry w dość ekskluzywnych kółkach czy klubach. Niestety nie było żadnych tajnych sprzysiężeń, których lubi szukać wyobraźnia ludowa. Natomiast nie można pomijać pewnych posunięć planowanych z zewnątrz. W 1917 roku do władzy w Moskwie doszła nieduża grupka zawodowych rewolucjonistów traktująca swoją działalność jako wstęp do rewolucji światowej. Olbrzymie środki pieniężne i olbrzymi, stopniowo rozbudowywany, aparat przeróżnych służb policyjnych i wywiadowczych zostały użyte do tego celu. Wszystko, co działo się na burżuazyjnym Zachodzie było przedmiotem uwagi i starannej analizy. Po krótkim okresie pobłażliwej tolerancji wobec dziwactw miejscowych malarzy i literatów, pozbawiono ich wolności zakazami albo dosłownie, natomiast oceniono korzyści płynące ze swobodnego kłębienia się ich kolegów w krajach Zachodu i z ich zapatrzenia w kraj rewolucji czyli postępu. Ocena środowisk, w których rej wodzili artyści, literaci i młodzi uczeni, wraz z nieuniknioną asystą cmokierów i snobów, okazała się poprawna i pozwoliła na akcje propagandowe oraz szpiegowskie dużej wagi. Historia nowoczesności (nasza, bo przecie to my tworzyliśmy nowoczesną poezję i sztukę) ma tedy dwie strony, jawną i tajną, a ta druga przedstawia się jak najbardziej niesamowity kryminalny romans.

Oczywiście należycie oceniono propagandowe znaczenie wielkich nazwisk firmujących pochwałę cudownych osiągnięć nowego ustroju na wschodzie. Pozyskać je można było wykorzystując ich słabości, głównie wrażliwość na pochlebstwa („Nareszcie kraj, który moją genialność ocenil”) i podatność na łożkowe pokusy. Pochlebstwami udało się trzymać Bernarda Shawa, André Malrauxa i André Gide’a – choć tylko do czasu. Romain Rolland (co przykre pewnie dzisiaj dla jego wielbicieli) był całkowicie kontrolowany przez arystokratkę rosyjską, agentkę NKWD. Baronessa Mura Budberg, kochanka Gorkiego (i H.G. Wellsa) operowała nie bez przyzwolenia właściwych organów. Zdaje się, że we Francji niewiele osób ma złudzenia co do roli Elsy Triolet (Rosjanki) towarzyszkii życia Louis Aragona. Sam znałem w Paryżu Nadię, która została żoną Fernanda Légera, nie wiem komu służyła, w każdym razie była żarliwą komunistką.

Siedzibą akcji propagandowej na wielką skalę były Niemcy weimarskie i nici zbiegały się w rękach jednej z bardziej malowniczych postaci w dziejach nowoczesności, Willi Münzenberga. W 1933 roku zdołał uciec z Niemiec i przenieść swoją centralę do Paryża. Stamtąd swoją sieć zakładał w pierwszym



rzędzie wśród antyhitlerowskiej emigracji niemieckiej we Francji, w Anglii i w Ameryce. Współpracownikami jego byli m.in. Artur Koestler i Manes Sperber, wówczas komuniści. Na jego przykładzie można sprawdzić dwoistość kremlowskiej polityki. Współpraca Stalina z Hitlerem zaczęła się nie w 1939, ale już w 1933 roku, kiedy zawiódł nadzieje niemieckich komunistów. Wkrótce nastąpiła krwawa rozprawa z Roehmem i NSDAP, która bardzo podobała się Stalinowi. Orzekł, że niemiecki dyktator jest „dielewoj mužik”. Zdaje się, że wtedy postanowił rozpętać terror u siebie i urządzić słynne moskiewskie procesy. Proces Tuchaczewskiego odbył się przy ścisłym współdziałaniu obu dyktatorów. Nieszczęsny generał został skazany na podstawie dowodów jego współpracy z niemieckim wywiadem, sfabrykowanych przez Gestapo i dostarczonych sojusznikowi. Przez cały ten czas Willi Münzenberg podnosił krzyk w międzynarodowej prasie o bestialstwach faszyzmu i organizował, jak to nazywał, „kluby naiwnych”, szczerze zaangażowanych w antyhitlerowskie akcje. Hasło walki przeciwko hitleryzmowi przyciągało najlepsze umysły. W Anglii wylęgarnią aktywistów stała się elitarna koteria Bloomsbury (Lytton Strachey, Virginia Woolf i inni). Była to otoczka wielce sprzyjająca ludziom Münzenberga, takim jak Otto Katz (później powieszony w Pradze razem ze Slanskym i towarzyszymi). Obracali się oni wśród intelektualnej i towarzyskiej elity, wychowanków Cambridge i Oxfordu, spośród których rekrutowali się zarówno urzędnicy zawiadujący imperium brytyjskim, jak prześmiewcy, niszczyciele tradycyjnych wartości, nieraz zresztą w jednej osobie.

Nie to jest niezwykle, że wywiadowi sowieckiemu udało się zwerbować w Anglii agentów na wysokich stanowiskach, wspinających się na coraz wyższe szczeble zawodowej kariery w swoim kraju. Niezwykle jest to, że mogli oni uprawiać swój proceder tak długo, co świadczy o istnieniu środowiska myślącego podobnie choć niekoniecznie posuwającego się aż do zdrady. Niektóre decyzje polityki brytyjskiej mogą więc znaleźć wytłumaczenie zarówno w nastawieniu umysłowym elity, jak w pracach „kretów”, lojalnych tylko wobec swoich sowieckich przełożonych. W każdym razie do historii dwudziestego wieku przeszli Anglicy z klasy rządzącej, Filby, McLean, Burgess, którzy wybrali zdradę, uciekli do Moskwy i otrzymali tam posady jako doradcy służb specjalnych.

Wszystko to dostarczyłoby materiału do mnóstwa książek i książki te na pewno będą napisane. Intelktualiści Zachodu bardzo przejmowali się „spra-

wami": walki z faszyzmem oraz wkrótce wojny domowej w Hiszpanii, czyli że „kluby naiwnych” Münzenberga miały pełno roboty. Wyprawy sławnych pisarzy do Hiszpanii były starannie pilotowane, wśród nich Hemingway’a i Dos Passosa. Ten drugi, choć nie znał kulisów czyli współpracy dwóch dyktatorów, odkrył prawdę o terrorze NKWD w Hiszpanii i dał temu publicznie wyraz, za co został odpowiednio ukarany przez „mass media”. George Orwell, kiedy zrozumiał, co kryło się za Hiszpanią, pisał nie licząc się z ceną. Natomiast Hemingway wołał być grzeczniejszy i udawać, że nie rozumie. Napisał powieść *Komu bije dzwon*, tłumaczoną na wiele języków i utrwalił w świadomości wszystkich ludzi postępowych legendę Hiszpanii walczącej o rządy ludu.

*Guernica* Picassa zasługuje na specjalne miejsce w muzeum światowej sztuki nowoczesnej, w sali poświęconej przymierzom artystów z propagandą. W tej samej sali powinien też wisieć jego portret Stalina. Jest to rysunek niezmierny do oddania wiernie rysów twarzy, pomyślany wyłącznie jako podobizna czulej i kochającej ludzkość duszy. Łagodny, szczupły i trochę smutny Gruzin przypomina na nim naszego zacnego profesora Tadeusza Kotarbińskiego.

Ameryka Roosevelta, pełna bezrobotnych, z trudem wychodziła z depresji i stanowiła dobry grunt dla przeróżnych odcieni antykapitalizmu wśród literatów i artystów, przy czym odróżnienie niezależnych od tak czy inaczej powiązanych i gotowych iść za wszelkimi zygzakami linii partyjnej nie jest łatwe. Podrzędni autorzy, jeżeli posłuszni, bywali wynoszeni pod niebiosa przez prasę koterii, czego przykładem może być Lillian Hellman czynna literacko również po drugiej wojnie światowej. To ta, o której pamiętnikach Mary McCarthy napisała, że u niej nawet przecinki kłamią. *Notabene* Münzenberg i spółka dzięki Lillian Hellman przeniknęli do ważnego środka wpływów poprzez film, Hollywoodu.

Rozgałęzienia sieci Münzenberga sięgają okresu powojennego i „zimnej wojny”. On sam tego nie doczekał. Na parę lat przed wojną wypadł z łaski, ale nie dał się zwabić do Moskwy, na pewną zgubę, choć w Paryżu też czuł się zagrożony i nie bez podstaw. Śmierć jego nastąpiła podczas inwazji niemieckiej 1940 roku, w wędrownicy na południe Francji: czy dopadli go wykonawcy wyroku, czy sam się powiesił, nie wiadomo.

Z tego co tu mówię, ktoś mógłby wyciągnąć wniosek, że kajam się w imieniu całej mojej konfraternii i przyłączam się do populistów szukających sposobu,

jak literatom i intelektualom dołożyć. Taki wniosek byłby mylny. Po prostu staram się przypomnieć, że ludzkie społeczeństwa nie dostają darmo tego, co je wprawia w ruch i wzbogaca. Tak się niestety złożyło, że począwszy od Oświecenia umysł twórczy nie mógł się obyć bez marzeń o krainie powszechnej szczęśliwości, o rozumnym ładzie wbrew szarzyźnie i absurdowi codziennej egzystencji, jak też wbrew ciemnym siłom застоju. Czyż *libretto Czarodziejskiego fletu* Mozarta nie opowiada o zmaganiach światła z Boginią Nocy czyli reakcją? Albo, jeżeli kto woli, to diabeł, z chwilą kiedy przestano wierzyć w jego istnienie, pogłaskał się po brzuchu i zaczął puszczać na chmury miraże, które co kulturalniejsza ludzkość brała za rzeczywistość, bo to jej było potrzebne jako ratunek przed popadnięciem w rozpacz całkowitej negacji.

Na wielkiej scenie odbywało się to nieco inaczej niż na małej, na obrzeżach Europy, gdzie grano o skromniejsze stawki, choć tu i ówdzie, jak w Jugosławii, lata trzydzieste przesądziły o pojawieniu się silnej partyzantki komunistycznej podczas wojny. W Polsce, jak i wszędzie, utworzono w 1936 roku Front Ludowy, odwracając na razie zasadę, że „wróg jest na lewicy”, pożytki z tego jednak okazały się nieduże. Jedna postać z tamtego okresu wystarczyłaby, żeby usunąć całe zagadnienie z kręgu demagogicznych uproszczeń: Leon Schiller. Jego zasługi jako teoretyka „teatru monumentalnego” i reżysera są powszechnie znane i rzecz można, że gdyby go nie było, nieco inaczej przedstawiałyby się dzisiaj polski teatr i film. A przecie nie da się pominąć jego głębokiego zaangażowania w komunizm. Nie ukrywa tego Aleksander Wat. Schiller według niego był znakomitym przykładem „salonowego komunisty”, użytecznego w tej właśnie roli, trzymanego z dala od roboty partyjnej, bo najlepszą robotę wykonywał reżyserując rewolucyjne sztuki. Wpływ te sztuki miały znaczny i prasa prawicowa wołała o cenzurę, ku oburzeniu oświeconych. Znajdował obrońców w literacko-artystycznych środowiskach dostatecznie wpływowych również w sferach rządu, tak że, mimo pewnych przeszkód, nie działa mu się krzywda, podczas kiedy zwykli partyjni dostawali więzienne wyroki.

Czy Schiller nadawał się na członka „klubu naiwnych”? Zawsze, również kiedy spotykałem się z nim w Warszawie okupacyjnej, intrygował mnie wyczuwalną w nim tajemniczą wieloznacznością. Nie zdziwiłem się więc bardzo, dowiadując się, że został oblatem w klasztorze w Henrykowie, gdzie przeoryszą była dawna aktorka Umińska, ani że po wojnie, kiedy prześcigał innych swoim zapałem partyjnego aktywisty, w nocy leżał krzyżem przed

krucyfiksem, jak opowiadał mi Wat. Na osobne studium zasługiwałyby chyba związki jego rewolucyjności z polskim dramatem romantycznym (a czyż ten nie należał do nurtu oczekiwania Wielkiej Przemiany?), jak też z teatrem Piscatora w Niemczech weimarskich, który stanowił część komunistycznych przedsięwzięć Willi Münzenberga.

W wielu krajach powiedzenie prawdy o Związku Sowieckim narażało pisarzy i artystów na utratę dobrego imienia i wymagało decyzji niemal bohaterskiej. „Odstępcy”, jak Victor Serge i Panait Istrati, byli oczerniani tak skutecznie, że dzisiaj nikt nie pamięta nawet ich nazwisk. Sława wybitnego pisarza Ignazio Silone, autora powieści *Chleb i wino*, skończyła się jak nożem uciął, kiedy ten włoski delegat do Kominternu przestał milczeć o okrucieństwach sowieckiego systemu. Z André Gide'm po jego książce *Powrót z ZSSR* rzecz była trudniejsza, niemniej stracił on wtedy swoje miejsce na paryskim dworze (które po wojnie zajął Jean Paul Sartre). Prawda o Hiszpanii przyniosła Dos Passosowi upadek jego znaczenia w Ameryce, a George Orwella wystawiła na wrogość londyńskich literatów i wydawców – stąd trudności, jakie miał pod koniec życia ze znalezieniem wydawcy na *Farmę zwierzęcą* i 1984. Renesans Orwella nastąpił dopiero w latach osiemdziesiątych, kiedy uznano go za jednego z wielkich całej literatury angielskiej. Jednak i wtedy nie zabrakło krytyków próbujących osłabić jadowitość satyry w 1984, wyjaśniając, wbrew oczywistości, że wymierzona jest w kapitalistyczną Amerykę.

Oblawa na Alberta Camus, dyrygowana przez Sartre'a i Simone de Beauvoir, pozwoliłaby na opis chwytów stosowanych przez naganiaczy i myśliwych. Przystępstwo (powiedzieć głośno, że w Związku Sowieckim są obozy koncentracyjne) musiało być przedstawione jako dowód moralnej skazy wypowiadającego tę opinię. Ta sama moralna skaza powinna była dać znać o sobie w życiu osobistym – na przykład w chronieniu przyjaciółki zadającej się podczas wojny z Niemcami, co wprowadzało potrzebny ton niejasnych insynuacji. Moralna skaza prowadziła też do błędu politycznego tj. uszkodzenia sprawie robotniczej przez („obiektywne”) poparcie udzielone burżuazji i tak dalej.

Książki uznane w Paryżu za szkodliwe, takie jak *Na nieludzkiej ziemi* Czap-skiego, *Imny świat* Herlinga-Grudzińskiego i mój *Zniewolony umysł* podawano za niegodne zaufania, ponieważ ich autorzy, emigranci ergo faszyci, z założenia moralnie skażeni, nie mogą mówić prawdy. Tutaj wkraczam w czas po drugiej wojnie i w rzeczy doświadczone na własnej skórze, które wyjaśniają

moją alergię na Paryż intelektualny, jak też moją nieufność do powstających tam „izmów”. Jeżeli już raz tak się zbłąznili, dlaczego mam im ufać kiedy przebierają się w nowe stroje?

Zmierzyć zbrodniczość niektórych przedsięwzięć postępowej nowoczesności można jedynie uświadamiając sobie jak bardzo pomagały one oprawcom, jak pozbawiały ludzi dręczonych nadziei i jak paraliżowały ich zdolność oporu. Rachunek (tylko komu?) należałoby wystawić za milczenie o okropnościach kolektywizacji, o sztucznym głodzie na Ukrainie, o deportacjach i piekle łagrów, o Katyniu i innych miejscach egzekucji. Tudzież za skłonność postępowych polityków do handlu narodami, pod pretekstem, że tak lepiej dla nich, bo, zacofane i reakcyjne, znajdują się pod rządami świątłych reformatorów.

Kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych w 1948 roku, Henry Wallace, odwiedził Kołymę, co zmusiło dyrekcję gułagów do nie lada wysiłków, żeby przygotować potrzebne dekoracje i odegrać komedię zażywnych, porządnie ubranych łagierników. Udało się nadspodziewanie i napisał w raporcie z podróży, że, wbrew oszczerstwom, pensjonariusze zakładów poprawczych żyją w znakomitych warunkach i niczego im nie brakuje. Na Wallace'a głosowała cała artystyczno-literacko-naukowa elita, na szczęście dwupartyjny system demokracji amerykańskiej z góry przesądza na niekorzyść kandydata partii trzeciej i Wallace przegrał. Rok 1948, rok męczarni milionów w łagrach, był też czasem apogeum Stalina w opinii Zachodu.

Dopiero zdobywając się na skok wyobraźni poza ospałość codziennej rutyny można objąć powagę i rozmiary przedsięwzięcia polegającego na utrzymaniu przez dziesiątki lat pozorów szczęścia i dobrobytu w państwie nędzy i strachu. Ilość pieniędzy i sił potrzebnych, żeby na przykład zorganizować podróż Wallace'a trzeba pomnożyć przez wysoką liczbę podobnych imprez. Zatrudnieni w propagandzie oraz w licznych rozgałęzieniach wywiadu, wraz ze specjalistami od mordów, tworzyli wielomilionowe państwo w państwie. Jeżeli dodać do tego zachodnich pomocników, płatnych i niepłatnych, otrzymujemy potęgę, która, zaiste, nie pozwalała przewidzieć, że tyle planów, ludzi, pieniędzy, działań, pójdzie na marne.

Celem mojego szkicu nie jest jednak rozbudzanie wyobraźni, ale postawienie pytania. Począwszy od końca osiemnastego wieku, kiedy pojawiło się pojęcie historii nie jako ciągu następujących po sobie dynastii, wojen i podbojów, ale

jako siły poddanej jej własnej dynamice, nasza kasta czy konfraternia (kłopot ze znalezieniem nazwy, żadna nie pasuje) czuła się obarczona szczególnym powołaniem. Czy zastanawiać się nad tym to samo, co zastanawiać się nad powołaniem tzw. inteligencji? Zapewne, choć tylko w niektórych krajach, a i tam jedynie częściowo. W każdym razie my, to znaczy poeci, malarze, powieściopisarze, publicyści stanowiliśmy szczególnie aktywną część „kasty wiednej” i nasze stosunki z przeciętnymi zjadaczami chleba zdawały się ulegać w ciągu wieku dziewiętnastego szczególnym przekształceniom. Według Ortegi y Gasset powieść, sentymalna, brutalna, melodramatyczna, przemawiająca do masowego czytelnika, dobrze ilustruje nasze porywy bardów i poprawiaczy społeczeństwa. A potem coś się psuje. Twórcy od społeczeństwa się odwracają i zaczynają układać swoje kompozycje słów czy barw nie dla niego, ale dla tych, którzy będą tego godni, w przyszłości. Ponad głowami burżujów, filistynów, filistrów wzrok twórców kieruje się ku krainie spełnień, której oni sami są zapowiedzią czyli strażą przednią: tak powstaje pojęcie Awangardy. Następuje „dehumanizacja sztuki”, czyli na scenę wkracza, jak to dzisiaj się nazywa, modernizm. U jego podstaw leży niechęć do istniejącego stanu rzeczy i liczne są przymierza bohemy we Francji z rewolucjonistami 1848 roku, czy z Komuną Paryską. Gdzie indziej te przymierza noszą daty nieco późniejsze. Kraina spełnień nie figuruje oczywiście na mapach, bo równa się przyszłości. Ale w dwudziestym wieku, nagle, jednym aktem, puczem 1917 roku, zyskuje geograficzne wcielenie. „Zobaczyłem przyszłość” – napisał jeden z entuzjastycznych pielgrzymów – „i dobrze działa (*it works*)”.

Terminu „dehumanizacja sztuki” Ortega y Gasset nie użył po to, żeby ją potępiać, raczej żeby uznać nieuniknioność występowania pewnych zjawisk, takich jak odejście od narracji „jak w życiu” w powieściach, od podobieństwa w malarstwie, od melodii w muzyce, zastąpionych przez geometrię, abstrakcję, dysonans. Natomiast państwo narodowo-socjalistyczne, wypowiadając wojnę „sztuce zdegenerowanej”, najwyraźniej wychodziło z założenia, że nie ma żadnej wewnętrznej logiki jej rozwoju i że wystarczy, jeżeli wola rządzących postawi jej tamę. Oceniając poprawnie niebezpieczeństwo grożące mu ze strony tej sztuki (postępowej, masońskiej, żydowskiej, komunistycznej etc.), totalitarne państwo nie umiało jej nic wartościowego przeciwstawić i w ten sposób dowiodło bezsilności „zdrowej” postawy w tej dziedzinie. Tragikomedia pomyłek polegała na tym, że ocena sztuki nowoczesnej jako „zdegenerowanej” była identyczna w totalitarnym państwie wschodnim, dla

celów jednak strategicznych utrzymywano za granicą złudzenie aprobaty, zresztą pod warunkiem, że dany artysta czy pisarz opowiadał się politycznie po właściwej stronie.

Tak więc w ciągu wielu dziesięcioleci wyobraźnia pisarzy i artystów, ile razy znużyła się otaczającym ich bezładem egzystencji, mogła z „tu” zwrócić się do pełnego przyszłościowej potencji „tam”, i nie darmo polski poeta (Stanisław Młodożeniec) pytał w wierszu pt. *Moskwa*: „Tam? Czy tu-m?”.

Działo się to wszystko równolegle ze wzrostem znaczenia sztuki, wbrew pozorom, które podtrzymywał „bunt mas” spragnionych taniej rozrywki. Erozja wyobraźni religijnej, rozwianie się obrazów Nieba i Piekła, a tym samym pośmiertnego zbawienia, czy potępienia, sprzyjało wierze w jedyne zbawienie bezsensownej egzystencji, przez sztukę. W tym sensie fanatycy bezustannego nowatorstwa i wskutek tego dzieł niezrozumiałych dla ogółu słusznie uważali siebie za straż przednią w marszu ku czemuś, co i dla nich nie było wyraźne. Niewątpliwie trzeba rozróżnić dwa stronnictwa – z jednej strony ci, którzy tak skutecznie wynosili swoje dzieło ponad doczesność, że zapominali, jak bardzo doskwierała im ich własna historyczna epoka, z drugiej strony ci, dla których tworzenie było ciągłym wyrywaniem się z czasu teraźniejszego przez ciągłą jego krytykę. „Poezja jest porywem ku szczęściu” – deklarował u nas Julian Przyboś i nigdzie nie widać lepiej kolizji nieba sztuki z idealnym społeczeństwem przeszłości niż w polskiej awangardzie lat dwudziestych–trzydziestych – Szczuka, Żarnower, Strzemiński, Grupa ar, Peiper, Przyboś.

Twierdzę, choć nie umiałbym tego udowodnić, że mit wiecznotrwałego dzieła sztuki, odziedziczony po całej cywilizacji zachodniej, funkcjonował przez dłuższy czas w połączeniu z mitem przyszłościowym. Jakieś otwarcie się na zasadniczą przemianę właściwe było powszechnej świadomości, toteż fakt, że pojawiło się „tam” przeciwstawione brzydkiemu „tu” odgrywał znacznie większą rolę, niż się przypuszcza.

Upadek utopii komunistycznej jest dla mitu przyszłościowego katastrofą, której rozmiarów jeszcze sobie nie uświadamiamy. Przez pewien czas podtrzymywano go mieszaniną maoizmu i rewizjonizmu, ale i to się skończyło. Rzec można, że dopełnił się cykl zaczęty przez filozofów Oświecenia, a nawet siedemnastego wieku. Sam pamiętam obchody ku czci Descartesa urządzone przez komunistów francuskich i nie sposób odmówić im sporej dozy słusz-

ności, kiedy powoływali się na dostojnych przodków. W ważnej dla mego stulecia powieści Tomasza Manna, *Czarodziejskiej górze*, spór ze sobą wiedli totalista Naphta i liberał Settembrini, jednak, jak dzisiaj skłonni jesteśmy ich oceniać, byli chyba dwoma obliczami tej samej osobowości.

W jakim więc punkcie teraz jesteśmy, co się teraz odbywa pod powierzchnią politycznych wydarzeń? Ledwo to odgadujemy, a niektórzy (Amerykanin Fukuyama) dość ryzykownie mianują to końcem historii. Mnożą się niewiadome i jakoś straszno, bo jeżeli musimy się wyrzec oświeceniowego dziedzictwa, pozostaniemy bezbronni wobec Bogini Nocy i jej obskuranckich kohort. Czyżby naprawdę załamała się, zapożyczona z Biblii i zeświecczona, idea Historii jako ruchu od-do? Czyżby na jej miejsce przychodził obraz ludzkich społeczeństw jako zasadniczo nieruchomych, najwyżej poddanych kalejdoskopowym zmianom, w których nie dopatrzeć się żadnej linii przewodniej. A może, co bardziej prawdopodobne, zostaliśmy porażeni końcem widowiska, które zamiast buchnąć i zgasnąć wśród błyskawic i gromów, rozpełzło się w szarość, w błotniste nic? I tak skutecznie nas to poraziło, że długo nie będziemy zdolni ryzykować jakichkolwiek sądów o tym, do czego zmierzamy.

Czesław Miłosz



Czesław Miłosz

## Krawat Aleksandra Wata

Ten krawat, dziany, z grubym węzłem,  
w zgodzie z barwą ciemnej koszuli  
i marynarki tweedowej  
zachwycił mnie.

Był to naprawdę wytworny pan o czarnym wąsie  
krótko przystrzyżonym.

Ktoś przedstawił mnie na Mazowieckiej, trochę dalej  
niż Ziemiańska i księgarnia Mortkowicza (jedyne  
miejsce w Warszawie, gdzie można było dostać moje  
*Trzy zimy* wydane w 300 egzemplarzach).

Kto uwierzył w Opatrzność, musi widzieć Oko:  
Cwałuje jeździec Pamiru w różach i fioletach.  
Ulica Benvenue w Berkeley i Wat na tapczanie.  
Jego zdumienie, kiedy próbuje ogarnąć swój los.  
Bo skąd Wat w pritonach *San Francisco*,

*liłowyj niegr* Weretyńskiego?

I ja z magnetofonem. Młodzieniec z prowincji  
miał, okazuje się, złożyć świadectwo.

Co prawda razem przeżyliśmy tę kolację z Parandowskimi  
w strasznego Sylwestra 1950 roku.

Biedne Wacisko.

Nacierpiał się w Kazachstanach i Tadżykistanach

mimo tego krawata

przy ulicy widm, Mazowieckiej w Warszawie.

*Czesław Miłosz*

*Aleksander Fiut*

---

## Wat i Miłosz: egzorcyzmowanie diabła w historii

Czym właściwie była fascynacja komunizmem środowisk intelektualnych w latach stalinowskich? Pytanie brzmi może naiwnie, a przecież do dziś padają na nie albo wykrętne, albo mętne, albo przynajmniej za mało precyzyjne odpowiedzi. Jedną z bodaj najbardziej uderzających właściwości tego fenomenu jest to, że zdaje się wymykać językowi, stale natrafia na trudną do przekroczenia barierę wypracowanego systemu pojęć – jakby jego istota pozostawała poza dostępnymi środkami wyrazu! Jedni zatem napomykają o indywidualnym lub zbiorowym obłędzie, inni piszą o narodzinach Nowej Wiary, ale są i tacy, którzy wprost twierdzą, że w całej tej sprawie miały swój udział siły nieczyste. Czyżby do historii dwudziestego stulecia diabeł domieszał siarki piekielnej? W każdym razie tego rodzaju przeświadczenie było tak dalece powszechne, że z zastanawiającą uporczywością powracało zarówno w tytułach książek, jak i w pojedynczych wypowiedziach. Wystarczy przypomnieć: wydanemu w 1937 roku zbiorowi swoich esejów Bolesław Miciński nadał miano *Podróży do piekieł*, zaś ogłoszoną drukiem

w 1963 roku własną autobiografię, na którą złożyły się rozmaite szkice, recenzje i wspomnienia, Józef Wittlin zatytułował w sposób znamienny: *Orfeusz w piekle dwudziestego wieku*. Także w niedawno opublikowanym *Dzienniku* Jana Błońskiego mowa o szczęśliwym okresie sprzed pierwszej wojny światowej – „zanim diabeł wszedł do historii”<sup>1</sup>. Gérard Conio kiedyś bardzo trafnie zauważył: „Nie można zrozumieć fenomenu totalitaryzmu, interpretując go wyłącznie w kategoriach mu właściwych: jego finalizm nie ma natury ani ekonomicznej, ani społecznej, ani nawet politycznej. Finalizm ów stanowi porządek duchowy, metafizyczny – jak go trafnie określił Armand Robin to »boskie na opak«”<sup>2</sup>.

Istotnie, totalitaryzm ma w sobie coś lucyferycznego i jest wyrazem „boskiego na opak”. Zwłaszcza komunizm – w swej wersji stalinowskiej, propagandowej, adresowanej do mas – zrećźnie pomieszał znaczenia i poprzestawiał wartości. Porządek boski przemienił w porządek wyłącznie ludzki, w miejsce Opatrzności rządzącej światem podstawił samoczynny mechanizm historii, wizję eschatologiczną przeobraził w utopię ziemskiej szczęśliwości, a wiarę w Boga zastąpił wiarą w Partię i jej przywódców. Za księgę świętą uznał *Kapitał*, za proroków Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Co więcej, pierwsze organizacje partyjne, działające nielegalnie, pełne bezgranicznego poświęcenia, spojone żarliwą wiarą, surową etyką i gotowością złożenia ofiary nawet z własnego życia – do złudzenia przypominały gminy wczesnochrześcijańskie. Jak zauważa Andrzej Walicki, już w czasach rewolucji bolszewickiej rozdzźwięk pomiędzy ideami i praktyką wywoływał „ostry dysonans poznawczy”, który próbowano likwidować poprzez odwołanie się czy to do dialektyki heglowsko-marxowskiej, czy „mistyczno-spekulatywnej gnozy”, szukając głębszego, religijnego sensu dokonującej się historii w całym jej okrucieństwie. Zaś rosyjscy poeci symboliści „puścili w obieg historiozoficzną paralełę pomiędzy »narodzinami świata komunistycznego a narodzinami chrześcijaństwa«”<sup>3</sup>.

Jest w tym wyjątkowa ironia, że imię Lucyfer oznacza „niosący światło”, gdy tymczasem komunizm przyniósł lucyferyczną ciemność zła: zaciętrzewiony

<sup>1</sup> Jan Błoński, *Błoński przekorny. Dziennik. Wywiady*, wywiady zebrał i opracował Marcin Zaczynski, Kraków 2011.

<sup>2</sup> Gérard Conio, *Aleksander Wat et le diable dans l'histoire*, Editions l'Age d'Homme, Lausanne 1989.

<sup>3</sup> Andrzej Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, Warszawa 1993.

i bezlitosny fanatyzm, bezwzględną nietolerancję i ślepią wiarę, brutalne zanegowanie podstawowych zasad moralnych. Marzenia o rajku na ziemi skończyły się prawdziwym piekłem, dążenie do wyzwolenia z alienacji zrodziło nową formę państwowego niewolnictwa, braterstwo ludów dogorywało za drutami kolczastymi archipelagu gułag. Oglądany z pewnej perspektywy komunizm może zatem wydać się szyderczym odwróceniem chrześcijaństwa, wynalazkiem iście diabelskim.

W tym miejscu wypada powołać dwóch ważnych świadków: Aleksandra Wata i Czesława Miłozsa. Obydwaj dostrzegli w komunizmie nade wszystko element demoniczny, a później, rzec by można – odprawili nad tym systemem swego rodzaju „egzorcyzmy”. Nie przypadkiem jeden z rozdziałów *Mojego wieku* został zatytułowany: *Demonizm i egzorcyzmy*. „*Miesięcznik Literacki*”. Rozliczając się w latach sześćdziesiątych ze swoją młodością, a zwłaszcza z okresem redagowania komunistycznego „*Miesięcznika Literackiego*”, Wat stwierdza, że „współczesnemu człowiekowi jest nieprawdopodobnie trudno uwierzyć w Boga, ale szalenie trudno jest nie uwierzyć w diabła, może jeszcze trudnej (...) I właściwie komunizm mi się przedstawiał w postaci diabelskiej”. Dodając: „Moment diaboliczny jest bazą mojego pojmowania komunizmu, powiedzmy totalizmu, bo w końcu hitleryzm jest jedną z jego postaci, jakąś reakcją na komunizm”<sup>4</sup>. Czesław Miłozs natomiast wspomina w *Roku myśliwego*, że kiedy za protekcją Borejszy i Putramenta wyjeżdżał na placówkę dyplomatyczną do Nowego Jorku, Putrament go ostrzegł: „Pamiętaj, że podpisujesz diabelski pakt”. Pewnie dlatego swoje wystąpienie podczas konferencji Kongresu Kultury w roku 1951 – poświęcone wpływowi komunizmu na intelektualistów w krajach bloku wschodniego i na Zachodzie – noblista zatytułował wymownie: *Wielkie pokuszenie*.

Na czym zatem polegają owe „egzorcyzmy”, odprawiane przez obydwu poetów nad komunizmem? Głównie na tropieniu i demaskowaniu śladów tego, co w jego doktrynie i społecznej praktyce stanowi „boskie na opak”, innymi słowy, jest świadomym przejęciem, a zarazem kłamliwym odwróceniem i zdeformowaniem, głównie chrześcijańskiej, tradycji religijnej. Już we

<sup>4</sup> Cytaty z dzieł Aleksandra Wata i Czesława Miłozsa, tutaj przytoczone, lokalizowane są następująco: Aleksander Wat, *Świat na haku i pod kluczem. Eseje*, opracował Krzysztof Rutkowski, London 1985; *Mój wiek. Pamiętnik mówiony. Część pierwsza*. Rozmowy prowadził i przedmową opatrzył Czesław Miłozs, do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa, Warszawa 1990 i Czesław Miłozs, *Wielkie pokuszenie. Biały jednorożec*, Archiwum Emigracji, Toruń 2002; *Rok myśliwego*, Kraków 2001.

wstępie do *Opowieści fantastycznych* Abrama Terca (Andrzeja Sieniawskiego) Wat wymieniał cały szereg związków doktryny sowieckiej z chrześcijaństwem. To ona „syci zepchnięte do piwnic duszy głody religijne, potrzebę idola, oj-cowskiej autokracji, uniwersalizmu (...) potrzebę adoracji, rytuału, spowiedzi, kultu świętych, autorytetu osób oraz instytucji uświęconych charyzmatami”.

Cały ten problem Wat dokładniej draży w swoich rozmowach z Miłoszem. Dowodzi zatem, że komunizm wyrósł na gruzach wielkich religii jako rodzaj sekty, odmiana „religii wypaczonej”. Właśnie w takich sektach – na co zwracają uwagę religioznawcy dosyć łatwo rodzą się nowe bożki. Wat przyznaje otwarcie, że tym bożkiem stał się dla niego w 1928 roku Włodzimierz Iljicz Lenin. O żarliwym kulcie wodza rewolucji przesądzało nie tylko zafascynowanie jego postacią, ale także nagląca potrzeba „charyzmatycznej osoby, która odkupuje wszystko”, a zatem bierze na siebie hańbę monstrualnych win i tym samym uwalnia innych od ich moralnego ciężaru. Jak przypomina autor *Mojego wieku*, w kręgach lewicowej inteligencji rewolucja październikowa budziła swoimi niebywałymi ofiarami równocześnie „grozę i fascynację”, przekonanie „jak czysta i wielka musi być sprawa, dla której przelewa się tyle krwi, i to krwi niewinnej” – co oczywiście przywodziło na myśl ofiary pierwszych chrześcijan.

Pod piórem Wata te odwołania, w sposób jawny i ukryty, z zastanawiającą uporczywością powracają. Wspomina np. swoje spotkanie z Borysem Wigilewem, bolszewikiem, przyjacielem Lenina, komentując je następująco: „dusza jakaś niesłychanie łagodna, chrześcijańska, i tak jakby mówił: dzisiaj widziałem piękną kobietę, tak mówił o tym, że rozstrzelano tylu a tylu marynarzy”. I dodaje: „Ten styk humanitaryzmu z okrucieństwem” to jedna z „najbardziej zagadkowych rzeczy w mentalności komunistycznej”. „Dusza jakaś niesłychanie łagodna, chrześcijańska!”. Egzorcyzmowanie fascynacji komunizmem nie jest, jak się okazuje, łatwe i skuteczne. Diabeł wypędzony drzwiami, wraca przez okno. Bo nawet zakładając, że w tych wynurzeniach pobrzmiewa gorzka ironia, trudno nie zauważyć, iż u Wata nad odruchem serca górę bierze chłodny, analityczny rozum, moralne oburzenie ustępuje miejsca niesłabnącej pasji poznawczej, a bardziej od potępienia dla zbrodnia-rza pojawia się zaciekawienie zdumiewającym połączeniem „humanitaryzmu z okrucieństwem”. Nie mówiąc już o tym, że nazwanie mentalności bolsze-wika „duszą chrześcijańską” brzmi jak ponury żart!

Dychotomiczny podział świata, potrzeba oczyszczenia poprzez maksymalne intensyfikowanie zła, wreszcie kult rozumu, przenikającego tajemnice świata – skłaniają Wata do kojarzenia komunizmu nie tylko z chrześcijaństwem, ale także z gnozą. Skąd mowa o „snobizmie i hierarchii ludzi według stopnia wtajemniczenia w marksizm”, a także „wysokiej sankcji (...) nadrozumu”, która budzi nabożny wręcz szacunek i bezgraniczne zaufanie dla grona wtajemniczonych w środowisku ludzi odznaczających się słabym wykształceniem. Przychodzi tutaj na myśl, wprowadzony kiedyś przez Allaina Basançon – który przekonywująco przedstawił pokrewieństwa pomiędzy doktryną komunistyczną a religią gnostycką – podział na tych, co wiedzą, ale nie wierzą, oraz na tych, co wierzą, ale nie wiedzą<sup>5</sup>.

Wat nie ogranicza się przecież do zewnętrznych analogii, które pojawiają się pod jego piórem jak gdyby mimochodem, prawie poza kontrolą, świadcząc, jak dalece pojęcia, przeświadczenia i wyobrażenia chrześcijańskie czy gnostyckie były w nim głęboko uwewnętrznione. Przeciwnie, stara się szukać genezy tak silnego i powszechnego zafascynowania komunizmem w odwiecznych tęsknotach, których nie mogą już ukoić wielkie tradycyjne religie, ponieważ ich czas, jego zdaniem, dobiegł ostatecznego końca. Mówi zatem o trzech podstawowych potrzebach, które komunizm w wersji stalinowskiej zdawał się zaspokajać: „głódzie katechizmu”, pragnieniu braterstwa, wreszcie chęci zmiany porządku świata.

„Głód katechizmu”, inaczej mówiąc „potrzeba uproszczeń” dręczył, zauważa Wat, nawet najbardziej wyrafinowane umysły, ulegali mu choćby Jean Paul Sartre czy Maurice Merleau-Ponty. Rodził się z wielości konkurujących ze sobą teorii, a także z wiedzy o kontrargumentach, które obalić mogą każdy system myślowy, roszcujący sobie pretensje do całościowego ujęcia. Jakikolwiek wybór jednej filozofii, jednej ideologii czy światopoglądowej opcji musi, zdaniem Wata, opierać się na nieuczciwości intelektualnej, ponieważ bierze w nawias i przemilcza wszystko to, co mu przeczy, a co podpowiadają wiedza i intelekt. Według Wata „dzisiaj uczciwy intelektualnie (...) może być tylko prostaczek, chyba że ma się zdolności samookłamywania siebie”. Właśnie owa zdolność samookłamywania była, zwłaszcza wśród zachodnich intelektualistów, „monstrualnie duża”, skoro tak chętnie ulegali „głódowi katechizmu”. Z kolei postulowane programowo i praktykowane na co dzień

<sup>5</sup> Zob. Allain Besançon, *Les origines intellectuelles du léninisme*, Calmann-Lévy, Paris 1977.

braterstwo zaspokajało u komunistów pragnienie zbiorowego ciepła, bycia we wspólnocie podobnie czujących i myślących. Cóż, kiedy było to zarazem „braterstwo przeciwko” – wymierzone w tych, co pozostawali na zewnątrz i traktowani byli jako albo aktualni, albo potencjalni wrogowie. Było także „braterstwem do wymówienia”. Bo z jakichś, nieraz trudnych do zweryfikowania powodów, można było zostać wykluczonym z partii, co z kolei rodziło „mistykę podejrzliwości”, a także obawę przed ponownym wtrąceniem w dotkliwą samotność, skazaniem na alienację i anonimowość. Stawało się to udziałem nie tylko polskich komunistów, ale także ich zachodnich towarzyszy. Wystarczy wspomnieć izolację, na jaką skazany został André Gide po ogłoszeniu drukiem *Powrotu z ZSRR*<sup>6</sup>. Albo wyznania z dziennika Edgara Morina: „Byłem sam, niczym zjawa, podczas gdy wszędzie na świecie maszerowali robotnicy... Na zawsze utraciłem więź, braterstwo. Odsunięty od wszystkiego, od wszystkich, od życia, od ciepła, od Partii. Zaczęłem szlochać”<sup>7</sup>. Wreszcie ostatnia z potrzeb: chęć zmiany porządku świata, rodząca się z niezgody na krzywdę społeczną, z „solidarności z upośledzonymi”, ale też z tego, „o czym marzy inteligent w naszych czasach, *vita activa*”. Czyli możliwości nie tylko interpretowania rzeczywistości społecznej, ale także oddziaływania na nią, bezpośredniego wpływania na jej przeobrażenia kogoś, kto większość czasu spędza za biurkiem. Pragnienie tak silne, że spychało w zakamarki świadomości krytycyzm, tłumilo moralne skrupuły, rodzące się z wiedzy o zbrodniach dokonywanych w imię „światlanej przyszłości”. Wat z całą otwartością przyznaje: „na wszystko, co przeszkadzało wierze, zamykałem oczy, zatykałem uszy”, „wiedziałem, i nie wiedziałem”, „żyłem jak pijane dziecko we mgle”.

Katechizm oparty na kłamstwie, braterstwo cementowane strachem przed wykluczeniem, utopijne dążenie zmiany porządku świata, okupione ludobójstwem – czy wszystko to nie wygląda zaiste na szatańskie odwrócenie podstaw chrześcijaństwa? Co Nową Wiarę rodziło? Powiada Wat – nagląca potrzeba nadania sensu egzystencji, wydobycia się z „desperacji, beznadziei, z poczucia absolutnej absurdalności”. Owa potrzeba sensu mogła być tak silna, że posuwała się w skrajnych wypadkach nawet do usprawiedliwienia terroru. Jak miało to choćby miejsce w głośnej książce

<sup>6</sup> Zob. Herbert R. Lottman, *Lewy brzeg. Od Frontu Ludowego do zimnej wojny*, przełożył Jacek Giszczak, Warszawa 1997.

<sup>7</sup> Tamże.



Merleau-Ponty'ego *Humanizm i terror*, której autor usprawiedliwiał stalinowskie procesy lat trzydziestych tym, że służą sprawie postępu, są – może bolesną, ale konieczną – ceną, jaką należy zapłacić za wiarę w rozumny sens dziejów.

O ile Nowa Wiara w okresie przed drugą wojną światową budziła skojarzenia z chrześcijaństwem w jego wczesnej fazie, o tyle jej ekspansja po klęsce Hitlera przypomina już fazę chrześcijaństwa zwycięskiego i triumfalnego. Pokusa diabelska nie wiąże się już zatem z ryzykiem utraty wolności, nie domaga, jak przed wojną, gotowości do bezgranicznych poświęceń, niezłomnej odwagi w obronie własnych przekonań, lecz zdaje się raczej trudną do zwalczenia, przemożną pokusą konformizmu. Aby ją odtrącić, Miłosz zaczął swoje „egzorcyzmy” od napisania *Wielkiego pokuszenia*. Ogłoszenie drukiem *Zniewolonego umysłu* usunęło w cień ten głośny kiedyś esej, który *Zniewolony umysł* przygotowywał i zapowiadał, sądząc jednak, że wart jest on tutaj przypomnienia i głębszego namysłu. Chwyta bowiem pewne zjawiska i procesy na gorąco oraz definiuje je może schematycznie, bez rozmaitych rozróżnień i niuansów, ale za to znacznie bardziej wyraziście.

Komunistyczne państwo totalitarne, jak wielokrotnie zauważa Miłosz, w dużej mierze świadomie czerpie z doświadczeń Kościoła, dysponując przy tym całym rozległym i ściśle ze sobą powiązanim systemem nowoczesnych środków perswazji i metod socjotechnicznych. Taktyka stosowana wobec intelektualistów, którzy, zdaniem Miłosza, w swojej większości opowiedzieli się za rewolucją, zawiera się w kilku dających się zdefiniować posunięciach: „Dawać i nie żądać najpierw nic w zamian”, czyli stwarzać materialne warunki dla rozwoju twórczości artystycznej i naukowej w warunkach systemu wolnorynkowego nieosiągalne. „Zwiększać presję stopniowo tak, by nie wytworzył się opór psychiczny”, czyli w procesie indoktrynacji stosować metodę małych kroków. „Wlać nowe wino do starych bukłaków”, czyli zachowując pozory kontynuacji form tradycyjnych, starać się nadawać im inne, zgodne z doktryną znaczenie. „Unikać, jak tylko jest to możliwe, bezpośredniego nacisku i posługiwać się presją sytuacji”, czyli tak ukształtować położenie obywatela, by sam zmuszony był do ustępstw wobec państwa. Wreszcie: „Nie pozwalać, aby w grupie utworzyły się więzy solidarności”, czyli izolować jednostki poprzez wprowadzanie nowych podziałów i hierarchii zgodnych z zasadą ortodoksji politycznej. Wszystkie te zabiegi, równocześnie kuszając przywile-

jami i separując intelektualistę od reszty społeczeństwa, a także od własnego środowiska, przygotowują go do przyjęcia Nowej Wiary, za którą przemawiają ponadto zwycięstwo i światowa ekspansja komunizmu oraz potęgą Związku Sowieckiego, postrzegane jako ucieleśnienie historycznej konieczności. Zwłaszcza, że intelektualisci zostali postawieni wobec – niemożliwej, zdawałoby się, do przekroczenia alternatywy: albo komunizm, albo faszyzm.

Argumentem przemawiającym za przyjęciem Nowej Wiary jest ponadto pojmowanie zideologizowanej kultury jako formy „nowej świeckiej religii”, która w warunkach konsumpcji masowej staje się „organizacją dystrybucji na planie umysłowym”. Jak pisze Miłosz, „To, czym w społecznościach chrześcijańskich był Kościół wraz z jego obrzędami religijnymi, dostępnymi dla każdego mieszkańca wioski, jest zapewniane w stalinizmie dzięki czerwonemu kącikowi, konferencjom, kursom politycznym itp.”. Podobnie powszechna staje się nowa liturgia, kładąca nacisk na praktyki, nie na wiedzę teoretyczną dostępną nielicznym i wybranym. Podobnie jak Wat Miłosz spostrzega, że Nowa Wiara nie tylko leczy intelektualistę z poczucia społecznej bezużyteczności, ale przywraca mu także związek z resztą społeczeństwa, uwalniając od dręczącej izolacji. „Raz zaakceptowawszy wszelkie niedogodności systemu, pisarz zostawał wyzwolony z kręgu osobistej samotności przez rytm życia w wielkiej zbiorowości”. Nie przekreśla to wszakże poczucia wewnętrznego rozdwojenia. Entuzjazm dla budowy nowego świata może bowiem współistnieć z nienawiścią żywioną wobec Stalina czy Związku Sowieckiego. Miłosz wprowadza tutaj po raz pierwszy pojęcie „ketmanu”, zaczerpnięte z dzieła Gobineau. Zwraca przy tym uwagę, że przewrotna gra z państwem totalitarnym wciąga powoli intelektualistę, który czerpie z niej swoistą rozkosz. Co więcej „dzięki temu zaczyna lubić Nową Wiarę, ponieważ bez niej ketman nie byłby możliwy”. Ketman nie prowadzi wprawdzie do bezpośredniego oporu wobec stalinizmu, posiada przecież wiele, trudnych do przecenienia zalet. Nabierają one szczególnej wyrazistości w konfrontacji z postawami intelektualistów w krajach zachodnich. Życie duchowe owych intelektualistów jest, zdaniem Miłosza, „zbyt rozproszone” i pozbawione oparcia. „Wolność jest dla nich ciężarem”, nic nie wydaje się wiążące, „co czują i myślą ulatnia się niczym para”, dokuczają im „ciągła *malaise*”. Tymczasem ketman pozwala realizować się „wbrew czemuś”, konsolidować wewnętrznie w oporze wobec totalitaryzmu.

Tak ujmowane państwo totalitarne jawi się niczym diabelska parodia państwa wyznaniowego, jako państwo kościelne *à rebours*. W miejsce żarliwej wiary pojawia się w nim demoralizujący konformizm i na masową skalę uprawiana hipokryzja. Zamiast człowieka ostatecznie wyzwolonego z alienacji, obywatela Najlepszego z Ustrojów – rodzi się *homo sovieticus*. W tym miejscu Miłosz wskazuje na najważniejszą przyczynę szerzenia się Nowej Wiary. „Sądzę, że człowiek naszej epoki nie ma wewnętrznego centrum i to właśnie dlatego Nowa Wiara przedstawia tak wiele uroków dla intelektualistów. Ta Nowa Wiara, poddając człowieka presji otoczenia, tworzy owo centrum; w każdym razie sprawia wrażenie, że owo centrum istnieje”. Owym centrum była dawniej dusza nieśmiertelna, następnie silna jaźń, ugruntowana etycznie, po jej zniknięciu pozostaje dotkliwa pustka, którą łatwo można wypełnić jedynie żalosnym i niszczyielskim w skutkach surogatem dawnej wiary.

„Egzorcyzmy” obydwu poetów okazały się zatem bardzo poręcznym narzędziem poznawczym. Odkrywały w świadomości intelektualistów jedno z zasadniczych źródeł marksizmu czyli pozostałości gnozy i chrześcijaństwa, których ten – szydząc z wszelkich odmian fideizmu i szermując kultem Rozumu – tyleż się wypierał, co z nich nieustannie czerpał, wykorzystując świadomie, uformowane przez wieki i dobrze sprawdzone nawyki świadomości zbiorowej oraz wzory organizacyjne. Zaiste, Marks pisząc, że „religia to opium dla ludu”, nie przewidział, że jego filozofia, zamieniona w stalinowską doktrynę, stanie się takim opium nie tyle dla ludu, co dla światowej elity intelektualnej! Ale czy owe egzorcyzmy nie kompromitowały również – przynajmniej w pewnym stopniu – tych, którzy się nimi posługiwali? Służyły przecież jako forma usprawiedliwienia – bo czyż można nie ulec diabelskiej pokusie? – ale zarazem, dosyć paradoksalnie, na inny sposób, właśnie tę pokusę wyrażały. Stały bowiem niezmiennie na straży chłodnego, sceptycznego, analitycznego rozumu, którego uroszczenia tak przenikliwie demaskowały, lecz któremu nic już nie potrafiły przeciwstawić! Najwyraźniej Lucyfer zakpił sobie z tych, którzy chcieli odslonić jego podstępny. Mówiąc inaczej: owe egzorcyzmy ujawniły – z jednej strony – schyłek projektu antropologicznego, wedle którego jednostka jest źródłem wartości, pojmowanych czy to religijnie, czy etycznie, istotę człowieczeństwa sprowadzając wyłącznie do rezultatu społecznych interakcji. Z drugiej strony – dotkliwie kompromitowały znaczną część intelektualnych elit Europy. Zwłaszcza dziedziczone od

czasów oświecenia przekonanie, że z racji swojej wiedzy elity te mają prawo dzierżyć uprzywilejowaną pozycję w społeczeństwie oraz są przeznaczone do przewodzenia ciemnym masom, które nie znają kierunku i celu ludzkich dziejów. Publikowany powyżej, dotychczas niepublikowany esej *Nowoczesność zwana też modernizmem* uznać zatem wolno za zamknięcie Miłoszowskich potyczek z diabłem w historii.

*Aleksander Fiut*

*Czesław Miłosz*

---

## Sztukmistrz

Sztukmistrzu, rozkładaj swoje instrumenty.

Wysokie echo powraca z gór, słycać huk wiosennych potoków.

Dziecinnym oczom, jak twoim kiedyś, objawia się pierwszy raz piękno ziemi.

Sztukmistrzu, budujesz gwiazdę, która będzie wędrować po niebie dopiero co urodzonych.

Podczas gdy ty usuwasz się bez żalu, myśląc o tym, jak trudno było przeżyć życie.

I nauczyć się, że dostajemy nie to, czego chcieliśmy, a dwie największe cnoty to rezygnacja i upór.

I że świadomość nie daje pociechy, bo jest świadomością błazna fikającego koziołki na scenie i chciwego oklasków.

Nabyłeś nie żądanej wiedzy o sobie i innych,  
wypełniłeś się po brzegi litością i podziwem.

Oby ci, którzy ciągnąć dalej mają dzieło, zaczynali tam,  
gdzie ty kończyłeś, mistrzu pokonanej rozpacz.

Pochwalający, odnawiający, uzdrawiający, wdzięczny za to,  
że były dla ciebie i będą dla innych wschody słońca.

*Czesław Miłosz*

## „Linijki godne rzeźbienia w marmurze”

– z **Andrzejem Buszą** rozmawia Aleksander Fiut

**Aleksander Fiut:** *Jak zaczęła się pańska przygoda intelektualna z Czesławem Miłoszem?*

**Andrzej Busza:** Jednym z pierwszych wierszy, który zrobił na mnie ogromne wrażenie, był *Campo di Fiori*. O ile dobrze pamiętam, przeczytałem ten wzruszający wiersz w antologii Grydzewskiego, wydanej na emigracji tuż po wojnie. Inny utwór, do którego często powracam, to *Świat. Poema naiwne*.

Bardzo lubię także *Traktat poetycki* oraz w ogóle wiersze pisane przez Miłosza we Francji. To jest okres jego twórczości, który poznałem najwcześniej. Kiedy zacząłem wykładać na uniwersytecie w Kanadzie i chciałem, zwłaszcza w ramach zajęć z komparatystyki, zapoznać studentów ze współczesną poezją polską, uświadomiłem sobie jak ważną rolę Miłosz spełnia w udostępnianiu światu anglosaskiemu jej poetów. Mam na myśli jego wybór wierszy Herberta i *Postwar Polish Poetry*, obie książki wydane przez Penguin Books. Później, pod wpływem mego przyjaciela Bogdana Czaykowskiego, zacząłem czytać prozę Miłosza. I tak *Zniewolony umysł*, a właściwie *The Captive Mind*, ponieważ przeczytałem tę książkę po raz pierwszy po angielsku, stał się kluczowym tekstem

na moich seminariach poświęconych literaturze, polityce i ideologii. Otwierał on kanadyjskim studentom, mającym mgliste i tylko teoretyczne pojęcia o roli ideologii w represyjnych ustrojach, niezwykle ciekawy i enigmatyczny świat. Konkret i przykład, którym Miłosz posługuje się rozwijając temat, ułatwia młodym ludziom, których doświadczenie, wiedza i wyobraźnia polityczna są raczej ograniczone, zrozumieć nieznaną im rzeczywistość. *Rodzinna Europa* to książka, którą chętnie ofiarowuję jako prezent przyjaciołom w Ameryce i w Anglii. Podczas jednego z pobytów w Kalifornii, Pan Czesław dał mi do przeczytania w maszynopisie *Widzenia nad Zatoką San Francisco*. Cóż to za satysfakcja, czytać ważny tekst, który się jeszcze nie ukazał. Do tego w miejscowości i atmosferze, które opisuje.

**A.F.:** *Co w lekturach poezji Miłosza było dla pana szczególnie ważne? Niedostępne panu doświadczenie?*

**A.B.:** Świat Miłosza to ogrom czasu, przestrzeni, doświadczenia. Jak to wszystko objąć? Jak zgłębić? Z biegiem lat coraz więcej rejonów tego świata poznawałem, ale w sposób bezplanowy i fragmentaryczny.

Nie jestem polonistą, większość lektur moich dotyczy innych tradycji literackich, czasem całkiem odmiennych dziedzin wiedzy. Są więc całe obszary Miłoszowego świata zupełnie mi obce i nieznanne („*ibi ursi et uri*”). Prawdę mówiąc, do niektórych, jak np. gęstych litewskich kronik z „*Laudy*” wcale mi się nie spieszy. Co najbardziej mnie ujmuje u Miłosza, co najbardziej podziwiam, to celność jego opisów i bogactwo użytych środków wyrazu. Doznania, które opisuje, oraz przemyślenia, które wyraża, przywodzą na myśl *dictum* osiemnastowiecznego poety angielskiego Aleksandra Pope’a: „*What oft was thought, but ne'er so well expressed*”. („Co nieraz pomyślano, ale nikt tak dobrze nie wyraził”). Czyli celność opisanego oraz efektywność i dobitność wyrażania myśli, myśli które nie są nam obce, ale które on potrafi wyrazić dużo lepiej niż my. Zawsze bardzo ceniłem Miłosza konkretność. Umiejętność uchwycenia znamiennego szczegółu. Miłosz jest, by tak powiedzieć, poetyckim realistą. Z drugiej jednak strony jest Miłosz, który pisze eseje, Miłosz myśliciel. Myśliciel, raczej niż filozof. Człowiek, który ogarnia swą refleksją niesłychanie szeroką problematykę. Który potrafi z jednej strony ująć syntetycznie wydarzenia współczesne, a z drugiej pisać z wręcz naukową rzetelnością o przeszłości.

Jednym z jego tekstów, do których wielokrotnie wracałem, był esej o Apolonie Korzeniowskim, ojcu Conrada. Ukazał się w „*Kulturze*” (paryskiej) w 1956 roku, a rok później w przekładzie angielskim w „*The Atlantic Month-*



ly”. Ponieważ pisałem pracę o Conradzie i zajmowałem się polskim zapleczem pisarza, zawierał on wartościowy dla mnie materiał. Miłosz napisał także szkice do książki *Conrad żywy*, którą zredagował mój wuj, Wit Tarnawski. Wydał ją Związek Pisarzy na Obczyźnie w 1957 roku. Są zatem teksty, w których Miłosz odtwarza historię, a obok tego teksty, w których, jak w *Widzeniach*, reaguje na współczesność.

Wracając do poezji: Miłosz potrafił w wierszach nie tylko wiernie przedstawić szczegół, ale i włączyć go w filozoficzną refleksję. Jest jeszcze inny aspekt jego poezji, który mnie szczególnie uderzył, a mianowicie jej rozmach, jej piękna składnia. Rozmach i rozbudowana składnia, których unikałem w mojej własnej poetyce, nie znając i nie czując języka polskiego tak jak Miłosz. Pozwolę sobie tutaj na banał. Gdybym szukał poetyckiego odpowiednika w tradycji polskiej, to jest nim oczywiście Mickiewicz. Poeta wielkiego rozmachu, wielkiej wizji, a równocześnie wrażliwy na konkret, na szczegół.

Kiedy starałem się zainteresować przyjaciół anglojęzycznych poezją Miłosza, zawsze uprzedzałem ich, że są aspekty jego poezji, które będą dla nich niedostępne. Że z odrobiną wysiłku powinni sprostać nawet jego bardziej złożonym wywodom, ale nigdy nie pojmą do końca subtelności jego rzemiosła: poetyckiej dykcji, elegancji składni lub skuteczności retorycznych gestów. Tego, że potrafi wyrazić myśl w sposób niepowtarzalny, jak jakiś Horacy. Są tam linijki godne rzeźbienia w marmurze. To właśnie u Miłosza tak cenię i to mnie zachwyca.

**A.F.:** *Intryguje mnie jedna sprawa. Pan porusza się z równą swobodą w poezji polskiej i anglosaskiej i toczy własne dialogi z tradycją anglosaską – jak zatem z tej perspektywy postrzega pan Miłosza? To dla polskiego czytelnika jest mało czytelne.*

**A.B.:** Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, będą więc spekulowałem. Miłosz starał się zmierzyć z kulturowym kontekstem krajów, w których przebywał. Wydaje mi się, że poprzez przekłady i poprzez eseje próbował nawiązać kontakt z tłem. Wyraźnie to widać w tekstach związanych z Ameryką, a przede wszystkim z Kalifornią. Warto przypomnieć sobie, co tłumaczył. Praca nad Whitmanem czy Jeffersem, była próbą nawiązania kontaktu z obcym mu światem. Tak jak wcześniej robił to we Francji. Podczas pobytu tam przed wojną tłumaczył poezję; po wojnie zaś skupił się przede wszystkim na esejach Simone Weil. Oczywiście swoją sieć zarzucał szerzej, bo tłumaczył Yeatsa, zresztą znakomicie, Audena, T.S. Eliota, Blake’a. Potem spolszczył Kawafisa z angielskich przekładów. Nie ma wielu poetów angielskich podobnych do Miłosza. W każdym razie nikt mi nie przychodzi na myśl. Raczej chyba Amerykanie.

Ale znalezienie poety amerykańskiego, który by miał taki zakres zainteresowań i ofiarował takie bogactwo wiersza, nie byłoby łatwe. Weźmy np. Whitmana czy Pounda – Miłosz jest bardziej intelektualnie i poetycko bardziej zdyscyplinowany. Podobnie, ani Frost ani Stevens nie mają tak obszernej wizji. Jedyny poeta języka angielskiego, który momentami przypomina mi Miłosza, to Yeats. Są oczywiście zasadnicze różnice. Miłosz nigdy nie pisał sztuk teatralnych, natomiast Yeats jest autorem szeregu znakomitych poetyckich dramatów. Ale Miłosz, tak samo jak Yeats, potrafi uniwersalizować osobiste przeżycia. Posiada podobną gęstość języka. Obaj w ostatnim okresie twórczości dążą do maksymalnej autentyczności i prostoty. Obu nie obca jest też gorzka ironia.

Mam na myśli takie wiersze jak, z jednej strony, Yeatsa *Crazy Jane Talks with the Bishop*, a z drugiej Miłosza *Na cześć księdza Baki*. Najbardziej jednak kojarzy mi się Miłosz z Yeatsem w jego najlepszym okresie.

**A.F.:** *Co ma pan na myśli?*

**A.B.:** Od lat dwudziestych. Przede wszystkim. Yeats dojrzały, autor takich wspaniałych wierszy jak *Wielkanoc 1916 roku*, *Dla uczczenia pamięci Roberta Gregory*, *Płynąc do Bizancjum*, *Wieża*, *Wśród dziatwy szkolnej*, *Lapis lazuli*...

**A.F.:** *Nie przypadkiem Miłosz właśnie niektóre z tych wierszy przełożył.*

**A.B.:** Przychodzi mi na myśl, że w kontekście pańskiego pytania bardziej istotny jest Eliot z *Czterech kwartetów* niż z okresu *Jatowej ziemi*, chociaż, jak wiemy, Miłosz poemat ten także przetłumaczył.

**A.F.:** *To zainteresowanie zaczęło się gdzieś w okresie okupacji. Bo cykle „Świat” i „Głosy biednych ludzi” nawiązywały do Blake’a „Pieśni niewinności” i „Pieśni doświadczenia”. Już wówczas Miłosz znalazł się w orbicie poezji angielskiej.*

**A.B.:** A jeżeli weźmiemy pod uwagę *Traktat poetycki* – mamy tego sygnały już we wcześniejszym *Traktacie moralnym* i *Toaście* – on w jakimś sensie przypomina angielską poezję XVIII wieku.

**A.F.:** *Miłosz bardzo lubił poemat Pope’a o damskim loku, „The Rape of the Lock”, za to, że tak zdyscyplinowany.*

**A.B.:** To właśnie u niego tak cenię – dyscyplina języka, klasycystyczna tradycja.

**A.F.:** *Jak pan traktował jego odwołania do poetów anglosaskich?*

**A.B.:** Byłem świadomy, że np. jest zafascynowany Blakiem i pisze o nim w całkiem inny sposób niż specjaliści angielscy czy amerykańscy. W swoich wierszach materiał zaczerpnięty z poezji angielskiej tak przetwarzał, że powstawało coś zupełnie oryginalnego.

**A.F.:** *Namawiałbym pana, jeśli wolno, do napisania książki lub przynajmniej eseju o recepcji tradycji poezji anglosaskiej w poezji Miłosza – jest to nadal, w dużym przynajmniej stopniu, terra incognita. Druga sprawa, o którą chciałbym pana zapytać, to anglojęzyczna wersja poezji Miłosza. To prawdziwy fenomen: Miłosz jest znany w krajach anglojęzycznych z własnych przekładów. Jak pan czyta Miłosza w oryginale i w przekładzie? Na ile przekłady, pana zdaniem, są adekwatne wobec oryginału? Jak angielska dykcja poezji Miłosza rezonuje w odbiorze anglosaskim?*

**A.B.:** Spotkałem się z młodymi Kanadyjczykami, którzy na własną rękę, odkryli Miłosza. Sam czytałem Miłosza wyłącznie po polsku. Myślę, że tłumaczenia angielskie są w stanie sprostać jego obrazowaniu, czy oddać klarowność myśli. Trudniej jest poradzić sobie z niuansami dykcji, składnią, układem frazy, wyrażeniami idiomatycznymi czy potocznymi. Miłosz dobierał bardzo dobrych tłumaczy i owocnie współpracował z nimi. Pan zna *Traktat poetycki*, przełożony przez amerykańskiego poetę Roberta Hassa przy współpracy Miłosza, opatrzone jego własnymi komentarzami. Jest to moim zdaniem wyjątkowo udana książka. Komentarze Miłosza bardzo przybliżają kontekst spraw, które nie są znane czytelnikowi anglojęzycznemu. Zresztą komentarze te są fascynujące same w sobie. *Notabene*, są one o wiele ciekawsze i bogatsze w treść niż suche adnotacje Eliota na końcu *Ziemi jałowej*. (Naturalnie, wiem, że zamysł Eliota był zgoła inny.) Tekst Hassa, który, trzeba mu to przyznać, czyta się dobrze, gdyż posiada swoisty rozmach, a momentami prześwieca przezeń miłoszowska poezja, nie oddaje, niestety, gęstości języka oryginału, bogactwa słów, magii składni. Co więcej, czasem Hass opuszcza słowa, frazy, nawet całe zdania, kiedy nie może uporać się z jakimś sękiem w tekście.

Ale, mimo wszystko, Miłosz o wiele mniej traci w tłumaczeniu niż tacy poeci jak Norwid, Leśmian czy Gałczyński, których wiersze są w dużej mierze nieprzekładalne.

**A.F.:** *Porozmawiajmy jeszcze o utworach prozatorskich Miłosza.*

**A.B.:** Jak już wspomniałem, bardzo lubię i z wielką przyjemnością czytam jego eseje. Miłosz był znakomitym eseistą. Ponieważ wykształciłem się w Anglii i przyswoiłem sobie angielską szkołę pisania esejów, jestem świadomy różnicy między wymaganiami tej szkoły a metodą Miłosza. Eseje Miłosza nie są tak formalnie zdyscyplinowane, jak wymaga tego idealny wzór angielskiego eseju. Konstrukcja jego esejów – co zresztą bardzo mi się podoba – jest znacznie luźniejsza. Główną rolę odgrywa retoryka jego myśli, żywe w swej istocie skoki wyobraźni. Dlatego są tak porywające. Myślę, że Amerykanie łatwiej

odbierają ten rodzaj dyskursu niż Anglicy, których wykształcenie wciąż nosi piętno tradycji pozytywistycznej. Wydaje mi się, że podczas gdy wiersze Miłosza, ogólnie biorąc, mają strukturę myślową bardziej zdyscyplinowaną, niż spotyka się to u wielu poetów, eseje mają strukturę bardziej poetycką. Zatem wzajemnie się jakoś dopełniają.

**A.F.:** *Wspomniał pan, że „Widzenia nad Zatoką San Francisco” czytał pan w maszynie. Jak pan tę książkę wówczas odebrał? Była przecież reakcją na konkretną sytuację polityczno-społeczną.*

**A.B.:** Miłosz pomógł mi w jakimś sensie zrozumieć Kalifornię. Bywałem tam wprawdzie kilkakrotnie, ale na stałe mieszkalem w Vancouver w Brytyjskiej Kolumbii, która jednak pod wieloma względami różniła się od Ameryki. Co więcej, jak już podkreśliłem, intelektualnie a może i częściowo emocjonalnie – zostałem uformowany przez tradycję angielską. (Fakt, że studia ukończyłem w Anglii, na pewno wpłynął na to, że zaangażowano mnie na wydziale anglistyki Uniwersytetu Brytyjskiej Kolumbii w połowie lat sześćdziesiątych.) Od tego czasu wiele się zmieniło. Ujmując to metaforycznie, Brytyjska Kolumbia jak gdyby przesunęła się na południe poza 49 równoleżnik.

**A.F.:** *Co było dla pana najważniejsze? Doznanie ogromu przyrody i przestrzeni Ameryki ma pan chyba podobne do Miłosza?*

**A.B.:** Tak, to doświadczenie jest pewnie podobne, ale nie to było najważniejsze. Ważniejszy był wymiar ludzki Kalifornii, tego dosyć specyficznego wówczas sposobu myślenia, który wyraził się tak dramatycznie w roku 68, w rebelii studentów. Miłosz pisze o tym także w wierszach. Była to próba Kalifornii, żeby wyzwolić się z Ameryki lat pięćdziesiątych, Ameryki strasznie konformistycznej, ograniczonej w swojej wizji świata, do przesady pragmatycznej. Stąd brała się tradycyjna siła Ameryki, ale i jej ograniczenia, które doprowadziły do rebelii młodzieży. Miłosz to wszystko jasno widział i pomógł mi niejedno zrozumieć. Teraz czasy znów się zmieniły i obecnie obserwujemy, pod wpływem ideologii neo-konserwatystów, z jednej strony, a populistycznej Partii Herbacianej, z drugiej, pewien powrót do tej dawnej Ameryki. Można się domyślić, jak Miłosz zareagowałby na ten obrót rzeczy.

**A.F.:** *Proszę na koniec opowiedzieć o pańskich bezpośrednich kontaktach z Miłoszem.*

**A.B.:** Najpierw był Londyn. Po wieczorze autorskim Miłosza w Instytucie Sikorskiego (podczas którego *notabene* atmosfera była chwilami całkiem napięta)...

**A.F.:** *Co wywołało to napięcie?*

**A.B.:** Szczegółów nie pamiętam. Pamiętam natomiast konfrontacyjny charakter niektórych pytań, jakie padły z sali. „Niezlomni” (jak ich nazywaliśmy) nie mogli wybaczyć Miłoszowi okresu, kiedy był „na żołdzie reżymu”. Bardziej zaciekli twierdzili, że ogłaszając *Zniewolony umysł* sam zastosował swoisty „ketman”. Otóż po wieczorze kilku członków zespołu redakcyjnego „Kontynentów” zaprosiło Miłosza do kawiarni na South Kensington. Nastrój od razu się rozluźnił. Wspólnie krytykowaliśmy środowisko emigracyjne, włącznie z luminarzami ze świata kultury, obecnymi wśród słuchaczy w Instytucie. Po jakimś czasie Miłosz zaczął dawać nam rady, jak jego zdaniem powinniśmy rozwijać naszą działalność literacką i w szerokim tego słowa znaczeniu polityczną. Osobiście, zrobił na mnie duże wrażenie. Był to wyrażnie bardzo inteligentny i ciekawy człowiek. Uderzył mnie kontrast pomiędzy nim a większością starszego pokolenia emigrantów, z którymi mieliśmy do czynienia. Natomiast jeden czy dwóch z moich starszych kolegów z zespołu miało mu za złe, że, jak uważali, traktował nas z góry, protekcyjnie, mimo iż, ich zdaniem, nie orientował się w pełni w zawiłościach i trudnościach naszej sytuacji. Jako najmłodszy z grupy, zinterpretowałem istotę naszej wymiany myśli i spostrzeżeń inaczej, i dopiero artykuł w „Kontynentach”, atakujący Miłosza, uświadomił mi, że nie wszyscy koledzy podzielali mój podziw dla jego talentu i umysłu. Następne spotkania odbyły się już na gruncie amerykańskim. Kiedy jeździłem do Kalifornii przeprowadzać pracę badawczą w tamtejszych bibliotekach, zwykle odwiedzałem Miłosza na Grizzly Peak. Poznałem także i polubiłem panią Jankę. Któregoś lata wybraliśmy się do „Bay Area” z żoną, córką i rodziną Czaykowskich. Miłoszowie załatwili nam wtedy przy pomocy Tarskich (Alfred Tarski był światowej sławy logikiem) mieszkanie w Berkeley. Później Miłoszowie odwiedzali nas w Vancouver. Pamiętam, że raz pan Czesław przywiózł jako prezent dla naszej czteroletniej córki Ewy napędzanego baterią śmieszka-chichotka. Sporo czasu, ku niezadowolenu Ewy, maszynką bawił się sam... W końcu wyznał nam, że zabawkę kupił właściwie dla siebie (jako *antidotum* na ponurości świata), a Ewa była tylko pretekstem. Podczas tych wizyt, wieczorami, z otwartą butelką dobrej *whisky* na stole, czytaliśmy wiersze, o bardzo szerokim repertuarze. Mówię – czytaliśmy, choć najwięcej czytał pan Czesław. Zazwyczaj czytał znakomicie, ale gdy mu nie szło, co też się zdarzało, złościł się na siebie. Po jednej wizycie przysłał nam – tzn. Czaykowskim i mnie z żoną – czarujący wiersz podziękowanie, który napisał w jakimś motelu w drodze powrotnej do Kalifornii.

Wymienialiśmy listy (korespondencja Czaykowski-Miłosz znajduje się w archiwum Bogdana Czaykowskiego w Bibliotece Narodowej w Warszawie). Miałem też w zwyczaju telefonować do Berkeley co kilka tygodni. Jeżeli Pana Czesława nie było w domu, prowadziłem długie rozmowy z panią Janką. Stały się one bardzo smutne podczas jej choroby, gdy cierpiała na straszliwe bóle kręgosłupa. Później w latach siedemdziesiątych przyjaźń nasza (tzn. Bogdana Czaykowskiego i moja) z panem Czesławem jakoś ochłodziła. Pewną rolę, jak przypuszczam, odegrały coraz szybciej zachodzące zmiany historyczne w Polsce. Wszyscy z uwagą śledziliśmy zmiany ustrojowe we wschodniej Europie. Mniej się wtedy myślało w kategoriach lokalnych. Były też względy zawodowe. Przez rok, np., wykładałem na południu Francji. Miłosz zaś pracował energicznie nad stworzeniem grupy amerykańskich tłumaczy swoich dzieł. Z tego zresztą powodu doszło do dziwnego nieporozumienia. Kiedy z Bogdanem przełożyliśmy na angielski *Gucia zaczarowanego* i *Oskarżyciela*, byliśmy przekonani, że sprawimy tym Panu Czesławowi przyjemność. Jego negatywna reakcja nas zaskoczyła. Był wręcz niezadowolony, uważając, że nie dopasowaliśmy się do jego planów. (Czaykowski omawia tę sprawę w artykule w „Tekstach Drugich”.) Otrzymanie Nagrody Nobla, pierwsze wizyty w Kraju, z czasem coraz częstsze, przeobraziły życie Miłosza. Moje życie też potoczyło się swoim biegiem. Niemniej, jego książki nadal trafiały do moich rąk. Choć muszę wyznać, że w okresie, gdy wisiły nade mną pilne uniwersyteckie obowiązki, trudno było nadążyć z jego bezustannie rozwijającą się twórczością. Miłosz to wielki poeta, człowiek niezwykle, z silnym poczuciem misji, a równocześnie człowiek bardzo skomplikowany. Z czego zresztą sam najlepiej zdawał sobie sprawę.

A.F.: *Bardzo dziękuję za rozmowę.*

*Czesław Miłosz*

---

## Wtajemniczenie

Próżność i łakomstwo były jej grzechami.  
A pokochałem ją w takiej fazie życia,  
Kiedy sądzi innych pogardliwy rozum.

Wtedy przyszło na mnie wtajemniczenie.  
Bo nie tylko serdecznie lubiły się nasze skóry  
I genitalia nasze, jakby dla siebie stworzone,  
Ale jej sen tuż obok miał nade mną władzę  
I jej dzieciństwo w mieście, które śniła.

Wszystko co w niej nieśmiałe i naiwne,  
I lękliwe w przebraniu pewności siebie  
Wzruszało mnie, i byłem tak podobny.  
Aż nie sądząc już więcej, nagle zobaczyłem  
Dwa moje grzechy: próżność i łakomstwo.

## O świcie

O, jakże trwałe. O, jak potrzebujemy trwałości.  
Światłem nasycy się niebo przed wschodem słońca.  
Lekko różowieją gmachy, mosty i Sekwana.  
Byłem tu, kiedy ta, z którą idę, nie urodziła się jeszcze  
I miasta na dalekiej równinie stały nienaruszone,  
Zanim wzbity się w powietrze pyłem nagrobnej cegły,  
I mieszkali tam ludzie, którzy nie wiedzieli.  
Rzeczywista jest dla mnie tylko ta chwila o świcie.  
Żywoty, które minęły, są niepewne jak ja dawny.  
Zaklęcie rzucam na miasto, prosząc, żeby trwało.

\* \* \*

Zamieszkać w zdaniu, które byłoby jak wykute z metalu. Skąd takie pragnienie? Nie żeby kogoś zachwycić. Nie żeby utrwalić imię w pamięci potomnych. Nienazwana potrzeba ładu, rytmu, formy, które to trzy słowa obracamy przeciwko chaosowi i nicości.

*Czesław Miłosz*



*Renata Gorczyńska*  

---

**Sekretarz osobista**

Berkeley, jesień 1980

Kilkanaście dni po ogłoszeniu literackiego Nobla dla Miłosza jestem znowu w Berkeley, tysiące kilometrów od domu w Nowym Jorku. Tę powtórna podróż przez cały kontynent wymógł na mnie strach. Zaledwie pod koniec września skończyłam drugą serię rozmów z Miłoszem do planowanej książki o jego twórczości, gdy na początku października nadeszła wieść ze Sztokholmu. Zdrętwiałam na myśl, w jaki sposób uporam się z brzemieniem napisania o dziele noblisty. Jedyną nadzieją były dalsze z nim rozmowy, które choć trochę rozjaśniłyby mi mętlik w głowie. Toteż gdy dodzwoniłam się do Miłosza z gratulacjami i dowiedziałam się, że ginie pod naporem depesz, telefonów, ataków wielojęzycznych reporterów w swoim domu przy Grizzly Peak Boulevard, zaproponowałam, że przez najgorętszy czas będę gotowa mu sekretarzować. „Jak szybko może pani przyjechać?” – usłyszałam w odpowiedzi. „Proszę mi dać kilka dni” – odparłam.

W kartonowe pudło wielkości kufra spakowałam notatki, wycinki, odbitki artykułów gromadzone do pracy nad książką o Miłoszu, zastanawiając się w duchu, jak zdołam w sobie wytworzyć niezbędny do pisania dystans obcując z nim na co dzień. Jumbo Jet wypełniony do ostatniego miejsca, mój sąsiad – sprzedawca podręczników szkolnych o urodzie Roberta Redforda – stawia mi kolejne *whisky* za „Solydarnosz” i wolną Polskę. Kalifornijscy znajomi wynaleźli mi mieszkanie w San Francisco w odległości trzydziestu kilometrów od Berkeley, a Andrzej obiecał, że w ciągu paru najbliższych dni przewiezie do Kalifornii nasz samochód i wróci samolotem. Gdy półżywa ze zmęczenia dojeżdżam z całym majdanem taksówką z lotniska w San Francisco do Berkeley, Janka Miłoszowa oznajmia mi, że zamieszkać odpłatnie w domku ogrodnika na ich posesji. W ten sposób oszczędzę na codziennych jazdach samochodem na szczyt wzgórz, ale stracę niezależność. Zgadzam się z mieszanymi uczuciami.

Domek stoi na pochyłym zboczu, powyżej domu głównego, częściowo osłoniętego gałęziami sekwoi. Pod dachem, na poziomie ulicy, znajduje się garaż, teraz pusty, bo Miłosz pojechał gdzieś na już dawniej zaplanowany wieczór autorski. Składa się z niewielkiego pokoju wyposażonego w podstawowe sprzęty – dużego biurka stojącego przy narożnikowym oknie z wieloma małymi szybami, kilku półek na książki, wąskiego łóżka z wezglowiem z giętego drewna. Po lewej od wejścia znajduje się łazienka, na wprost, w głębi – kuchenka z lodówką i dwupłytkową maszynką elektryczną. Odnotowuję brak telefonu, licząc w duchu na natychmiastowe założenie linii. Upycham rzeczy w szafie i idę spać.

21 października 1980

Wczoraj przed dziewiątą rano (na moim zegarze biologicznym dopiero szósta) zbudziło mnie trzaśnięcie furtki. Podeszłam do okna i zobaczyłam lekko pochylone plecy C.M. schodzącego w dół krętą ścieżką. Ten widok mnie poruszył. Pomyślałam o zastępach historyków literatury, którzy odtąd będą się zajmowali laureatem. Pamiętając z naszych poprzednich rozmów jego rozkład dnia (wczesnym rankiem długi spacer po okolicy, potem pisanie, lunch, parę razy w tygodniu jazda samochodem na wydział sławistyki, drzemka po powrocie) zesłam po południu, żeby się przywitać. C.M. przyjął mnie z niespotykaną serdecznością i natychmiast wyciągnął

wódkę z zamrażalnika. Żartobliwie skomentował fakt uzyskania Nagrody Nobla. „Ale narozrabiałem! To zemsta Żmudzina nad wrogami”. I dodał tonem serio: „Teraz będę mógł ogłosić naprawdę genialne dzieło Oskara Miłosza”. Jego żona komentuje z leżanki w sąsiednim pokoju: „Czesław, przestań mówić głupstwa”.

*Living* u Miłoszów: pokój wysoki na dwie kondygnacje, z okazałym kominem po prawej, po lewej fotele i sofa, obok ława, na ścianach dużo obrazów Lebensteina. Na wprost duże okna we wnękach. Wszędzie wala się masa listów z gratulacjami, propozycji od wydawnictw, zaproszeń na uniwersytety, książek z dedykacjami od autorów, pliki zdjęć. Świetnie zredagowana depesza od prezydenta Cartera obok prośby łowcy autografów z Polski, który z naiwnością dziecka zaadresował kopertę: „Czesław Miłość, Kalifornia, USA”. Doszła. C.M. ma wiele radości z tej lektury i gdy przeglądamy te stosy razem, komentuje niektóre wycinki i listy. Natrafia na drukowany w „Życiu Warszawy” tekst o sobie pióra Jerzego Putramenta. Rzuca soczyste przekleństwo pod adresem autora i dodaje: „Nic podobnego, Putrament nie widział się ze mną po wojnie w lutym 45 roku w Krakowie!”. Radują go listy od Litwinów osiadłych w Ameryce.

Ustalamy, że odtąd ja będę brała do domku całą korespondencję, otwierała ją i wstępnie porządkowała. Potem będziemy przeglądać ją razem. Tymczasem C.M. dyktuje mi najpilniejsze odpowiedzi, które nazajutrz mam mu przynieść do podpisania. W ten sposób pracujemy do jedenastej wieczorem, według czasu nowojorskiego to już druga w nocy. Padam z nóg.

### 22 października

Dziś moja czwarta rocznica ślubu. Dzwonię do Andrzeja z automatu, bo sprawa założenia linii telefonicznej komplikuje się. U Bella mówią mi, że Berkeley jest ponoć najbardziej obciążonym miastem w całych Stanach, skoro każdy z dziesiątków tysięcy studentów zakłada sobie telefon w wynajmowanym pokoju. Ale od czego przedsiębiorczość. Wracając na Grizzly Peak natykam się na monterów majstrujących coś na słupie. Wyłuszczam prośbę i chłopaki wynajdują mi już nieużywane łącze. Obiecuja, że wpadną za parę dni i zainstalują aparat.

Dziwne to uczucie otwierać cudze listy, nawet za aprobatą adresata. Ach, te czule wzdychania potencjalnych muz. Kontakt z C.M. rano miły, ale wie-

czorem ślaniam się pod naporem mnóstwa spraw. Pomagam mu w wyborze małej antologii wierszy dla PIW-u.

24 października

Pani Janka ze swojej leżanki: „Czesław, nie rób z siebie primadonny”. Jest głosem sardonicznego rozsądku. Czy będę świadkiem przemiany człowieka w Laureata? C.M. podchodzi do całego zamieszania z dystansem: „Tak głupio stawać się nagle klasykiem. Niby wszystko jest jak dawniej, a jednak...”.

Odwoziłam go wczoraj jego samochodem na lotnisko. Jechał na kolejny wieczór autorski. Opowiadał o śnie z poprzedniej nocy – leciał w nim rakieta. Dodał, że to sen symboliczny, bo stamtąd się nie wraca. I miał też sen o Wilnie. Zapytałam, czy często mu się ono śni. „Bardzo często”.

Wieczorem po posesji Miłoszów snuła się jakaś Polka, zawodząc: „Panie profesorze! Panie profesorze”. Kiedy do niej wyszłam, przestraszyła się. Powiedziała, że jest biologiem, ma na imię Teresa i że nie może sobie poradzić w Ameryce. Kilka tygodni temu przyjechała tu na stypendium naukowe, szuka ratunku u Miłosza. Pewnie biedaczka doznała szoku kulturowego. Łagodnie się jej pozbyłam, pewnie bez pomocy psychiatrycznej się nie obejdzie. Furtka wejściowa nie ma żadnego skobla czy zamka. Każdy tu może wejść. Z tego wszystkiego spałam z lampą zapaloną przy łóżku. Nadal nie mam zainstalowanego telefonu. Choć czy zdążyłabym zadzwonić o pomoc, jeśli by wtargnęli tu jacyś miejscowi *freaks*?

26 października

Przedwczoraj w nocy po rekordowo szybkiej jeździe przyjechał Andrzej naszym volkswagenem scirocco przez całą Amerykę. Po drodze spał po parę godzin w samochodzie, zapłacił kilka mandatów za *speeding*. Dziś odleciał do Nowego Jorku. Mam więc już konto w miejscowym banku, stała pensja od C.M., no i niezbędne tu auto. Oraz beznadziejne poczucie osamotnienia. Mój *boss*, Bolesław Wierzbiański, udzielając mi (niechętnie) bezpłatnego urlopu z redakcji „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku, przestrzegając, że podejmuje się niebezpiecznego zadania: z dziennikarki przedzierzgnę się w sekretarkę. Stracę niezależność.

Coś w tym jest.

27 października

Bajeczna pogoda w północnej Kalifornii: oślepiające słońce, intensywne zapachy eukaliptusów, ciężkie od kwiatów gałązki rododendronów. Rano ogłuszająco skrzeczą sójki. Szop pracz dobrał się do mego worka ze śmieciami wystawionego za próg i siedząc babrał się w odpadkach. Ani myślał oddać łupu i groźnie prychał. Kot Miłoszów, gołębioszary Tiny, przynosi z ogrodu upolowane węże i kładzie je państwu u stóp, domagając się pochwały.

W południe pojechałam na lotnisko, żeby odebrać ekipę z TVP, mojego dawnego miejsca pracy. Bawiła mnie myśl, jakież to będą mieli miny moi koledzy sprzed lat. I nie zawiodłam się, bo było pełne zaskoczenie. Poznany na początku studiów Andrzej Miłosz się nie zmienił, Sasza Sprudin się nie zmienił, Wiktor Meller się nie zmienił. Andrzej, który kiedyś pożyczał mi nieosiągalne w Polsce książki brata, jest tu po raz pierwszy w życiu, nigdy przedtem nie odwiedził brata w USA. Spotykali się w Paryżu. Teraz ma prowadzić rozmowy przed kamerą. Wiktor, którego znam jeszcze z wydziału polonistyki, trochę się zgrywa, jak to on, a trochę popisuje, ale w sumie jest sympatyczny. Sasza to dobry operator. Z początku telewizja chciała tu przysłać w charakterze rozmówcy Andrzeja Lama, ale C.M. się nie zgodził.

Kiedy po południu, po zainstalowaniu w hoteliku, przywiozłam całą trójkę na Grizzly Peak Boulevard, gospodarz wyciągnął czystą z zamrażalnika. Po paru wódkach ze śmiechem zakomunikował, że jestem fizycznie podobna do... Jerzego Andrzejewskiego. Zapłonęłam ze wstydu. Andrzejewski nie jest moim typem urody – ani w wydaniu męskim, ani żeńskim. C.M. zadrwił sobie pewnie z mojego nochala.

Nadal upiera się, że nie mogę opublikować naszych dwóch serii rozmów, z 1979 i 1980 roku, bo zgodnie z naszą umową miały one być wyłącznie do użytku wewnętrznego, choć właśnie przystał na prośbę Aleksandra Fiuta o ogłoszenie przez niego jego wywiadów, mimo tych samych stawianych mu warunków. Muszę zdobyć się na odwagę i jeszcze raz poprosić.

Aha, Komitet Noblowski zwrócił się do niego (jako do profesora literatury, a nie jako do świeżego laureata), o przedstawienie swoich kandydatur do Nobla '81. C.M. zgłosił Leszka Kołakowskiego i Josifa Brodskiego.

28 października

Wydział slawistyki Uniwersytetu Kalifornijskiego zorganizował Miłoszowi wieczór autorski. Odnoszę wrażenie, że tutejsi slawiści wciąż nie mogą dojść do siebie po szoku na wieść o jego Noblu. Tego się nie spodziewali. I teraz nadrabiają miną. Władze uniwersyteckie uhonorowały go... własnym miejscem parkingowym, ze stosowną tablicą: „Zarezerwowane dla profesora Czesława Miłosza, literacki Nobel '80". Na tej tablicy widnieją teraz obelżywe uwagi wypisane mazakiem przez zawistnych poszukiwaczy miejsca do zaparkowania na kampusie – rzeczy prawie tu niemożliwej. Często korzystam z tego parkingu pod nieobecność posiadacza honorowego miejsca, gdy muszę załatwić coś w bibliotece. I ja zresztą zostałam ofiarowana w prezencie C.M. przez wydział slawistyki: gdy się dowiedziano, że najął mnie w charakterze sekretarki osobistej, podpisano ze mną umowę o pracę. W ten sposób zostałam zatrudniona przez University of California, Berkeley. Proponują, żebym złożyła podanie o przyjęcie na kurs doktorancki. Andrzej by mnie chyba przeklął.

Przed paroma dniami pojawił się tu wysłannik „Sterna”, bardzo wścibski reporter, który mnie nie odstępował i zarzuca pytaniami. Odpowiadam na co dziesiąte. Na wieczorze autorskim siedzi obok mnie i bez przerwy wypytuje: „A ten to kto? A ta to kto?”. Sądzi, że wiem wszystko, ale się myli. W tłumie słuchaczy wyróżnia się Eileen Ford, wdowa po Aleksandrze Fordzie. Rodowita Amerykanka, włada biegłą polszczyzną. Opowiada potem, że jako aktorka studenckiego teatru w Wielkiej Brytanii pojechała do Warszawy na Festiwal Młodzieży i Studentów w 1955 roku i tam została żoną Zygmunta Kałużyńskiego. Jest nadal piękną i fascynującą kobietą. C.M. reaguje ze zdumieniem: „Jak można być żoną Zyzia? To tak, jakby się przedstawić: »Byłam kochanką Aleksandra Borgii«, albo »Byłam jedną z żon markiza de Sade«. Co siedzi w kobietach? Największa tajemnica to ta, co dzieje się między kobietą i mężczyzną”. Kałużyńskiego znał z czasów paryskich, ale nie dowiedziałam się, dlaczego skojarzył go sobie z Borgią czy Sadem.

Po wieczorze odwożę go samochodem na Grizzly Peak Boulevard. „Mamy z tego niezłą zabawę, pani i ja, bo my się rozumiemy, prawda?”. Bo ja wiem... Jest na lekkim rauszu, ale szybko traci rozbawiony nastrój. „Co po Noblu w moim wieku” – mruczy pod nosem. W przyszłym roku kończy siedemdziesiąt lat, aż trudno uwierzyć, bo wygląda dużo młodziej. „Dlaczego pan

narzeka?". „Camus, jak dostał Nobla, nie miał jeszcze pięćdziesiątki”. „Proszę pamiętać, jak zginął”.

W domu C.M. ma ochotę jeszcze popracować. Przegląda w mojej asyście nową paczkę wycinków prasowych z Polski. „Już mnie robią wieszczem – komentuje z rezygnacją. – No, trudno, to już poza mną”. Wspomina Janusza Minkiewicza i Światopełka Karpińskiego, swoich kolegów z okupowanego Wilna. Żałuje, że jego nagrody nie doczekał Zygmunt Hertz. Ubolewa nad przedwczesną śmiercią księdza Józefa Sadzika. „On znał wszystkie moje sekrety, wszystkie nieszczęścia”.

### *30 października*

TVP w akcji, czyli nikt nic nie wie. Poprzedniego wieczora po całodniowym kotle wylądowaliśmy w knajpie, gdzie służyłam jako tłumaczka. Praktycznie dzień na straty, przechodzę kryzys. C.M. nawet nie zauważa, że zajmuje mi całe dni, od rana do nocy, choć z początku obiecywał, że będę miała sporo czasu na pracę nad książką. Po południu ekipa kręci materiały przed jego domem. Kolejne spięcie, za – jego zdaniem – pytania w „sosie biograficznym”. Jakby nie zdawał sobie sprawy, że w takim medium to właśnie interesuje masowego widza. Ilu ma jakiegokolwiek wyobrażenie o jego poezji? Wybuch gniewem, odgraża się zrzeczeniem się Nobla. Zażegnuję sytuację, wybierając mu ze sterty listów parę mądrych i wspianałych.

Kolegów z TVP i mnie zapraszają na obiad do swego domu Joan Bajsarowicz, pracująca w dziekanacie slawistyki, i jej mąż Janusz, inżynier. Joan tak świetnie posługuje się polskim, że dopiero tam dowiaduję się zaskoczona, iż jest rodowitą Amerykanką. Jej teściowa, pani Bogusia, przychodzi do Miłoszów kilka razy w tygodniu, by zajmować się chorą Janką.

### *31 października*

Rano C.M. podczas krótkiej rozmowy obiecuje, że przeczyta mi swoje najnowsze wiersze, w tym ostatni napisany przed przyznaniem mu Nobla, „coś o mojej głupocie”. Nadal złości się na ekipę TVP.

Zbieram się na odwagę i proszę o możliwość publikacji moich wywiadów z nim. W odpowiedzi słyszę ciszę. No, to do następnego razu.

Po południu wpada do domku, teraz już zawalonego paczkami, listami, książkami, że aż trudno się w nim poruszać, i wręcza mi rękopisy tych dwóch

ostatnich wierszy przed Noblem. Czytam przy nim, choć to niezręczne, bo nie potrafię się skupić. Bardziej podoba mi się *Do Józefa Sadzika*. „Bardzo osobisty i bardzo przejmujący – odzywam się onieśmielona. – I taki smutny”. „Smutny? Nie, to nie jest smutny wiersz. To jest komunია”. Podczas lektury *Dziejów mojej głupoty* wybucham śmiechem. Miłosz po chwili mi wtóruje, ale zapewnia, że to najprawdziwsza prawda.

### 1 listopada

Proponuję, żeby C.M. odpowiadał na ważne listy z gratulacjami odbitką któregoś ze swoich wierszy drukowanej na czerpanym papierze, z odpowiednią kopertą. W przeciwnym razie jeszcze za rok nie skończymy z wysyłką podziękowań. Podpowiadam, że pasowałby *Dar*, bo w harmonii ze światem, istnieje w przekładzie na angielski, no i jest krótki, więc się zmieści na formacie a8. C.M. zgadza się chętnie, na osobnej kartce pisze wiersz ręcznie. Mówię, żeby się podpisał, bo to ważne. W księgarni, gdzie zwracam się o pomoc w wynalezieniu mi typografa, polecają Roberta Baldocka. Zabawny facet, bardzo kalifornijski. Wybieramy kremowy papier, brązową farbę drukarską. No, niemało to będzie kosztowało, ale *Noblesse oblige*. Baldock kręci głową nad tym wszystkim, wreszcie powiada znienacka: „Ty i ja należymy do gatunku sług”. Nie jestem zachwycona tą oceną.

Wieczorem gadanie z C.M. w towarzystwie jego brata i syna Tony’ego, który oświadczył, że po Noblu ojca chce pojechać do Polski. C.M. ma trochę w czubie, recytuje sprośnego Fredrę, a potem, w związku z listem wydawcy z Francji, mówi ze śmiechem: „Prowincja, zatęchła prowincja z tej Francji”. Zapowiedziałam mojemu chlebodawcy, że nazajutrz biorę sobie dzień wolny, bo pracowałam świątek i piątek. Wyjeżdżam. „Dokąd mianowicie?”. Matko Boska, czy muszę się tłumaczyć?

### 2 listopada

Zostawiam C.M. na pastwę ekipy TVP, trwa ogólne rozbałaganienie. Wspaniałą autostradą jadę do San Jose. Po lewej płowe wzgórze, po prawej ocean. Zapowiedziałam się u Jana Kowalika, bibliografa prasy emigracyjnej. Liczę na jego pomoc w zbieraniu materiałów do książki.

Mój gospodarz, Ślązak cieszyński, przeszedł gehennę obozową, ale poślubił po wojnie rodowitą Niemkę, która w akcie ekspiacji zajmowała się rannymi



dipisami. Są bezdzietnym małżeństwem, mieszkającym w małym białym domku. Wszystkie swoje skromne oszczędności wydają na jego pasję – książki i periodyki. Nocuję u nich, do późna tocząc nocne Polaków rozmowy.

Kowalik redaguje piśmiennictwo po polsku – „Migrant Echo”, niewielki zeszyt drukowany na powielaczu. I w najnowszym numerze ogłosił wiersz C.M. *Wydziedziczony*, olśniewającej piękności; przedrukował go z „Kultury”.

### 3 listopada

C.M.: „Wiersz *Wydziedziczony* jest przecież w tomie *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, tyle, że pod innym tytułem. Napisałem go na południu Francji”. Wieczorem siedzimy nad kolejną paczką przesyłek. C.M. w nastroju do pogadania, ale w końcu przytłacza go ilość spraw do załatwienia i korespondencji. Wskutek jednego z listów z Nowego Jorku dowiaduję się o istnieniu pierwszej tłumaczki *Doliny Issy* na angielski, Rulki Lang (?); jej tłumaczenie nie ukazało się, co było powodem wielu żalów i obrazy z jej strony.

Nie podpisana pani pisze w liście do C.M., że pamięta Annę i Dorcię Drużynówny z miejscowości Telsze na Żmudzi. C.M.: „To były dwie nauczycielki na pensji. Prowadziły stancję dla panienek, coś w tym guście”. Po lekturze listu od Jeana Cassou dodaje: „To był przyjaciel Oskara Miłosza, wielka figura w świecie literackim. Poznałem go w 1934 roku w Paryżu, na kolacji”.

W moim pokoiku szwedzka telewizja kręciła materiały, które mają się ukazać 10 grudnia. Świetni profesjonaliści, zostaną tu jeszcze kilka dni.

### 4 listopada

Pasjonujący wieczór w *livingu* u Miłoszów przy czytaniu kolejnej partii listów. Co za wywoływanie duchów. Pisze żona Osterwy, Matylda, wspominając wystawienie *Miguela Mañary* 10 kwietnia 1938 roku w Teatrze Osterwy w Warszawie. Pamięta, że Miłosz stał gdzieś z tyłu.

Odzywają się jego koledzy z Gimnazjum Zygmunta Augusta, ze studiów. Mieczysław Zabłocki wspomina, jak to chodzili na wagary i kiedyś C.M. omal nie utopił się w wartkim prądzie Wilii. Pozostali dwaj koledzy podtrzymywali mu brodę. Wiele lat później, w 1948 roku – pisze pan Zabłocki – C.M. wysyłał mu z Ameryki lekarstwa na gruźlicę. Miłosz zupełnie sobie nie przypomina tego faktu.

Na widok przysłanych mu zdjęć z okolic Szetejń zamyśla się i dodaje po chwili: „Bardzo często śni mi się Niewiaża”. Mówi, że wieczorem jest senny, ale budzi się o czwartej rano i nie może już zasnąć, bo kłębią mu się myśli. Pani Janka do mnie: „Czesław zasypia jak dziecko”.

Przedtem, w ciągu dnia, odpowiadał po angielsku na pytania szwedzkiej telewizji. Ponieważ chciał, żebym została w pokoju, dodawałam mu otuchy i kiwałam głową, gdy ciekawie mówił. *Dolina Issy*: „Byłem w tej powieści wieloma postaciami”. Podkreślał wagę Oskara Miłosza, także w odniesieniu do nurtu katastroficznego w swojej poezji. I że zawsze ciągnęło go, by pisać „jak naprawdę było”. O swojej uczciwości wobec władz PRL: „Niektórzy nazwą to głupotą”. O Jerzym Giedroycu: „Konserwatywny – tak, ale na innej skali niż konserwatysta postępowy, on jest jak torys”.

O tomie przekładów poezji na angielski *Bells In Winter*, ogłoszonym w 1978 roku: „Tytuł temu wyborowi dał wydawca amerykański, a więc to przypadek”. W jego skład wchodzi ostatnia część poematu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, zatytułowana właśnie *Dzwony w zimie*. „Opisywałem tam rzeczywistą zimę i rzeczywiste demony. To taki Brueghel”.

Wieczorem, w rozmowie ze mną: „Już nie pamiętam pochodzenia tytułu *Poemat o czasie zastygłym*. Ja: „To świetny tytuł, tylko mało adekwatny do zawartości tomiku”. C.M.: „Rzeczywiście, trzeba by dopiero napisać *Poemat o czasie zastygłym*. Ja: „Napisać *juvenilia* od początku”. C.M.: „Świetny pomysł, warto go wykorzystać. To by dopiero badacze owadzich nógów zgłupieli”.

Czyta na głos list od Wandy Biszewskiej z Łodzi, która przypomina, że była córką małżeństwa, u którego C.M. mieszkał na stacji pod koniec lat dwudziestych. Miłosz: „Mieliśmy się spotkać po ośmiu latach (wtedy wydawał się to ogromny szmat czasu) i opowiedzieć sobie, co osiągnęliśmy. To miało nastąpić gdzieś w 1935 roku. Wanda chciała zostać śpiewaczką”. „I co?”. „I jakoś nie spotkaliśmy się”.

Jest wyraźnie poruszony tymi listami: „To może stać się nałogiem”.

### 5 listopada

Od wczesnego wieczoru czterogodzinna nasiadówka u C.M. Znowu listy, znowu sprawy do załatwienia. „Właściwie to pani powinna zostać moim agentem, miałaby pani własny biznes”. „Ja się na tym nie znam”. „Nauczyłaby

się pani". Po moim wyjeździe nie ma kandydata na sekretarza czy sekretarkę. Ale przecież nie mogę tu siedzieć w nieskończoność.

11 listopada

Zawożę C.M. samochodem do San Francisco. Mój chlebodawca snuje uwagi na temat przyjaźni męsko-damskich, w końcu dodaje: „Byłem kiedyś ładnym chłopcem”. „Nic panu i dzisiaj nie brakuje” – odpowiadam. Tak, jest łasy na komplementy. Część jego natury jest uwodzicielska.

Po powrocie do Berkeley wspomina nauczycielkę polskiego w Gimnazjum Zygmunta Augusta – Marię Sabińską-Przybytkową, zwaną „Telimeną”, która prześladowała go za „styl telegraficzny” w wypracowaniach. Dodaje, że zmarła kilka lat temu we Wrocławiu. I dalej opowiada: „Druga moja natura to harcerz – guziki, obowiązkowość”. Wymienia swoich kolegów z harcerstwa, nazwisko drużynowego. Dostrzegam silną więź z tamtymi czasami. Wyraźnie wzruszył się oglądając przysłane mu zdjęcie szkoły. „O, widzi pani, w dół prowadzi ulica Mała Pohulanka, a to jest Góra Bouffałowa”.

Potem pomagam mu w wyborze wierszy do tomu, który Giedroyc chce jak najszybciej wydać. Choć ma być to przekrój całej twórczości poetyckiej, nie wybiera niczego z *iuweniliów*.

Dzień w sumie ciężki. Zirykowałam się na Mistrza, który twierdzi, że wynoszę mu z domu książki i ich nie zwracam. Nic podobnego. Wysłał mnie z nimi na ksero, a potem dziwi się, że to takie drogie. Zaczynam pojmować ideał kobiety w jego ujęciu: całkowita służba. Nic dziwnego, że wychwala drugą żonę Dostojewskiego.

Znowu unosi się nad dziełem Oskara Miłosza: „Niesamowite, prorocze”. I znowu riposta Janki Miłoszowej: „Czesław, przestań się wygłupiać, przecież to był zły poeta, wszyscy o tym wiedzą”.

Przy okazji wiersza *Hiroszima* C.M. uderza w ton ekspiacji: „Napisałem pewną ilość wierszy socrealistycznych i gdybym został w Polsce, to pewnie stałbym się poetą socrealistycznym. Bo drugą cechą mojej natury to służbistość – garnitur, biała koszula, krawat”. Teraz siedzi w dżinsowej kurtce, bawełnianym granatowym golfie i sztruksowych spodniach. Z jakiejś okazji rzuca kilka uwag o swoich spotkaniach z Gombrowiczem: „Odbywaliśmy rozmowy głównie po francusku. Chciał w nich dominować, ale w sumie mieliśmy dobre kontakty”.

*13 listopada*

Jestem dziś w dole psychicznym. Znowu powtórzył mi się sen radiowy: wchodzę do budynku na Myśliwieckiej, idę korytarzem i wszyscy się ode mnie odwracają. Pięć lat temu zerwałam się ze stypendium radiowego w Ameryce. I tyle kłopotów po to, żeby jechać górną ulicą Berkeley i patrzeć na Zatokę San Francisco? Albo słuchać podczas prac sekretarskich na zmianę Keitha Jarretta i Vivaldiego? Wydaję majątek na kasety, bo tutejsze sklepy muzyczne mają doskonały wybór. Jest i lokalna radiostacja studencka, całkiem dobra. W niedzielę rano nadają transmisję z kościoła baptystów na północy Kalifornii. Takich *gospels* nigdy przedtem nie słyszałam.

Na Grizzly Peak Boulevard można dojechać z dolnego miasta na dwa sposoby: okrężnie i łagodnie, albo ostro pod górę, z czterema znakami STOP po drodze. Wówczas jest to wojna nerwów, bo trzeba ruszyć ze stoku nachyłego o jakieś trzydzieści stopni. Nikt tu pewnie nie ma auta z tradycyjną skrzynią biegów, wszyscy jeżdżą z automatyczną. Za każdym razem odnoszę wrażenie, jakbym startowała w niebo.

Koledzy-profesorowie o mnie do Miłosza: „*Your ferocious secretary*”. No tak, jestem tu od załatwiania rzeczy niemożliwych, w tempie *presto*.

Kolejne rozmowy nad listami. Znowu czytając wspomnienie Putramenta C.M. prostuje: „Poznałem Jankę w 1937 roku. On się pomylił o sześć lat”. Zachwycony tekstem Kisiela Miłosz. To istotnie świetny felieton. C.M.: „Jeśli ja rzeczywiście zostanę wieszczem, badacze owadzich nogów będą panią ścigać aż do śmierci, kiedy się dowiedzą, że była pani blisko mistrza”.

*15 listopada*

Wybiera w mojej asyście wiersze do tomu dla „Czytelnika”. Zatrzymuje się nad zbiorem *Miasto bez imienia*. „O, widzi pani, tu daty pod wierszami się urywają. To symboliczne. Pewnie doszedłem do wniosku, że jestem już taki wielki, ponad czasem”. Wybuch śmiechem.

Pytam go o mizoginizm. „No, wszyscy wielcy: Baudelaire, Schopenhauer, Nietzsche, i tak dalej byli *sexists*”.

Nigdy nie służył w wojsku. „Dostałem kategorię A, byłem na komisji wojskowej, ale nigdy nie zostałem powołany. Mam wrażenie, że to ze względu na moje ówczesne lewicowe poglądy”.

„Gwiazda Piołun” – oczywiście z Apokalipsy według świętego Jana, ale – dorzuca Miłosz – wspomniana jest również w *Idiocie* Dostojewskiego, gdy mowa jest o kolejach żelaznych.

17 listopada

Wspaniała pogoda, siedziałam z twarzą w słońcu w Ogrodzie Różanym. Ciekawa różnica: Miłosz poranny, Miłosz wieczorny. Ten pierwszy zdystansowany, milkliwy, zamknięty w sobie. Ten drugi – rozluźniony, skory do pogawędek, wybuchający potężnym śmiechem. Wolę go w wydaniu wieczornym.

Tak jak przypuszczałam, od ogłoszenia Nobla (a to już ponad miesiąc) nie napisał ani jednego wiersza. Zbyt wiele zakłóceń zewnętrznych.

18 listopada

Przyjechała w odwiedziny Magdalena, córka Jerzego Turowicza. Miłosz nie mógł się doczekać jej przyjścia. Wyszedł jej naprzeciw.

Duża kobieta, mówi też dużo i głośno. Słucha się jej z zaciekawieniem, bo bardzo inteligentna. Pokazuje zdjęcia rodzinne, Miłosz zachwycony urodą jej dzieci. Trwa chaotyczna rozmowa, jakie tematy miałby poruszyć na audyencji u Jana Pawła II. Miłosz wyraża żal, że została zniesiona msza po łacinie. Zafrapowała go uwaga Magdaleny o pojmowaniu przez księży miłości między mężczyzną a kobietą: idealizacja zakochania i wyobrażanie sobie, że na tym polegają te związki. Miłosz: „A to polega zupełnie na czymś innym”. Ale nie wyjaśnia, na czym. Na pytanie Magdaleny o swoje najulubieńsze wiersze odpowiada jednym zdaniem: „Te pisane w ciągu ostatnich dwudziestu lat”.

C.M. o Kalifornii: „Wyschnięta, pustynna, groźna. Ale Berkeley jest w tym wszystkim oazą”.

Odwożę Magdalenę samochodem do jej hotelu. Ona ubolewa nad stanem zdrowia Janki, która jej szepnęła na osobności: „To jest nie do zniesienia”. Czeka ją kolejne badania lekarskie.

21 listopada

Miłosz wyciąga teczkę z niepublikowanymi wierszami. „Słabo je pamiętam, chyba żaden z nich nie jest wybitny”. Pozwala mi zrobić odbitki kilku z nich. *Wcielenie* napisane w Warszawie w 1937 roku (siódemka odręcznie przero-

biona z ósemki), *Na plaży*, oba rymowane, dość długie i dość konwencjonalne w formie. Potem wieczorna lektura listów, których nadal przychodzi mnóstwo. W tym od jakiejś kobiety, niespełnionej w swojej namiętności do Poety w Wilnie 1940 roku. Dużo takich wyznaniowych listów od dziewcząt z tamtych lat.

Dobry wywiad, jakiego Miłosz udzielił telewizji kanadyjskiej CBC. Ma taką miękkość w głosie.

Siedzę nad kolejną wersją mowy noblowskiej, pisanej najpierw po polsku, a potem tłumaczonej na angielski. Kiedy już uporąłem się z odczytaniem pisma Miłosza i przepisałem ją na maszynie (prawie) bez błędu, okazuje się, że autor postanowił zmienić zakończenie. Orzekł, że nie wolno rozpowszechniać katastroficznych wizji. Nie wolno odbierać ludziom nadziei.

#### 4 grudnia

Noblista wyleciał do Sztokholmu, a stamtąd do Paryża i Rzymu. Wczoraj koszmarna pogoda, wiatr, ściana deszczu. Rósł we mnie lęk przed tą jego podróżą. Ale dziś po południu, gdy wiozłam go swoim samochodem na lotnisko, jechałam prosto w słońce. Miłosz opanowany, niewiele się odzywa po drodze. Nie wypytuję go, szanując jego zamyślenie. Bawi go, że musiał sobie kupić smoking w Berkeley. Frak jednak wypożyczy na miejscu. Żegnam go jakoś – nabożnie? Zastanawiam się w duchu, czy zmieni się po Noblu, czy wypadnie w samouwielbienie, jak wytrzyma ten ciąg uroczystości.

#### 12 grudnia

Rozmowa telefoniczna z mamą w Warszawie. Ta zachwycona transmisją w telewizji: „Miłosz wspaniale wyglądał przy wręczaniu nagrody”.

Wczoraj przygotowałam dla Janki i dla siebie wykwinny obiad. Pewnie się trochę chciałam popisać, że potrafię gotować. Jej opiekunka, pani Bogusia, w trakcie jazdy do domu, jest w nastroju do zwierzeń, ale nie podtrzymuję tematu. Janka kiedyś do męża: „Ja bym wolała, żebyś był piekarzem”. Jego Nobel pogłębił jej depresję.

Dziwne to życie w dzikim lesie na wzgórzach Berkeley. Jeśli zdarzy mi się zostawić talerz z kanapką w kuchni, natychmiast zjawiają się hordy mrówek. Plasterek szynki jest nimi oblepiony, niczym w filmie Buñuela. Nocą budzą mnie jakieś pohukiwania, ryki, a potem walenie w drzwi wejściowe. Może jelenie lub sarny, których tu mnóstwo, ale boję się wyrzec, jakbym miała zobaczyć smoka.

14 grudnia

Wczorajszy dzień znowu urzekająco piękny. Jakby wiosna, a tu ruch przedświąteczny ogromny, mnóstwo samochodów z choinkami na dachach. Ostatnia doba spędzona w gościnie u Joan i Janusza Bajsarowiczów w ich imponującym domu z drewna cedrowego. Panoramiczne okna, z nich widok na zatokę i w dali na Oakland i San Francisco. Tak wygląda Ameryka z marzeń.

21 grudnia

Po wiosennej pogodzie (ten błogi spokój na tarasie kawiarni przy Walnut Square) dziś kompletna zmiana: ulewa i mgła. Miłosz miał wylądować o 15.40. Z trudem dodzwoniłam się do British Airways, i słusznie, bo samolot opóźniony co najmniej o godzinę. Jazda na lotnisko w gigantycznych korkach, na moście zupełnie biało, widzialność zero. W sali przylotów tłumy, czekanie dalszą godzinę.

Miłosz, mimo długiego lotu, wygląda świetnie. Twierdzi, że wielokrotnie próbował się do mnie dodzwonić, ostatni raz w przeddzień odlotu z Paryża, ale bez rezultatu. No tak, ta dziewięciogodzinna różnica czasów utrudnia komunikację.

W drodze do domu chaotycznie zdaje relację z wydarzeń, obiecując, że potem opowie wszystko szczegółowo. Na moje pytanie o najśmieszniejszy epizod w Sztokholmie, odpowiada ze śmiechem: „Dziewczyny, które przyjechały z Polski, rzucały się na mnie z piskiem”. Największą męką dla niego była „trzygodzinna rozmowa z królem i z księżniczkami”. Najbardziej poruszony „rozmową ze stoczniovcami od pomnika”. W Paryżu oglądał film *Robotnicy 1980*, jego zdaniem znakomity, spotkał się tam z Mirosławem Chojeckim.

Już w domu z niemalą satysfakcją słucha reportażu Polskiego Radia *W kolejce po Miłosa*.

3 stycznia 1981

Na Boże Narodzenie pojechałam do Nowego Jorku, wróciłam 29 grudnia. Miłosz przyjeżdża po mnie na lotnisko, jest miły i serdeczny. Opowiada mi swój sen z poprzedniej nocy: „On się często powtarza, krajobraz jak z Hawajów, jadę drogą wzdłuż morza, która ma mnie zaprowadzić do Górnego Miasta. Ale kończy się ścianą, gęsto obrosniętą zielenią”. Ja: „To znak, że trzeba wrócić do pisania poezji”. On: „Ale kiedy?”.

Sylwestra spędziłam z Bajsarowiczami w Napa Valley. Wczoraj wieczorem, po obiedzie u Miłoszów Janka trochę ze śmiechem, trochę z goryczą: „Ten cały Nobel to *ego trip*. Dla równowagi trzeba by Czesława lżyć i bić”.

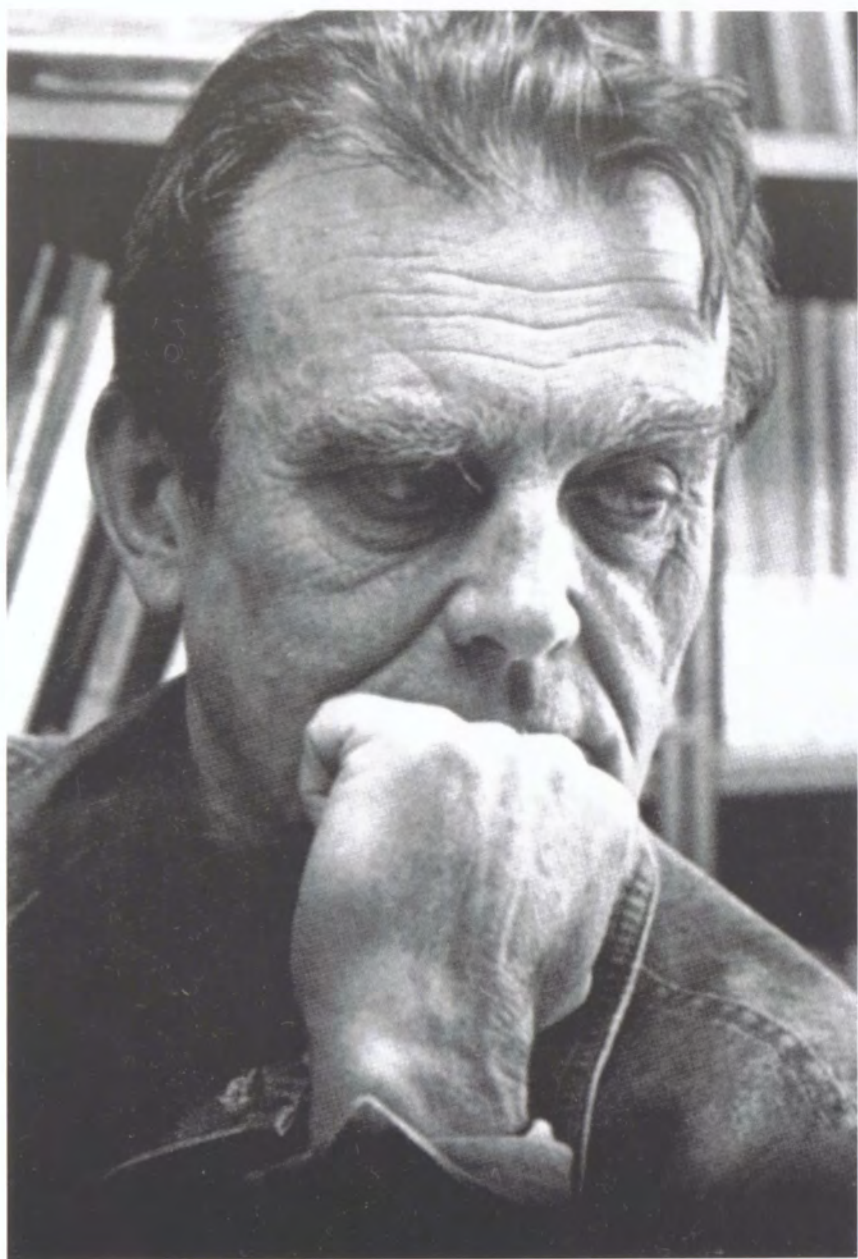
Renata Gorczyńska



Podróżny świata

**Czesław Miłosz**

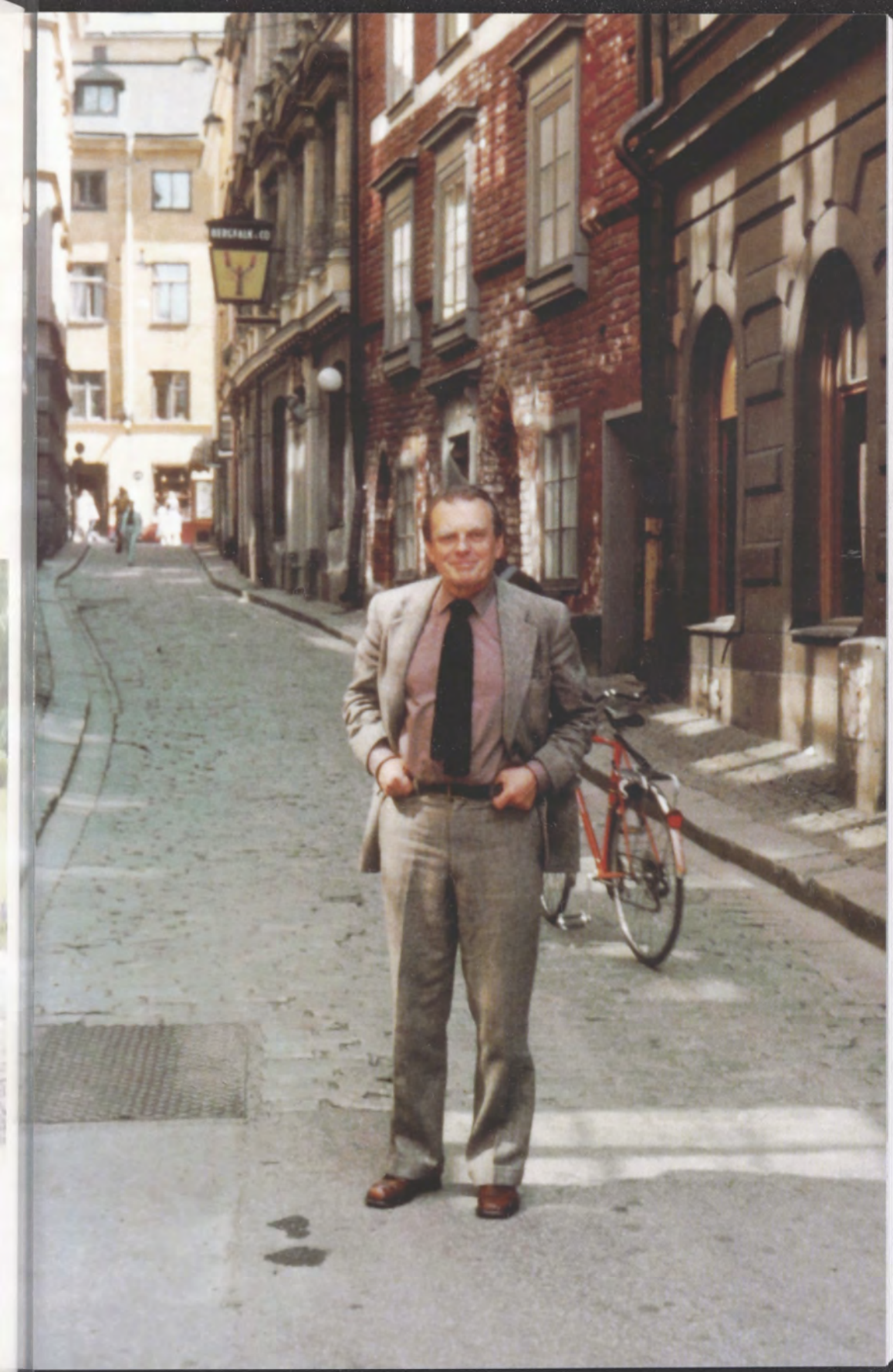
na fotografiach Renaty Gorczyńskiej

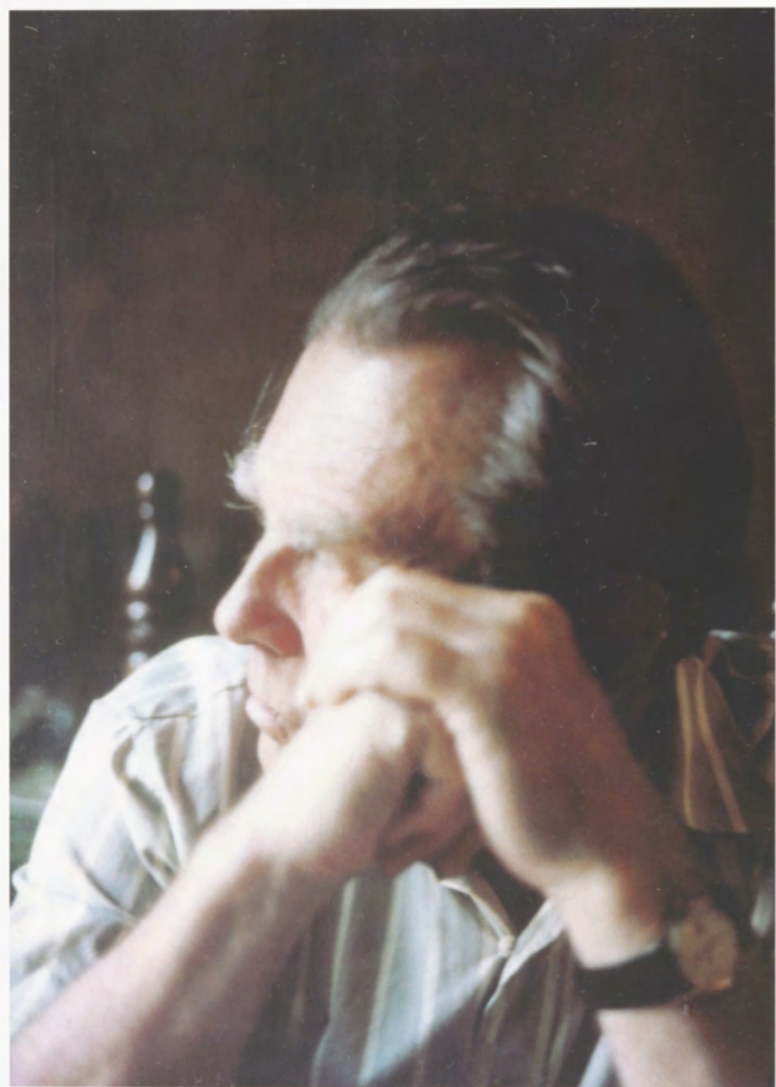


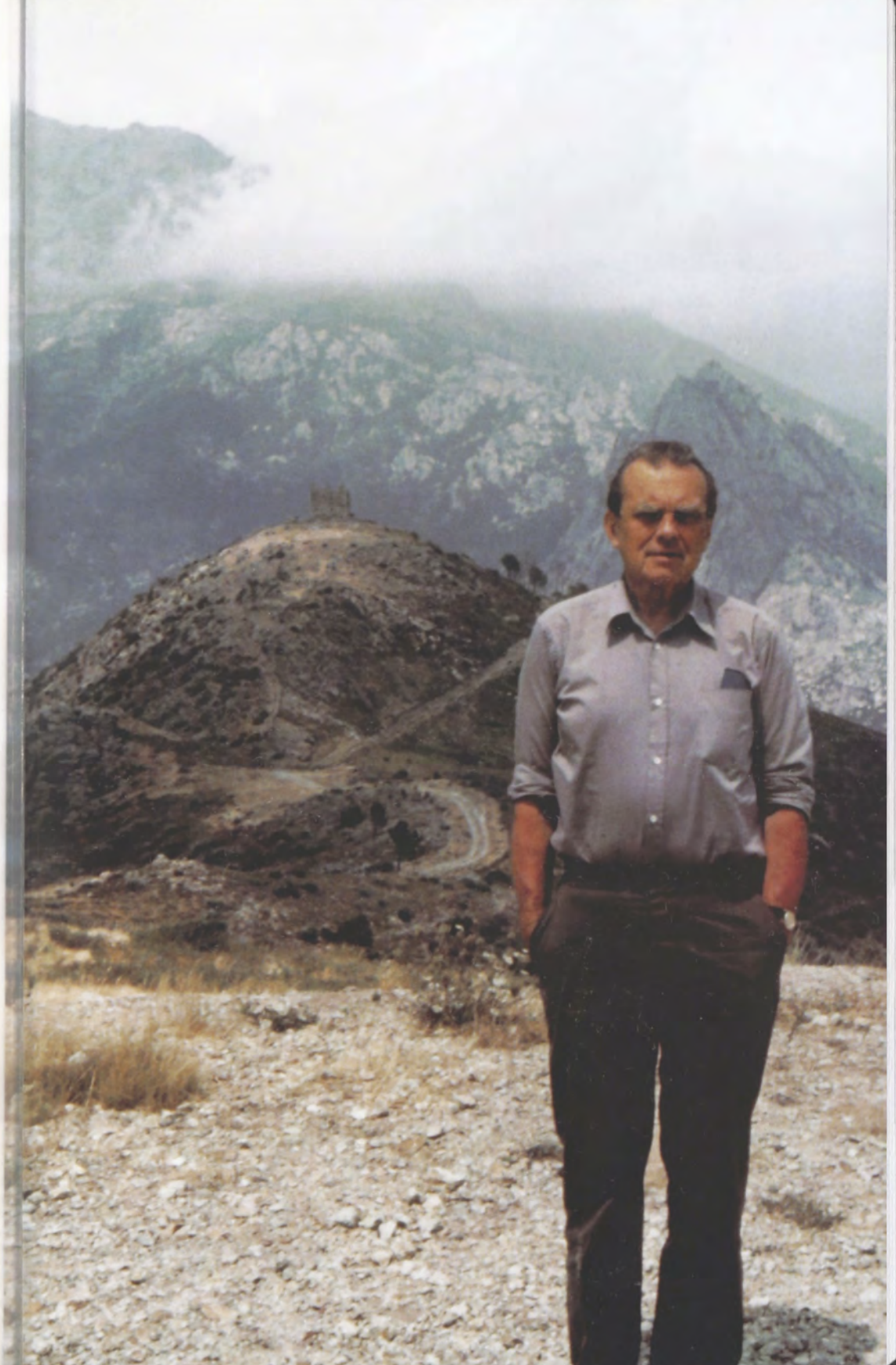


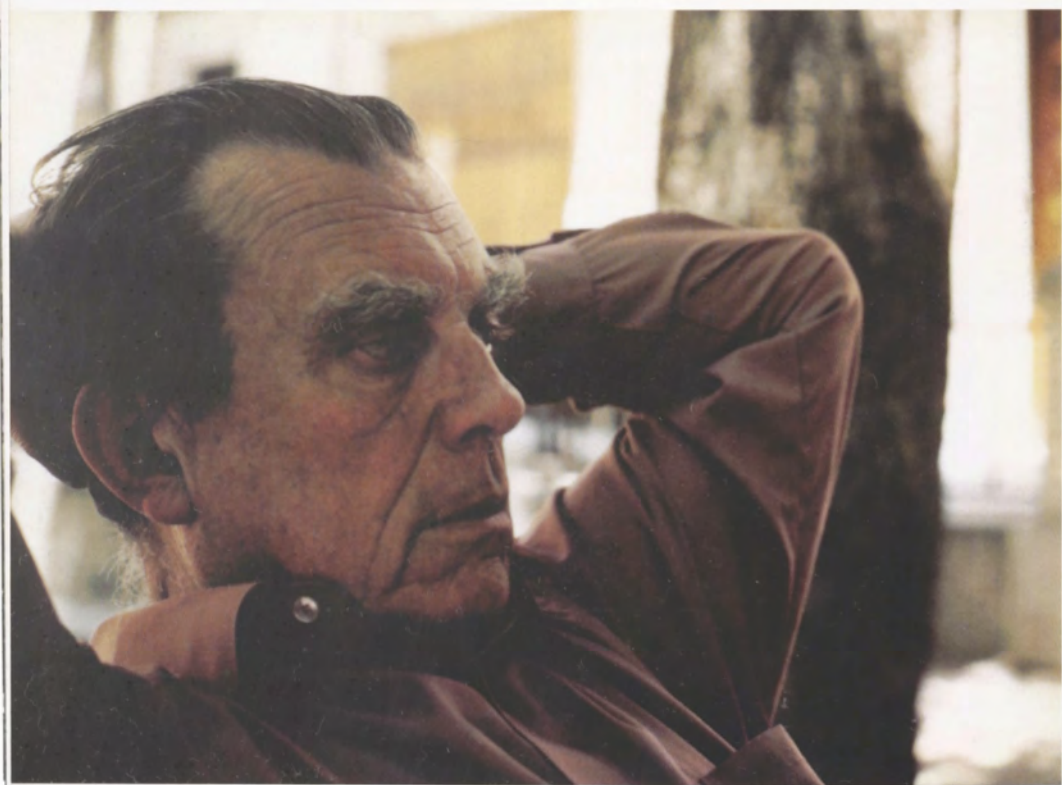




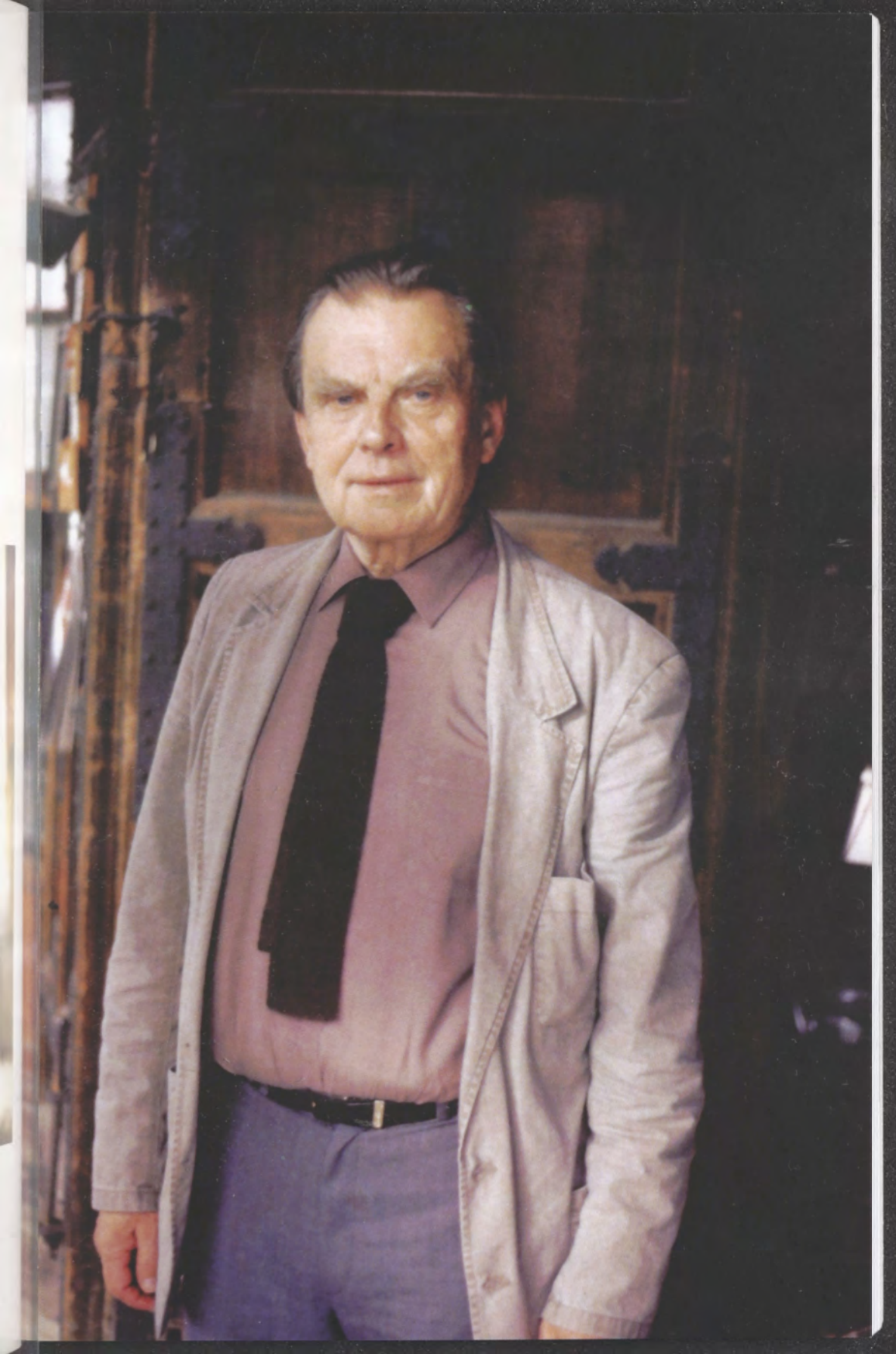






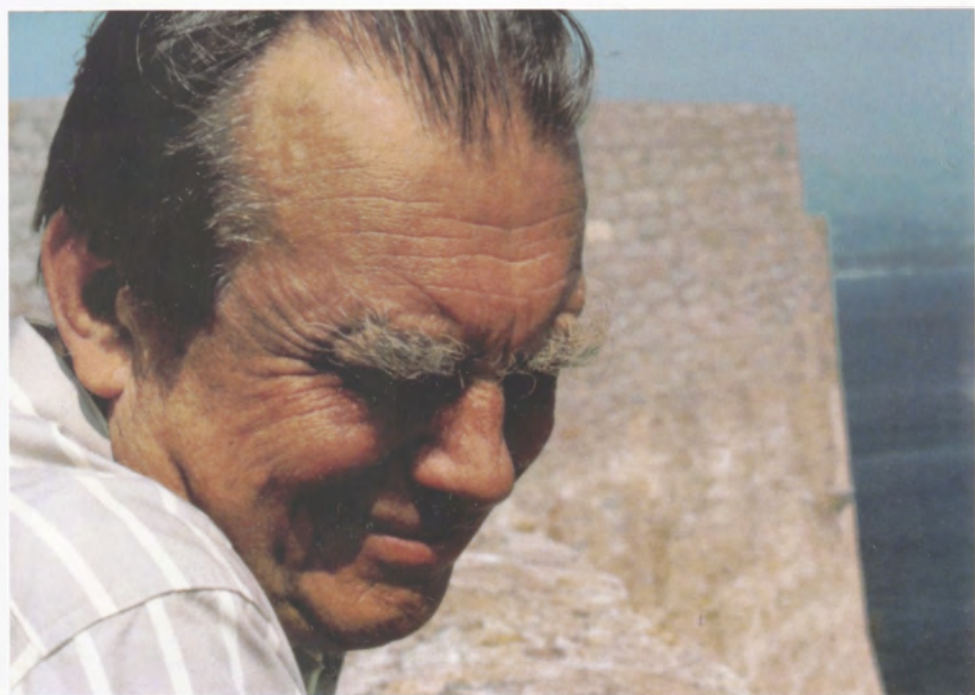


















1. W gabinecie wydziału slawistyki Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, podczas drugiej serii rozmów do *Podróżnego świata*, wrzesień 1980.
2. „A wie pani, że jestem podobno na krótkiej liście do Nobla?”. Dziedziniec przed Dwinelle Hall, gdzie mieści się slawistyka Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, wrzesień 1980.
3. Pod pomnikiem Selmy Lagerlöf w ogrodach jej majątku w Mårbacka. O jej *Cudownej podróży* Miłosz wspominał z sentymentem w swojej mowie noblowskiej, czerwiec 1981.
4. W majątku Mårbacka Selmy Lagerlöf. Żółty rower napotkany w tamtejszym parku rozbawił Miłosza, bo taki tytuł nosi jeden z wierszy Roberta Hassa, który wtedy rozpoczął pracę nad przekładami jego poezji na angielski, czerwiec 1981.
5. Na starówce w Sztokholmie, po wizycie u ówczesnego agenta literackiego Miłosza, Adama Bromberga, czerwiec 1981.
6. O zmierzchu w Porto Vecchio, w trakcie odwiedzin u Jeanne Hersch, która miała tam dom letni, czerwiec 1982.
7. W trakcie podróży przez górzysty środek Korsyki, czerwiec 1982.
8. W ogrodzie u Jeanne Hersch w Porto Vecchio, czerwiec 1982.
9. Ponownie na Korsyce, ulubionej wyspie poety w latach osiemdziesiątych, lipiec 1983.
10. W nadmorskiej tawernie na południu Korsyki, lipiec 1983.
11. Miłosz krotochwilny, w jednym z fantazyjnych przybrań głowy Leonor Fini, malarzki i towarzyszkii życia Konstantego Jeleńskiego, w wynajmowanym przez nich dawnym klasztorze koło Nonzy na północno-zachodnim cyplu Korsyki, lipiec 1983.
12. W Bonifacio na południowym skrawku Korsyki, lipiec 1983.
13. Przypomnienie „pojedynku na miny” z Kisiem, Bonifacio na południu Korsyki, lipiec 1983.
14. W trakcie wizyty w Japonii na konferencji noblistów w Osace, wrzesień 1983.
15. W ogrodach cesarskich w Kioto, wrzesień 1983.



*Czesław Miłosz*

---

## Dobroć

Wzbierała w nim czułość tak wielka, że na widok  
zranionego wróbla gotów był wybuchnąć płaczem.  
Pod nienagannymi manierami światowca ukrywał  
swoje współczucie dla wszystkiego co żywe.  
Być może odgadywali to niektórzy ludzie, ale na pewno  
wiedziały o tym w sposób dla nas tajemniczy małe ptaki,  
które obsiadały mu głowę i ramiona kiedy przystanął  
w parkowej alei i jadły z jego z ręki,  
jak gdyby uległo w zawieszeniu prawo nakazujące  
mniejszemu chronić się przed większym,  
żeby nie zostać pożartym.  
Jak gdyby odwrócił się czas i znowu zajaśniały  
ścieżki rajskiego ogrodu.  
Miałem trudności ze zrozumieniem tego człowieka  
bo z tego co mówił przeziarała jego wiedza o straszności świata,  
raz kiedyś doznanej i odczutej aż do samych trzewi.  
Zadawałem więc sobie pytanie jak zdołał poskromić

w sobie bunt i zdobyć się na pokorną miłość.  
Chyba dlatego że świat choć zły ale istniejący  
uznał za lepszy od nieistniejącego.

Ale także wierzył w nieskalane piękno ziemi  
sprzed upadku Adama.

Którego wolna decyzja sprowadziła śmierć na ludzi i zwierzęta.  
Ale to już było coś czego mój rozum nie potrafi przyjąć.

[22 grudnia 2003]

*Czesław Miłosz*

Michał Kubiak  
Ul. Płocka 22  
85 – 659 Bydgoszcz

Drogi Panie Michale,

Dziękuję serdecznie za fotografie i album.

Wydaje mi się, że Carol została przez Pana trochę zesłowiańszczona, zwłaszcza w rzeźbie samej głowy. I to kiedy patrzy się na nią en face, bo z profilu jest bardziej podobna. Natomiast co do rzeźby całego popiersia trudno mi wyrokować, bo zdjęcia nie są zbyt ostre.

Chodzi mi o to, że twarz Carol była bardzo anglosaska, takie jakie często widzi się w Anglii. Miała nieco wystające kości policzkowe, ale w połączeniu z twarzą wydłużoną, nie okrągłą i dość wydatnym, choć kształtnym nosem. Pochodziła z Południowych Stanów i cała ta

rodzina wywodziła się od Jamesa Thigpena, który z Anglii przyżegłował w początku XVII wieku do Północnej Karoliny, kiedy jeszcze nie było tam żadnych białych czyli zaliczała się Carol do tego, co w Ameryce jest arystokracją czyli do najstarszych osadników.

Zdaje się, że miała w sobie też krew szkocką, co podają jako że mało jest Szkotów okrągłoliczych oraz krew francuską i niemiecką, ale dominował typ anglosaski.

Zwróciłem się do Pana dlatego, że moim zdaniem moje popiersie, też przecież robione z fotografii, jest jakoś w sposób intymny bardzo podobne.

Mam nadzieję, że moje uwagi będą Panu przydatne.

Życzę dalszej pomyślnej pracy.

Czesław Miłosz



Kraków, 14 listopada 2002



Michał Kubiak, Carol Thigpen-Miłosz, brąz patynowany, wys. 81 cm

Wielki dzięki  
mistnowi !!

Czas Młot

Krewi

7 lipca 2003

*Czesław Miłosz*

---

## Ale książki

Ale książki będą na półkach, prawdziwe istoty,  
Które zjawily się raz, świeże, jeszcze wilgotne,  
Niby lśniące kasztany pod drzewem w jesieni,  
I dotykane, pieszczone, trwać zaczęły  
Mimo lun na horyzoncie, zamków wylatujących w powietrze,  
Plemion w pochodzie, planet w ruchu.  
Jesteśmy – mówiły, nawet kiedy wydzierano z nich karty  
Albo litery zlizywał buzujący płomień.  
O ileż trwalsze od nas, których ułomne ciepło  
Stygnie razem z pamięcią, rozprasza się, ginie.  
Wyobrażam sobie ziemię, kiedy mnie nie będzie,  
I nic, żadnego ubytku, dalej dziwowisko,  
Suknie kobiet, mokry jaśmin, pieśń w dolinie.  
Ale książki będą na półkach, dobrze urodzone,  
Z ludzi, choć też z jasności, wysokości.

[1986]

*Czesław Miłosz*





## Głosy i glosy

„Ale książki będą na półkach...”

– najważniejsze książki i wiersze

Czesława Miłosza

Jacek Bolewski SJ

### Wyrastanie z Ulro

Tak, dla mnie najważniejszą książką Czesława Miłosza pozostaje *Ziemia Ulro*. Prawdopodobnie była ona pierwszą jego książką, którą mogłem zdobyć i przeczytać. Gdy w 1978 rozpocząłem dłuższy pobyt w Niemczech, poprosiłem znajomego pallotyna przebywającego w Paryżu, by przesłał mi dostępne w sprzedaży tomy poety wydawane w Bibliotece „Kultury”. Nie pamiętam dokładnie, co wtedy otrzymałem, ale w przesyłce znalazła się z pewnością najnowsza, wydana rok wcześniej *Ziemia Ulro*. Pierwsza lektura nastąpiła niebawem. Początkującego teologa, jakim wtedy byłem, uderzyła rozległość i głębia teologicznych kwestii poruszanych przez Miłosza. Poruszało także to, jak bardzo refleksja teologiczna zrastała się z jego życiem, urastała do sprawy życiowo najważniejszej. A przy kolejnych lekturach uświadomiłem sobie wyzwanie, na które zrazu nie zwróciłem uwagi, gdy poeta wyznawał: „I jest moim marzeniem, żeby wielu ludzi młodych zajęło się poważnie myślą teologiczną w jej rozmaitych, literackich i artystycznych, objawach” (Wydawnictwo Znak, Kraków 2000; także dalsze cytaty pochodzą z tego najnowszego wydania w ramach *Dzieł zebranych*).

Kiedy czytałem powyższe słowa po raz pierwszy, ciągle jeszcze byłem młody jako teolog, i dopiero zaczynało do mnie docierać, że więcej inspiracji teologicznej odkrywam w arcydziełach literackich aniżeli w „uczoney” refleksji teologii aspirującej do rangi nauki. Z autorów, na których powoływał się Miłosz, najbardziej pociągnął mnie najbliższy – także jemu – Adam Mickiewicz. To właśnie *Ziemi Ulro* zawdzięczam odkrycie mistycznego wymiaru twórczości Wieszcza. Wstyd przyznać, ale wcześniej nie słyszałem nawet o jego *Zdaniach i uwagach*; ubolewam Miłosza, że „są omijane przez polskich szklarzy”, pozwoliło nie tylko pojąć, dlaczego dotąd ich nie spotkałem, ale zachęciło do poszukania i medytacyjnego zgłębiania zagadkowych utworów.

Najważniejsza dla mnie książka Miłosza jest zarazem tą, do której najczęściej powracałem. Towarzyszyło mi poczucie, że ciągle wiele w niej nie rozumiem, i że trzeba czasu, by moje rozumienie dojrzało. Trzykrotna dokładna lektura – dwa razy pierwszego wydania, raz ostatniego – zaowocowała przeświadczeniem, że następnym razem muszę wreszcie przeczytać dzieło bardziej „odpowiedzialnie”, czyli próbując odpowiedzieć pisemnie na wrażenia, jakie we mnie budzi. Czekałem na okazję. Okazało się, że przyniósł ją obecny Rok Miłosza. Bezpośrednią jednak inspiracją stał się dla mnie dłuższy pobyt w ubiegłym roku w Berkeley, tak, tym Miłoszowym. Z jezuickiej uczelni i wspólnoty, gdzie się zatrzymałem, nie było daleko do Grizzly Peak Boulevard, wspomnianym także w *Ziemi Ulro* „jako bulwar Niedźwiedziego Szczytu”.

Chcąc odwiedzić miejsce długiego zamieszkania poety, musiałem zapytać o numer jego domu przy wspomnianej ulicy. Napisałem do Krakowa, skąd otrzymałem informację: 978. Jednocześnie poinformowano mnie, że rok 2011 będzie poświęcony Miłoszowi; zaproponowano też udział w sesji „Miłosz i Miłosz” na Uniwersytecie Jagiellońskim. Oczywiście było dla mnie, że moja refleksja może dotyczyć tylko *Ziemi Ulro*. Gdy w pewną niedzielę pielgrzymowałem do wskazanego miejsca, pojawił się temat: *Teologia „Ziemi Ulro”*. Poczulem od razu, że stanowi to „świętą chwilę poczęcia” planowanego tekstu – nie bez udziału Tego, z którym w owym momencie duchowo się łączyłem.

Upłynęło od pamiętnej chwili pół roku. Jeszcze nie zacząłem pisać referatu, ale mam już za sobą świeżą lekturę dzieła połączoną z notatkami. Świadectwo, które tu dalej prezentuję, ma charakter impresji – pierwszej – przygotowującej akademicką refleksję, także teologiczną dyskusję z propozycjami Miłosza.

Co mnie więc uderzyło? Najpierw to, że sam poeta długo dojrzewał do podzielenia się swymi najgłębszymi teologicznymi przemyśleniami. Powody zwłoki były różne, wspomina je w pierwszym rozdziale, dodając: „Aż spostrzegłem, że jest późno, i w dziejach naszej zmalełej Ziemi, i w dziejach jednego żywota”, jego własnego. Decyzja co do spisania opowieści o „duchowych przygodach” zapadła, wydaje się w 1975 roku, skoro poeta tak o tym pisze: „Zaczynam więc, jak następuje. W sześćdziesiątym piątym roku życia, po miesięcznym pobycie w Holandii i Francji, wróciłem w środku lipca do Berkeley, gdzie oddałem się pracy w ogrodzie, tudzież lekturom utworów pochodzących z okolic roku 1800”. Tu musiałem się zatrzymać. Uprzytomniłem sobie, że byłem w tym samym wieku, gdy zaczęło się w Berkeley moje bezpośrednie przygotowanie do napisania o *Ziemi Ulro*.

Poeta miał świadomość, że jego życie się kończy. Zauważył dalej: „Ciekawe to doświadczenie, dożyć starości. Mniej, niż obawiałem się, myślę o tym, co było, z wyjątkiem chwil, kiedy słabnie wola zwrócona ku temu, co powinienem zrobić dziś i jutro. (...) Medytacja pociesza odważaniem strat i nabytków, bo jednak nie tylko się traci: z upływem lat przybywa nam zmysłu architektonicznego i klarowność przeseł, linii jak w kryształach wynagradza za niedostatek ciepłych barw. Zarazem uczymy się rezygnacji, skoro już wiadomo, że dystansu pomiędzy światem i jakąkolwiek wypowiedzią nie da się, choć kiedyś mieliśmy taką nadzieję, pokonać”.

Wiemy dzisiaj, że ta ostatnia faza życia poety miała potrwać jeszcze prawie trzydzieści lat, przynosząc wspaniałe zwieńczenie dotychczasowej drogi, zarazem owocując nowymi, ważnymi utworami, którym może właśnie *Ziemia Ulro* przetarła szlaki. To ostatnie dzieło pokazuje wyraźnie, że stary poeta żyje tymi samymi pasjami i sprawami, które już ożywiały go jako dziecko. Dopelnienie życia jawi się przeto jako dojrzewanie i przyjęcie sensu w nim ukrytego, jako dochowanie wierności powołaniu, z początku niejasno przeczuwanemu, dopiero stopniowo rozpoznawanemu i w pełni zaakceptowanemu.

Gdy po latach powracania do *Ziemi Ulro* pytam siebie w tej chwili, co jest w niej dla mnie ważne, nie jestem skłonny stawiać na pierwszym miejscu kwestii teologicznych, analizowanych przez poetę. To, co było ważne dla niego, zgłębiał on z pomocą autorów, do których – poza Mickiewiczem, Simone Weil i po części Dostojewskim – trudno było mi się przekonać. On sam zresztą nie krył zakłopotania, jakie ci pozostali – zwłaszcza Swedenborg i Oskar W. Miłosz – budzili w nim pretensjonalnością czy zgoła chorobliwością swoich

urojeń: uważali siebie za postaci mesjańskie, wyznaczali konkretne daty końca świata, później przechodzące w przeszłość – w świecie dalej istniejącym...

Ale, zanim przejdę do tego, co obecnie uznaję w *Ziemi Ulro* za najważniejsze, wspomnę jeszcze, dlaczego nie wystarczają mi teologiczne rozważania poety z tego dzieła. Trudno zarzucić im brak wnikliwości czy krytycyzmu wobec referowanych autorów. Miłosz jest świadom, gdzie oddalają się oni od ortodoksji chrześcijańskiej czy rzymskokatolickiej. Nie szczędzi zatem krytycznej oceny. Swą postawę wyjaśnia w odniesieniu do poety, któremu najczęściej zawdzięcza: „Wielbiciel Mickiewicza-poety, niewyraźnie zażenowany nie tylko jego udziałem w sekcje Towiańskiego, także całą jego działalnością publicystyczno-duszpasterską, czytałem zawsze prace polonistyczne o nim z uczuciem niewygody: czegoś w nich brakowało, jakiejś soli. Poglądy, jakie głosił Mickiewicz, traktowano tam ze czcią należną wzlotom i porywom wieszczca, ale i z powstrzymaniem się od sądu, składając różne jego dziwactwa na karb »ducha czasu«. Dopiero wgłębianie się w pełną mesjanicznych i szowinistycznych absurdów publicystykę Dostojewskiego oraz w zeszyty jego notatek i brulionów pozwoliło mi uświadomić sobie, że bierno stanowisko wobec »poglądów poety« nie wystarcza”.

Nie brakuje przeto w *Ziemi Ulro* krytyki teologicznych ujęć autorów, których Miłosz omawia. Zauważę w tym miejscu, że troska poety, by nie odbiegać od ortodoksji katolickiej, towarzyszyła mu także w następnych latach jego późnej twórczości. Wymowne świadectwo tej postawy przyniósł jego ostatni list do Jana Pawła II, gdzie pisał: „Wiek zmienia perspektywę i kiedy byłem młody zwracanie się przez poetę o błogosławieństwo papieskie uchodziło za nie stosowność. A to właśnie jest przedmiotem mojej troski, bo w ciągu ostatnich lat pisałem wiersze z myślą o nieodbieganiu od katolickiej ortodoksji i nie wiem, jak w rezultacie to wychodziło. Proszę więc o słowa potwierdzające moje dążenie do wspólnego nam celu. Oby spełniła się obietnica Chrystusowa w dzień Zmartwychwstania Pańskiego”.

Sam Papież upublicznił te słowa w swym telegramie, który został odczytany po śmierci poety w czasie uroczystości pogrzebowych w Krakowie na Skalce, 27 sierpnia 2004 roku. Jan Paweł II przytoczył także swą odpowiedź, wartą przypomnienia: „Pisze Pan, że przedmiotem Jego troski było »nieodbieganie od katolickiej ortodoksji« w Pańskiej twórczości. Jestem przekonany, że takie nastawienie Poety jest decydujące. W tym sensie cieszę się, że mogę potwierdzić Pańskie słowa o »dążeniu do wspólnego nam celu«”.

Mimo wszystko, rozważania *Ziemi Ulro* nie posuwają się dostatecznie daleko w tym dążeniu. Trafnie wskazują, gdzie rozważane koncepcje teologiczne wykraczają poza ortodoksję, za mało wszakże korzystają z innych rozwiązań – innych autorów. Tylko jeden raz odsłania się w książce dodatkowa możliwość. Autor przeciwstawia Kościołowi rzymskiemu Kościół wschodni, dodając: „Ten ostatni pozwala na dużą swobodę i niemałe było moje zdziwienie, kiedy w pismach o Sergiusza Bułgakowa, długoletniego profesora w Teologicznym Prawosławnym Instytucie w Paryżu, znalazłem uderzające zbieżności z myślą O.W.M. [Oskara W. Miłosza] S. Bułgakow jest dla wierzących Kościoła wschodniego wielkim autorytetem, choć nie wszyscy prawosławni teologowie z nim się zgadzają. Ośrodkiem jego systemu jest idea »sofijności« świata, tj. *Sophii*, Mądrości Boga, w nim działającej”.

Do tej krótkiej uwagi Miłosza trzeba dodać: istotnie, do rozjaśnienia kwestii przezeń omawianych przybliży najbardziej refleksja związana z Mądrością Bożą. Gdy poeta wspomina w pewnym miejscu o szukaniu wyjścia „poza filozofią i teologią”, nie zauważa, wydaje się, że stosuje się to właśnie do refleksji sofiologicznej, skoro Mądrość Boża jest otwarta zarówno na filozofię (umiłowanie Mądrości), jak i na teologię (słowo o Bogu). Kolejnym krokiem Miłosza w tym kierunku był jego przekład biblijnej Księgi Mądrości z obfitymi komentarzami, które wskazują złożoną naturę *Sophii*, łączącą cechy boskie i stworzone. Poeta przywołuje tu nie tylko rozważania Bułgakowa, ale także cenionego w Kościele katolickim autora, Louisa Bouyera. Tym samym okazuje się, że refleksja poświęcona Mądrości nie musi być nieortodoksyjna...

Poecie zabrakło może czasu, by pogłębić intuicję *Ziemi Ulro* w świetle Mądrości. Znamienne jednak, że na płycie jego grobowca na Skałce znalazło się zdanie z przełożonej przezeń Księgi: „A dbałość o naukę jest Miłość”. To faktycznie wyraża jego życiowe starania, by nie paść ofiarą jednostronnego pojmowania nauki dominującego w badaniach przyrodniczych. Jemu samemu przyświecała nauka nieredukująca człowieka do jednego z tworów ewolucji przyrody, lecz otwarta na jego tajemnicę, na prawdę. Taka nauka to właśnie Mądrość, o której dopełnienie powyższego zdania mówi: „A miłość jest trzymanie się praw Mądrości” (Mdr 6,18).

Tu przechodzę wreszcie do tego, co teraz jest dla mnie w *Ziemi Ulro* najważniejsze. To jakby druga strona czy raczej podstawa refleksji teoretycznej w książce. Poeta jawi się tu jako mędrzec – nie tylko dzięki jakości swych

rozważań, ale dzięki postawie, która praktycznie świadczy o życiowej mądrości. Przypomnę to na kilku przykładach.

Fundamenty zostały położone we wczesnych latach edukacji gimnazjalnej „u Zygmunta Augusta w Wilnie”. Wspominając oglądane codziennie na szkolnych ścianach hasło: „*Ora et labora*. Módl się i pracuj”, poeta komentuje: „Samą wolą niedaleko się zajędzie i sekret polega bardziej na uleganiu niż na działaniu. Przede wszystkim uleganiu tym skłonnościom, które ujawniły się po raz pierwszy, kiedy mieliśmy lat szesnaście; chodzi o spełnienie, świadome, umysłowych zapowiedzi tylko niejasno najpierw wyczuwanych. O zakreszenie wielkiego łuku łączącego wczesną młodość i wiek dojrzały albo późny. (...) Tylko tak zawrzemy przymierze ze swoją pasją, poddamy się jej, i długie godziny pracy będą lekkie”.

To wymaga kolejnego komentarza. Jeśli modlitwa (*ora*) jest istotnie na pierwszym miejscu, wyprzedzając działanie, to praca (*labora*) wypływa z daru przyjętego wcześniej dzięki modlitwie. Jako dar zostaje także rozpoznana pasja, na tyle ważna, że nieustannie o sobie przypomina. Czy jednak wystarczy poddać się pasji, żeby długie godziny pracy były lekkie? Tu potrzeba rozróżnienia.

Znamienne, że swą fundamentalną pasję poeta łączy nie z wiekiem młodzięcym („kiedy mieliśmy lat szesnaście”), ale z dzieciństwem. Opisuje, jak dzięki dziecinnej zabawce, drewnianej wiewiórce, otrzymanej w wieku sześciu lat, dane mu było „zapoznać się z potęgą Erosa”. Kolejnym obiektem miłosnej pasji stały się „święte obrazki”, znalezione w książeczce do nabożeństwa: jeden z nich „przebił mnie strzałą miłosnego zachwytu. Przedstawiał Matkę Boską w niebieskiej szacie z mnóstwem złota (złote gwiazdy) i ciepłych, rdzawych tonów”. Ta sama tonacja przykuła go później w utworach Blake’a, które dane mu było poznać w czasie drugiej wojny światowej. Uznaje przeto: „Dziecinny Eros mnie do niego zaprowadził”. I dodaje: „Blake wtedy, wśród scen tej ziemi mało sprzyjających dziecinnie uwielbionej cudowności, przywracał mnie moim wczesnym olśnieniom, może mojemu prawdziwemu miłosnemu powołaniu”.

Dopiero na tym tle miłości do świata, do życia Miłosz opisuje ciemną stronę, która budziła przeciwną pasję, nienawiści do życia, niezgody na rozpoznawane w nim okrucieństwo. Wspomina: „Mój pesymistyczny pogląd na porządek rzeczy był niemal gotów już wcześniej, kiedy miałem lat piętnaście”. Lektury książek o darwinowskiej wizji doboru gatunków wprowadzały „w bezwzględność i obojętność przyrody”, co doprowadziło go także do wczes-

snego zajęcia się na lekcjach religii „herezją manichejską”. Te zainteresowania towarzyszyły mu później przez całe życie, aż po wykłady o manicheizmie, prowadzone na uniwersytecie w Berkeley. Jednak nie uważał siebie po prostu za manichejczyka. „Zupełny pesymizm i razem zachwyty, hymn ekstatyczny? Jakże to wytłumaczyć? Bardzo ważne przeciwieństwo i kto wie, czy nie ono jest głównym tematem tej książki”. A dalej precyzuje: „byłem zawsze pesymistą ekstatycznym, tj. ziemia zanadto mnie zachwycała, że bym w jej pięknie widział tylko odbłask niedosięgalnego czystego Dobra, jak to robiła tłumaczona przeze mnie i komentowana Simone Weil, o wiele zanadto neoplatońska i manichejska, i uduchowiona jak na moją wschodnioeuropejską gruboskórność”.

Dwie pasje wiążą się tu z dwoma różnymi, zgoła przeciwstawnymi spojrzeniami na rzeczywistość. Temu drugiemu, narzucającemu ciemną wizję nie wolno jest ulegać, uważa poeta. Dlatego zwraca się przeciwko literaturze, która poprzestaje na pesymistycznym, ostatecznie nihilistycznym spojrzeniu. Jemu samemu zdarzało się temu poddawać, jak o tym wspomina, przywołując „rozpacze i bunty”, jakie przeżywał w pierwszych latach w Berkeley: „Kiedy próbowałem tutaj pisać prozę, zawsze wychodziła z tego okropna kafkowska opowieść”. I dodaje: „Ponure, a więc niemoralne jest takie pisanie, dobrze więc, że zaprzestałem”.

Gdy Miłosz przeciwstawia się wizji człowieka zredukowanej do jego ciemnej strony, przedstawia nie teoretyczną koncepcję, lecz osobiste świadectwo: „Żeby zachować kontrolę nad słowami, czyli stale sprawdzać, na ile przylegają one do rzeczywistości, będę mówić tylko o jednym okazie rodziny ludzkiej, tj. o sobie. Otóż człowiek ten, na pewno nie rzadki wyjątek, wie, że jest istotą niezbyt silną i że powinien gospodarować sobą ostrożnie. Wprowadzając systematyczność do swoich zajęć, wstając rano np. o siódmej, wyznaczając pory dnia na takie czy inne prace, działa zgodnie z założeniem, że jest od wewnątrz zagrożony, tj. że czyhają na niego zmyły smutku i melancholii. Tryb życia staje się więc dla niego podstawowym zadaniem filozoficznym”.

Podobnie, jako porządkowanie chaosu, Miłosz opisuje powołanie „ludzi słownej inkantacji”, do których i siebie zalicza: „rzeczywistość zanadto ich rani, dopóki jest chaotyczna, toteż muszą ją ciągle porządkować i tłumaczyć na język”. Tę potrzebę zaspokajały dawniej recytacje „godzinek i litanii, śpiew gregoriański, codzienna lektura brewiarza i żywotów świętych”, dostarczając „porządkującego rytmu”. Poeta dodaje: „W naszym stuleciu odrębność tego

plemienia trzeba powoli odkrywać samemu i podczas kiedy łatwo o podręczniki jogi, nie znajdzie się praktycznych wskazówek dotyczących dyscypliny potrzebnej każdemu, kto bez udziału swojej woli został powołany. Dzisiaj patrzę na całe moje świadome życie jako na serię buntów przeciwko przymusowemu zaciągowi. Buntury te kończyły się powrotem do ściśle, zakonniczo odmierzonych godzin”.

Jako jezuita nie mogę w tym miejscu nie zauważyć, że pomocą, która tu się marzy poecie na drodze powołania („bez udziału swojej woli”), są bardzo praktyczne *Ćwiczenia duchowe św. Ignacego Loyoli*. Służą one właśnie uporządkowaniu życia zgodnie z jego powołaniem, tym najbardziej osobistym, które jako pochodzące od Boga zawsze wyprzedza ludzką wolę, choć jej odpowiedź jest istotna dla realizacji powołania. Miłosz wspomina w *Ziemii Ulro*, że czytał „dawno temu” *Ćwiczenia Ignacego*; zapamiętał z nich „szczególnie te rady dla adepta, które odnoszą się do użytku wyobraźni”. Dodaje, że Loyola zaleca powracać myślą do czasu, gdy Jezus nauczał w Galilei, i wyobrażać sobie własne uczestnictwo w tamtych wydarzeniach, „a także być obecnym przy jego śmierci”. Jednakże, trzeba dodać, Ignacemu chodzi o coś więcej: nie tylko o włączenie wyobraźni, ale całego człowieka w osobiste poznanie Jezusa jako żywego, żyjącego po swym zmartwychwstaniu Pana, niedającego się zamknąć w żadnym wyobrażeniu. To dzięki Niemu dokonuje się także rozpoznanie życiowego powołania, które wszak od Niego jako Pana pochodzi.

Dodatkową pomocą, jaką można znaleźć w ignacjańskich *Ćwiczeniach*, są wskazówki co do rozpoznania różnych poruszeń duchowych we własnym wnętrzu: z jednej strony tych, które sprzyjają życiowemu powołaniu, z drugiej strony tych sprzeciwiających się jemu. Można łączyć te przeciwstawne poruszenia z przeciwnymi działaniami dobrego i złego ducha. Miłosz przybliża się do tej ignacjańskiej wizji, gdy próbuje wyrazić swoje duchowe zmagania „zwięźle” tak oto:

„Kiedy mój anioł stróż (...) odnosi zwycięstwo, ziemia wydaje mi się tak piękna, że żyję w ekstazie i o nic się nie martwię, bo otoczony jestem boską opieką, zdrowie moje dobre, czuję w sobie prąd wielkiego rytmu, w snach ukazują się magicznie barwne krajobrazy, nie myślę o śmierci, bo czy nastąpi ona za miesiąc, czy za pięć lat, spełni tylko, co zasądził dla mnie Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, nie Bóg filozofów. Kiedy zwycięża diabeł, z obrzydzeniem patrzę na kwitnące drzewa, które co wiosny powtarzają mechanicznie



to, co im nakazało prawo naturalnej selekcji gatunków, morze kojarzy mi się z pobożowskim monstrualnych skorupiaków gdzieś sprzed lat miliarda, przypadkowość i bezsens mego jednostkowego istnienia przygnębiają mnie, jestem wyłączony z rytmu świata, który pędzi zostawiając mnie, szczątek, na boku, no i straszno, bo życie przeżyłem, nie dostanę innego, a śmierć tuż”.

Okazuje się w tym świetle, że paradoksalny „pesymizm ekstacyjny” poety kryje dwa rodzaje poruszeń, którym on ulega naprzemiennie. To pierwsze jest bliższe prawdy, bo pochodzi od ducha dobrego, świętego, który prowadzi, mówiąc językiem Ewangelii, „do całej prawdy” (J 16,13). Do prawdy przybliża tu spojrzenie na rzeczywistość oczami dziecka, pełnego „miłosnego zachwytu” dla wszystkiego, co widzi. Takie spojrzenie postrzega rzeczy symbolicznie. Miłosz przypomina w *Ziemi Ulro*, że „symbol” pochodzi od greckiego *syn-ballein* (rzucić razem, połączyć); stąd ujęcie symboliczne łączy wszystko w jedno, staje się jednością z rzeczywistością, a przez to „najbardziej rzeczywiste”. To dziecięce spojrzenie może być odzyskane, co poświadczają poeci w rodzaju Blake’a (czy Miłosza!), nie mówiąc o mistykach – a najprościej określić je można jako spojrzenie w duchu Mądrości.

Drugie spojrzenie jest inne, nie łączy, tylko dzieli, przeto zasługuje na miano diabolicznego, skoro *dia-ballein* oznacza rozłączanie. *Ziemia Ulro* wskazuje związek tego spojrzenia z „obiektywną” prawdą prezentowaną przez nauki przyrodnicze. Nie znaczy to, że prawda naukowa o świecie i człowieku jest diaboliczna. Może jednak ona stać się taka, gdy przedstawia się ją jako *całą* prawdę, czyli zapominając o metodycznych ograniczeniach poznania naukowego, które ma prawo nie zajmować się sprawami duchowymi czy metafizycznymi, lecz oddala się od prawdy, gdy je próbuje negocjować. A wtedy prawda nauki fałszuje pełną wizję rzeczywistości, daje widzenie zredukowane, zamknięte na wymiary symboliczne, dlatego – diaboliczne.

Te rozróżnienia są proste... Do nich dają się sprowadzić bynajmniej nie proste rozważania *Ziemi Ulro*. Kwestie teologiczne czy filozoficzne prowadzą do dyskusji, które się nie kończą. Dlatego z upływem czasu, coraz bliższy końca życia ziemskiego, cenię sobie bardziej to, co przybliży do prawdy praktycznie: postawę wewnętrzną, spojrzenie, które łączy, nie dzieli, powracanie do prostoty początku... To przybliży do Mądrości, poprzedzającej i przenikającej wszystko, bo została stworzona właśnie „jako początek” (Księga Przysłów 8,22).

Jacek Bolewski SJ

Kazimierz Brakoniecki

## Dlaczego Miłosz?

W kanonie największych poetów polskich XX stulecia Miłosz z Watem i Różewiczem są mi najbliżsi. Ja, który nie znam żadnego wersu (w tym swojego) na pamięć, wiersze z *Trzech zim* potrafiłem (po swojemu i w odpowiednim nastroju oczywiście) deklamować, a już na pewno *Pieśń*, która stała się naszą (a myślę teraz o związku z rudą Anką) pieśnią pokoleniową. Chodziło zawsze o to: o ekspresję patosu (dramatycznego) życia, ekspresję bólu przemijania (trudnego) istnienia (bytu). A pisał te wiersze człowiek młody, dwudziestokilkuletni, a więc prawie nasz rówieśnik. Poglądy miałem zbliżone do Miłosza, ale jednocześnie poddawałem się absolutnemu urokowi poezji okupacyjnej Warszawy, Baczyńskiego, Gajcego, Borowskiego. Poświęconą im tablicę mijalem codziennie, gdyż wisiała wewnątrz gmachu Polonistyki. Zazdrościłem im tożsamości słowa i czynu. Mnie gnębiła rozpacz, niezgoda i bunt, ale nie potrafiłem tego jeszcze wyrazić inaczej jak przez drugorzędne objawy kulturowo-obyczajowe. Nie zapomniałem jednak przygnębiającego wiersza Miłosza *Ballada z tomu Król Popiel i inne wiersze* (1962), który w ogóle miał krytyczny stosunek do tego narodowo-romantycznego środowiska.

Podobnie silne efekty czytelnicze ponownie pojawiły się u mnie po lekturze (już po Noblu w 1980 roku) poematu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (1974), według mnie arcydzieła. Wydawnictwo „Czytelnik” opublikowało po raz pierwszy w Polsce ogólnodostępne wiersze zebrane Miłosza (z ośmiu dotychczasowych tomów) w 1981 roku. Zawsze podatny byłem na pesymistyczne, historiozoficzne wizje poety odnoszące się do losów naszej ojczyzny, ale także na szczególną materialność, zmysłowość tej wizji, która zbuntowana przeciw upływającemu bezlitośnie czasowi czyni prometejskie wysiłki, aby za pomocą oręża pamięci, wyobraźni, magii słowa przenieść te kruche istnienia na wyższy poziom sztuki, bytu (stąd późniejsza potrzeba duchowości i w końcu teoria *apokatastasis*, wiara w przywrócenie świata). Późnego Miłosza traktowałem trochę jak takiego bardziej nowoczesnego Mickiewicza (a może polskiego, spóźnionego Whitmana), co by mu się podobało, a poza tym bliskie mi było jego poszukiwanie małej-wielkiej Ojczyzny, i dlatego lekturę niezwykle interesującej *Rodzinnej Europy* uznaję za równie dla mnie ważną jak czytanie *Trzech zim* czy kilku ostatnich tomików z lat dziewięćdziesiątych. Ostatecznie czułem

i czuję się nadal związany z mitem Północy, z mitem małych, zapomnianych narodów bałtyckich. Ten mitologizacyjny (mityzacyjny) rys w całej twórczości autora *Traktatu moralnego* w sensie solipsystycznym i wspólnotowym jest niezwykle silny i odnieść go można do wielkich tradycji kulturowych romantyzmu europejskiego jak i transcendentalizmu amerykańskiego.

Z autentycznym przejęciem czytałem takie tomy, jak *Dalsze okolice* (1991), *Na brzegu rzeki* (1994) i to nie jedynie dlatego, aby asystować w oddali wielkiemu poecie, który po Noblu szczęśliwie zwiększył natężenie swojej twórczości i znalazł formę bardziej pojemną niż typowa poezja i proza. Po prostu są to oryginalne wiersze i poematy o wyjątkowym nasyceniu doświadczeniem metafizycznym, osobistym i historycznym, które przenosiły indywidualne życie w sferę doskonałego mitu kulturowego, wręcz antropologicznego („biblia mitu personalnego”). To mi bardzo imponowało. Miłosz umarł jako twórca spełniony. Jako jeden z nielicznych spełnionych poetów polskich. Nigdy go nie widziałem, ani nie chciałem zobaczyć. Ważniejszy był jako mit, jako moja osobista (ale i pokoleniowa) legenda poetycka niż człowiek z krwi i kości. Jeżeli było coś takiego jak nieortodoksyjna, nieopisana i niedoceniona szkoła poetycka Miłosza w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych minionego stulecia (niedoceniona nawet przez Mistrza), to na pewno i ja do niej należałem.

Kazimierz Brakoniecki

### Václav Burian

## Trzy kłopoty. Ze wspomnień tłumacza

Sprawa jest prosta, choć trochę wstydliva – najważniejszą dla mnie książką Czesława Miłosza jest tom *Miasto bez imienia*. Wstydliva, bo powody były pozaliterackie, wręcz polityczne. Książkę dotąd autora dla mnie kompletnie nieznanego, podziemny przedruk (NOWA) emigracyjnego wydania (Instytut Literacki), dostałem pod koniec sierpnia 1980 od pierwszego osobiście poznanego polskiego opozycjonisty Jarka Dubiela wraz z paczką innych druków podziemnych i paroma numerami „Robotnika”. (Do dziś się z „Jarema” przyjaźnimy.) Znałem czeski samizdat, sam w nim jakoś uczestniczyłem, ale

o zasięgu i nakładach polskiego drugiego obiegu nie miałem pojęcia. A więc mój już dawniejszy podziw dla Polski sięgnął szczytu. Staralem się z *Miasta* coś zrozumieć... a w międzyczasie ów nieznany poeta dostaje Nagrodę Nobla. To była kolejna – skądinąd też pozaliteracka – zachęta do prób translatorskich.

Pierwsze owoce na szczęście ukazały się, jeżeli tak można powiedzieć, tylko w nakładzie wtedy w czeskim samizdacie zwykłym, piętnastu egzemplarzy. Ale książka już mi została jako pole doświadczalne. Chyba szczęśliwie. Trzeba było czegoś się dowiedzieć o realiach i litewskich i amerykańskich, czegoś z terminologii przyrodniczej, ćwiczyć wycucie archaizmów, słów gwarowych, wreszcie też na przykład polszczyzny amerykańskiej (dziecięcej, wiersz *Kiedy byłem mały*).

Dlatego z żadnej książki tłumaczonej później nie pamiętam tak dobrze najtrudniejszych wtedy, a zarazem ciekawych problemów.

Tak na przykład w tytułowym poemacie pojawia się „mężczyzna w czapce z kozyrkiem”, a nikt z moich ówczesnych polskich znajomych (dziś mam ich zdecydowanie więcej) kozyrka nie znał. Potem w słowniku znalazłem: daszek. Ale jak oddać to po czesku? Tak luksusowo między naszymi narodami nigdy nie będzie, żebyśmy mieli tak obszerne słowniki przekładowe. Ale znalazłem, w jedynym czeskim słowniku (P. Váša, F. Trávníček: *Slovník jazyka českého*, Fr. Borový, Praga 1937) *kozírek*, ew. *kozýrek* z wytłumaczeniem, że chodzi o rusycyzm, a w czeszczyźnie znalazł się – zapewne na krótko – dzięki czechosłowackim legionistom z pierwszej wojny. (W słowniku zapewne dzięki temu, że F. Trávníček był legionistą na Rusi.)

Kłopot drugi, z tegoż poematu: rozumiałem, o co chodzi, kiedy „magistracy na rogatkach w skórzane torby zbierają kopytkowe”, ale za żadną cenę nie mogłem się dowiedzieć, jak to oddać po czesku. Szkoda byłoby użyć jakichś ogólnikowych pojęć jak *mýto* lub jeszcze bardziej pospolity *poplatek*. Miałem szczęście. Do wybitnego czeskożydowskiego prozaika Karla Poláčka wracam często, ale dopiero teraz trafiam w powieści *Michelup a motocykl* na piękne słowo w sam raz: *dlažebné*. *Dlažba* to po czesku bruk, a więc to jest to!

Kłopot trzeci, z poematu *Na trąbach i na cytrze*, wers „W elektronicznej muzyce słyszałem żałobne syreny...”. Szczerze mówiąc podejrzewałem, że chodzi raczej o muzykę elektroniczną, termin przecież powstał w czasie, kiedy już autor od dawna żył na Zachodzie, i choć w poemacie jest i natura, i historia, i filozofia, i gramatyka, jest też współczesna Ameryka, a gdzie indziej w tomie pojawiają się niewątpliwi hippisi. W międzyczasie szerzyłem dalej Miłosza

w samizdacie, a potem zmieniła się epoka i mogłem autora zapytać. W pierwszym czeskim nadziemnym wyborze jego wierszy więc za jego zgodą jest: „*V elektronické hudbě...*”, a nie „*V elektronové hudbě...*”.

Václav Burian

*Stefan Chwin*

## Miłosz dzisiaj

### Sto „holokaustów”

Od Miłosza oddziela nas dzisiaj rosnąca ściana obcości.

Oczywiście nadal cenimy, podziwiamy, a czasem nawet kochamy jego wiersze, ale też czujemy, że zrodziła je inna wrażliwość niż nasza – tak estetyczna, jak moralna. Rzutuje to na sposób czytania. Miłosz należał do generacji, która potrafiła się dziwić okropnościom drugiej wojny i zbrodniom dwudziestowiecznego totalitaryzmu. To zdziwienie nadało artystyczną intensywność jego wierszom. My – mam na myśli pewną część mojego pokolenia oraz pewną część ludzi od nas młodszych – należymy do generacji, która albo nie dziwi się niczemu, albo dziwić się czemuśkolwiek umie już tylko z trudem.

Dla niego widok likwidacji warszawskiego getta był szokiem. Ostre uczucie bólu i niepokoju związane z tym wydarzeniem, które doszło do głosu w paru przejmujących wierszach, wyróżniało go zresztą spośród polskich pisarzy pokolenia 1910 i 1920, którzy zwykle nie reagowali na tragedię Żydów tak silnie jak on. Znamienne, że śladów podobnego szoku nie znajdziemy w poezji poetów „Sztuki i Narodu”, na przykład u Trzebińskiego czy Bojarskiego, gdzie trudno natrafić choćby na wzmiankę o mordowanych Żydach, chociaż z pewnością pisząc te wiersze, na własne oczy musieli oni widzieć dym nad gettem i słyszeć strzały dobiegające zza muru. Nawet poeta tak wrażliwy jak Baczyński o zagładzie getta nic jawnie odnoszącego się do tego wydarzenia nie napisał. A Miłosz napisał i bez jego wierszy na ten temat trudno wyobrazić sobie literaturę polską XX wieku.

Miłosza przeraził holokaust jako zdarzenie absolutnie nowe. W wierszu *Biedny chrześcijanin patrzy na getto* Miłosz wyraził swój lęk i obawę, że zostanie policzony pomiędzy pomocników śmierci, wszystkich nieobrzezanych, a więc tych, którzy pomagali Niemcom w holokaucie. Polska obojętność wobec holokaustu, która niepokoiła Miłosza, nie stała się jednak problemem ani dla Trzebińskiego, ani dla Bojarskiego, Gajcego czy Stroińskiego. W ich twórczości nie znajdziemy niczego podobnego do wiersza *Campo di Fiori*.

Dla Miłosza zbrodnia holokaustu była czymś niezwykłym. Podobnie odczuła ją moja matka, która od Miłosza jest o parę lat młodsza. Kiedy 30 września 1939 roku na ulicy Nowogrodzkiej zobaczyła po raz pierwszy na własne oczy Niemców wchodzących do Warszawy, którzy zajmowali tamtejszą pocztę, nie poczuła żadnego strachu. Elegancko ubrani oficerowie w zielonych mundurach Wehrmachtu zachowywali się grzecznie, kierując rozładunkiem skrzyń i pak z samochodów ciężarowych i nie zwracali żadnej uwagi na polską ludność. Podobnie na pierwszych Niemców wchodzących do Warszawy zareagowała moja babcia. Pamiętała tych z wojny 1914–1918 – eleganckich oficerów z szablą przy pasie, którzy z pięknymi paniami przychodzili na pączki do kawiarni Bliklego – więc to, co Niemcy zaczęli robić z Polakami i Żydami po zajęciu Polski w 1939 roku, było dla niej szokiem.

Dla nas holokaust jest czymś przerażająco zwyczajnym. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z wyjątkowości ideologicznej i technologicznej zbrodni popełnionej na Żydach, ale też wiemy, że wymordować parę milionów ludzi to jest w historii ludzkiego gatunku – a już szczególnie w wieku XX – rzecz raczej dość normalna, bo co jakiś czas ludzkość tak właśnie „rozwiązuje” swoje problemy. Pamiętamy nie tylko holokaust z lat 1939–1945. Pamiętamy też, że podczas Rewolucji Październikowej w ramach holokaustu rewolucyjnego, a więc czystek etniczno-ideologicznych, do których doszło w Rosji – jak szacował Raymond Aron – wymordowano dwadzieścia dwa miliony ludzi. W Ruandzie zaś wystarczył miesiąc na wymordowanie miliona w holokaucie plemiennym w ramach czystek etnicznych między ludami Tutsi i Hutu. Mamy też w pamięci Kambodżę Pol Pota, gdzie motykami wbijanymi w czaszki zamordowano blisko dwa miliony ludzi w ramach holokaustu, którego celem było „udoskonalenie” ustroju rolnego. Milion, dwa miliony, dwadzieścia milionów... Monotonia tych powtórzeń gasi w nas żywsze odruchy przerażenia. Na podobne sprawy patrzymy dużo chłodniej.

Warto też przypomnieć, że nawet demokratyczni Amerykanie, nie mający nic wspólnego z żadnym totalitaryzmem, zabili w latach sześćdziesiątych

podczas wojny w Wietnamie dwa miliony ludzi, ponosząc przy tym straty własne w wysokości sześćdziesięciu tysięcy zabitych, przez co „wojnę w Wietnamie” trudno właściwie nazwać wojną, jak się zwykle ją w podręcznikach określa, była ona bowiem w istocie prawdziwą masakrą cywilnej ludności Wietnamu na skalę masową. Określenie „napalmowy holokaust” byłoby tu chyba dużo bardziej stosowne.

Tak więc dla nas „holokausty” są na Ziemi, niestety, właściwie banalną normą. Zdarzają się one ze zmienną regularnością co jakiś czas to w jednym miejscu, to w drugim miejscu i pewnie będą się zdarzać do końca świata. Jeśli nas to nawet przeraża, to jednak dość rzadko wprawia w zdziwienie.

### Sprawa „ukąszonego”

Dla Miłosza wielkim problemem była tajemnica uwiedzenia umysłów przez totalitarną ideologię. Poświęcił tej sprawie przede wszystkim filozoficzny esej *Zniewolony umysł*, gdzie opisał, jak kilku polskich pisarzy pod wpływem „ukąszenia heglowskiego” stało się akolitami Stalina, ale echa tej sprawy, rozproszone po całej jego twórczości, nadają jej szczególny ton. Dla nas ta sprawa mocno już jednak zwietrzała. Kto dzisiaj – można zapytać – traktuje poważnie Hegla i Marksa – niegdyś wielkich uwodzicieli ludzkości – może z wyjątkiem nauczycieli historii filozofii w liceach i wykładowców na uniwersytetach? A dla Miłosza wszystko to były bardzo poważne, palące intelektualne problemy. To także nas od niego oddala.

„Ukąszenie heglowskie” Miłosz przeżył dotkliwie na własnej skórze, dlatego studiował meandry ideologicznego uwiedzenia, w jakich ugrzęźli jego koledzy-pisarze. Ale my? Dla nas sprawa „heglowskiego ukąszenia” jest bardzo już odległa. Nie czujemy w niej dawnego ognia, który rozpałał filozoficzno-ideologiczne namiętności. Miłosz zmagał się ze smokiem marksizmu. Dzisiaj większość z nas marksizm po prostu zbywa wzruszeniem ramion, choć nie do końca jest to rozsądne. On był zanurzony w historii. My jesteśmy znużeni historią. On wierzył w heglowskiego Ducha Dziejów i nie wiedział, jak sobie z nim poradzić. Kto jednak z nas potrafi dziś uwierzyć w Ducha Dziejów, tak jak go Miłosz przedstawił choćby w *Traktacie poetyckim*? Kto z nas przejmuje się heglowskim determinizmem, który dla Miłosza był osobistym, filozoficznym problemem? Czy istnieją jeszcze u nas, w Polsce, ludzie, którzy wierzą, że polityka to terytorium, nad którym panuje swoimi bezlitosnymi

prawami Duchu Dziejów? I czy jesteśmy w stanie osobiście głęboko przeżyć filozoficzne treści *Traktatu poetyckiego*, jeśli nie wierzymy ani w Ducha Ziemi, ani w Ducha Dziejów?

To, czym Miłosz się przejmował, nas już przejmuje dużo mniej. Tak odsłania się jedna ze słabszych stron jego twórczości. Jego poezja była nadmiernie zanurzona w historii, chociaż bardzo się starał wyjść poza swój czas. Miano „poety, który w swojej twórczości dał zapis wielkich doświadczeń ludzkości z XX wieku”, nie jest jednoznacznym tytułem do chwały. Tom *Ocalenie* trudno dzisiaj czytać bez przypisów. Nikt nie pamięta, że *Przedmowa do Ocalenia* była adresowana do ludzi typu Andrzeja Trzebińskiego, a bez tej wiedzy interpretacja tego wiersza będzie myląca. Uniwersalny wymiar wierszy *W Warszawie czy Campo di Fiori* jest dość problematyczny. To, co z twórczości Miłosza pozostało, co trzyma się naprawdę mocno, to piękne wiersze z *Ocalenia* o „pasterskich ogrodach”. Ta część jego twórczości nie zestarzała się i nadal porusza swoim pięknem. Ale reszta?

### Nie istnieje żadna „ziemia Ulro”

Nietrafne z naszej perspektywy wydają się także fundamentalne diagnozy Miłosza dotyczące stanu naszej cywilizacji, które – co by nie mówić – stanowiły podstawę jego twórczości. Główna jego książka filozoficzno-historiozoficzna *Ziemia Ulro* nie budzi już żywszych emocji, chociaż z pewnością warta jest poważnej dyskusji. Zresztą nigdy ich chyba nie budziła, bo przecież, kiedy się ukazała, nie wywołała żadnej wielkiej debaty filozoficznej.

Miłosz twierdził, że początkiem nieszczęść, jakie spadły na Europejczyków w erze nowożytnej, były odkrycia Kopernika, Newtona i Darwina. Bardzo się przejmował erozją wyobraźni religijnej i pisał na ten temat wiele. Był zdania, że skutki tej erozji trwają nadal i mają charakter globalny. Z takiego rozpoznania, wyprowadzał jednak wnioski nadmiernie kategoryczne, przez co za katastrofę uznał to, co dla większości ludzi nie było żadną katastrofą.

W młodości nie wiedział, jak pogodzić treści lekcji religii z treściami lekcji biologii, fizyki i astronomii i bardzo się tym dręczył. Jako autor *Ziemi Ulro* swoje prywatne kłopoty przypisał jednak całej nowoczesnej postkopernikańskiej ludzkości, co jednak było przesadą.

Bo czy rzeczywiście my nie potrafimy pogodzić treści lekcji religii z treściami lekcji biologii, fizyki i astronomii, tak jak on tego nie potrafił i czy rzeczywiście boleśnie się tą niemożnością dręczymy – tak jak on?



Słabością Miłosza była jego wizja człowieka, do której był bardzo przywiązany. Z jednej strony jako poeta praktykował w swoich wierszach wielogłosowość i pochwalał ją, z drugiej jako autor *Ziemi Ulro* biadał nad rozdzieleniem osobowości człowieka nowoczesnego na dwa głosy: głos nauki i głos religii, całkowicie – jak uważał – ze sobą sprzeczne. Chciał, by w człowieku nauka i religia podały sobie ręce, by stworzyły światopoglądową jedność, spójną i ożywiającą, ale to rozdzielenie głosów uważał za fundamentalne. I w *Ziemi Ulro* wmawiał czytelnikom, że konflikt wewnętrzny, jaki sam boleśnie przeżywał w dzieciństwie, przeżywa razem z nim także cywilizacja europejska, a może nawet cała cywilizacja zachodnia. Dręczyła go sprzeczność między nauką i religią, uważał więc, że inni też się tą sprzecznością dręczą. Oczywiście jakaś część ludzi rzeczywiście się tą sprzecznością dręczyła i dręczy się nadal, są jednak ludzie i to nawet dość liczni, którzy takiego konfliktu wewnętrznego w ogóle nie przeżywają.

Miłosz w szkole był dziwnym uczniem. Słuchał uważnie tego, co mówią nauczyciele i katecheci, a na dodatek jeszcze nad tym intensywnie rozmyślał. Tymczasem takich uczniów jest na tym świecie niewielu. Większość z nas nie zawraca sobie zupełnie głowy tym, co nauczyciele mówią, w związku z tym nie pamięta nawet tego, co było na poprzedniej lekcji. W tym sensie większość ludzi nie przeżywa konfliktu wewnętrznego, o którym pisał Miłosz, ponieważ mają oni w głowie wszystko osobno. Osobna szufladka z napisem „nauki przyrodnicze”, a obok niej osobna szufladka z napisem „nauki religijne udzielane przez katechetę”. Bardzo niewielka ilość ludzi potrafi zestawiać i porównywać refleksyjnie zawartość obu szufladek i w związku z tym nie czuje żadnej sprzeczności między tym, co jest w jednej szufladce i tym, co jest w drugiej. Tymczasem Miłosz właśnie potrafił przeprowadzać takie porównania i dlatego jednego z drugim nie mógł pogodzić. W *Ziemi Ulro* zaś przypisywał nowoczesnej ludzkości wewnętrzny konflikt, który przeżywała co najwyżej garstka ludzi jemu podobnych. Chciał widzieć ludzkość na obraz i podobieństwo swoje.

Nie brał pod uwagę dwóch okoliczności, co wpływało na sposób jego myślenia. Erozja wyobraźni religijnej rzeczywiście nastąpiła po odkryciach Newtona i Darwina, ale nie w skali, w jakiej on ją ujrzał. Duch religijny, ze wszystkimi wyobrażeniami przestrzennymi, które niesie ze sobą wiara, wbrew temu, co Miłosz twierdził, we współczesnej cywilizacji trzyma się zastanawiająco mocno i nawet jeśli słabnie w indywidualnym doświadczeniu wyznaniowym, to odradza się w wielkich mitach kultury masowej.

Właśnie tego Miłosz zdawał się nie dostrzegać. Że fundamentem kultury masowej są struktury mityczne przeniesione z wielkich religii, którym wyobraźnia społeczeństwa masowego nadaje nowoczesną formę symboliczną. To prawda, spłyca je i upraszcza, ale jednak mimo wszystko je zachowuje! Wielkie filmy, podbijające cały świat, są zwykle opowieściami o Zbawicielach, którzy zbawiają ludzkość, to znaczy opowieściami o ratowaniu Ziemi przed demonicznym Złem przez postacie, które bardzo przypominają świętych bohaterów religii. I jest w nich symboliczna przestrzeń bardzo podobna do symbolicznej przestrzeni dawnych religii.

Miłosz czuł przerażenie na myśl o tym, że otaczają nas puste przestrzenie Kosmosu, w których jest zawieszona zamieszкана przez ludzi Ziemia. Białdał nad tym, że nauka – Kopernik i Newton – stworzyła taki właśnie przerażający obraz wszechświata, to znaczy rozbiła religijny kompas orientacji przestrzennej, niszcząc kategorie Góry i Dołu, Nieba i Piekła oraz rękami Darwina zatarła granice między człowiekiem a zwierzęciem. Dla nas nie jest żadnym ekscytującym przeżyciem świadomość, że otacza nas absurdalna pustka, w której najprawdopodobniej nie ma nikogo oprócz nas, a także świadomość, że naszym kuzynem jest goryl. Świadomość taka nie jest oczywiście niczym przyjemnym, ale też nie rodzi w nas jakiejś szczególnie ostrej rozpacz, której przybór w nowoczesnym świecie Miłosz prorokował. Obrazy pustki kosmosu – zbudowane przez film i telewizję – stały się zresztą, czego on zdawał się nie doceniać, ikonami naszej wyobraźni przestrzennej, równie silnymi jak dawne obrazy wszechświata tworzone pędzlem przez wielkich malarzy religijnych.

Jego przerażał pusty newtonowski kosmos. Nas wcale nie doprowadza do załamania to, że przestrzenna wizja świata z *Boskiej komedii* rozsypała się w pył. Nauczyliśmy się z tym jakoś żyć, co sprawia, że katastrofa przestrzeni symbolicznej kosmosu, którą on opisywał, nie pociąga w nas za sobą nieuchronnie katastrofy moralnej, jakiej nadejście prorokował w *Ziemi Ulro*.

Miłosz zachowywał się tak, jakby nie chciał wiedzieć, że dawną religijną wizję świata zastąpiła – przynajmniej w pewnym stopniu – wizja z „gwiazdnych wojen”, która jest równie „religijna” jak tamta, bo „zaludnia” pustą przestrzeń kosmosu formami życia, równie tajemniczymi jak chrześcijańskie czy asyryjskie anioły. Wyobraźnia nowoczesna jest napompowana kosmogonicznymi fantazmatami zaczerpniętymi z religii i kultury masowej, które łączą paradoksalnie obraz zupełnej pustki kosmosu z wrażeniem

nadzwyczajnego wypełnienia Kosmosu, typowym dla religijnych obrazów świata. My potrafimy równocześnie wierzyć w makabryczny pusty Kosmos i w Kosmos zaludniony, co samo w sobie jest sprzecznością, a jednak nie jest przez nas odczuwane jako sprzeczność. Na planetę Mars, której obraz fotograficzny co jakiś czas pokazuje nam telewizja, patrzymy w istocie jak na zagubioną w przestrzeni kosmicznej część Ziemi. Są tam w gruncie rzeczy takie same góry i takie same kamienie jak u nas. Obcość wszechświata umiemy jakoś połączyć z jego swojskością, tak jak robi to dziecko, oglądając *Gwiazdne wojny*.

Miłosz chciał poetyckimi sposobami przewycięzać obcość świata, odbudowując „drugą przestrzeń”, a to nie poezja, tylko właśnie kultura masowa – przede wszystkim film – mają znacznie mocniejsze narzędzia do przewycięzania tej obcości. Dzieci, które oglądały z wypiekami na twarzy *Władcę pierścieni*, nigdy nie uwierzą, że jesteśmy sami w Kosmosie, chociaż równocześnie – już jako ludzie dorośli – będą przekonane, że ludzie są zupełnie sami w pustym Kosmosie. Miłosz nie doceniał siły rażenia kultury masowej, widząc w niej przede wszystkim znak dekadencji i upadku. My do kultury masowej mamy stosunek dużo swobodniejszy.

I jeszcze jedno. Pisząc o erozji wyobraźni religijnej, Miłosz nie przewidział, że nasza epoka będzie epoką odrodzenia fanatyzmów religijnych, ze wszystkimi dobrymi i niedobrymi tego konsekwencjami. Niektórzy uważają, że jego idea odbudowania świata teokratycznego, którą kończy się *Ziemia Ulro*, niebezpiecznie zapowiadała amerykański neokonserwatyzm, a może i coś jeszcze gorszego. Liberalowie laicy nie chcą wcale słuchać pouczeń Miłosa w tym względzie i chętnie przyjęliby jako wyzwolenie, gdyby wszelka wyobraźnia religijna rozsypała się do końca, bo niesie ona ze sobą – jak to oceniają – niebezpieczeństwo rozmaitych religijnych radykalizmów. Z takiej perspektywy Miłosz nie wiedział, jakie to kłopoty może na nas ściągnąć jego marzenie o teokratycznym porządku dla nowoczesnego świata, a takie właśnie marzenie odnajdujemy w finale *Ziemi Ulro*.

Trudno mi powiedzieć, jaką książkę Miłosa należy uznać za najważniejszą, ale w różnych momentach mojego życia dość często ścierałem się z *Ziemią Ulro*, to przyznając jej rację, to spierając się z nią. Przez długi czas diagnoza stanu cywilizacji w niej sformułowana, że wyobraźnia religijna słabnie, co grozi głębokim kryzysem moralnym, wydawała mi się słuszna, bo trudno było nie zauważyć takiego zjawiska, ale czułem też, że jest to z mojej strony

raczej akceptacja życzeniowa tej książki. Miłoszowski obraz naszego świata duchowego, scharakteryzowany w *Ziemi Ulro*, jakoś porządkował obrazy mojej współczesności, więc ułatwiał mi życie, co było nie do pogardzenia. Wiadomo było czego się trzymać. Ciekawy był też pomysł Miłosza, by wiek XX uznać za epokę neomanicheizmu i nowoczesne rewolucje wyprowadzać z neomanicheizmu, bo właśnie neomanicheizm nazaczył dość bolesną skazą – jak Miłosz twierdził – świadomość współczesnego człowieka. Sam czułem się naznaczony tą skazą czy zaletą, więc przyglądałem się jego myśleniu z prawdziwym zainteresowaniem.

Miłosz uważał, że nowoczesna wrażliwość manichejska była bowiem zagrożeniem dla świata i szansą dla poezji. On był dumny z tego, że jest katolikiem „manichejskim” i równocześnie uważał swoją skazę manichejską za przekleństwo, które chciał z samego siebie energicznie egzorcyzmować przy pomocy poezji. Trochę lekcewał ludzi, którzy nie mieli wrażliwości manichejskiej, to znaczy nie dostrzegali zła wpisanego w sam fakt naszego ziemskiego istnienia. Patrzył na nich dość pobłażliwie, z wysoka, a równocześnie jakby im zazdrościł pogody ducha, której sam nie był w stanie osiągnąć. Po manichejsku snił o Adamie Kadmonie, lekcewał endecką prostoduszność Polaków w sprawach wiary, ale pod koniec życia zazdrościł czystych uczuć religijnych prostej babie, która klęczy w kościółku i modli się do Matki Boskiej z Lourdes, jak to przedstawiał w *Traktacie teologicznym*.

Ja się mojej wrażliwości manichejskiej nie wstydzilem nigdy, o żadnej prostej religijności baby klęczącej przed figurą Matki Boskiej Fatimskiej nie marzyłem i wcale nie uskarżałem się na to, że żyję na jakiejś przeklętej Ziemi Ulro. Takie marzenia były mi obce, chociaż oczywiście jak wszyscy polscy inteligenci co jakiś czas wzdychałem, jak by to było wspaniale być zwykłym, prostym człowiekiem, który wierzy mocno i wie, jak żyć na tym świecie. Marzenia o byciu prostym człowiekiem, które są – jak uważam – zawsze zdradą inteligenckiego etosu, szybko mi z głowy wywietrzały. Pojąłem, że nigdy żadnym „prostym człowiekiem” nie będę i przyjąłem do wiadomości tę smutną prawdę, więc drogę do *Traktatu teologicznego* w sobie zamknąłem, kto wie, może na zawsze. Miłoszowi nigdy te marzenia z głowy nie wywietrzały i dziś już widać, jak wyraźna linia łączy *Świat. Poema naiwne*, dzieło napisane w latach czterdziestych, z późnym *Traktatem teologicznym*, którym Miłosz zamykał swoje życie. Widać, że oba te dzieła pisał ten sam człowiek. Ja nigdy czegoś w rodzaju *Świata. Poem naiwnych* nie miałem

zamiaru napisać. Surowość świata, o której lubili mówić manichejczycy, przyjąłem jako rzecz zwykłą i nieusuwalną, z którą należy się pogodzić i jakoś z nią żyć.

### Pogromca „niezrozumialstwa”

Miłosz nigdy nie napisał lepszego tomu niż *Trzy zimy*. On spełnił się od razu w swojej pierwszej książce. Gotowy, ukształtowany, wyskoczył na światło dzienne literatury polskiej, jak Atena wyskoczyła z głowy Zeusa. Potem już tylko rozwijał wątki ze swojego pierwszego dzieła. Drugi tom po *Trzech zimach*, *Ocalenie*, był wyraźnym obniżeniem poziomu o kilka stopni, chociaż Polacy mogli cenić tę książkę, bo Miłosz wyraźnie dawał w niej dowody, że się Narodem jednak przejmuje, chociaż żarliwie go raczej nie kocha. Ale *Trzy zimy* były i pozostały najlepsze.

Są w *Trzech zimach* wiersze tajemnicze i nieprzeniknione, fatalnie trudne do interpretacji. Prawdziwe szyfry kłębiących się obrazów podświadomych, lęków i obsesji, do których nie wiadomo, jak się dobrać. Ze wszystkich jego książek tę cenię najbardziej, chociaż wyczuwam w niej coś obcego, co zderza się z moją wrażliwością. *Trzy zimy*, choć niby prorocze, najmniej były spośród wszystkich książek Miłosza zanurzone w historii. On pisząc tę książkę, wydostał się w jakieś niezwykle rejony życia duchowego, w których historia nie miała nic do gadania, chociaż go od razu wepchnięto do szuflady z napisem „katastrofizm”, przypisano do konkretnej epoki i zrobiono prorokiem politycznej Apokalipsy, co pewnie nie było mu w smak. Na jego pozostałych książkach ten cień historii jest widoczny w dużo większym stopniu, więc mocno się one dzisiaj już postarzały, co wielkiej poezji nie powinno się raczej zdarzać. Dotyczy to na przykład tomu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*.

W późnym okresie swojego życia Miłosz był w większym stopniu myślicielem niż poetą. Znamienne, jak on mało wierszy napisał w porównaniu z tym, co napisał prozą. Gmach jego prozy jest ogromny, jeśli w to włączymy gigantyczną ilość listów. Zagadką jego duchowej biografii jest dla mnie awersja do poezji niezrozumiałej, która go w jakiejś chwili ogarnęła. Trudno powiedzieć, czy ta awersja była pierwsza, czy raczej pierwsze było słabnięcie wyobraźni, które szukało usprawiedliwienia i teoretycznego alibi w pomstowaniu na „niezrozumialców”. W jakiejś chwili Miłosz zamarzył o poezji prostej, która

przemawiały do zwykłych ludzi, tym samym odwrócił się od *Trzech zim*, co nie miało zbyt wielkiego sensu, bo powinien pozostać przy tym, co było w nim najlepsze.

Pamiętam sytuację, która mnie zdumiała, a łączyła się z tą sprawą. Byłem wtedy w jury Nagrody Nike. Miłosz dostał z wielką pompą główną nagrodę za *Pieska przydrożnego*, ale widziałem, jak poczuł się dotknięty tym, że nagrodę publiczności dostał Zygmunt Kubiak. To było wyraźne zadrąsnięcie, którego nie umiał ukryć. Bo on by wolał dostać nagrodę od „normalnych czytelników”, a nie od jakichś tam znawców z szacownego jury.

Pod koniec życia bardzo nie chciał być ani w poezji, ani w życiu literackim rarogiem, który nie ma kontaktu ze zwykłymi ludźmi, co było oczywiście złudne, bo zwykli ludzie poezji raczej nie czytają. Pamiętam, jak któregoś dnia powiedział do mnie: „Wie pan, ja lubię, kiedy ludzie zwracają się do mnie *per* panie profesorze”, chociaż wyczułem, że nie przecenia swojej wartości jako profesora. I pamiętam, że się wtedy roześmiał autoironicznie i równocześnie z lekka pyszałkowato, że mu się udało wdrapać na profesorskie krzesło w Berkeley bez żadnego tam doktoratu. Lubił sobie podrwiwać ze starych poetów, którzy noszą długie włosy związane z tyłu w kitkę. Ubierał się tak, by nie odstawać od tweedowego szyku doktorsko-profesorskiego. Nie lubił manier cyganerii. Nigdy go nie widziałem bez krawata. Nosił marynarki brązowo-mysie, koszule płócienne, raczej ciemne, z guziczkami na rożkach kołnierza, ale może to Carroll tak go ubierała, bo chciała żeby „porządnie” wyglądał. Była w tym wszystkim niechęć do jaskrawej roli artysty, niechęć do „środowiska”, do obyczajów pisarzy ekscentryków, manifestujących, że są „prawdziwymi artystami”, ale może w ten sposób wyrażał się też odwrót od rozluźnienia wewnętrznego, szaleństwa wyobraźni, które zrodziło *Trzy zimy*, od majaczkowej mgły metafor i rzeki obrazów, która – tu miał rację – odgradzała go od ludzi. Kiedy w gdańskim hotelu Hanza wjeżdżaliśmy windą do jego apartamentu na piętrze, powiedział do mnie: „Więc i pan pracuje na uniwersytecie? A wie pan, że to nie jest najgorsze miejsce dla pisarza”. Wyczuwał, że nowoczesne społeczeństwa lekceważą artystów, nawet kiedy ich wynoszą na noblowskie trony, więc nie chciał być „artystą”. Wyraźnie mu to uwierało. Wolał być „profesorem” niż „poetą”, czy jednak nie była to konsekwencja stygnięcia źródeł, które wrzały w nim w młodości, a na starość trochę zaczęły przygasać?

Jego twórczość jest monotonna. Nie czuje się w niej zmiany. Nie był „poetą przełomów”, nie przepoczwarzał się na naszych oczach, ciągle był tym samym

Miłoszem. Wraciał do tych samych tematów, krążył wokół tych samych spraw. Cierpiał z powodu małego odzewu, bo jego kolejne książki nie wzbudzały wokół siebie szumu, chociaż cieszyły się uznaniem czytelników.

Kiedy napisał *Wyprawę w Dwudziestolecie* – widziałem to – oczekiwał na wybuch sporu i trochę się dziwił, że jego rozprawa z minioną epoką nie wzbudza gorących namiętności, chociaż – był o tym przekonany – Polska po roku 1989 rozwijała się wedle międzywojennego wzoru i powtarzała dawne napięcia polityczno-duchowe, które wstrząsały Polską w latach 1918–1939. Był w tym oczekiwaniu na spór w mniejszym stopniu poetą, a w większym myślicielem, analitykiem kultury, trochę prorokiem, co nie najlepiej wpływało na jego wiersze. Zygmunt Hertz uważał, że popełnił błąd, pisząc *Ziemię Ulro*. Podobno kiedyś mu powiedział: „Czesław, ty daj sobie spokój z Ziemią Ulro. Ty pisz dla ludzi”. Chyba wziął to sobie do serca, co po latach wyszło, kiedy to wołał serdeczną nagrodę publiczności od oficjalnej nagrody przyznawanej przez jury.

Jego niechęć do ostentacyjnego wizerunku artysty miała więc podłoże głębsze, ale przejawiała się też w drobiazgach. Na spotkaniach autorskich miał w swojej teczce uporządkowane maszynopisy, kiedy czytał wiersze, lubił je komentować i objaśniać, co nie jest u poetów normą. Wieczory autorskie przeplatał hermeneutyczną konferansjerką, tak jakby czuł, że nie tłumaczą same, a może obawiał się, że są dla zwykłej publiczności niezrozumiałe. W swoich najgłębszych odczuciach był poetą hermetycznym, ale chciał być poetą, który śpiewa wszystkim – takie wrażenie kiedyś odniosłem. Dziwne: zazdrościł Gałczyńskiemu, chociaż trochę go lekcewał. A także Wojaczkowi – że ten dziwny poeta potrafił się zdobyć na tak radykalny ekshibicjonizm uczuciowy, do którego on sam nie czuł się zdolny.

### Niechęć do wiersza na pomniku

Nie ucieszyło go wcale, kiedy stoczniovcy gdańscy w 1981 roku umieścili na pomniku robotników poległych w grudniu 1970 roku jego, niestety, jeden ze słabszych wierszy *Który skrzywdziłeś człowieka prostego*. Pamiętam ludzi, którzy byli rozczarowani, gdy przysłał im z Berkeley na ścianę obok gdańskiego pomnika tłumaczony przez siebie werset biblijny, zamiast – jak uważano – czegoś mocniejszego i stosowniejszego do bojowego nastroju historycznej chwili. Lgnął do ludzi, chciał być słyszany, rozumiany, pożyteczny, ale stykając się ze skórą stada reagował alergicznie. Ciągnęło go więc do

zrozumiałości, ale zrozumiałość też go trochę odpychała, jeśli miała tyrtejski zapaszek. Podczas pierwszego pobytu w Polsce był otoczony szklaną ścianą, którą sam wokół siebie wznosił, a którą ludzie uważali za chłód wyniosłości.

Był wyniosły w sposób naturalny, nie potrafił tego zmienić. Odbijało się to na tonacji jego wierszy, niechęci do polszczyzny kolokwialnej, nachyleniu wiersza ku dawności literatury, co teraz przeszkadza części czytelników. Nie umiał mówić wierszami, zawsze je wygłaszał, ustawiając głos inaczej niż w rozmowie, tak jak tenor ustawia głos przed koncertem. Dziś młodych ludzi – jak pisze Piotr Millati – to trochę razi, więc nie bardzo wiedzą, jak wdrzeć się do wspaniałej twierdzy jego wierszy, która jak na ich smak jest nieco zbyt monumentalna. Zazdrościł Rosjanom spiżowej mowy w poezji i sam trochę marzył, żeby polszczyzna literacka też miała spiżowy ton. Co dzisiaj jego wierszom, niestety, nie pomaga, choć są mądre, piękne i głębokie.

*Stefan Chwin*

### Aleksander Fiut

## Dylematy Miłosza

Nie potrafię wskazać, która z książek Czesława Miłosza była dla mnie najważniejsza. Każda była ważna na inny sposób i każda stanowiła innego rodzaju wtajemniczenie. Oczywiście, najważniejsza była poezja! Jednakże, z uwagi na moją historycznoliteracką profesję, szczególnie odświeżająco podziałała na mnie także lektura znakomitych esejów o Teodorze Bujnickim i Józefie Czechowiczu, dzięki której – poprzez gęstość nasyczonego zmysłowym szczegółem mikrosocjologicznego opisu – mogłem zupełnie inaczej zobaczyć okres dwudziestolecia, już poza schematycznymi podziałami na okresy, kierunki, tendencje i grupy poetyckie. Po przeczytaniu *Zniewolonego umysłu* lepiej uświadomiłem sobie, jak działa mechanizm sprzymierzonej z ideologicznym kłamstwem zbiorowej hipokryzji, z którą miałem do czynienia od lat szkolnych. Ale dopiero po wielu latach uświadomiłem sobie, jak dalece kolejne studia eseistyczne Miłosza opisują i dogłębnie analizują jego – ale w pewnym stopniu będące i moim udziałem – zmaganie się z diabelskimi pokusami



dwudziestego wieku: *Zniewolony umysł* i *Rodzinna Europa* z uwalniającą od poczucia bezsensu, pokusą ideologicznych urojeń, *Widzenia nad Zatoką San Francisco* – z apelującą do zmysłowych wyłącznie olśnień, pokusą New Age, *Ziemia Ulro* z pokusą ucieczki od potworności istnienia w mistycyzm, który niebezpiecznie graniczy z szaleństwem. W tych zmaganiach Miłosz pozostaje wprawdzie wierny katolicyzmowi, ale, wrażliwy jednocześnie na zniewalające uroki życia, wewnętrznie rozdarty, zapowiada także dylematy, które drążyć będą epokę postchrześcijaństwa.

Być może dlatego najbardziej podobają mi się z jego wierszy: *Rozmowy na Wielkanoc 1620 roku*, *Annalena*, *Wyznanie* i *Jasności promieniste*.

Aleksander Fiut

## Olga Glondys

### Idee Miłosza

Wbrew prawdopodobnie woli samego Miłosza, najważniejszą jego książką jest dla mnie *Zniewolony umysł*. Utwór nie tylko spełnił w swym czasie szczytną rolę informowania światowej opinii o skomplikowanej rzeczywistości społeczno-intelektualnej panującej w krajach znajdujących się pod wpływem Związku Radzieckiego, ale zrobił to w sposób niezależny wobec dominujących prądów ideologicznych ówczesnej epoki, ryczącej systemami propagandy.

*Zniewolony umysł* nie był produktem zimnowojennym, jednak nie tyle ze względu na poruszoną tematykę, gdyż podobne studia na temat sytuacji i misji intelektualistów wobec społeczeństwa, i w kontekście totalitaryzmu, należały do najbardziej rozpowszechnionych w początkowych latach zimnej wojny. Jednak książka Miłosza przełamała konwencję obowiązującą w zachodnich środowiskach antykomunistycznych, nie potępiając w sposób banalny Inteligencji z za żelaznej kurtyny. Autor nie krytykował, lecz starał się wytłumaczyć skomplikowane uwarunkowania rozwoju ideologii komunistycznej wśród intelektualistów ze Wschodu i przekazać czytelnikowi zachodniemu, do którego zwrócona była książka, na czym polegał proces nawracania się na marksizm. W swoich rozmowach z Aleksandrem Fiutem Miłosz wspomina,

że *Zniewolony umysł* pisany był pod przymusem bólu oraz rozdarcia, zaś w *Roku myśliwego* proces powstawania studium określa jako próbę wydostania się z „korkociągu” ideologii.

W swoich rozmowach z Renatą Gorczyńską Miłosz podkreślał że tematy socjologiczno-polityczne to nie jego specjalność i że, po napisaniu *Zniewolonego umysłu* zrobił wszystko, aby się „wymanewrować” z robienia lewicowej krytyki komunizmu i stania się „ekspertem od komunizmu”, jak inni polityczni uchodźcy. Przez lata, konsekwentnie, Miłosz uciekał od sfery polityki i propagandy zimnowojennej. Był świadomy, że w zimnej wojnie chodziło przede wszystkim nie o militarną siłę, ale o model człowieka, o głębokie starcie ideologii i wartości. Dlatego też jego analizy poświęcone problemom politycznym i ideologicznym w *Zniewolonym umyśle* zawsze dotyczą ich właściwej substancji, to znaczy, ich treści moralnej. W swoich pismach z tamtego okresu, których najważniejszym przykładem jest *Zniewolony umysł*, zadawał kluczowe pytanie o to, jakie konkretnie wartości, jaki typ Wolności, może zaoferować Zachód intelektualistom ze Wschodu, bowiem w tym nieuchronnym zderzeniu Zachodu ze Wschodem chodziło Miłoszowi o głębokie pytania i o konieczność znalezienia na nie odpowiedzi.

To nie przypadek, że sam Miłosz wskazuje, w rozmowach Gorczyńskiej, na swój tomik poezji, *Traktat moralny* (1947), jako szkic do *Zniewolonego umysłu*. Walka o uchwycenie własnej autentyczności i ontologicznej istoty opisywanych zjawisk uwidacznia się nie tylko w poezji noblisty, ale także i w jego esejach, i najważniejszym tego przykładem jest *Zniewolony umysł*. W ten sposób, Miłosz stworzył książkę ponadczasową, świadomie sytuując ją ponad wszelkim manicheizmem, operując niuansami, delikatnością i potrzebą zrozumienia psychologicznych i filozoficznych uwarunkowań intelektualistów, którzy byli ofiarami kataklizmów cywilizacyjnych XX wieku. Najwybitniejsze i najbardziej prawe umysły tamtej epoki, politycznie należące do różnych frakcji, poświęciły książce słowa podziwu. Karl Jaspers, Alberto Moravia, Benedetto Croce, Albert Camus, Albert Einstein czy Dwight McDonałd zobaczyli tu głos niepowtarzalny i poruszający najgłębsze pokłady myśli i uczucia. Nadrzędnymi ideami tej wybitnej książki, która do tej pory jest wzorem niezależności i prawości myśli, są idee Prawdy i Sprawiedliwości, które w swym słynnym *Liście do Rodaków* (1951), noblista uznał za przewodnie i najważniejsze dla siebie.

Olga Glondys

*Michał Głowiński*

## Poezja a dyskurs publiczny (wokół dwu wierszy Czesława Miłosza)

Jest to jedna z podstawowych kwestii dla polskiej literatury i jej funkcjonowania przynajmniej od czasów romantyzmu: w jakim stosunku poezja pozostaje do dyskursu publicznego, tego, który odnosi się do spraw ideowo i moralnie najważniejszych, odznaczających się najwyższą doniosłością – w wymiarze intelektualnym i społecznym, politycznym i kulturowym. Może tu chodzić zarówno o to, w jaki sposób ona elementy tego dyskursu przejmuje, przekształca i sobie przyswaja, ale też jak na niego oddziałuje, jaki wpływ wywiera, jak go sobie – przynajmniej w pewnych wypadkach czy okolicznościach – podporządkowuje. W szkicu tym interesuje mnie wyłącznie ów aspekt drugi.

Sprawę tę w istocie nieustannie się rozważa w polskiej nauce o literaturze, aczkolwiek rozmaicie bywa nazywana (ważna pozostaje ona także dla historii idei). Kiedy i w jakiej postaci to, co pojawiło się w języku poezji romantycznej, stało się jednym z głównych elementów polskiego dyskursu publicznego? Ale też nie można zapominać o zjawisku przeciwnym, czyli pomijając pytania: kiedy, dla kogo, w jakiej sytuacji język ten stał się negatywnym punktem odniesienia, a więc również oddziaływał, choć w innej formie – poprzez zaprzeczenia, refutacje, negatywne oceny. Oddziaływanie poezji na dyskurs publiczny jest problemem aktualnym także współcześnie. Niewątpliwie tę właśnie kwestię miała na myśli Maria Janion, gdy przed kilkunastu laty ogłosiła zmierzch paradygmatu romantycznego, nie chodziło przecież o poezję romantyczną w ścisłym sensie, bo jej pozycji nic nie zagrażało i nadal nie zagraża. Jest to wciąż problem aktualny także w tym sensie, że powraca w różnych formach, niekoniecznie musi być pochodną wielkiego romantyzmu. Poetą, który oddziałał i nadal oddziałuje na dyskurs publiczny jest Czesław Miłosz – nie tylko dlatego, że polemizuje z paradygmatem romantycznym w wypowiedziach programowych czy publicystycznych, pośrednio zaś – w utworach poetyckich, nie tylko z tej racji, że programowo odrzuca jedną z postaci tego dyskursu (nacjonalistyczną), przede wszystkim z tego powodu, że sam tworzy nowe wzory mówienia, sam wypracowuje język, który okazuje się istotny nie tylko jako przekażnik poetyckiej ekspresji, ale

potencjalne narzędzie debaty politycznej, ideowej, historycznej. Tak właśnie się stało w przypadku, który mnie w tym szkicu interesuje.

*Campo di Fiori* i *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*<sup>1</sup> to dwa wielkie wiersze, wielkie jako niezwykle utwory poetyckie, ale również jako pewna propozycja mówienia o Zagładzie. Wierszy o niej w języku polskim powstało dużo, tak w czasie jej trwania, jak w latach powojennych. Powstają do dzisiaj. Jeśli o tę wczesną twórczość chodzi, to należy podkreślić, że wiersze powstawały – by tak powiedzieć – po obu stronach muru. Pisali je ci, których w tej przestrzeni zamkniętej uwięziono i skazano na śmierć, pisali ci, którym przypadła rola współczującego świadka. Po obu stronach była to twórczość wysoce zróżnicowana, jeśli się zważy, że poezję skazanych reprezentują zarówno wyrastające ze wzorców skamandryckich wiersze Władysława Szlengla, jak wywodzący się z tradycji lamentu poemat Icchaka Kacnelsona. Podobne, niekiedy mocno zaawansowane zróżnicowania ujawniają się wśród utworów powstających – użyję formuły zaczerpniętej z języka lat okupacji – po aryjskiej stronie. Obydwa wiersze, o których będzie tu mowa, są na tym tle zjawiskiem niezwykłym.

W rozmowach z Renatą Gorczyńską Miłosz wyznaje:

„Ponieważ napisałem pewną ilość wierszy, które są w jakiś sposób publicystyczne, dajmy na to *Głosy biednych ludzi* czy *Campo di Fiori*, więc jest cała szkoła, która chce ze mnie zrobić barda ideologicznego. (...) To nie jest mi całkowicie do smaku”<sup>2</sup>.

Dalej zaś powiada:

„(...) weźmy pod uwagę jak bardzo dużo jest publicystyki, która wynika z odruchu moralnego. Publicystyka jest wtedy protestem, wynika z *moral indignation*. Niekoniecznie można z tego wyciągać jakieś wnioski. Bo jakie? Dla mnie ten wiersz jest trochę drażliwy. Niedawno ukazał się jego przekład hebrajski. Dlaczego mówię, że *Campo di Fiori* jest w pewnym sensie wierszem publicystycznym? Dlatego, że można z niego wyciągać jakieś wnioski. Po pierwsze, że jest horror nazizmu, a po drugie, że jest obojętność warszawskiej ulicy. Zapyta pani, czy rzeczywiście taka była wtedy ulica warszawska. I była, i nie była. Była, bo w okolicach getta kręciły się karuzele; i nie była, bo w innych okolicach, w innych momentach Warszawa była inna, więc nie

<sup>1</sup> Korzystam z wydania: Czesław Miłosz, *Wiersze*, tom 1, Kraków 2001.

<sup>2</sup> Renata Gorczyńska, *Podróżny świata, Rozmowy z Czesławem Miłoszem, Komentarze*, Kraków 1992.

chodzi o jakieś oskarżanie. No, ale to wiersz napisany jako zwyczajny odruch ludzki wiosną 1943 roku”<sup>3</sup>.

Komentarze Miłosza do *Biednego chrześcijanina* są i mniej wyczerpujące, i – chciałoby się powiedzieć – mniej zobowiązujące, mimo że to wiersz znacznie bardziej skomplikowany i bez porównania trudniejszy do interpretacji niż *Campo di Fiori*. Trudniejszy z wielu względów, także dlatego, że nie jest utworem samodzielnym, stanowi ogniwo cyklu *Głosy biednych ludzi* (tym jego kontekstem nie będę się tutaj zajmował). Przede wszystkim jednak ze względu na rozbudowaną symbolikę, nie zawsze jasną. Poeta mówi o przestrzni eschatologicznej i odwołaniach do Starego Testamentu, ale w istocie powstrzymuje się od skomentowania głównego w tym wierszu symbolu, a mianowicie strażnika – kreta. Uszanujmy powściągliwość poety i nie wdawajmy się w szczegółowe rozważania – z dwóch całkiem różnych powodów: po pierwsze dlatego, że trudno założyć, że doprowadzą one do racjonalnych, nie budzących zastrzeżeń wniosków, po drugie z tej racji, że przedmiotem i celem tego szkicu nie jest szczegółowa interpretacja obydwu wierszy, chodzi o spojrzenie na nie pod całkiem innym kątem widzenia.

Warto rozważyć kwestię, podniesioną przez poetę, i zapytać, czy są to w istocie wiersze publicystyczne. Od razu wszakże chciałbym zastrzec, iż na tak postawione pytanie jednoznacznej i natychmiastowej odpowiedzi nie ma. Nie ma z powodu najprostszego, albowiem kategoria „poezji publicystycznej” nie jest jasno określona i może być rozumiana na różne sposoby. Miłosz – jak się zdaje – pojmuje ją bardzo szeroko, w tym sensie wierszami publicystycznymi byłyby te wszystkie utwory poetyckie, które nie ograniczają się do mówienia ściśle osobistego, nie stanowią uogólnionych refleksji, odnoszą się w ten czy inny sposób do aktualnych spraw społecznych i politycznych, do wydarzeń z jakichś powodów ważnych w życiu publicznym. Takie ujęcie jest zdecydowanie zbyt szerokie, „poezja publicystyczna” obejmowałaby wszystko, co wykracza poza granice liryki w ścisłym tego słowa znaczeniu osobistej, medytacyjnej czy opisowej. Poezja publicystyczna nie tylko mówi o wydarzeniach aktualnych, ale bezpośrednio się w nie włącza, ma na nie jawnie oddziaływać, choćby siłą perswazji. Dwa wspaniałe wiersze Miłosza warunku tego nie spełniają, w obydwu rozważana jest pewna aktualna sytuacja, przede wszystkim zaś – jej konsekwencje moralne. Ważne jest w nich nie informowanie o tym, co się dzieje, nie agitacja, nakłaniająca do zajęcia

<sup>3</sup> Tamże.

wobec wydarzeń określonego stanowiska, mniej lub bardziej jednoznacznie wskazywanego, chodzi o ujęcie czegoś, co ma nie tylko wymiar konkretny, ale także sens ogólny. Tę właściwość poezji Miłosza świetnie przedstawił Zdzisław Łapiński właśnie w związku z *Campo di Fiori*:

„Nakładanie się w tym wierszu dwu, niewspółmiernych zresztą, zdarzeń dziejowych (płonące warszawskie getto i stos Giordana Bruna) ma wydobyć spod zmiennych okoliczności pewien czynnik wspólny, cierpienie i samotność. Wiersz ten zapoczątkował cały szereg utworów, w których przeszłość napełnia się sensami nowymi, a dzień dzisiejszy uzyskuje należny dystans przez odniesienie do innych punktów w ewolucji narodów, społeczeństw, cywilizacji”<sup>4</sup>.

To właśnie dążenie do ogólności, nie naruszające zresztą w niczym konkretnu, jaki stanowi bezpośredni przedmiot wypowiedzi, jest jednym z tych czynników, które sprawiają, że należy tu mówić o poezji moralistycznej – i powodują, że określenie „poezja publicystyczna” nie byłoby właściwe. Miłosz nie poucza i nie opiewa, nie uprawia dydaktyki. Jest poetą moralistycznym, stawiającym problemy o najwyższej doniosłości, także za sprawą nakładania się na siebie dwu rzeczywistości historycznych wirtualny czytelnik ma zrozumieć moralny sens utworu. A w istocie sensy, bo chodzi nie tylko o samotność w momencie gwałtownej śmierci, zarówno gdy jest ona zadawana indywidualnie na rzymskim placu, na którym płonie stos, jak zbiorowo w warszawskim getcie, gdy zabija się całą społeczność. Chodzi o postawę tych, których mordowanie przynajmniej w tej skali i w danym momencie nie obejmuje, mogą to być przypadkowi przechodnie, mogą to być wręcz miłośnicy tego rodzaju scen, chętni widzowie egzekucji (w dawnych czasach ich nie brakowało). Ci, którzy nie chcą zrezygnować ze swojej codzienności, a nawet – z zabawy. Chodzi jednak o coś więcej niż tylko o przepaść dzielącą świadomie zaplanowaną zbrodnię od widowiska, ważne jest przeciwstawienie tego, co ostateczne, temu, co ulotne i momentalne, najczęściej nie związane z głębszą refleksją (lub jakąkolwiek). Przy takim założeniu można by oczekiwać, że tu właśnie odezwie się paradygmat romantyczny, nasycony takimi przedstawieniami jak wielka cierpiąca jednostka (lub społeczność) wobec obojętnego lub nienawistnego tłumu, jak ofiara ponoszona w imię wyższych racji, niczego takiego jednak w obydwu wierszach nie ma. Jest

<sup>4</sup> Zdzisław Łapiński, *Między polityką a metafizyką. O poezji Czesława Miłosza*, w tomie zbiorowym *Poznanie Miłosza 2, część pierwsza 1980–1998*, pod redakcją Aleksandra Fiuta, Kraków 2000.

pewna straszna sytuacja historyczna i egzystencjalna – i związany z nią problem moralny. Nawet sposób ujęcia daleki jest od wzorców romantycznych, zwłaszcza w *Campo di Fiori*. Jeśli miałbym określić strukturę gatunkową tego utworu, powiedziałbym, że jest to podwójna przypowieść, lub też przypowieść w przypowieści. Cały tekst jest swojego rodzaju przypowieścią, ale w obrębie tego, co Łapiński nazwał nakładaniem, pojawia się przypowieść o tym, jak na rzymskim placu lud zareagował na stos, na którym palono Giordana Bruna. Więcej, mamy tu do czynienia z czymś, co można określić jako meta-przypowieść. Morał nie jest wprawdzie koniecznym elementem paraboli, konieczny jest jednak pewien sens ogólny. Miłosz do niego się odwołuje – w formie przypuszczenia:

Morał ktoś może wyczyta,  
Że lud warszawski czy rzymski  
Handluje, bawi się, kocha  
Mijając męczeńskie stopy.  
Inny ktoś morał wyczyta  
O rzeczy ludzkich mijaniu,  
O zapomnieniu, co rośnie,  
Nim jeszcze płomień przygasnął.

Podobna postawa, choć w sposób dużo bardziej zapośredniczony i skomplikowany, ujawnia się także w *Biednym chrześcijaninie*. Czy można być widzkiem, świadkiem, obserwatorem wówczas, gdy dzieją się rzeczy straszne? To pytanie ma – jak się zdaje – w przypadku Miłosza charakter wysoce osobisty, choć w sposób dyskretny czy wręcz utajniony. Jest ono formułowane w języku moralistyki i na taką odpowiedź czeka, zwłaszcza że nie dotyczy ono konkretnej osoby, adresowane jest w istocie do wszystkich po aryjskiej stronie muru.

W tym miejscu właśnie możemy powrócić do naszego problemu głównego: relacji zachodzących między poezją a dyskursem publicznym, do sprawy jej oddziaływania na rozmaite jego postacie. Omawiany przypadek ujawnia funkcję najbardziej oczywistą czy najbardziej elementarną: poezja jest wielką dostarczycielką symboli, czyli – w tym wypadku – pewnych wyobrażeń i obrazów, których sens staje się zrozumiały niezależnie od pierwotnego kontekstu. O karuzeli kręcącej się nieopodal getta w okresie wielkanocnym roku 1943, gdy ono płonęło, a ci, którzy pozostali po rozpoczętych w lipcu 1942 wywózkach do Treblinki, byli mordowani, słyszało niewątpliwie także wielu tych, którym nie dane było zetknąć się z wierszem Miłosza, nie tylko go

nie czytali, ale także nie są świadomi, że został on napisany. Gdyby wiersza Miłosza nie było, o karuzeli pojawiałyby się – być może – wzmianki w jakichś wspomnieniach, w takiej czy innej specjalistycznej pracy opowiadającej o okupowanej Warszawie, nie miałyby ona jednak tego znaczenia, jakie zyskała, funkcjonowałyby co najwyżej na poziomie przyczynku. Piszą o niej historycy i kronikarze, piszą publicyści, zajmujący się sprawami polsko-żydowskimi, piszą – i to może jest najważniejsze – świadkowie. Pojawiają się wypowiedzi, zmierzające do unieszkodliwienia tego symbolu, utrzymuje się w nich, że niczego takiego nie było, a cała sprawa to tylko fantazja nieodpowiedzialnego poety, szkalującego naród polski i wrogię Polsce. Analiza dyskusji wokół karuzeli na placu Krasieńskich A.D. 1943 dałaby niewątpliwie ciekawe rezultaty, nie tu jednak na nią miejsce. Dla naszych celów wystarczy stwierdzenie, że poeta przeniósł pewien fakt czy pewien przedmiot z kręgu konkretnego w sferę symboli o wielkiej wadze i wielkiej nośności. Ukształtował symbol, który implikował pewne pytania i refleksje, ale też został utworzony w pewnym języku. Nazwiemy symbol ów moralistycznym. Karuzela na zasadzie *pars pro toto* stała się wielkim polskim problemem.

Doskonale był tego świadom Jan Błoński w swym klasycznym eseju *Biedni Polacy patrzą na getto*<sup>5</sup>. Już tytuł stanowi parafrazę tytułu wiersza Miłosza, chodzi wszakże o coś dużo więcej. Błoński kontynuuje to, co w obydwu wierszach było wielkim czynem i wielkim odkryciem Miłosza – o stosunku polskim do Zagłady mówi się w języku moralności. Nie chodzi ani o oskarżanie, ani o apologię, na wokandzie jest zrozumienie moralnego wymiaru sprawy. Pod tym względem nie straciła ona na aktualności, przeciwnie jej aspekt współczesny dostrzegalny jest gołym okiem. Mówienie o stosunku do Żydów i do Zagłady jako o kwestii moralnej, co tak istotne w obydwu wierszach Miłosza, stało się – między innymi dzięki Błońskiemu – sprawą polskiego dyskursu publicznego<sup>6</sup>. Dyskursu, który nabiera stopniowo większej wagi w związku z ujawnianiem coraz to nowych faktów, nie zawsze chwalebnych, na przykład tego, co się działo na wielu polskich wsiach<sup>7</sup>. Mi-

<sup>5</sup> Jego pierwodruk ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” 1987 nr 2, potem był wielokrotnie przedrukowywany, a także tłumaczony. Stanowi on tytułową pozycję książki Błońskiego zbierającej jego artykuły na tematy relacji polsko-żydowskich (pierwsze wydanie Kraków 1994). Tutaj odwołuję się do tej edycji. Zob. także mój artykuł *Esej Błońskiego po latach*, opublikowany w roczniku „Zagłada Żydów”, tom 2 z roku 2006.

<sup>6</sup> Znaczącym jest fakt, że obydwie omawiane wiersze zostały przedrukowane w opracowanej przez Adama Michnika antologii *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009*, Kraków 2010, tom I.

<sup>7</sup> Zob. Barbara Engelking, *Jest taki piękny słoneczny dzień... Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945*, Warszawa 2011.



łosz jest jednym z głównych fundatorów tego dyskursu, który także obecnie nie tylko budzi sprzeciwy, ale jest gwałtownie refutowany. Jest odrzucany, bo pojawiają się w nim niewygodne pytania, zakładające refleksję moralną, do której nie chce się dopuścić, gdyż samo jej sformułowanie narusza dobre samopoczucie i kwestionuje stereotypy, którym nadano moc obowiązującą. Wywodzący się z ducha Poety esej Błońskiego (podobnie jak słynny tekst Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*) kwestionowali zwolennicy tak zwanej polityki historycznej, o stosunku zaś do Czesława Miłosza ugrupowań skrajnie prawicowych świadczą awantury wokół jego pochówku, ostatnio zaś sejmowe protesty posłów w rodzaju Anny Sobeckiej przeciw ogłoszeniu roku 2011 Rokiem Miłoszowskim.

Michał Głowiński

*Renata Gorczyńska*

## Małe Miłosziana

Najchętniej zrobiłabym na własny użytek *Małe Miłosziana*, złożone z wierszy i poematów, do których stale wracam i które nieodmiennie mnie poruszają, zachwycają, a niekiedy i rozśmieszają. Bo przecież ich autor miał bardzo specyficzne poczucie humoru, czemu niekiedy dawał wyraz także w swojej poezji.

Z *Trzech zim* wybrałabym mediumiczne *Bramy Arsenatu*, z Ogrodem Luksemburskim w tle. To dla mnie nadal nie do końca jasny wiersz, ale właśnie dlatego zmusza do kolejnych lektur i hipnotyzuje rytmem. Z *Ocalenia* z pewnością wzięłabym do tej osobistej antologii *Campo di Fiori* i cykl *Głosy biednych ludzi*. Właśnie wyczytałam, że *Przedmieście* było pierwszym – i przez długie lata jedynym – wierszem Miłosza przetłumaczonym na angielski.

*Światło dzienne* to dla mnie przede wszystkim gorzko-ironiczne *Dziecię Europy* i *Mittelberheim*, wiersz przełomu po okresie niemocy twórczej związanej z decyzją o emigracji. Z *Króla Popiela* i innych wierszy mój wybór padłby na *Nie więcej* inspirowany obrazem Carpaccia i poemat *Po ziemi naszej* ze wspaniałym otwarciem wyobraźni poety na Kalifornię i nałożonymi na tę wizję obrazami prowincji litewskiej. Na wieczorach autorskich w Ameryce

Miłosz zawsze czytał fragment o chomiku, wywołując salwy śmiechu. Dla Konstantego Jeleńskiego tych sześć wersów zasługiwało na miano arcydzieła.

Tytułowy poemat z *Gucia zaczarowanego* należy do najbliższych mi utworów poetyckich Miłosza, a jego pierwszą linię, „Pochyłe pola i trąbki”, uważam za czystą magię, osiągniętą najprostszymi słowami. Ze wspomnienia dziecięcej lektury o chłopcu zamienionym w muchę poeta uczynił majstersztyk. Dołączyłabym też *Dytyramb* z tego tomu, pisany wierszem whitmanowskim.

*Miasto bez imienia* zawiera tak potężny ładunek poezji, że umieściłabym je niemal w całości moich *Małych Miłoszianów*, zwłaszcza tytułowy poemat, skrzący się różnorodnością form, zmiennością rytmów, wyrafinowanymi stylizacjami. Równie silnie porusza mnie cykl *Na trąbach i na cytrze* pisany charakterystycznym dla tego tomu werselem biblijnym. I *Ars poetica?*, wiersz z dorobku Miłosza najczęściej umieszczany w antologiach poezji współczesnej w USA. Nie sposób pominąć też jednego z najbardziej gorzkich jego utworów, *Moja wierna mowa*, powstałego w reakcji na prześladowania po Marcu '68.

Miłosz napisał w swoim długim życiu szereg wierszy elegijnych. W moim mniemaniu *Elegia dla N.N.* zajmuje wśród tych utworów pozycję wyjątkową, także dlatego, że jest rodzajem dialogu ze zmarłą, miłością jego młodych lat. Z tomu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* wzięłabym także do mojej prywatnej antologii cały tytułowy poemat, uważany przez wielu krytyków za szczytowe osiągnięcie poetyckie Miłosza. Jego ostatnia część, *Dzwony w zimie* jest dla mnie niezrównaną symfonią dźwięków i obrazów.

W *Hymnie o perle* poeta umieścił nie tylko *Czarodziejską górę*, *summę* doświadczeń „ciemnowielmożnego profesora Miłosza” w Kalifornii, ale i cykl *Osobny zeszyt*, w którym wiersze sąsiadują z fragmentami prozy – wypisami ze starych kronik, listów, wspomnień. Pomagałam Robertowi Hassowi w tłumaczeniu go na angielski, więc pewnie dlatego tak mocno wrył mi się w pamięć, zwłaszcza część *Przez galerie luster* i *Gwiazda piołun*. Z tego tomu pochodzą również *Rue Descartes* i *Rzeki*, wielkie wiersze napisane przez Miłosza tuż przed przyznaniem mu literackiego Nobla.

*Nieobjęta ziemia* wnosi nowy ton do poezji Miłosza. Odwołuje się w większym stopniu do biografii własnej, zawiera śmiałe erotyki (zmysłowość *Annaleny*, napisanej zresztą dużo wcześniej niż cały tom, nie ma sobie równych w jego twórczości) i jest wyrazem jego bliskości z ludźmi, zwłaszcza z kobietami, uwolnieniem od nawiedzającego go niekiedy mizoginizmu. Do *Małych Miło-*

szianów, które rozrosły się już w mojej wyobraźni do dużej księgi, włączyłabym prócz *Annaleny* poemat *Ogród ziemskich rozkoszy*, inspirowany obrazem Hieronima Boscha oglądanym w Prado w towarzystwie jego hiszpańskich wydawczyń, oraz *Poetę siedemdziesięcioletniego*, autoportret ekstatyczny.

Z *Kronik* mój subiektywny, nie ukrywam, osąd, każe mi wybrać pełen czułości *Portret z kotem*, przewrotne *Wyznanie* i tragicomiczny wizerunek *Pana Anusewicza*.

W *Dalszych okolicach* chyba najbardziej mnie poruszyła *Fotografia*, wiersz głęboko osobisty i elegijny, oszczędny w formie, napisany na wieść o śmierci ukochanej z czasów wileńskich. W tomie *Na brzegu rzeki* najważniejsze jest dla mnie poetyckie świadectwo z wizyty Miłosza w stronach rodzinnych, a więc poemat *Litwa po pięćdziesięciu dwóch latach* i *W Szetejniach*.

Z *To* na pewno włączyłabym do *Małych Miłoszianów* wiersz tytułowy, ale zaraz potem – *Uczciwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky na lotnisku, dajmy na to w Minneapolis*, autoszydercze wyznanie. Oraz wiersze z „O!” w tytule – refleksje nad obrazami oglądanymi w muzeach, częste w całej twórczości poetyckiej Miłosza (warto by kiedyś wydać taki wybór jego wierszy z reprodukcjami tych dzieł). Dodałabym też *Ogrodnika* – kolejną medytację nad Rajem oraz grzechem Adama i Ewy, pary często przywoływanej w jego poezji i *Jasności promieniste*, zwięzłe i cudownie proste błogosławieństwo dla Ziemi i ludzi.

Z ostatniego tomu wydanego za życia poety, *Drugiej przestrzeni*, wybrałabym ze względu na wagę tematu *Traktat teologiczny*, a także *Oczy* – apostrofe do naczelnego zmysłu Miłosza, nieodwołalnie tracącego wzrok i *Notatnik* z głęboko poruszającymi wersami, jak choćby ten: „Powiniennem już umrzeć, a ciągle nieskończona praca”.

Wykoncypowałam sobie tę prywatną antologię wierszy Miłosza, bo nie umiem wskazać jednej książki jego autorstwa do powyższej ankiety. A gdybym mimo wszystko miała wymienić tylko kilka tytułów zbiorów poetyckich, odpowiedziałabym: *Miasto bez imienia* i *Gdzie wschodzi słońce...*

„W snach powracają do mnie lata na obczyźnie. / I tylko wtedy wiem, ile cierpiałem” – napisał Miłosz w późnym wierszu *Emigrować*. A jednak tam powstały jego najwspanialsze utwory poetyckie.

Renata Gorczyńska

Henryk Grynberg

## Mistrz pokonanej rozpacz

Poeta, pisarz, artysta chce, żeby każde jego kolejne dzieło było ważniejsze od poprzedniego. Miłosz jest jednym z nielicznych, którym to się przeważnie udawało. Po *Ziemi Ulro*, wczesnym testamencie, w którym zapisał nam uniwersalną krainę wydziedziczenia, myślałem, że już nic więcej nie można, a potem przeczytałem *Nieobjętą ziemię* o „kosmicznej nieobjętości”, gdzie pogłębia „poznanie dobra i zła” i okazało się, że można. Był bardzo zadowolony, kiedy mu to powiedziałem. Po latach w jeszcze większe zdumienie i zachwyt wprawilo mnie *To*. Także *Orfeusz i Eurydyka*, małe arcydzieło napisane z mistrzowską precyzją i niezwykłą w tak późnym wieku siłą, które czytałem przez łzy, bo znałem jego Eurydykę i podobnie straciłem swoją. A ostatnio przeczytałem jego tysięczstronicowe *Rozmowy polskie* (Wydawnictwo Literackie 2010) i również tę księgę zaliczam do najważniejszych, bo nie całkiem zna Miłosza, kto jej nie czytał.

W obliczu starości i spraw ostatecznych coraz ważniejsze jest dla mnie *To*. Z „wyjaśnieniem”, że „*To* jest podobne do myśli bezdomnego, kiedy idzie po mroźnym, obcym mieście. // I podobne jest do chwili, kiedy osaczony Żyd widzi zbliżające się / ciężkie kaski niemieckich żandarmów”.

I z bardzo ważnym dla mnie potwierdzeniem, że (wbrew nonszalancji i karkołomnym sztuczkom postmodernistów) „istnieje prawda obiektywna”, a „prawdomówność jest dowodem wolności”.

Byłem dosłowniej niż on „karany za to, że żyję” i tym bardziej „...ledwo mogę uwierzyć / Że udało mi się przeżyć życie”.

Podobnie jak jego „wywiało mnie za morza i oceany”, tylko bardziej ostatecznie. Nazywa siebie „mistrzem pokonanej rozpacz”, którym niewątpliwie jest. Radzi „wydobyć się z myśli o własnej osobie” – staram się korzystać z tej dobrej rady. Nie mogę jak on powiedzieć, że „żyć nauczyłem się z moją rozpaczą”, ale robię, co mogę.

Uważał, że „sztuka stoi wyżej niż filozofia” i nie chciał być filozofem, ale był. Filozofia jest obecna w prawie całej jego poezji i prozie i nie znam nikogo – może z wyjątkiem Herberta – kto tak umiejętnie (i z tak dobrym smakiem) godzi te muzy. Niełatwo odpowiedzieć na pytanie niniejszej ankiety. Powiem więc tylko, że *Ziemia Ulro* jest dla mnie najważniejszym traktatem filozoficz-

nym, a *To* najważniejszym traktatem poetyckim i teologicznym, który pomaga pokonać rozpacz.

Henryk Grynberg

Jacek Gutorow

## Ilekoć ktoś pyta o ulubione wiersze i tomy Miłosza...

Ilekoć ktoś pyta o ulubione wiersze i tomy Miłosza, próbuję wytłumaczyć się z zakłopotania, w jakie wprawia mnie ta kwestia. Oczywiście mam kilka ukochanych wierszy, a do pewnych książek powracam z nieco większą niż zazwyczaj częstotliwością – dorobek Poety jest tak wielki i różnorodny, że każdy może wybrać coś dla siebie. Ale prawdą jest także, że gdybym miał wskazać na książkę stanowiącą dla mnie esencję Miłoszowej poezji, wskazałbym na puste miejsce na półce. Mówiąc inaczej, odniósłbym się do książki nieistniejącej, książki z wierszami nienapisanymi, tkwiącymi pomiędzy wersami istniejących tekstów, a zarazem nietkwiącymi w ogóle, bo po prostu niebyłymi.

Wyobrażam sobie, że byłyby to wiersze napisane trybem odroczenia, transliteracji, wymazania, trybem, który moglibyśmy skojarzyć z konwencją apokryfu, gdyby tylko istniała właściwa wersja wydarzeń, co jest wątpliwe. Czysta spekulacja? Być może. Jednak raz po raz trafiam u Miłosza na momenty, kiedy mowa poetycka zdaje się zablizniać jakieś rany, o których jednak Poeta nie mówi. Rany też posiadają swój język, który jednak nie znajduje ujścia w słowach. Mam wrażenie, że wiele z tego, co przez Miłosza niewypowiedziane, jest po prostu tak szczelnie i hermetycznie zawinięte w sobie, tak wsobne i wewnętrzne, że wyklucza możliwość ekspresji i komunikacji. Co pozostaje? Gładka powierzchnia wiersza, piękno skoncentrowane w kilku metaforach, poezja nasycona, zaokrąglona i budująca.

Nie przypadkiem użyłem słowa „hermetyczny”. Hermetyczny, a więc opierający się słowom i rozumieniu. Wiadomo, jak zdecydowanie Miłosz występował przeciwko tak zwanej poezji niezrozumiałej. Ale im wyraźniej podkreślał potrzebę jasności i przejrzystości, im staranniej formułował zdania

i okresy, tym więcej zapieczętowanych, niezabliźnionych słów pozostawało w odwodzie. Przez całą twórczość Poety ciągnie się smuga apokryfów – wierszy, które mogły zostać napisane, które prawie zostały napisane, a ich zapowiedź bądź podzwonne odnajdujemy w tekstach dobrze, może aż za dobrze znanych. Tych wierszy nie ma, ich status przypomina egzystencję nienarodzonej istoty. Ale dają o sobie znać, zwłaszcza wtedy – a takie chwile zdarzają mi się w trakcie lektury Miłosza nader często – gdy wyczerpaniu ulega narracja utworów napisanych i opublikowanych, gdy coś w nich się kończy, coś rozwiewa, i pozostajemy z poczuciem minięcia się z odrzuconymi, zlekceważonymi, pogrzebanymi słowami.

Miłosz nie miał racji. Dobre wiersze nigdy nie są zrozumiałe. Jest w nich zawsze jakiś naddatek, skaza, coś milczącego jak zakłęcie (a czasem rozgadane go na potęgę, po to tylko, aby zakryć własną istotę). Coś, co może spowodować odwrócenie sensu wiersza albo nawet jego zapadnięcie się. To coś niezapisanego, a więc niedającego się odczytać i zinterpretować, pusta przesyłka, słowo, które zawsze mamy na końcu języka, ale nigdy go nie wypowiadamy. Z pewnością nie chodzi tutaj o przeżycie mistyczne. Raczej błąd w systemie bądź niewyczuwalny skok ciśnienia. W dobrze naoliwionym mechanizmie coś umyka, zgubiony zostaje jeden takt, na tyle nieistotny, że nikt nie przykłada do tego faktu znaczenia. Wiersz toczy się dalej, rozlewa jak rzeka, obejmując sobą jak najwięcej rzeczywistości. Ale język pozostaje nieprzenikniony; jest w nim jakaś karta niewyłożona na stół i na niej mam ochotę zatrzymać swoją lekturę Miłoszowych wierszy.

Zawsze chcę się znaleźć na antypodach tej poezji, w świecie w dużej mierze zmyślnym, fikcyjnym, ale kto wie, może przez to bardziej prawdziwym? Czasami chodzę z tymi wierszami, wyrównuję do nich własne kroki, pozwalam się nieść rytmowi, w sensie jak najzupełniej dosłownym. Najszczęśliwszy jestem wtedy, kiedy myślę krok. Może zresztą myli się wiersz, a ja idę jak gdyby nigdy nic. Standard, powie ktoś. Klasyczne przeżycie związane z dobrą poezją. Ale w przypadku wierszy Miłosza zdarza się nader często. Tak często, że w pewnej chwili nasuwa się podejrzenie, że pomiędzy książkami stojącymi na półce jest jedna, po którą nigdy wcześniej nie sięgnęliśmy, której w istocie nigdy nie widzieliśmy, a nawet skłonni bylibyśmy przysiąc, że w miejscu, skąd ją wyciągnęliśmy, żadnej książki nie było.

*Jacek Gutorow*

Wojciech Gutowski

## Prawdziwa Obecność

Wybór najważniejszych utworów z twórczości Czesława Miłosza wydaje się przedsięwzięciem szalonym. Bo przecież cała twórczość autora *Ocalenia* należy do zjawisk najbardziej doniosłych w kulturze polskiej minionego stulecia, a wartość jego poezji wykracza zarówno poza granice epoki, jak i naszej literatury. Poza tym właśnie poezja Miłosza, mimo swej przebogatej różnorodności tematów i form, jest integralnym światem poetyckim, uniwersum podstawowych pytań, obszarem suwerennej imaginacji. Sens propozycji wyznacza subiektywna perspektywa „dla mnie”, która zwalnia piszącego od polonistycznej poprawności, jak i nie wymaga wyczerpującej interpretacji.

A zatem „dla mnie” poezja Miłosza spełnia rzadko zaspokajane dziś oczekiwanie (zresztą może jest go po prostu coraz mniej) spotkania z autentycznym doświadczeniem rzeczywistości, które w potoku fantazmatów i symulaków ponowoczesności zdaje się rozpadać i znikać. W poezji autora *Drugiej przestrzeni* szczególnie wyróżniam te utwory, które niosą wzmożone poczucie istnienia, prawdziwej Obecności, one zawsze towarzyszą mojej „pamięci literackiej”, ale właśnie może dlatego nie mógłbym pisać o nich w trybie naukowych analiz, jedynie w formie takich jak te, nieporadnych wyznań. A zarazem w poezji tej miary spotykam zmagania pisarza z niemożliwym, nie tylko próby „wyrażenia niewyraźnego”, lecz również usiłowanie opisu niemożności i konieczności zarazem wypowiedzenia tego, co umyka mowie.

Chronologicznie pierwszym niech będzie cykl *Świat (poema naiwne)* – 1943. W czasach Chaosu, w przestrzeni Anty-Świata poeta przypomina (właściwie – rekreuje, na nowo stwarza) Kosmos, „przestrzeń szczęśliwą”, można by powiedzieć, niepowtarzalnie swojską w gąszczu codziennych przedmiotów, a zarazem – dzięki objaśnieniom i przypowieściom Ojca – otwartą na nieskończone bogactwo bytu. Cykl przypomina o natarczywej, ale i niezbywalnej dla nas, prawdziwej obecności świata (*Wiara, Nadzieja, Miłość*). Jest chyba ostatnim w poezji polskiej utworem odsłaniającym możliwość zamieszkania, zadomowienia w rzeczywistości, gdzie wszystkie przedmioty, osoby, ich akcydensy, nawet lęki i zagrożenia łączą pozytywne związki, „oddźwięki”, ontyczne pokrewieństwa, bliskie Baudelaire’owskim *correspondances*. To poezja dialogu

pojmowanego nie tylko jako rozmowa osób (choć i taka się zdarza, np.: *Trwoga*, *Odnalezienie*), ale jako współbycie w „wielkim łańcuchu” istnień, sugerujące wzajemne promieniowanie między intymnością a uniwersum (*Przypowieść o maku*), sferą człowieka i światem pozaludzkim (*Miłość*, *Wyprawa do lasu*, *Królestwo*). Wnętrze poematu odsłania domostwo, mikroświat otwarty na nieogarniętą Całość, która dostępna jest wszakże tylko w zwierciadle ziemi (Słońce). „Budować oznacza pierwotnie mieszkać” – pisał filozof. Poeta, jako budowniczy cyklu znamiennej zatytułowanego *Świat* (a nie np. *Mój świat*), daje świadectwo zamieszkiwania, które z pewnością przestało być oczywistym doświadczeniem ludzkim zarówno w epoce totalitaryzmów, jak i w późnej nowoczesności. Cykl czytać można jako „piękne wspomnienie”, ale również jako impuls budzący oddźwięki naszych pejzaży duchowych, jeśli ich szczątki ostały się jeszcze pod gruzowiskiem tekstów.

*Esse* (1954) to fascynatorski, a zarazem bezradny wobec siły przeżywanego zachwyty, opis epifanii. Byłoby swoistym nietaktownym naddatkiem analitycznego umysłu przywoływanie tu – tak skądinąd ważnych dla rozpoznania nowoczesnej duchowości – typologii, odmian doświadczeń epifanicznych. Poeta doświadcza momentu absolutnego rozpoznania istnienia, w erotycznej fascynacji tą jedną, niepowtarzalną, przypadkowo spotkaną w metrze osobą dotyka bezpośrednio – twarzą w twarz – pełni istnienia. Zawodzi opis *image'u*, rysów oblicza. Wszelkie analogie zamykają się w kręgu poznania negatywnego (apofatycznego) i poświadczają niewystarczalność pożądania, chęci posiadania, spojrzenia uwieczniającego, „pochłaniającego” widzianą rzeczywistość, ukazują bezradność marzeń o przekroczeniu ograniczeń czasu i przestrzeni, i tym podobnych „zachodów miłosnych”. Wszystko co poeta może uczynić, to „niezdarnie” wypowiedzieć świadectwo spotkania z niczym nie przesłoniętym „jestem”. „Na to mi przyszło, że po tylu próbach nazywania świata umiem już tylko powtarzać w kółko najwyższe, jedyne wyznanie, poza które żadna moc nie może sięgnąć: ja je st e m – ona je st (...). Na co zdały się cywilizacje Słońca, czerwony pył rozpadających się miast, zbroje i motory w pyłe pustyń, jeżeli nie dodały nic do tego dźwięku: je st”.

Ten błysk transgresji, mistycznej ekstazy (poza religijnym *sacrum*), wskazuje na podstawowy głód spotkania „rzeczywistej rzeczywistości”, głód intensywnego istnienia, którego przeżyty moment („absolut chwili”) kontrastuje z późniejszym postrzeganiem świata (gdy „wysiadła na Raspail”) – czynnością jałową, zamkniętą w doznaniu pozorów, widm, fantomów: „Gąbka, która



cierpi, bo nie może napęłnić się wodą, rzeka, która cierpi bo odbicia obłoków i drzew nie są obłokami i drzewami”.

Miarą wielkości poety jest zdolność swobodnego poruszania się w kręgach przeciwstawnych, na biegunach antynomii. Przeciwnością ocalenia ludzkiego domostwa, pamięci o Dobro-Bycie, epifanii, potwierdzającej moc istnienia, jest obraz apokalipsy zawarty w wierszu *Oeconomia divina* (1974). Kto pamięta liczne poetyckie „końce świata”, „sądy ostateczne” przetwarzające katastroficzne motywy *Apokalipsy* (sporo ich znajdziemy w Młodej Polsce i dwudziestoleciu międzywojennym), ten łatwo zauważy znaczącą odmienność wersji Miłosza. Jest to wizja świadka spustoszenia, które dotyka Istotę, Tożsamość, Substancję, okazuje się efektem zamknięcia Boga i „wycofania się” Go z ludzkiego świata. Dobro-Byt z cyklu *Świat* zamienia się w Zło-Byt – paradoksalnie – na skutek spełnienia prometejskich marzeń ludzkości, które powodują jej metafizyczne osamotnienie. Na przekór postnietzscheańskiej „wiedzy radosnej” o „śmierci Boga” poeta interpretuje odbóstwioną współczesność jako nową opaczną „Boską komedię”. W niej spełniają się marzenia o pełnej autonomii człowieka, o ostatecznym „odczarowaniu” świata. Jego konsekwencją jest – powiedzmy potocznie, ale dość precyzyjnie – brak racji bytu. Narcystyczne samospełnienie ludzkości przypieczętowało, niejako „legitymizuje” wycofanie się Transcendencji, w której, zgodnie z klasyczną metafizyką, poeta umieszcza źródło istnienia. Utwór warto czytać jako stronę dyptyku, którego symetryczną częścią jest *Spadanie* Tadeusza Różewicza. Oczywiście pamiętając, że w poezji autora *Niepokoju* nicestwienie rozgrywa się w przestrzeni kultury, wyborów moralnych, Miłosz zaś ukazuje działanie tego procesu w bytowym rdzeniu świata. Poeta bez apokaliptycznych dekoracji ukazuje samokastrację ludzkości, wytrzebienie poczucia tożsamości i ontycznej faktyczności („Drogom na betonowych słupach, miastom ze szkła żeliwa / (...) Nagle zabrakło zasady i rozpadły się. / (...) Trwały jak trwa to tylko, co trwać nie powinno. / Z drzew, polnych kamieni, nawet cytryn na stole / Uciekła materialność (...) / Wydziedziczona z przedmiotów mrowiła się przestrzeń. / Wszędzie było nigdzie i nigdzie, wszędzie”). W powszechnej anomii (zapaści, implozji – jakież słowo określi te obrazy autodestrukcji istnienia!) można dostrzec zarówno efekt spełnienia obietnic „gnozy politycznej”, jak i ponowoczesnej cywilizacji. Ludzkość staje się zwielokrotnioną (multimedialną) wieżą Babel, w której wrzawa języków produkuje jedynie bezsilną tęsknotę za jakimkolwiek odniesieniem – ku czemu? („Ale na próżno

tęsknili do grozy, litości i gniewu. / Za mało uzasadnione / Były praca i odpoczynek / I twarz i włosy i biodra / I jakiegokolwiek istnienie".) „Śmiertelność mowy” wśród wrzasku „wielu języków” wskazuje jedynie na próżny wysiłek przekazu, wszelkiej komunikacji, również sugeruje – w odbótwionym świecie – bezsilność „wielkich narracji religijnych”. Świadectwo poety „czasu marnego” każe pytać o sens twórczości, jakiegokolwiek działania. Może jego granice wyznacza uczestnictwo ambiwalentne, w dwóch zderzających się w poetyckiej wrażliwości przeżyciach – zarówno w przenikliwym, dojmującym i niezatartym w pamięci, choć znikliwym, momencie doświadczenia absolutnego istnienia (*Esse*) oraz w poczuciu/przecuciu przyspieszonego procesu pustoszenia ludzkiej egzystencji?

Wiersz *TO* (2000) jest utworem zarazem autotematycznym, autodemaskatorskim i apofatycznym. Może użyłem zbyt dużo uczonych terminów dla charakterystyki utworu porażającego prostotą, otwierającego ostatni – moim zdaniem zyskujący coraz większe znaczenie – etap w twórczości autora *Ocalenia*, w którym poeta rozlicza się z samym sobą i ze światem, bezustannie wraca do kluczowego pytania: *unde malum?* Utwór jest progiem u wejścia w krąg pytań najtrudniejszych. Zatrzymajmy się więc na progu i odczytajmy ów wiersz jako granicę: *pendant* do wcześniej omawianych utworów i zapowiedź finalnych sporów o sens bycia-w-świecie.

Czy wstępne proklamacje – „(...) ludzie, okłamywałem was / Mówiąc, że tego we mnie nie ma, / Kiedy *TO* jest tam ciągle, we dnie i w nocy. / (...) Pisanie było dla mnie ochronną strategią / Zacierania śladów (...) I wyznaję, że moje ekstatyczne pochwały istnienia / Mogły być tylko ćwiczeniami wysokiego stylu, / A pod spodem było *TO*, czego nie podejmuję się nazwać” – można czytać jako palinodię wcześniejszych afirmacji bytu? W żadnej mierze! Poeta ukazuje dwie strony swej mowy, wypowiedzianą i ukrytą, niewypowiedzianą, ale wzajemnie związane: „(...) *TO* jest tam ciągle, we dnie i w nocy. / Chociaż właśnie dzięki temu / Umiałem opisywać wasze łatwopalne miasta, / Wasze krótkie miłości i zabawy rozpadające się w próchno”. Właśnie termin „mowa niewypowiedziana”, albo inaczej: „niewypowiedzialność mowy” wydaje się odpowiedni dla sytuacji sygnowanej zaimkiem „*TO*”, sytuacji nie tyle granicznej, co ostatecznej, której nie sposób przekroczyć, ani w której nie sposób wydobyć głosu. Poeta raz jeszcze wraca do tematyki eschatologicznej, ale oczyszcza ją całkowicie ze sztafażu mito-religijnego, z wszelkich kulturowych pseudoobiektywizacji. „Niewypowiedzialność mowy” zawarta jest w ostateczności *TEGO*, w którym

nie sposób się „odnaleźć”, ani z którego nie sposób się wydobyć. To nie „krzyk z głębokości” (*de profundis*), lecz radykalna sytuacja „niemożności dania świadectwa” temu co, nade wszystko wymaga radykalnego poświęcenia, a musi pozostać „tym, co niepoświędzone” (Zob. G. Agamben, *Co zostaje z Auschwitz. Archiwum i świadek (Homo sacer III)*, 2008). Miłosz zdobył się, jak rzadko kto, na wyznanie skrywanego w sobie przymusu przeżywania tego, „co niepoświędzone”, podjął ryzyko przekazu sygnalizującego, iż gmach swojej twórczości budował na „niewypowiedzialności mowy” pozbawionej języka.

Wojciech Gutowski

Julia Hartwig

## Miłosz: wybrane wersy

Miłosz napisał kiedyś, że czytając moje wiersze odwołuje się do mojej biografii. Poetów można dzielić w różny sposób. Poezja jednych nawiązuje do życia i otoczenia, inni ustanawiają barierę między życiem i poezją, oddani wyłącznie sprawom piękna i rozważaniu prawd wyższych. Czesław Miłosz, niewątpliwy klasyk obracający się w rejonach wysokich, umie w sposób jemu tylko wiadomy zbratać te reiony z doznaniem życia.

Do poezji Miłosza wracam często i z upodobaniem, radując się nie tylko jej urodą i mądrością, ale odnajdując w niej również wiedzę o samym poecie, jakiej przysporzyła mi moja wieloletnia z nim przyjaźń. Trudno mi wybrać jedną czy nawet kilka najważniejszych dla mnie książek Miłosza. W każdej z jego książek poetyckich znajduję wiersze, które do mnie szczególnie przemawiają, czy to będzie *To* czy *Druga przestrzeń*, *Trzy zimy*, *Ocalenie*, *Dalsze okolice*, *Na brzegu rzeki*; najwięcej chyba bliskich mi wierszy znajduję w *Ocaleniu* i w *Trzech zimach*. Osobne miejsce w moim podziwie dla Miłosza zajmuje jego proza i eseje, wśród których króluje *Ziemia Ulro*.

I te niezapomniane początki wierszy „Ty silna noc. Do ciebie nie dosięga / ni płomień ust, ni chmur przejrzystych cień”, „Obłoki, straszne moje obłoki”, „W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę...”, „W Rzymie na Campo di Fiori”, „Będę się starać, mój dziekanie”, „Co czynisz na gruzach katedry / Świętego Jana, poeto (...)”, „Daj mi odpocząć w Mittelbergheim”. Nie wdając się

w charakterystykę twórczości tak trudnej do ogarnięcia, ograniczę się do wymienienia ulubionych wierszy lub zacytowania wybranych wersów, które raz po raz pojawiają się w pamięci i stały się już tej pamięci własnością.

W wyborze tym pominęłam dłuższe traktaty. Nie mogę jednak powstrzymać się od zmanifestowania z tej okazji mojego zachwytu dla poematu *Świat poema naiwne*, w którym tak tajemniczą rolę odgrywa postać ojca (*Ojciec w bibliotece, Zaklęcia ojca*).

Ukazany w tym poemacie świat, pełen ciepła i łagodności, jednoczy bliskich sobie ludzi i pokazuje ich na tle delikatnej i ciepło odmalowanej natury. Przemawia swoją prawdą wiersz *Miłość*.

Jednym z najbardziej zadziwiających w tym cyklu jest wiersz *Obrazek*, majstersztyk swobodnej poetyckiej wyobraźni – żywot mola ukazany w heroicznej scenerii.

Ale do rzeczy:

Wiersz *Pokusa* –

ukazuje moment starcia z Szatanem, który występuje niejednokrotnie w wierszach Miłosa. Jak w wielu innych wierszach użyty jest tu wołacz, który tyle jego poezji dodaje energii i żywości.

Odstąp ode mnie, w imię Jezu Krysta,  
Dość mnie nadręczyłeś – powiedziałem.

Wiersz *Sekretarze* –

mówiący o posłannictwie poezji i braterstwie poetów: Niewidziana rzecz – to metafizyka Miłosa, dyktando – to – zapowiedź Dajmoniona

Sługa ja tylko jestem niewidzialnej rzeczy,  
Która jest dyktowana mnie i kilku innym.

Wiersz *Dowód* –

w ulicznej scenerii objawienie piekła:

A jednak zaznałeś piekielnych płomieni.  
Mógłbyś nawet powiedzieć, jakie są: prawdziwe,  
Zakończone ostrymi hakami, żeby darły mięso  
Po kawałku, do kości. I siedłeś ulicą,  
I odbywała się kaźń, broczenie, smaganie.  
Pamiętasz, więc nie wątpisz. Na pewno jest Piekło.

Wiersz *Podziw* –

i ostatnie nie wychodzące z pamięci trzy wersy:

Oko nie widziało, ucho nie słyszało, a to było.  
Struny nie wygają, język nie wypowie, a to będzie.  
Lody malinowe, topniemy w niebie.

Wiersz *Chagrin* –  
zadziwiająca *licencia poetica* w użyciu słowa Chagrin

A miesiąc mego życia jest Chagrin.

Wiersz *Filina* –  
wpadający w ucho, z jej zabawną i trochę nieprzyzwoitą piosenką

Mam trzewiczki z mysiej piczki  
Takie same rękawiczki  
(...)  
Filina, spódnice szumiące,  
Lustra przepadające.  
Tum ta tum.

Wiersz *Piosenka* –  
kto raz przeczytał ten wiersz, ten nie zapomni jego przejmującej melancholii graniczącej z rozpaczą i beznadziejnością. I być może nawet nauczy się go na pamięć. Jest to jeden z tych rzadkich wierszy Miłosza, w którym nieobecna jest nadzieja.

Jakokolwiek jest boleść, będzie więcej boleści.  
Noc jest czarna, ale będzie czarniejsza.  
Dobrze takim, co żyli, ale w porę odeszli.  
Ty więc nie bierz spraw ludzkich do serca.

Los był prosty, ale będzie krzywy.  
Czysta woda zostanie zatruta.  
Kto jest mądry, będzie nieszczęśliwy,  
A głupiemu szczęście jak pokuta.

Gwiazda wszędzie i zaraz przeminie.  
Na czekaniu puste lata zbiegną.  
Co upadło, zetjele w ruinie.  
I goryczą będzie ziemskie piękno.

Wiersz *Do Józefa Sadzika* –  
jest hołdem dla zmarłego przyjaciela, którym był ksiądz i filozof, bardzo bliski Miłoszowi. Poeta zwraca się do niego z zapytaniem o wyjaśnienie jego odejścia. Po rozważaniach filozoficznych Miłosza na temat śmierci, jakie

znajdujemy w innych jego wierszach, zabiera tu głos bezradność człowieka opuszczonego wskutek śmierci osoby zaprzyjaźnionej. Pada pytanie:

Jakże tak można, pośrodku rozmowy  
Zniknąć i nawet nie powiedzieć: „wróć”,  
I dom od razu mieć wieloechowy,  
Skąd żadnej wieści, tylko szum zakłóceń?

Jego wiara we współobecność żywych i umarłych wyraża się w prośbie o pomoc i pokrzepienie:

(...) Bo twoja obecność  
Tak dla mnie mocna, że zawsze prawdziwa.  
I chociaż nie wiem, co jest czas, co wieczność,  
Ufam, że słyszysz ten głos, który wzywa.

Zmień moje życie. Trzeba mi pomocy,  
Tak jak dawałeś, radą i modlitwą.  
Wymawiam imię przebudzony w nocy,  
Leżę i czekam, aż widziadła znikną.

#### Wiersz *Chłopiec* –

jakże nie wyróżnić tego wiersza, który nawiązuje do sielskiego wątku miłoszowego dzieciństwa i jest zarazem objawieniem jego ludzkiej i poetyckiej osobowości i osobności.

Zarzucaś wędkę, stojąc na kamieniu.  
Bose nogi okrąża woda migotliwa  
Twojej rodzinnej rzeki w gęstwie lilii wodnych.  
(...)  
Jakież to piętno na tobie, paniczu,  
Już teraz chory na swoją osobność,  
Z jedną tęsknotą: żeby być jak inni?  
(...)  
I będziesz długo szukać pogodzenia,  
Aż twoje prace wydadzą się marne,  
A piękne tylko lekkomyślne dary,  
Wspaniałość serca, bez troskie oddanie  
Bez ksiąg, pomników i ludzkiej pamięci.

#### Wiersz *Mojość* –

kto słysząc czy czytając to słowo nie pomyśli natychmiast o Miłoszu? *Mojość* to jego słowo. Wtórnie miłoszowej osobności i daje mu do niej prawo.

I słodko mi, że jestem tu na ziemi,  
Jeszcze chwilę, razem, tu na ziemi,  
Żeby celebrować naszą małą *mojość*.

Wiersz: *Ksiądz Ch., po latach* –

czy ten, kto z Miłoszem i jego poezją miał do czynienia, mógł nie słyszeć o księdzu Chomskim, prefekcie jego wczesnej młodości? Rozważając losy tej czcigodnej osoby Miłosz zwraca swoje czujne sumienie ku sobie i czyni sąd nad sobą. Potwierdza swoją wiarę i chęć walki ze złem, ale wątpliwości pozostają.

A ja, czy nie pokloniłem się? Wielki Duch Niebytu,  
Książę Tego Świata ma swoje sposoby.

Nie chciałem jemu służyć. Pracowałem  
Po to, żeby odwlec jego zwyczajstwo.  
(...)

A wszystko chciałem poznać i wszystko zrozumieć,  
I pobłażliwa dla mnie była ciemność.

Więc czy trudziłem się przeciwko światu,  
Czy nie wiedząc o tym, byłem z nim i jego?

I pomagałem Władcy deptać żelazną stopą  
Ziemię, która na lepszy los zasłużyła?

Wiersz *W słoju* –

wymieniam go tu dla upamiętnienia momentu, kiedy ten wiersz ukazał się w jednym z pism (czy w „Kulturze”?). Spotkawszy mnie po tej lekturze – a czytaliśmy wszystko, co drukował Miłosz – Konstanty Jeleński zapytał mnie, jak rozumiem ten wiersz. Nie wiedziałam, dlaczego mnie o to pyta, ale nie umiałam mu odpowiedzieć. Nie umiałabym i dzisiaj.

Wiersz *Wyznanie* –

oto i wiersz smakolyk, wiersz, w którym poeta próbuje uwolnić się od zbyt pochlebnych ocen i pokazuje swoje najbardziej ziemskie upodobania.

Panie Boże, lubiłem dżem truskawkowy  
I ciemną słodycz kobiecego ciała.  
Jak też wódkę mrożoną, śledzie w oliwie,  
Zapachy: cynamonu i goździków.  
Jakiż więc ze mnie prorok? Skąd by duch  
Miał nawiedzać takiego? (...)

Wypominając sobie te codzienne grzechy próbuje przy okazji obdrzeć swój własny obraz z przypisywanej mu dostojności. Jest to wiersz, za który można Miłosza-człowieka polubić.

(...) Pragnący wielkości,  
 Umiejący ją rozpoznać gdziekolwiek jest,  
 A jednak niezupełnie jasnego widzenia,  
 Wiedziałem, co zostaje dla mniejszych, jak ja:  
 Festyn krótkich nadziei, zgromadzenie pysznych,  
 Turniej garbusów, literatura.

*Dar* –

pełen czystości i harmonii dar poetycki.

A ponieważ tego korowodu wierszy nie można przedłużyć w nieskończoność, zacytuję na koniec wiersz *Jak powinno być w niebie*:

Jak powinno być w niebie, wiem, bo tam bywałem.  
 U jego rzeki. Słyszając jego ptaki.  
 W jego sezonie: latem, zaraz po wschodzie słońca.  
 Zrywałem się i biegłem do moich tysięcznych prac,  
 A ogród był nadziemski, dany wyobraźni.  
 Życie spędziłem układając rytmiczne zaklęcia,  
 Tego, co się ze mną działo, nie bardzo świadomy,  
 Ale dążąc, ścigając bez ustanku  
 Nazwę i formę. (...)

Wyrazić Miłosza w kilkunastu cytatach to trud niemal stracony. Niech bodaj wspomnę tu o tak znaczących dla poety wierszach, które uczą dobra i wiary, i o tych, w których tak mocno protestuje przeciw nieuniknionej ludzkiej śmierci.

*Julia Hartwig*

## Grzegorz Kalinowski

### Pełnia Miłosza

Miłosz to Biblioteka. Najważniejsza dla mnie jest *Ziemia Ulro*. Refleksja, dyskursy teologiczno-filozoficzne, antropologiczne, poetyckie autora *Ocalenia* erudycyjne, trudne. Od Ziemi Jałowej Eliota, którego poemat tłumaczył, poprzez Ulro do Nieobjętej Ziemi. Taka jest topografia tej wędrówki. Miłosz ogarnia bezmiary. *Ziemia Ulro* to Centrum, do którego odnoszę jego wiersze, poematy, traktaty, eseistykę i od tego centrum ku nim podążam. Prowadzi tu też to wszystko, co jest poza literaturą: korowody postaci, zamęt zdarzeń, poplątane losy, zgłębienie, jazgot i chaos, więc sprawy świata, które domagają się



spotkania, z czymś, co je przekracza. Miłosz ogarnia przestrzenie, których oglądać się dziś nie chce albo się je lekceważy.

*Ziemia Ulro* świat rozjaśnia. Ale jest tu także sfera mroczna, Miłoszowe „ciemne świecیدło”, skąd sączy się niepokojące światło. Tak jak nieprzenikniony jest świat, tak też nieprzenikniona jest kraina Ulro. W nazwie tej słycać dźwięk ze skrytych w nas, głębokich otchłani, głos przerażenia/zachwytu wobec grozy/urody świata. Twórczość Miłosza jest na tych biegunach rozpięta. „Sprzeczność jest dźwignią transcendencji” (Simone Weil). Ulro jest jak chwila, kiedy stoi się nad przepaścią i na krótko zagląda w jej głębię. Jeśli chwila mogłaby przybrać postać dźwięku, byłaby być może tym, co słyszemy, kiedy wypowiadamy słowo ULRO. Jest wreszcie jak zamknięcie, z przerażenia/zachwytu. Ciemno/jasny mikrokosmos w nas, pozostaje nieprzenikniony i każdy ciemno/jasny mikrokosmos w nas jest inny, ale także nie jest inny. Kraina, gdzie mieszkają Ci, dla których to, co tu i teraz, nie jest tym, co tu i teraz. Jak daleko pieśń sięga otchłani. Czasoprzestrzeń o różnych atrybutach: wydziedziczenia, wygnania, obcości, ale też pełni, zadowolenia, upojenia. Szczudła i protezy, które pozwalają się w świecie poruszać to rozum. Może szczudła i protezy to wiara. Może są tylko szczudła i protezy, na które człowiek został skazany? Błądzi wiara, błądzi i rozum, mogą błądzić wspólnie. Czy mogą nie błądzić? Ten świat przez naukę i przez wiarę został rozpoznany/nierozpoznany i opisany/nieopisany w różnych dyskursach: teologicznym, filozoficznym, naukowym, technicznym i poetyckim. Wchodząc w nowe przestrzenie, wkracza się na grunt doskonale nieznanym. I wszystko, co jasne dotąd, staje się odtąd doskonale niejasne. Co ciemne zostaje rozjaśnione, co jasne zaciemnione. Czas, morderczy i nienasycony, zawsze i wszędzie niezmienny, w tym samym rytmie, nie wiadomo jak jest, ale wiadomo, że jest. Przestrzeń jako forma, warunkując kształt, też jak czas. Z nim tożsamy. To, co w niej tkwi, rozpada się i gnije. A istota ludzka porzucona, wygnana, za którą bramy Raju się zatrzasnęły, błąka się w półmroku świata. Za nim marnieje/rozkwita/trwa Raj niedostępny. Mieszkańcy Europy chrześcijańskiej wobec Zmartwychwstania i jego tajemnicy wcielonej w Jezusie, który jako Bóg-człowiek, umiera i odradza się w nieskończoność, aż do skończenia świata. Jezus to najdoskonalsza Figura tego, co streszcza się w ciągu chwil życia człowieka i w chwili ostatecznej. Każdy nosi w sobie tę jedyną chwilę, chwilę Śmierci, która jednocześnie staje się Zmartwychwstaniem, i to już tu i teraz, pośród

pustych/pelnych przestrzeni. W każdej chwili rodzimy się, umieramy, i dalej w agonalnym rytmie, powtarzając to wszystko, trwamy do chwili, najbardziej naszej własnej, której na imię *Finis*. I w końcu nastaje nieprzeniknione *post mortem*, zaś świat i inni pozostają, a ja/Ty/My na pośmiewisko, jako nieobecni. I to jest okrucieństwo świata, obojętnego i nieruchomego, może bardziej okrutne niż śmierć sama. Jak zrozumieć? I o to także pyta Miłosz, a to pytanie i inne, które z niego wynikają, brzmią dramatycznie. W coraz bardziej powikłanym świecie, w którym słowa tracą moc: moc nazywania, rozumienia, wyznania, wyrażania, nauczania, wszelką moc. Wbrew temu, co stanowiło istotę logocentrycznej Europy, której fundamentem była Biblia. Słowo traci więc moc, w którą wierzył autor *Drugiej przestrzeni*, bo język w świecie, gdzie istnieć przestaje Respekt (po trzykroć „*Respect*” z *Czeladnika*) zatracza możliwość mówienia o tym, co hieratyczne.

Fikcja literacka, zmyślenie, gdzie mieszkają Kubuś Puchatek, Kłapouchy, Prosiaczek i Sowa Przemądrzała dla Miłosza była światem, była wiecznością, w przeciwieństwie do rzeczywistości, studni, do której wpadł Krzysz, żył i umarł, by wrócić do fikcji, do wieczności.

Znakiem świata stał się BRAK i wkroczył we wszelkie sfery bycia. „Noc świata rozpościera swą ciemność” (Martin Heidegger). Miłosz, jako jeden z niewielu (tak jak: Blake, Swedenborg, Nietzsche, Dostojewski, Oskar Miłosz, Kafka, Beckett, Mickiewicz, Witkacy, Gombrowicz) wejrzał w tę ciemność. *Ziemia Ulro* jest opisem tego wejrzenia i tego, co się potem dzieje. Miłosza ocala chrześcijaństwo. Nie! wypowiedane stanowczo (jak bardzo stanowczo?) nicości, nihilizmowi. Może mistycyzm, pojmowany nie jako obcowanie z absolutem, ale jako obcowanie z nim poprzez objawienie BRAKU i nocy świata (może na jedno wychodzi). Ale, chyba jednak, także wkracza autor *Człowieka wśród skorpionów* w przestrzeń zatrutą nicością i nihilizmem, w obszary herezji, gnozy, filozofii rozpaczy, przestrzeni Jaquesa Monoda. Miłosz pytał wtedy, pyta i dziś: „Kim byłem? Kim jestem teraz (...) Nie rozumiem swojego życia (...)”. Te pytania zadawałem sobie jesienią 1980 roku, w tamtej rzeczywistości, w stanie wojennym i później, przecież i dziś. A książka Miłosza, *Ziemia Ulro*, wdarła się wtedy w mój świat, i pozostaje (także *Ogród nauk* z Eklezjastesem). Była pełna mrowiących się pytań bez odpowiedzi. I dziś, kiedy próbuję o niej napisać, jako najważniejszej dla mnie książce noblisty, tak jak ponad trzydzieści lat temu, pozostają wobec niej bezradny. Im dalej w las..., wiadomo. Las jednak, do którego prowadzi

wiele dróg, ścieżek rodzi tajemnicę, pozostaje, zawsze i wszędzie, „tajemnicorodny”. Bo wszystko co jest, objawia coś innego. Ziemia Ulro to także las. Może wysniony?

\*

Tom poetycki Miłosza dla mnie najważniejszy to *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, szczególnie wiersze jakby na Ziemi Ulro zrodzone: *Oeconomia Divina*, *Wieść*, *Nie tak*, *Tak mało* i najważniejszy wielogłosowy poemat *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*. O wielkich sprawach mówić hieratycznym językiem. „(...) nie pozwolić, żeby w tym języku zagubił się zmysł hierarchii. Hierarchia dla mnie znaczyła to samo, co dla dziecka: / Jeden hołd, zamiast wielu idoli, które pojawiają się i znikają jeden po drugim” (*Czeladnik*). To wiem, odkąd w dzieciństwie nauczyłem się słów modlitw, pieśni, kołęd, pieśni i modlitw żałobnych, kiedy słyszałem bicie dzwonów, z różnych powodów, o różnych porach dnia, tygodnia, miesiąca, roku i wreszcie lat, kiedy zima a śnieg skrywał ulice, parki i kiedy latem słońce świeciło bezlitośnie. I było przerażająco jasno. Zawsze biły dzwony. Nawet za miastem pośród łąk zielonych i polnych kwiatów, można było ten dźwięk usłyszeć. Pamiętam zimowy świt, jak świat odnaleziony, w poemacie tytułowym: „(...) Jeden zatem poranek. Bierze ostry mróz. / Mży chłodem. W tej samej szarej mgle / Nasyca się obszar powietrza światłem purpurowym, / Różowieją zwały śniegu, jezdnie wyślizgane płożą, / Dymy, kłęby pary. Saneczki dzyń-dzyń / To bliżej to dalej. Włochatym konikom / Sierść oszroniała, każdy włos osobno. / A wtedy dzwony (...) / Dużo dzwonów. Jakby ręce ciągnące za sznury / Uroczysty gmach nad miastem budowały (...)”. I jeszcze jeden wiersz z 1937 roku, nie z *Gdzie wschodzi...*, pomieszczony w tomie *Ocalenie*: pt. *Spotkanie*, Miłosz miał wtedy dwadzieścia sześć lat: „Jechaliśmy przed świtem po zamarzłych polach, / Czerwone skrzydło wstawalo, jeszcze noc. // I zając przebiegł nagle tuż przed nami, / A jeden z nas pokazał go ręką. // Miłości moja, gdzieś są, dokąd idą / Błysk ręki, linia biegu, szelest grud – / Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia”. Wyrazista, zmysłowa rzeczywistość. Pełnia. Jest w niej coś nieuchwytnego – dojmujący smutek, którego źródłem zamyślenie, zapatrzenie i niepojęty czar świata. A chwila wydobyta z minionego, spotkanie z zającem, staje się epifanią w świecie wyłaniającym się z mroku, tuż przed świtem.

Grzegorz Kalinowski

Bogusław Kierc

## Dla mnie?

Przed tym zdaniem proszę wyobrazić sobie dość długą chwilę namysłu, dopiero po niej (dość długiej!) piszę: Przed tym zdaniem... itd. Okazuje się, że sam sobie nie potrafię spontanicznie odpowiedzieć, która – z wielu najważniejszych dla mnie – jest tą najważniejszą dla mnie książką Miłosza. Wydawało mi się, że ta, po którą stałem w trzydniowej kolejce, wpisany przez przewodniczącego komitetu kolejkowego do specjalnego zeszytu i każdego dnia musiałem potwierdzać swoją obecność. Kolejka była malownicza, długa, jakby rozciągnięta w czasie i przestrzeni spotkanie towarzyskie różnego typu „miłośzystów”, rozmownych, podnieconych, dzielących się ze sobą wzajemnie opowieściami o przygodach poezji autora *Ocalenia* w ich osobistym losie. Pokazywali kartki z przepisаныmi wierszami, widziałem nawet „chałupniczo” zrobiony tomik. Czekaliśmy na książkę, w której znalazły się dwa zbiory Czesława Miłosza – tytułowy: *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* oraz *Król Popiel i inne wiersze*. Dochodziły wieści, że wagon z książkami już stoi na zwrotnicy, ale jeszcze trzeba poczekać do jutra. I jeszcze do następnego jutra. Aż trzeciego dnia pierwszy zdobywca wyszedł z księgarni wymachując nad głową cierpliwie wyczekany skarbem, do nabycia którego upoważniał go wpis do zeszytu komisji kolejkowej potwierdzony okazaniem dowodu tożsamości przy odbiorze książki.

A jednak nie ten tom, tak bardzo upragniony i natychmiast zachłannie czytany, miał się okazać najważniejszym dla mnie. Ale – czytane wcześniej, jeszcze przed przyznaniem Miłoszowi Nobla – *Miasto bez imienia*, wydane przez „Kulturę” paryską. I dzisiaj, przynaglony pytaniem redakcji „Kwartalnika Artystycznego”, też nie waham się (po tej dość długiej chwili namysłu) potwierdzić wyjątkową ważność *Miasta bez imienia* w moim życiu.

Spieszyła mnie mimowolna podniosłość tego zdania, ale go nie zmienię. Jest wierne tamtemu wrażeniu i – co tu gadać – przemienieniu, jakiego doznałem podczas lektury. Była to dla mnie księga olśnień. Nie stawiam dużych liter, żeby nie windować tamtego doznania na piętra abstrakcji. Czułem uderzenia serca, jakby mi były zadane z zewnątrz. I tak istotnie uderzały we mnie wizyjne zdania Miłosza; brzmieniem wewnętrznym i wysłuchiwanie głosem (moim, w milczeniu), w zestrojach, alikwotach, w inwokacjach sensu. Było to jak bicie źródła. I kiedy czytałem linijki o Bogu, który

Ukrywał się tak długo, że zapomniano jak się objawił  
w krzaku ognistym i w piersi żydowskiego młodzieńca  
gotowego cierpieć za wszystkich co byli i będą.

czułem – z tego się można śmiać i uznać za efekt chorobliwej egzaltacji – czułem dynamizm owego objawienia jak natychmiastowe (chwilowe) przyłgnięcie do tego wyblaskującego Obrazu.

I cóż z tego, że wiem, na czym to czarodziejstwo mówienia polega. I że Miłosz wiedział, jak elektryzować zdania. Z tej i takiej wiedzy niewiele więcej ponad „wszelkie uroki” poezji, „odpowiedniego dawania rzeczy słowa”, wynika. W *Mieście bez imienia* objawił się (najpełniej do tamtego czasu) Miłosz ekstatyczny, profetyczny a cały umurdzany ziemią. Mówiący językami ludzi i żywiół. Powierzający się mówiącym w nim głosem. Co odczułem jako ustawiczny akt poetycki, przenikający niemal każde zdanie wiersza tak, że oznajmienie jest od razu w jakiś (? – jemu właściwy?) sposób onto- i teologiczne. Bez utraty ziemi pod stopami. W stanie – jakby mogła powiedzieć Simone Weil – wiecznie płonącego pragnienia. Pragnienia – czego? Powiem naiwnie: prawdy ostatecznej.

Kiedy księżyc i spacerują kobiety w kwiciastych sukniach,  
Zdumiewają mnie ich oczy, rzęsy i całe urządzenie świata.  
Wydaje mi się, że z tak wielkiej wzajemnej skłonności  
Mogłaby wreszcie wyniknąć prawda ostateczna.

Czyli ta, która – według pięknej definicji Rahnera i Vorgrimlera – „jest przenikniętym absolutnie światłością i miłością samoposiadaniem nieskończonej pełni rzeczywistości oddającej się stworzeniu w widzeniu Boga”. Że o nią chodzi w *Mieście bez imienia* nie mam wątpliwości.

W pierwszym wersecie książki (chyba jednak – mimo wszystko – księgi) wypowiedziane są te słowa: „blask napoił mnie jak woda roślinę”. A ostatni werseł tegoż, otwierającego ją *Roku* brzmi: „O słońce, o gwiazdy, mówiłem, święty, święty, święty, byt nasz podniebny i dzień i wieczne obcowanie”.

*Miastu bez imienia* zawdzięczam może pierwsze tak silne doznanie możliwości wynikania prawdy ostatecznej ze zdań jednego z „jakichś tam”, którzy „ratować chcieli własne ja / dodając nocami przy świecach słowo do słowa”.

Bogusław Kierc

ks. Janusz A. Kobierski

## Spojrzenie z lotu ptaka

Był rok 1979, kiedy do moich rąk trafił skromniutki egzemplarz wierszy Czesława Miłosza, wydany na powielaczu, chałupniczą metodą. Zawierał niewielki wybór poezji z kilku wcześniejszych tomików. Ale co tam, miałem treść tych „zakazanych” utworów, o których krążyły legendy. I to było najważniejsze. Czytając je, zapamiętałem już wtedy szeroką poetycką frazę Poety, zaskakujące zestawienia myśli. I jakiś tajemniczy dla mnie, nieomal katastroficzny ton. A przy tym odświętny nastrój, wręcz jakby proroczy. Nazwałem tę materię języka podniosłym stylem. Niektóre zdania godne były umieszczenia na plakatach, dziś powiedzielibyśmy... na billboardach. Jedną z takich niezwykłych myśli: „Mur twój obronny u twoich poetów” ubogaciłem nawet jako mottem swój wiersz (o powinnościach poety), który wysłałem na konkurs Warszawskiej Jesieni Poezji. I został dostrzeżony. Pomyślałem sobie wówczas (skromnie), że na pewno słowa miłoszowe przesądziły o decyzji jurorów. Proste zdanie, ale jego przesłanie treściowe – wielkie. Mnie od początku odpowiadała taka tonacja w wierszach Miłosza... profetyczna, nieco chmurna.

A oto dla równowagi dwa cytaty... z humorem:

Poezja – wzruszenie i powiew,  
który w trzech kropkach mieszka,  
za przecinkiem.

Zaiste wariat na swobodzie  
największą klęską jest w przyrodzie.

W tym momencie wymienilibym więc *Trzy zimy* (1936) i *Ocalenie* (1945) jako ważne książki poetyckie z młodości Noblisty. A ponadto *Zniewolony umysł* (1953), którego lektura oszołomiła mnie. Ta książka o czasach umysłowej alienacji czterech polskich twórców w latach stalinizmu rzeczywiście śmiało może być uznana za jedną z najbardziej politycznych wypowiedzi tamtego wieku. To bezlitosna wiwisekcja systemu totalitarnego, ujęta w ramy literackiego traktatu lub mówiąc inaczej... w swoistą powieść z kluczem. Tytuł ten trzeba niewątpliwie podkreślić.

Mam świadomość, że Czesław Miłosz to jeden z tych twórców, o bogatej osobowości, których dorobek jest rozległy i różnorodny. Tak więc, gdyby z lotu ptaka spojrzeć na topografię artystyczną Poety, to ośmielę się powiedzieć, że wyróżnia się jego najwcześniejsza i najpóźniejsza część. Wczesna faza bowiem wnosi tę młodzieńczą świeżość, wrażliwość dojrzewającego Autora i urzekającą nieśmiałość wchodzenia w świat; dodajmy... groźny świat. Ostatnia zaś faza pokazuje mądrość płynącą z doświadczeń długiego i ciekawego życia oraz bezsilność i pokorę wobec losu. Dominuje tutaj już wyraźnie tematyka religijna i kontemplacyjna. Jego stosunek do religii teraz jest pełen pokory i zrozumienia, nawet dla prostej, ludowej pobożności. Eschatologia z perspektywy pokoleniowej zmieniła się w jednostkową. Oczywiście, że brzmi to upraszczająco. Ale coś z tego chyba jest prawdą. Cała ta twórczość, rzecz jasna, nosi znamiona wielkiego myśliciela i wybitnego artysty... ale te okresy graniczne... jakoś intensywniej jaśnieją, szczególnie okres ostatni.

Przyjaciele podziwiali u Miłosza do końca Jego zaskakująco otwarty i bezpośredni sposób mówienia o ułomnościach i radościach starości, zauważali niezmiennie wyczucie komizmu życia. Na pytanie zaś, kończące audycję radiową z Nim, „Czego Pan naprawdę w życiu chciał?” – Czesław Miłosz odpowiedział trochę prowokująco: „Naprawdę chciałem bogactwa, wina, kobiet i rzeczy świeckich, niekoniecznie poezji”. Poeta miał wtedy już ponad dziewięćdziesiąt lat. Moim zdaniem w tych słowach „puścił do nas oko”. Taki był... pełnokrwisty... w życiu... i w słowach, którymi opowiadał o nim. W wielu wierszach przecież aż wylewa się ten zachwyt urodą, fizycznością świata. Utrwalił wszelkie smaki, barwy, dźwięki, zapachy naszej rzeczywistości. Był świetnym kronikarzem swoich czasów. To może zdumiewać i zachwycać.

To potwierdza Jerzy Illg, który dobrze znał Czesława Miłosza jako człowieka mocno stąpającego po ziemi. We wspomnianej wyżej radiowej rozmowie powiedział arcyciekawe słowa: „To był człowiek z namiętnościami, z pasjami, z niesamowitym apetytem na ziemskie pokarmy (na kieliszek wódki i śledzia w śmietanie), z wrażliwością na piękno kobiecego ciała... To był człowiek, który drążył cały czas tematy najbardziej podstawowe, dotyczące śmierci, sensu istnienia, wiary w Boga, ale równocześnie był bardzo osadzony w ziemi”. I chce się dodać, że takiego Czesława Miłosza niewielu miało okazję poznać.

A ja, wyznaję tu szczerze pewne epizody sentymentalne, więc bardzo osobiste... otóż, przez liczne lata, ilekroć pamięć moja przywoływała Miłosza, spływał ku mnie wiersz *Moja wierna mowa*. Ach, te „miseczki z kolorami”, ta nostalgia, ta czystość oraz klarowność myśli i uczuć. To wyjątkowy wiersz. Ale też inne utwory znajduję jako znakomite... z całego okresu twórczego Miłosza. Widać w nich Autora jako mistrza wysokiego stylu.

Jednak tę kondensację wierszy o najwyższym diapazynie myślowym i uczuciowym zawierają tomy poetyckie *To* (2000) oraz *Druga przestrzeń* (2002). W tych zbiorach Autor jakby stawia pieczęć na swoim całym dorobku. Widać tu pełnię intelektualną, jak również wzruszającą, bo przecież do końca kontynuowaną obronę trwałych wartości europejskiej kultury, sumienia, wiary. To jakby spowiedź Poety.

W młodości Czesław Miłosz szukał drogi ocalenia po traumatycznych przeżyciach strasznej wojny, kiedy to zdeptano w ludziach poczucie człowieczeństwa, w starości natomiast ujawnił poruszającą bezradność egzystencjalną, i tę duchową, i tę cielesną. I próbę szukania ocalenia na wieczność. To jest przejmujące. Wyraził także pragnienie wiary w odkupieńczy sens swego dzieła, które tworzył przez całe życie.

ks. Janusz A. Kobierski

### *Antoni Libera*

## Rozstąpienie Ziemi Ulro

Najważniejszą eseistyczną książką Miłosza jest dla mnie *Ziemia Ulro*.

Po raz pierwszy czytałem ją w Paryżu, wiosną 1978, wkrótce po jej ukazaniu się i pamiętam, że chłonałem ten tekst z zapartym tchem, jakby nie była to gęsta, naładowana erudycją rozprawa filozoficzna na temat Rozumu i Wiary, a zwłaszcza różnorodnych skutków „odczarowania świata”, do jakiego doprowadziła myśl Oświecenia, tylko jak – owszem – filozoficzną, niemniej powieść lub przynajmniej opowieść. Swedenborg, Blake, Mickiewicz i Oskar Miłosz – główni pisarze interpretowani w tym dziele – tak są w nim omawiani



i portretowani, jakby byli właśnie postaciami literackimi, a nie uczonymi lub nawiedzonymi myślicielami.

Miłosz mocą swej wiedzy i pomysłowości konstruuje nową konstelację – magiczny kwadrat czterech, znanych skądinąd (choć nie zawsze rozgłośnie) nazwisk, które jednak w takim zestawieniu czy połączeniu nabierają nowych znaczeń. I zastosowuje tę figurę do rozważenia kluczowego dla nowożytnych czasów procesu, jakim jest powolny, stopniowy, lecz nieunikniony rozkład świadomości ustanowionej na wierze, i wynikający stąd rozpad przestrzeni metafizycznej, w której ludzkość żyła od wieków.

Pytania zadawane przez Miłosza wydają się fundamentalne dla cywilizacji Zachodu. Są to pytania o prawomocność scjentyzmu jako metody poznawczej, oraz o to, czy i w którym momencie (lub z jakiego powodu) obrana droga zaczęła prowadzić na manowce? Inaczej mówiąc: co spowodowało dewiację i czy była ona nieuchronna? Czy „ubóstwienie” Rozumu to tylko grzech pychy, „błędy i wypaczenia” wynikające z zawsze ułomnej praktyki, czy też nieuniknione przeznaczenie mylnie obranego szlaku? A jeśli tak, czy istnieje możliwość odwrotu? I co miałyby go warunkować?

Fascynujące jest, jak Miłosz potrafi mitologizować i uskrzydlać pojęcia i formuły już istniejące. Kto przed opublikowaniem tej książki słyszał o Blake'owskiej Ziemi Ulro – smętnej krainie, zamieszkałej przez duchy wydziełdzone z Wyobraźni, czyli głównie przez uczonych-scjentyistów (zwłaszcza wyznawców fizyki Newtona)? Wąska garstka specjalistów od angielskiego zagadkowego geniusza, zamknięty krąg filologów i religioznawców. Dziś hasło „Ziemia Ulro” jest znane i rozumiane bez porównania szerzej, ponieważ na równi ze słynnym tytułem Eliota „Ziemia Jałowa”. I odwrotnie: ktoś nie znał „zajeżdżonej” na lekcjach polskiego Mickiewiczowskiej opozycji: „wiara i czucie” kontra „szkiełko i oko”? Tkwiła ona w umysłach ludzi jako wytarty frazes, sfetyszyzowany schemat. Dziś, w świetle rzuconym na tę sprawę właśnie w *Ziemi Ulro*, z pozoru prościutki dylemat Mickiewiczowskiej *Romantyczności* na nowo ujawnia głębię i staje się sztandarowym dylematem naszych czasów.

W kluczowym momencie swojego wywodu, w rozdziale 38, zaczynającym się od pamiętnych słów, które Poeta miał w sobie usłyszeć („Powodowany niejasną potrzebą, zapewne karania siebie i niszczenia tego, co kochasz, zebrałeś argumenty na rzecz naszego posłuszeństwa krainie Ulro. Nigdy potęga Ulro nie była bardziej jawna i nigdy jej wrogowie nie zostali tak poniżeni...”),

Autor – ku mojemu ówczesnemu (rok 1978) zdumieniu – przywołuje postać i twórczość Becketta i nazywa go „najuczciwszym pisarzem Zachodu”. Na zakończenie tej krótkiej glosy pozwolę sobie – z nieznacznymi skrótami – przytoczyć ten fragment, ponieważ wydaje mi się on niezwykle celny:

„...cywilizacja odnajduje siebie w swoich wytworach i kto życzy sobie w jej esencję dzisiaj przeniknąć, niech zastanowi się nad jej pisarzem najuczciwszym, Samuelem Beckettem. (...) Beckett, jak zresztą cała jemu współczesna literatura zachodnia, *urbi et orbi* ogłosił to, co jeszcze w XIX wieku znane było tylko nielicznym, co sarkastycznie wyrażał Nietzsche wołając do Europejczyków: cóż to, zabiliście Boga i myślicie, że ujdzie to wam bezkarnie? – Teraz w skali masowej nastąpiło uświadomienie sobie nowej sytuacji metafizycznej człowieka, którą określa, dużymi literami wypisane: NIE MA. Żadnego głosu przemawiającego ze wszechświata, żadnego zła i dobra, żadnego spełnienia oczekiwań i żadnego Królestwa. Osoba ludzka dumnie pokazująca na siebie palcem: »ja« też okazała się ułudą... Miłość okazała się ułudą, przyjaźń okazała się ułudą, bo żeby istniały, musi istnieć jakiś sposób porozumienia, a gdzież on, jeżeli język jest tylko bełkotem... W literaturze radykalizmowi naukowca [w rodzaju Jacquesa Monoda] odpowiada Beckett, którego dewiza zdaje się brzmieć: najgorsza prawda jest lepsza od najpiękniejszego kłamstwa.

(...) Powtarzam: świadczące o wielkości Zachodu jest wyznanie zrobione przez człowieka samemu sobie, zawarte w jednowyrazowym tytule Becketta: *Endgame* [Końcówka]. Ten koniec zabawy to nie tylko śmierć jednostkowa, tę można znieść stoicko. To radykalne i bezlitosne stwierdzenie, że wyobraźnia ludzkości, tworząca w ciągu tysiącleci mity religijne, poematy, sny wykute w kamieniu, wizje malowane na drzewie i płótnie, rozczuła nas swoją dziecinną wiarą, ale możemy tylko myśleć z nostalgią o darze na zawsze utraconym. (...) Koniec zabawy to koniec literatury i sztuki, a jeżeli one zawsze towarzyszyły cywilizacji, to zarazem koniec cywilizacji. Trzeba uznać wielkość tam, gdzie – jak u Becketta – arcyzm karmi się końcem wszelkiego arcyzmu i *Endgame* podtrzymuje na krótko jeszcze jedną *Endgame*”.

Antoni Libera

*Krzysztof Lisowski*

## Obcowanie z Poetą

Jest to trudne zadanie, bo zupełną niemożliwością jest wybrać jedną, najważniejszą książkę Miłosza. To mocno niesprawiedliwe wobec ulubionego Autora i siebie ograniczenie!

Z Poetą, jego pojedynczymi wierszami, a potem książkami, zaczynałem obcować mniej więcej od połowy lat siedemdziesiątych. To kawał czasu. Ileż od tamtej epoki do śmierci Mistrza powstało wiele jego nowych, istotnych książek.

Zacynałem najpierw od pożyczania tomów poety z Berkeley na jedną noc od starszych kolegów ze środowiska krakowskich pisarzy, najczęściej książki wydane przez Instytut Literacki w Paryżu, od przepisywania ukradkiem do zeszytu jego emigracyjnych woluminów w czytelni profesorskiej Biblioteki Jagiellońskiej, gdy uzyskałem pozwolenie na korzystanie – jedynie na miejscu – z książek, oznaczonych znakiem „RES”, czyli z katalogu „ksiąg zakazanych”.

Jakaż była moja radość, gdy jako honorarium za druk jednego wiersza w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy otrzymałem od państwa Krystyny i Czesława Bednarczyków (a przemyciła ten tom znajoma z Krakowa) potężny zbiór *Wierszy* (Londyn 1967) – inna okładka niż w krajowych książkach, eleganckie wyklejki (wszystko autorstwa Jana Le Witta), dobra czcionka, papier, nawet inny zapach tego grubego, żółtawego papieru, jakby londyńskiej wilgoci z oficyny wydawniczej i drukarni umiejscowionej w arkadzie Hungerford Bridge na South Bank.

To była przez wiele lat najważniejsza dla mnie książka Miłosza, trzysta czterdzieści stron wierszy i poematów, przynosząca sporą wiedzę o jego poetyckiej twórczości z lat 1934–1965, od olśniewającej magii *Trzech zim* do wierszy *Dużo śpię* czy *Dytyramb*.

Nieco później miałem przyjemność i zaszczyt redagowania w Wydawnictwie Literackim dwóch tomów jego *Wierszy* (Kraków 1984) i wcześniej nowej rzeczy – zbioru *Hymn o Perle* (Kraków 1983). Ze względów zawodowych, uczuciowych, czytelniczych to były znów książki najważniejsze, bo stanowiły też dowód obcowania z Poetą, który nie był już dla mnie mityczną postacią, „zabronioną” i niedostępną, mieszkającą za oceanem, lecz realnie istniejącym człowiekiem, który pojawiał się koło południa w WL-u, z którym piło się kawę i „zwyczajnie” rozmawiało, uczestniczyło w spotkaniach, towarzyszyło na promocjach i targach książki.

Wiele znaczyły dla mnie *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (Kraków 1980) i *Kroniki* (Paryż 1987), tomy poezji, uczące, jak różny i „dziwny” materiał może być budulcem, wywiedzionego z pamięci i dawnych dokumentów, obrazów, powidoków, intensywnie czulego wiersza, a także książki eseistyczne, rozwijające wyobraźnię i pokazujące na różne sposoby „formę bardziej pojemną”, bo eseje, przemyślenia, portrety ludzi, przekłady z poetów i literatur, które dzięki Miłoszowi polubiłem, zacząłem doceniać, często zgłębiać poprzez inne lektury.

Kiedys wyróżniłem jeszcze i wyróżniam do dziś tom wyjątkowy – *Rok myśliwego* (Paryż 1990), jedyny na razie ujawniony z bogatego i różnorodnego przecież dorobku Noblisty dziennik pisarza. Nawiasem mówiąc, prezent od Wacława Iwaniuka, kupiony dla mnie w Toronto.

A *Wypisy z ksiąg użytecznych* (Kraków 1994), pokazujące jak niezwykle to osobista antologia ulubionych wierszy, które wielokrotnie pomagały mi w prowadzeniu zajęć dla młodych adeptów literatury w szkole *creative writing*, Studium Literacko-Artystycznym na Uniwersytecie Jagiellońskim?!

I wreszcie przekłady biblijne – szczególnie *Księga Psalmów* (Kraków 1998), *Księga Hioba* (Kraków 1998), ze znamiennej finałową frazą: „I umarł Hiob stary i syty dni” – towarzyszyły i towarzyszą mi od dawna, niezbędne zupełnie inaczej.

Na koniec wielkiej piękności *Orfeusz i Eurydyka* (Kraków 2002) – miałem swój drobny udział w zaistnieniu tego długiego wiersza w formie książkowej – i długo oczekiwane *Wiersze ostatnie* (Kraków 2006), najbardziej dramatyczny wyraz borykania się Mistrza ze starością, odchodzeniem, żegnania się ze światem i „gospodarstwem poezji”, z człowieczymi słabościami i ostatecznościami.

Jednym słowem Miłosz okazał się dla mnie (i zapewne dla wielu) nie tylko poetyckim Majstrem, ale i przewodnikiem, nauczycielem, inspiratorem, twórcą i szczodrym ofiarodawcą wielu „tematów do odstąpienia”, który daje ciągle lekcję nauki niepokornego zdziwienia, zachwytu, twórczego nienasycenia, metafizycznego apetytu.

Krzysztof Lisowski

Paweł Mackiewicz

*American dream*

Bez specjalnych uzasadnień łatwo wymienić kilka ważnych książek Miłosza, ważnych przynajmniej z perspektywy historyka literatury. Każda z nich ważna inaczej, w innych okolicznościach historycznych, w różnych momentach i okresach biografii samego autora, uwikłana w sobie właściwe konteksty literackie, sąsiedztwa bibliograficzne, wewnętrzne porządki długiej, jednej z najdłuższych twórczości, jakie pamiętają dzieje polskiej kultury. *Ocalenie*, *Zniewolony umysł*, *Ziemia Ulro*, *To* – każda z tych książek mogłaby być tą najważniejszą, zależnie od przyjętych kryteriów „ważności”. A są jeszcze poematy: jest *Traktat moralny*, publikowany po raz pierwszy przez Kazimierza Wykę w „*Twórczości*”, jest poemat *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*. Ankieta „*Kwartalnika Artystycznego*” pozostawia jednak ankietowanemu luksus subiektywności, margines przyzwolenia na spontaniczne, czytelnicze „widzimiś”.

Najważniejsze dla mnie książki Czesława Miłosza. Nie wiem, czy najważniejsze. Z pewnością najbliższe – eseistyczne: *Rodzinna Europa*, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, *Zaczynając od moich ulic*. Jeśli musiałbym wybrać spośród nich jedną, byłyby to może *Widzenia...* Od początku:

Jestem tu. Dwa te słowa zawierają wszystko, co można powiedzieć, od nich się zaczyna, do nich się wraca. Tu – to znaczy na tej ziemi, na tym a nie innym kontynencie, w tym a nie innym mieście, w tej epoce, którą nazywam moją, w tym stuleciu, w tym roku. Nie jest mi dane żadne inne miejsce ani żaden inny czas i od poczucia przemijalności mego ciała bronię się dotykając stołu. To bardzo elementarne – ale gdybyż to nauka życia nie polegała na stopniowym odkrywaniu prawd elementarnych.

*Widzenia...* to, jak wiadomo, zapis elementarnych doświadczeń, szczegółowe, diaryistyczne niemal i drobiazgowo niekiedy świadectwo (procesu) poznawania nowej rzeczywistości, od podstaw, od wątpliwości i zaskoczeń, to – celowa czy mimowolna, trudno wyrokować – konfrontacja dwóch kultur (nie najszcześniejsze ani najtrafniejsze to sformułowanie, skoro obie w interpretacji Miłosza mają ten sam „korzeń”) – europejskiej i amerykańskiej. Żadna z nich nie wychodzi z tego eksperymentu bez szwanku. Rozsądza je nie tyle sędzia sprawiedliwy i suwerenny, co sceptyk i przybysz z daleka, a zarazem entuzjasta inności i zapalony uczestnik życia zbiorowego. Nie Ameryka, Eu-

ropa i różnice między nimi wydają mi się w tej książce zajmujące. Frapująca jest tymczasowość, niegotowość, w jakimś sensie także przyczynkowość sądów, które formułuje Miłosz, przy ich tematycznym uporządkowaniu, niemal katalogowej systematyczności. Nie chodzi tu o poetykę eseju, o pewną familiarność wywodu połączoną z jego filozoficznym nachyleniem, autorską skłonnością do uogólnień. Ta właściwość stylu i myślenia Miłosza – wyczuwalna właśnie w *Widzeniach nad Zatoką San Francisco* – czyni z tomu, być może, mały traktat epistemologiczny. Albo próbę powrotu do źródeł – biją one gdzieś na obszarze bardzo szerokim, między fenomenologią a egzystencjalizmem. „Drogie mi jest – czytamy w rozdziale pt. *Ja i oni* – jak każdemu, moje słodkie »ja« i naprawdę przejmuję mnie tylko nieubłagalność czasu i śmierci. Jestem jednak zanurzony w ludzkość, jej poddany, przez nią stwarzany co dzień i na nowo, tak że wymyka mi się moja ledwo wyczuła esencja”. W książce słyhać historiozoficzne echa *Zniewolonego umysłu*, *Rodzinnej Europy*, są tu zapowiedzi *Ziemi Ulro* czy *Traktatu teologicznego*. Ale *Widzenia...* nie mają, odnoszę wrażenie, nic z literackiej *summy*. Dowodzą raczej tego, że pisanie samo w sobie jest poznawaniem. Poznawaniem rządzącym się swoją logiką, sobie właściwymi prawami. Ta wędrówka po tematach ma sens wówczas, gdy wędrujący zapomina o celu, który obrał, stawiając pierwsze kroki. Kontrast między Europą i Ameryką jest kontrastem między Miłoszem tu i Miłoszem tam. Skoro w „legendach [Europejczyków] Ameryka jest zawsze tylko malowniczą przygodą”, nie ma pewności, że legendą i przygodą – mniejsza o to, czy malowniczą – nie okaże się ona również w *Widzeniach...* Od weryfikowalności Miłoszowskich widzeń Ameryki lat sześćdziesiątych – a nie ma powodu odrzucać większości rozpoznań socjologicznych, historycznych, politycznych – bardziej interesuje mnie samo przyrastanie obrazów „tego miasta”, „tego kontynentu”, „tej epoki”. Zakończenie książki wydaje mi się ponowieniem jej początku:

„Jedyne, czego jestem pewien, to moje zdziwienie. Zdziwienie, że jest coś takiego jak Ameryka i że w ogóle dotychczas jeszcze istnieje ludzkość, choć powinna była już dawno wytepić się wzajemnie albo wyginąć z głodu, od wydzielanych przez siebie trucizn i od epidemii. Ale zdziwienie skłania właściwie do niemej kontemplacji i za każdym razem, kiedy biorę do ręki pióro, które samo udaje, że coś wie, bo język składa się z twierdzeń i przeczeń, traktuję to tylko jako egzorcyzm przeciwko złym duchom bieżącego czasu”.

Paweł Mackiewicz

Piotr Matywiecki

## Czar, dystans i mądrość

Nie wiem, na ile to jest ustalona tendencja, ale najnowsza polska poezja w swoim dominującym nurcie nie uprzytomnia chwili (raczej ją roztrzaskuje na tysiące wrażeńiowych odłamków), a z drugiej strony nie chce zanurzać się w długim trwaniu, w czasie historycznym – zna jedynie szydercze aluzje do samej możliwości tego czasu, wykpiwa taką możliwość. Brakuje mi w tej poezji zachwytu i losu. Kiedy ją czytam, już samo wypowiedzenie poprzedniego zdania poniża mnie we własnych oczach, czyni kimś zawstydzającym anachronicznym.

Wtedy wracam do Czesława Miłosza. I żadna dzisiejsza krytyka płynąca z młodych ust nie jest mnie w stanie zniechęcić do tej poezji. Bo przeżyłem z nią zachwyty i przemyślałem historyczny czas.

Pierwszym jego tomem, jaki przeczytałem, był *Gucio zaczarowany*. Trafił do mnie zaraz po ukazaniu się, w 1965 roku. I trafił we mnie! Byłem początkującym poetą, odważnym, jak każdy debiutant, ale i onieśmielonym wspaniałością ówczesnej polskiej liryki. W tym czasie powstawały jej arcydzieła – najlepsze utwory Iwaszkiewicza, Różewicza, Szymborskiej, Herberta, Grochowiaka. A jednak tom Miłosza, chociaż czytany po tamtych poetach, olśnił mnie, „zaczarował”, zgodnie z tytułem. Nie było to jednak wrażenie hipnotyczne – z hipnozy od razu otrzeźwiał dystans sprzeciwiający się „czarom”. Dzisiaj wiem, że uwodzonemu czytelnikowi dystans był przez Miłosza „zadany”!

Mimo dystansu czar się narzucał najprostszym sposobem: Miłosz ukazał mi się jako jedyny, który w polskiej poezji uprawia inkantację, zaśpiew – jedyny po Czechowiczu.

W każdym przebiegu melodii wiersza Miłosz in-tonuje! Składniowymi sposobami wstrzymuje na moment melodię, żeby od momentu następnego rozpocząć melodię nową. Przy tym afektacja rozpoczynania ważniejsza jest od melodycznego przebiegu.

To chyba jedyny polski poeta f r a z y. Dla f r a z y właściwa jest melodyczno-rytmiczna jedność i przepełniająca ją od początku do końca inkantacja, w każdym swoim miejscu fraza zachowuje swój początek intonowania. A intonowanie jest natchnieniem. Więc Miłosz to poeta natchnienia.

S e n s jego wierszy jest rytmicznym wahadłem między muzyką a znaczeniem, treścią.

Co mnie, jako treść niesiona przez czar, uderzyło przede wszystkim? – Naczelny temat *Gucia zaczarowanego*, którym wydał mi się o d d e c h w i e l k i e g o c z a s u. Współczesna poezja, którą dotąd znałem, z osobna traktowała rozmaite czasy: kosmiczny, historyczny, przeżywany osobiście. Tylko Miłosz (i może jeszcze, ale mniej sugestywnie, Mieczysław Jastrun) potrafił w jednym wierszu połączyć wszystkie odmiany czasu i nadać im rozległość od prehistorii do dzisiaj, od obrotów planet do przygód jakiegoś „ja”. Czytałem czas zwierszowany! Dlatego znaną formułę Jana Błońskiego „Miłosz jak świat” wolałbym przekształcić w „Miłosz jak czas”. Pisząc ten esej pragnę włączyć się w Miłoszowski oddech czasu w ten sposób, że przywołuję pamięć o chwili zachwyty.

Nie jest łatwo odtworzyć tamte wrażenia, bo zachwyty był natychmiastowy, a późniejsze wieloletnie obcowanie z twórczością Miłosza uczyniło z momentu pierwszej lektury brzemiennej literacką historię. Historia ta była oczywiście obecna od chwili zetknięcia się z wierszami *Gucia zaczarowanego*, jako czytelne aluzje do wielu epok literackich i jako nieuchwytnie impulsy dawności. O wiele później zdałem sobie sprawę, że Miłosz był medium, które nam, ludziom dzisiejszym, przywracało i przetwarzało całość polskiej literackiej mowy.

W *Guciu zaczarowanym* poetycka mowa Miłosza brzmiała wszystkimi erami polszczyzny, chociaż dopiero po latach potrafiłem je rozróżnić i nazwać. Najpierw zaznałem sumującej historię języka czystości poetyckiego słowa. Było ono pozbawione manierycznych ornamentów właściwych poezji Grochowiaka i jego rówieśników, także stylizatorskiego antykwaryzmu, ale było też pozbawione prowokacyjnej, ostentacyjnej prostoty Różewicza. Słowo Miłosza, uroczyste i zwyczajne, zjawiało się *in statu nascendi*, w pierwotnym wydarzeniu się lektury, z całą siłą ewokacji. Mowa poety nie chciała nic wiedzieć o poprzedzających ją i ustanawiających konwencjach. Dopiero po latach doszło do mnie, że była to świeżość ludzka, wynik mistrzowskiej sztuki: w swojej bezpośredniości słowo rozszerzało się tak bardzo, że ukrywało w sobie wszelkie poetyki tworzące tę bezpośredniość!

W chwili zjawiania się słowo Miłosza grawitowało, zstępowało w konkret, w mineralną, przyrodniczą materię świata i moralną materię człowieczeństwa. A równocześnie uogólniało się do symbolu. Obrazy były tak substancjalnie skupione, że sama ta koncentracja rodziła symbolizm. I dzięki temu słowo jednorazowe, „przydane”, ewokowane w tym właśnie, a nie innym wierszu, wzbudzało aktywność całej polszczyzny, rozkwitało jako mowa powszechna.



Miłosz przywrócił wiarę w istotę poetyckiego sensu, w jednorodną Mickiewiczowską całość rzeczywistości i znaczenia. Więcej to miało wspólnego z kontemplacją i refleksją, niż ze słowną magią Juliana Przybosa.

Czułem, że to była polszczyzna z miejsca, którego nie znałem – już to wprowadzało pierwszy, dystansujący refleks obcości... Miłosz w tym tomiku mówił do mnie jak ktoś daleko-bliski. Mówił z dystansu, który drżał bliskością. (Oczywiście nie chodziło jedynie o dystans geograficzny, emigracyjny.) Później dopiero dowiedziałem się o kresowym pochodzeniu jego mowy. Jej miejsce było dla mnie tajemnicze, należało do obrzeży egzotycznych dla powojennego pokolenia, ale rodziła się z niego mowa źródłowa i oczywista, przekonująca we wszystkich swoich właściwościach.

Miała w tym udział składnia wyraźnej, emocjonalnej prostoty: uczucia ukazywały się bez hamulców, chwilami gwałtownie, bezpośrednio – dlatego chętnie i łatwo poddawały się równie bezpośrednio i nie cenzurującemu ładowi życia, ładowi Miłoszowskich zdań. Składnia przynosiła tylko tyle dystansu, żeby każda rzecz i sprawa dawały się obejrzeć w osobnej całości i we wszystkich wzajemnych związkach. Nieomal jak w stylu homeryckim.

W samej treści *Gucia zaczarowanego* dystans najpierw narzucił mi się jako różnica dzieląca kosmiczny pejzaż od ludzkiego doświadczenia. Już w pierwszym wierszu tomu, *Była zima*, dwa zdania obrazują nieprzezwyčajalny dystans przyrody i ludzkiego życia:

Orzeł zdejmuje pomiary przepaści.  
(...)  
Jesteśmy biedni ludzie, doświadczeni.

Owe „pomiary przepaści” utrwalają swoje nieludzkie rozstępy, ponieważ do *Gucia zaczarowanego* Miłosz dołączył przełożone przez siebie wiersze Robinsona Jeffersa, poety, dla którego natura człowieka zrównana jest z okrutną i obojętną przyrodą. Natomiast „bieda ludzkich doświadczeń” znajduje wzmagające echo w dołączonych utworach Walta Whitmana – są one ekstatyczne w uwielbieniu ludzkości, przez co nie kojarzymy ich z „egzystencjalną biedą”, ale z pewnością z doświadczaniem losu, które samo w sobie jest wartością etyczną, przeciwną a-moralnej przyrodzie Jeffersa.

Drastyczność tego dystansu dziedziczy Miłosz po ulubionych myślicielach: Pascalu i Simone Weil.

Innym dystansem otwierającym się w wierszach tomu jest nostalgiczna odległość dzieląca „tu i teraz” od „tam i wtedy”. Jak dobrze wiadomo, ta

nostalgia dynamizowała całą powojenną twórczość poety. Jestem przekonany, że w dwóch lirykach z owego tomu, *I świeciło to miasto* oraz *Ustawią tam ekrany* ujawnia się przejmująca ambiwalencja tej nostalgii. Myślę o jej zasadniczych formach: o p o w r o c i e i o p o w t ó r z e n i u. (Te formy można znaleźć także w późniejszej liryce poety, tutaj wystąpiły w postaci pra-wzorów.) Zachętą „powrotu” jest nadzieja odzyskania i zrozumienia swojej egzystencji. „Powtórzenie” jest czymś beznadziejnym i przynosi bezsens.

*I świeciło to miasto* kończy się strofą:

I świeciło to miasto, którym po latach wracałem  
Z twarzą zakrytą paltem, chociaż już dawno nikt nie żył  
Z tych, którzy mogli pamiętać niezapłacone długi.  
Hańby niewiekuiste, podłostki bez przebaczenia.  
I świeciło to miasto, którym po latach wracałem.

W początkowych, nie cytowanych partiach utworu, ktoś powracający do miasta młodości przedziera się przez historię od średniowiecza do teraźniejszości i obciąża historyczną świadomość osobistymi trywialnymi winami uczestnika naszych marnych czasów. Ale razem z tym współczesnym Odyseuszem i synem marnotrawnym powraca do miasta nadzieja odpuszczenia win, takiego, które nie jest obłudnym samousprawiedliwieniem, ale odblaskiem zaświatowego Zbawienia.

Być może poezja Miłosza jest takim powrotem mowy poprzez świat, jego materię – ku Przemienieniu mowy, materii i człowieka. Późne przekłady biblijne byłyby dokonaniem się Przemienienia...

Przeciwieństwem jest wiersz *Ustawią tam ekrany*. Jego początek i koniec wyjaśniają to:

Ustawią tam ekrany i nasze życie  
Będzie się ukazywać od początku do końca  
Ze wszystkim, co zdołaliśmy zapomnieć, jak się zdawało na zawsze  
(...) Gryź, jeżeli masz, palce  
I znów oglądaj, co było, od początku do końca.

Ta okrutna, beznadziejna eschatologia ma wiele wspólnego z piekłem *Przy drzwiach zamkniętych* Sartre'a. Więzienne powtarzanie wspomnień dawnego życia nie pozwala na żaden powrót. Wspominanie odbiera nostalgii dynamizującą moc. Taki tragizm jest w twórczości Miłosza równie silny, jak nadzieja wyrażona w wierszach o przesłaniu podobnym do *I świeciło to miasto*.

Dystans egzystencjalnej nadziei i eschatologicznej beznadziei jest najbardziej dramatyczny.

Tutaj problem czasu wiąże się w poezji Miłosza z problemem losu. Poeci tacy, jak Aleksander Wat, Adam Ważyk, czy Wiktor Woroszyński zajmowali się losem ludzkim jako węzłem doświadczenia i historii. W tym zapętleniu okazywało się, że doświadczenie jest bezradne, ponieważ tyle samo znaczy, co brak doświadczenia... Ale jedynie Czesław Miłosz potrafił nadać temu „doświadczeniu skierowanemu przeciw doświadczeniu” wszystkie odcienie historiozoficzne i egzystencjalne. Może dlatego tylko on przywrócił sens absurdowi, nadzieję beznadziei...

W tym miejscu spróbuję w najszerszej dostępnej mi perspektywie pokazać ów sens przeważający nad absurdem, i nadzieję nad beznadzieją – tak jednak, żeby nie były to przewagi zbyt łatwe i tryumfalne, bo zaprzeczyłyby trzeźwości przesłania, jakie pozostawił nam Miłosz.

Użyję triady pojęć: chwała – powaga – skrucha.

## Chwała

W książce *O języku modlitwy* teolog Richard Schaeffler napisał:

„Chwała Boża, która rozbłysła, gdy Bóg okazał się działającym w tym, który odmawia modlitwę, i dopiero tym sposobem uczynił go zdolnym do specyficznie religijnej formy subiektywności, zawsze jest tożsama z ową chwałą, której pełne są »niebiosa i ziemia«. (...) Kosmiczny uniwersalizm chwały Bożej, której pełne są niebiosa i ziemia, wymaga uniwersalizmu wspólnoty modlitewnej. Dlatego odmawiająca modlitwę jednostka cofa się i niknie w chórze odmawiających modlitwę, do którego – zgodnie z przekonaniem wielu religii – należą nie tylko ludzie, lecz wszelkie stworzenie. Stąd ostatni werset ostatniego psalmu biblijnego brzmi: »Wszystko, co żyje, niech chwali Pana!« (Ps 150, 6). Owo cofnięcie się jednostki, która niknie w chórze adorujących, pozwala zrozumieć, że indywidualna, swobodnie formułowana modlitwa na ostatek przechodzi z powrotem w tradycyjną, zrytualizowaną modlitwę”<sup>1</sup>.

Taka jest modlitewna sytuacja poezji Miłosza! Sławienie Bożego świata odpowiada chwale Bożej. Sławienie tego, co jest, bo jest – to doksologia poezji Miłosza. Znane *credo* z wiersza *Kuźnia*: „Do tego byłem wezwany: / Do pochwalania rzeczy, dlatego, że są”, daje się interpretować psalmicznie.

<sup>1</sup> Richard Schaeffler, *O języku modlitwy*, Kraków 2007.

Uniwersalizm sławiącej modlitwy jest zrytualizowaniem wiersza, jego rytmu, i jest tradycją jako macierzą poezji. Miłoszowskie marzenie o mowie powszechnej, uroczystej, liturgicznej znajduje dopełnienie w modlitewnej samotności, a raczej w suwerenności duszy człowieka modlącego się wierszem, „zmawiającego” wiersz ze wszystkich epok osobistego i historycznego czasu.

## Powaga

Powaga to „uroczystość”. Można temu słowu przydać etymologię fikcyjną, ale oddającą istotę: „uroczystość” to urok i czystość. (W moim dawnym przeżyciu: „czar” *Gucia zaczarowanego* i „czystość” jego słów.)

Miłosz dobrze zna uroczysty, liturgiczny ton – zna też konwencjonalizm tego tonu, potrafi się do niego dystansować, okrutnie zakpić z uroczystości. Ale nawet wtedy się z niej nie wyłamuje.

Powaga Miłosza jest etyczna. Kiedyś w *Dzienniku* Witold Gombrowicz tak określił styl *Zniewolonego umysłu*: „spokojne, potoczyste słowo, które z tak śmiertelnym spokojem przypatruje się temu, co opisuje”<sup>2</sup>. Uwaga ta jest trafna również w odniesieniu do poezji. Jednak określa tylko jeden jej biegun. Cały Miłosz jest dopiero między owym „śmiertelnym spokojem” a epifanią ekstazą.

W tytułowym wierszu *Gucia zaczarowanego* sąsiadują ze sobą wersety:

Dane było życie, ale niedosiężne.  
Od dzieciństwa do starości ekstaza o wschodzie słońca.

„Niedosiężność” życia rozumieć należy potrójnie: jako znany wszystkim rozstęp między tym, kim chciało się być, a kim się jest, jako właściwą tylko największym poetom świadomość niedostatku słów mających wyrazić życie, i jako agresję bezsensu. Ta „niedosiężność” stawała się w późnym okresie poezji Miłosza prawie-rozpaczą, dlatego „prawie”, że przyjmowaną ze śmiertelnym spokojem. A ekstaza nigdy nie zanikła.

Powaga jest pięknem kosmologicznym, pięknem, którego inną nazwą jest kosmos, ład świata. Mój zachwyty *Guciem zaczarowanym* był uderzeniem takiego właśnie piękna. Mowa tego tomu, jakkolwiek i o czymkolwiek by mówiła, scalała swoje odmiany i swoje treści – nie ukrywając sprzeczności między zdystansowanym chłodem a zachwytem.

<sup>2</sup> Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, w: *Dzieła*, tom VII, Kraków–Wrocław 1986.

Pomiędzy tymi dwoma wysiłkami życia (chłodem i zachwytem) jest „rzeczywistość”, którą Miłosz chce chwycić swoimi epifaniami.

Sądzę, że są to „wysiłki”, ponieważ nie tylko dystans, ale i zachwyt, tylko częściowo jest spontaniczny... W każdym spojrzeniu na świat, w każdym słowie utrwalaającym to spojrzenie, Miłosz daje do zrozumienia, że pracuje na nie całym długim życiem, które nie jest jedynie sprawą natury – jakże dla niego zachłannej i erotycznej! – ale także kształtowanego losu.

### Skrucha

Wyrzutami z powodu tej wysiłonej nienaturalności życia, która nie całą naturę zdołała przepracować, są powtarzające się starcze skargi na utajone grzechy... Czy to zachęta, żeby domyślać się rodzaju tych grzechów? Czy Miłosz prowokuje czytelnika, żeby się ich domyślał? A może raczej jest to zachęta do przemilczenia tych grzechów, a zatem do wzięcia w nawias wielkiego *ego* poety? Przemilczenie jako skromność, jako niechęć do epatowania, do ekshibicjonizmu?

Wydaje mi się, że wyrzuty sumienia Miłosza osiągają największą dostępną człowiekowi prostotę spowiedzi. Układając się ze swoją wiekową pamięcią Miłosz pozwala słowom fałdować się wokół osobistego dobra i zła, do inkantacji muzycznej dodaje inkantację sumienia. Jego poezja widziana od końca do początków, od okrutnego wiersza *To* do katastroficznych *Trzech zim*, tak się właśnie, muzycznie i sumiennie, formuje.

Najpierw Miłosz przeraził się chaosem w sobie, później złem w świecie, później odszukał w sobie tęsknotę za całością. Na koniec przyznał, że do całości człowieczeństwa należy społeczne dobro i społeczne zło. Tej pozornej oczywistości nie pozostawił bez moralnych konsekwencji dla codziennego życia.

Z poezji Miłosza można wyprowadzać nauki powszednie. I on sam takich nauk szukał u swoich mistrzów. W *Nieobjętej ziemi* cytował mądrego rabina:

*Rabbi Levi powiedział:*

*Jeżeli świat jest tym, czego szukasz, nie może być sprawiedliwości.*

*Jeżeli sprawiedliwość jest tym, czego szukasz, nie może być świata.*

*Czemu chwytasz sznur za oba końce,*

*szukając i świata i sprawiedliwości?*

*Puść jeden koniec,*

*bo twoja zawziętość doprowadzi świat do zguby.*

Dla wielu czytelników – należą do nich – chcących widzieć w poecie Starożytnego Mędrca, taka metafizyka codziennej etyki była niezbędną prawdą i skuteczną obroną przed obojętnością i przed fanatyzmem.

Piotr Matywiecki

### Leszek Aleksander Moczulski

## Do czytania w smutku i radości

Wielka przygoda z poezją Czesława Miłosza zaczęła się dla mnie w latach sześćdziesiątych od „samizdatów”. Dostawałem je od mojego przyjaciela, nieodżałowanej pamięci Adama Włodka, a wcześniej opiekuna nas młodych „pisarzy” przy krakowskim oddziale ZLP. Przepisywanymi przez siebie na maszynie wierszami Miłosza obdarowywał Adam, jak miemam, nie tylko mnie. Chyba w tym samym czasie, po rozmowie w wąskim gronie znajomych, m.in. o poezji Miłosza, otrzymałem od jednej z osób – „czytelniczki poezji”, jak o sobie mówiła, egzemplarz *Ocalenia*, Warszawa 1945. Z początkiem lat siedemdziesiątych stałem się już szczęśliwym posiadaczem *Wierszy* Miłosza wydania londyńskiego (1967). Egzemplarz kupiłem „dzięki kontrabandzie”.

Trudno mi powiedzieć, którą Jego książkę cenię czy lubię najbardziej, bowiem ja przez wiele lat uczyłem się z książek Czesława Miłosza rozumienia współczesności i przeszłości. Urzekła mnie formuła „poezji bardziej pojemnej”.

Z ogromną intensywnością wszedł w moje życie cykl *Świat (poema naiwne)*. I także dzisiaj czytam ten poemat z wielkim wzruszeniem i wdzięcznością. Pisany w ciemnej nocy pogardy hitlerowskiej dla człowieka, dokonał wielkiego przełomu. Że oto w walce o godność i wolność, niekoniecznie materia wiersza musi być „walcząca”, że poezja liryczna może zwyciężyć nienawiść. Wiara, nadzieja, miłość – przesłanie tego poematu, ma swoją ożywczą moc i w czasach pogardy dla ludzi i w czasie pokoju, zwyczajności. I druga rzecz, która zasługuje na uwagę. *Świat (poema naiwne)* nawiązuje do języka poetyckiego dziecięcego. Nie chcę też z całą pewnością twierdzić, że jest to poezja wysublimowanego wersu „ludowego”. Ale czyż przełomowe dzieło Adama Mickiewicza *Ballady i romanse* nie było także sublimacją „ludowej pieśni”?

Może te właśnie przykłady dały asumpt poecie Miłoszowi tworzyć „poezję bardziej pojemną”.

Cenię bardzo cały wielki dorobek pisarski Czesława Miłosza, ale najukochańszy dla mnie, do czytania w smutku i w radości to Jego *Świat* (poema naiwne).

Leszek Aleksander Moczulski

*Krzysztof Myszkowski*

## Trzy książki

„Ale książki będą na półkach, prawdziwe istoty / (...) dobrze urodzone, / Z ludzi, choć też z jasności, wysokości”, napisał Czesław Miłosz w wierszu pt. *Ale książki* zamieszczonym w pierwszej części *Kronik* (1987) i tak jest: na najwyższych półkach stoją u mnie książki Miłosza, a w nich gnieździ się jego duch.

Te książki istnieją w swoich kręgach, ciągle jeszcze zmiennych, ale z upływem lat już coraz bardziej się ustalających. Najważniejsze z nich to, istniejące w kręgu pierwszym: *Ocalenie*, *Utwory poetyckie. Poems* i *Druga przestrzeń*. W kręgu drugim znajdują się idące im w sukurs: *Ziemia Ulro*, *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* i *Orfeusz i Eurydyka*, a w trzecim: *Szukanie ojczyzny*, *To* oraz wszystkie *Listy*, jakie zostały w różnych tomach i publikacjach ogłoszone. To mój kanon główny Miłosza, który ciągle uzupełniany jest pięcioma tomami *Wierszy*, wydanych w ramach *Dzieł zebranych*, bo nie mam już *Ocalenia*, które ktoś kiedyś pożyczył i nie oddał, ani *Utworów poetyckich. Poems*, które z kolei mnie zostały pożyczone i które dawno temu oddałem.

Tak więc w kręgu pierwszym znajdują się: *Ocalenie*, *Utwory poetyckie. Poems* i *Druga przestrzeń* i jest to jakby początek, środek i koniec poetyckiej drogi Miłosza, chociaż środek, który co prawda początek obejmuje, bardziej już jest po drugiej stronie.

*Ocalenie*, wydane przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik” w Warszawie w 1945 roku, obecne było w moim domu rodzinnym, w bibliotece Ojca, od początku. Broszurowa oprawa, tytuł wypisany czerwonymi literami, a pod

nim w tym samym kolorze pegaz, strony do rozcinania, wyrazisty druk i wiele światła w środku. Po raz pierwszy zacząłem czytać te wiersze w liceum, chociaż zaglądałem do nich wcześniej. Jeżeli miałbym jednym słowem określić wrażenie, jakie odniosłem po ich lekturze, to powiedziałbym: bliskość, serdeczna bliskość, ale i dystans, bo wielu z tych wierszy nie rozumiałem, chociaż przecież były mi w domowy sposób bliskie.

W *Przedmowie* Miłosz mówi o ocaleniu, o prostocie wyrażania i o milczeniu, o poezji i jej wybawczym celu. Uwagę zwracają biblijne aluzje i odniesienia, jasność słów i obrazów, przewycięzanie w sobie złego i mieszające się radość i rozpacz. Z tych wierszy najbliższe to: *W mojej ojczyźnie* (z 1937 roku), *Kraina poezji*, *Campo di Fiori* i *Świat (poema naiwne)*, który przyjąłem najżywiej, szczególnie tryptyk *Wiara, Nadzieja i Miłość*. Ostatnia strofa wiersza pt. *Słońce*, który zamyka ten cykl, kojarzy się z zakończeniem *Orfeusza i Eurydyki*. I inne: *Głosy biednych ludzi*, a wśród nich: *Piosenka o końcu świata*, *St. Ign. Witkiewicz*, *Biedny chrześcijanin patrzy na getto* oraz *Los*, *Spotkanie*, *Piosenka pasterska*, *Walc* i *Pożegnanie*. Był w nich wzniosły, jakby uroczysty ton, który polubiłem oraz taka jak w życiu bliskość i przenikanie mowy wysokiej, odświętnej i mowy codziennej, zwykłej.

Znajdowałem w tych wierszach bliskie mi słowa, znane i nieznanne: rumowisko, lot, cyranka, szaleje, burzan, czeremcha, podole, gaje i doliny, Wilia, anielskie rzesze, blask, brzask, jar, promienie, popiół, sen i mara, szron, puch, złotej łaski czas, biała pustka, nicość, głębina, wiosenne błyskawice, zachwyty, światło jak muślin, niebiosa, rydwan, grom, strumienie, luno, otchłań czarnego zenitu, gwiazdziste niebo i wysokie kopce termitów. Znałem te słowa z Biblii, z Mickiewicza, a także z mojego wileńsko-toruńskiego domu. Były jak tajemniczy szyfr, do którego kluczem stawały się: miasto, rzeka, wiatr, obłoki, wieże, ruiny i dzwony. Tak, jakby to był Toruń, chociaż było to znane mi ze zdjęć i z rodzinnych opowieści podobłoczne Wilno.

*Poems. Utwory poetyckie* z dedykacją: „Jerzemu / na pamiątkę wszystkich naszych / błyskawic / Czesław / 6 I 77 Berkeley” dostałem od Jerzego Andrzejewskiego w 1979 roku. Był to pierwszy duży wybór wierszy Miłosza, który ukazał się w Stanach Zjednoczonych w 1976 roku nakładem Michigan Slavic Publications w Ann Arbor, ze wstępem po angielsku Aleksandra M. Schenkera – wybór od *Trzech zim* i *Ocalenia*, przez *Światło dzienne*, prezentowany w całości *Traktat poetycki*, *Króla Popiela*, *Gucia zaczarowanego*, *Miasto bez imienia* do *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, w twardej oprawie z ciemnozielonego płótna. Całość liczyła czterysta stron, a więc był to wybór obszerny, dobrze



Miłosza pokazujący. Było to nowe objawienie, znacznie rozszerzające ten zakres, który znałem z *Ocalenia*, a od tamtej pory nic Miłosza nie czytałem, gdyż tak w liceum jak i na studiach polonistycznych był zakazany i schowany. Tak, to było objawienie i olśnienie, które na drugi plan przestawiało wszystko, z czym miałem do czynienia we współczesnej polskiej poezji.

Z *Trzech zim*: \*\*\* (*Ty silna noc...*) i *Obłoki*, a ze *Światła dziennego: Który skrzywdziłeś*. Z jednej strony to, co płynne i to, co nieruchome, a z drugiej to, co twarde i mocne i to, co słabe, kruche i przmijające. „Wielka błyszcząca cisza nieruchomego punktu”. Pełne światła wersety i ciemne w nich miejsca i znaki budzące niepokój i lęk. Koleiny i punkt, z którego się patrzy. Chwiejność, pewność i niepewność. Ironie i fatalizmy. Spokój, ład, ruch i wir niepokojów. Chwile, przelotne momenty i moment wieczny. Linie, przecięcia i „czas wyniesiony ponad czas przez czas” i on w nim „ten sam i nie ten sam”. Od bicia, złożone i proste formy, radości i rozpacz, drogi i najdziksze manowce, jasne i przejrzyste plany i labirynty bez wyjścia. Ja i nie ja, lawina i kamienie, łuki ruin i łódki z kory. Z *Heraklita z Króla Popiela*: „Poszczególne istnienie odbiera nam światło / (To zdanie da się czytać w obie strony)”. Duma i wzgarda. *Rozmowy na Wielkanoc 1620 roku*. Słowa Boga i słowa ludzi. Splątana osnowa i wątek, przyczyny, skutki i przeznaczenia i wiara, że „przebija nas promień”. Zło i dobro i to, co z nich powstaje. Sny, kresy, widzenia. Złudzenia i natchnienia, krucyfiks i pieśni o materii, świadomość i nieświadomość i nowe doznania.

W *Guciu zaczarowanym*, są cztery strony świata, ekstazy i patrzenia, istota i nicność i – „Zniknij wyspo. Albo silniej: wyspo, zniknij się”. Wygrane i przegrane, *Nigdy od ciebie, miasto*. „Tak, coraz dalej, labiryntem w ciemne wnętrze”. Żal za grzechy i urażona ambicja. *Dużo śpię*. Stawianie i zamazywanie znaków. I w *Mieście bez imienia*: litość i zrozumienie, światło wysokie i światło niskie. *Veni Creator*. Przejrzystość i nieprzejrzystość i przejrzystość w jasności. Słowa dodawane do słów, duch i jego znaki. *Na trąbach i na cytrze*. Powołanie, wydziedziczenie i ponowne powołanie. Cisza i błyski w przepaści. Pan na pustkach. Inkantacje, kołysanki. *Im więcej i Ars poetica?* Forma bardziej pojemna, porozumienie i głos dajmoniona. Dobre i złe duchy. Rozwaga i upór. I *Moja wierna mowa*, który zamyka.

Niezwykłe *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*. *Zadanie*. Czyste i dostojne słowa i skrzek karłów i demonów. Zachowywanie miary. *Lektury*. Ewangelie, sieć znaków, złote runo, obłoczny kokon. Strona rozumu i strona serca. Winy, sekrety i nadzieje. *Kiedy mówilem i Nie tak*, w którym: „język jest moją miarą”.

Tak mało. „Biały wieloryb świata”. Anioły. „Zaraz dzień / jeszcze jeden / zrób co możesz”. Dar. I tytułowy poemat: dzwony, echo, szron i mgła, pisanie w pustkach „za morzem i ziemią”, pielgrzymowanie, dążenie i mijanie. „Pasja ta sama, choć wezwania znikąd. / I tylko w zaprzeczeniu dom swój miała świętość”. Lauda, Wędziagoła i Opitołoki w kiejdańskim powieciu, Świętobrość (od Świętego Brodu), Niewiaza i Wilno. „Sam zostałem, filtrując porządek z chaosu”. Natchnienie i rytm.

„Życie niemożliwe, ale było znoszone”. Żerdzie, skierdź, rzemienie i biczysko. „Długo uczyłem się mówić, teraz milcząc, daję dniom upływać”. *Non fui, fui, non sum, non desidero*. „Chciałem być wielki, sławny, potężny”. Laurowe oszustwa. „Jakie piękno. Jakie światło. Echo”. Rytuał oczyszczenia. *Apokatastasis*, czyli przywrócenie, ruch odwrotny. „Bo żyliśmy pod Sądem, nic nie wiedząc o tym”.

To było trzydzieści lat temu, przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Teraz jest początek drugiej dekady XXI wieku i zastanawiam się, czy nie jest potrzebny przełom jeszcze większy od tamtego. Ale dziś nie ma takiego Poety, nie ma takiej literatury i nie ma takiego ducha jak wtedy, na początku pontyfikatu Jana Pawła II.

Miałem tę księgę pożyczoną od J.A. i to był chyba najwspanialszy dar, jaki mogłem wtedy dostać. Tak jak na początku drogi ważnym znakiem i wyniesieniem było *Ocalenie*, tak wtedy zadział ten amerykański tom z dedykacją napisaną wiecznym piórem, wyrazistym charakterem pisma.

I książka trzecia – wydana w 2002 roku w Krakowie *Druga przestrzeń*, którą dostałem od Autora i której najważniejsze dla mnie utwory: *Druga przestrzeń*, *Późna dojrzałość*, *Czeladnik*, „Ja” i *Oczy* były drukowane w „Kwartalniku”. Inne ważne wiersze z tego tomu to: *W Krakowie*, *Pobył*, *O starych kobietach*, *Wysłuchaj* i *Notatnik*. Wysokość i niskość i pamiętanie o tym, że jest wysokość i niskość. Wiara w drugą przestrzeń, w Niebo i w Piekło. Klarowność poranka, Tak i Nie, dar na długą podróż. Opłatek, płomień i krzyżyki na murze. Stygmaty pamięci. „Rożek, bęben i viola, muzykowanie”. Głos, który dyktuje wiersze. Trwanie, cierpienie i czekanie. Modlitwy. Sposób i przeznaczenie. Dni beznadziei i dni ufności. Chwile zachwyty, blask i olśnienie pięknnością. Chwała, cuda i diabelski wodewil. Popiół, maski i odbicia w lustrze. Raj i prawo przemijania. „Nie było Ja. Było zapatrzenie. / Ziemia dopiero co wydobyta z odmętu. / Trawa jaskrawozielona. Brzeg rzeki, tajemniczy. / I niebo, na którym słońce znaczy miłość”. Obrót sezonów i jeden jasny punkt. Dolina, znaki, światło. Otchłanie i niepodobieństwa.

I piaszczyste drogi przez lasy. Czeluść, księga i ręka. Utrata. Miłość we śnie. „Płynie rzeka Wilia obojętna”. Tajemnica Odkupienia i obecność. „Twoje tylko światło”. Fantasmagorie i dziękczynienie. „Tajemnica Trójcy Świętej, tajemnica Grzechu / Pierworodnego i tajemnica Odkupienia”. Program diabła, którego nazywają Księciem Tego Świata. „Dystans między tym, co się wie / i tym, co się wyjawia”. Przepisy i mody literackie. Upadek i nadzieja przywrócenia. Miłosierdzie Boga i przedśionek piekła. Współczucie, boska opieka i zgrzytliwy obrót piekielnych kół. Drobinę wielkiej całości. Duma i pycha albo próżność. Dzień Zaduszny, ciemne podziemne krainy. Piękna Pani i proszenie o cud, i wierność.

A najważniejszy jest *Czeladnik*, poemat realny jak życie i literatura i tak nierealny jak marzenie, pamięć, czy sen, którego bohaterem jest Oskar Miłosz – mistrz Miłosza, który uznaje się za jego ucznia. Lecz nie o poetyckie mistrzostwo tu chodzi, bo jak wyznaje w *Ziemi Ulro*: „Wpływ jego na mnie tylko pośrednio wkraczał w sferę pisarskiego rzemiosła”. Rzecz dotyczy wiary i mistyki, a to już jest większa i szersza dziedziną.

Kraina głuszcza i powołanie. Obłąd i chłód, i piastunka. Poszukiwacze Słońca Pamięci. *Ars Magna*. Hymn na chwałę Boga i człowieka. Adoracja. Sekret i sakra z wysoka. Przechowanie daru, mitologia rodzinna: Łabunowo *vel* Hanusewicze *vel* Serbiny. Cmentarz w Wędziagole. W jednym błysku początek czasu i przestrzeni. *Transmutatio* światła, *fiat lux* Boga. Mistycyzm i Człowieczość Boga Starego Testamentu. Ojciec, Syn i Duch. Ważne dla chrześcijanina wieści. Miejsce w przestrzeni. Tajemnica, Storge, miłość opiekuńcza i wdzięczność. Zadanie, język i zmysł hierarchii. Hołd, wysokość i trwanie, i odnawianie się. „*Respect! Respect! Respect!*”

Kiedy coś tak niezwykłego i tak zwykłego zdarzyło się w poezji polskiej? Czy nie za czasów Mickiewicza i Norwida? I jak bardzo odrywa się od tego, co od wieku powstawało w poezji polskiej? To podłączenie do głównego źródła energii i mocy przez język i przez ducha.

W kręgu drugim znajduje się *Ziemia Ulro*, według mnie najwybitniejszy tom esejów w literaturze polskiej, „efekt puszczonego wolno pióra”, coś co jest po części wyznaniem, wykładem i medytacją: współczesny opis konfliktu między „szkiełkiem i okiem” a „czuciem i wiarą”. Widzimy galerię postaci, które łączy to, że chcą wyrwać się ze świata, który ich zdaniem ograniczony jest przez naukę i nie są to próby mieszczące się w ramach katolickiej ortodoksji: Swedenborg i jego uczeń Blake, kabalista Mickiewicz, Dostojewski z jego mesjanizmem, prawie gnostycki Gombrowicz w swoich wcale nie

groteskowych potyczkach z diabłem, wizjoner Oskar Miłosz, a obok nich między innymi: Goethe, Pascal i Simone Weil, Böhme, Saint-Martin, Gershom Scholem, Bierdiajew, Sołowiew, Szestow, Bułgakow, Brzozowski, St. Ign. Witkiewicz, Zdziechowski. I duchowe przygody Miłosza stają się naszymi przygodami. Jeżeli ktoś pamięta, co w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych działo się w literaturze polskiej, to jasno zdaje sobie sprawę z tego, że *Ziemia Ulro* to było to jak otwarcie okien w długo niewietrzonym pokoju i otworzenie długo nie otwieranych drzwi.

Z jednej strony rynek i pokraczne ideolo, a z drugiej wymagania najwyższe, których, jak wyznaje, nie zdradził tylko w garstce wierszy. Mówi o taktykach obronnych i o samokontroli. I jaka prawda jest w tym planowym, a jednocześnie meandrycznym wywodzie! Jest to prawda aktualna i dziś, a nawet dziś jeszcze bardziej aktualna. Miłosz mówi o prawie hierarchii, o prawie degradacji i parodii i o prawie zwycięskiego banału. Widzimy, co działo się w europejskiej i w światowej sztuce i co dzieje się w niej obecnie, ale nie powinniśmy się martwić, bo widać jak na dłoni, że to, co podrzędne, szybko przepada, a pełniejszy byt zabija byt zbyt rozcieńczony. A więc jedną z głównych zasad jest: nie rozcieńczać!

To są sprawy trudne i najtrudniejsze i tym bardziej jesteśmy pod wrażeniem erudycji i duchowości autora, który nas w nie wprowadza i prowadzi w ich głąb. W tej książce widać wielkość Miłosza: jest on, jak Mickiewicz, za duży na nośność literatury polskiej. Tak jak jego wielki poprzednik jest po błogosławionej stronie „czucia i wiary”. Zachwyca się „zupełną nagością” *Zdań i uwag* i liryków lozańskich. Mówi, że Mickiewicz to człowiek silnej wiary przekonany o tym, że chrześcijaństwo stoi prorocत्वem. Wyznaje, że zawdzięcza mu każdą swoją linijkę i stwierdza, że żaden z nowoczesnych poetów, nie tylko polskich, nie dorównuje mu prostotą i potęgą słowa. Główną siłą duchową i pisarską Mickiewicza i Miłosza jest Biblia, z którą obaj przez całe życie obcowali. Następnym tomem po *Ziemi Ulro* są *Przekłady biblijne*.

Jest albo absurd, czyli strona diabła albo ład, czyli strona Boga i człowiek musi wybrać pomiędzy jednym a drugim. Nie jest w błędzie ten, który mówi, że nie ma innego wyboru. Tacy pisarze jak Mickiewicz i Miłosz są po stronie Boga i po stronie ład, chociaż mają swoje wielkie boje i porachunki z diabłem. „Kultura wyłącznie artystyczno-literacka jest rodzajem klatki, w której odbywa się pogoń za własnym ogonem” – stwierdza Miłosz i mówi o nudzie, która jest znakiem ostrzegawczym i o skali pisarza, z której powinniśmy zdawać

sobie sprawę. Walka pomiędzy arogancją a upokorzeniem charakteryzuje całą literaturę nowoczesną od Nietzschego i Dostojewskiego poczynając, a na Prouście i Sartrze kończąc i chociaż można by to ciągnąć dalej, to chyba nie warto. Nie awangardowe nowalie są przyszłością poezji, ale, jak mówi Oskar Miłosz, przyszłość poezji to przemiana poety i jego poezji. I albo są prawdziwe widzenia (patrz: Mickiewicz, O.W.M., Pascal i inni) albo bredzenie „dub smalonych”, a to co znajduje się pomiędzy, w środku jest bytem jedynie połowicznym, osłabionym i skazanym na zagładę.

Najuczciwszym pisarzem naszej cywilizacji jest Beckett, mówi Miłosz i na jego przykładzie pokazuje wydziedziczenie i pustkę laickiego humanizmu, utracenie daru. Koniec gry, mówi Beckett, ale dodaje, że to nie jest zupełny koniec i zachęca, żeby tę końcówkę odegrać jeszcze raz, odegrać lepiej. Ale lepiej jak? Na pewno inaczej, niż dzieje się to w kanonach Ziemi Ulro, które obowiązują mniej więcej od osiemnastego wieku. I dlatego potrzebna jest Biblia jako podpora, tak jak u Becketta, który swoje teksty szpikuje cytatami z niej i aluzjami do niej.

Jest Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba i to jest nasz Bóg i jest Bóg filozofów, czyli strona diabła. I nie można wycofywać się i ustępować, bo im bardziej się wycofasz i ustąpisz, to tym większych następstw zażąda nieprzyjaciel. Co robić? Nie dawać się wodzić narratorom diabła, którzy mówią, że nie istnieje na świecie podział na dobro i zło, bo to jest kłamstwo. Nawet jeżeli ludzie nie wierzą w Boga, to przecież na skutek tak strasznych historycznych doświadczeń, jakie miały miejsce w XX wieku, nie mogą nie wierzyć w diabła – mówi Miłosz. Chcą jeszcze czegoś więcej? Naprawdę niczego się nie nauczyli?

A w jakich kręgach ty się obracasz, jakie są twoje duchowe przygody? – pyta Miłosz. I stwierdza: jesteśmy rzymskimi katolikami i katolicyzm to w Polsce grunt lub przynajmniej tło wszystkich umysłowych przedsięwzięć i w nim zawiera się obietnica polskiej kulturalnej oryginalności. Nie o polskość, czy nie tyle o polskość tu chodzi, co o teologię i człowieka, o sytuację człowieka w świecie. Czy nie jest to zakres i skala chrześcijanina? Tak uczył Jan Paweł II.

Potrzebna jest nie negacja, ale opór i duchowa walka i nie ma czego się bać, bo wspierają nas najpotężniejsze siły, chociaż nikt nie obiecuje, że będzie to walka łatwa i bezkrwawa. Nie zmniejszanie, ale zwiększanie wymiaru jest konieczne, wyjście poza ten krąg, który widzimy, poza niebo i ziemię. „Tylko jeden język odpowiada najwyższemu prawu ludzkiej wyobraźni i w nim to zostało ułożone Pismo” – mówi Miłosz i to jest prawda. Jest jałowa ziemia

Ulro i jest ziemia obiecana, którą opisuje Pismo. Trzeba dążyć i docierać do niej tak, jak robi to Miłosz w tej książce, która jest trudna i łatwa, dorosła i dziecinna, trzeźwa i szalona, przyziemna i wzniosła, uniwersalna i rodzinna, jak i w całym swoim dziele.

Drugim ważnym zbiorem esejów jest *Szukanie ojczyzny*, późne i bardzo osobiste świadectwo. Te rozważania o geografii i historii ziem, z których pochodzi, czyli z Wielkiego Księstwa Litewskiego, to jego ziemska, rodzinna podstawa, a także wyznanie religijne i literackie – Miłosz jest tu widoczny jakby w zarodku i w swojej pełni, bo opowiada z perspektywy wygnańca i z perspektywy końca – z perspektywy powrotu. Mówi, że napisał tę książkę, żeby być użytecznym, żeby służyć dobru ludzi, a także w trosce o przyszłość. „To moja podróż do domu” – stwierdza.

A jego dom był nad Niewiażą, w kiejdańskim powiecie, także w Wilnie, gdzie chodził do gimnazjum, studiował na Uniwersytecie i nasycił ducha romantyczną atmosferą i poetyckością. Dom i świadomość wygnania – to są dwa bieguny Miłosza.

*Szukanie ojczyzny* jest rodzajem kroniki rodzinnej, gawędą szlachecką o świecie dworów, dworków i zaścianków i o Wilnie przeniesionych w słowo, żywym materiałem do powieści, która mogłaby być napisana lub choćby tylko wyobrażona; jest to także rozprawa o jego pisarstwie, które, co powtarza wiele razy, wywodzi się z Mickiewicza i Oskara Miłosza – książka domowa. Jaki galimatias i jakie powikłania działy się na tym skrawku Europy! Opowiada o parku szeteńskim, Świętobrości i Kiejdanach, mówi o duchu krajobrazu i o duchu miasta, który jest trudno uchwytny, o wiele trudniej niż duch krajobrazu. Mówi o Mickiewiczu, o jego dziele, o splątanych genealogiach i religijno-politycznym światopoglądzie. Przytacza wysnute z zapisów opowieści pana Guze, które nie raz trzeba przyjmować „ze szczyptą soli”. Jest O.W.M. i jego ciemna czerejska linia. Opowiada o jego biografii, o jego poezji i religii, o jego poglądach politycznych i ogólnoludzkich. Mickiewicz i Oskar Miłosz to, obok niego, główne postaci tej książki.

Jej *codą* są szkice o wygnaniu i o miejscach utraconych. W pierwszym mówi o rytmie i o powtarzalności, o tym, że wygnanie przekształca od środka i staje się losem, ale w pamięci zostaje topografia naszej przeszłości, „skarb cenniejszy niż wszelkie bogactwa mierzone pieniądzem, a są nim barwy, kształty, intonacje, szczegóły architektury, wszystko, co urabia nas w dzieciństwie”. Wygnanie to egzystencjalna sytuacja nowoczesnego człowieka, a jego archetypalną figurą jest wygnanie z Rajskiego Ogrodu. „Czy nie o tym są sztuki

Becketta?" – pyta i mówi o przywoływaniu, o sprzecznościach, o różnicach pomiędzy poruszaniem się w przestrzeni i w czasie i o marzeniu obleczonej w kształt złotego miasta, które jak niebiańskie Jeruzalem, istnieje poza czasem.

Chorobą wygnania jest samotność. Ale, czy nie jesteśmy dziś bardziej samotni, niż ludzie żyjący w czasach, w których nie było internetu, telefonów komórkowych i transatlantyckich połączeń? Powierzchnowość i namiastkowość kontaktów, bezmyślność i duchowa bylejąkość czynią coraz większe spustoszenie i robią na tych, którzy to widzą, coraz bardziej przygnębiające wrażenie. Lecz, przypomina Miłosz, jeżeli to, co niszczy, ciebie nie zniszczy, będziesz silniejszy. I w tym jest nadzieja.

W *Miejscu utraconym* mówi o zakorzenieniu, które utrzymuje w człowieku jego rytm wewnętrzny i daje energię. „Nie ulega wątpliwości, że przywiązanie ludzi do miejsc jest wysoce tajemnicze i pozwala na różne interpretacje” – stwierdza. Wspomina „miłe miasto” Wilno – Jeruzalem Północy i wyznaje, że jego duch „przechowuje wszystko, co w nim się zdarzyło, a nawet wszystko, co w nim się zdarzy”. Prawdy nie poznajemy, ale ją sobie przypominamy, gdyż jesteśmy mediumiczni, chociaż może jasno tego sobie nie uświadamiamy. Wspomina ulice, załomy murów, zakątki i ludzi, jego „związek cieni”. I mówi o energii i twórczym wigorze przedwojennego Wilna, o jego duchu sprawczym i o szczęśliwej swojskości. „Co mnie interesuje, to przemiana, jakiej ulega w świadomości rzeczywistość zamknięta pewnymi datami” – stwierdza.

Zwieńczeniem drugiego kręgu jest ostatnia poetycka książka Miłosza – *Orfeusz i Eurydyka*, poemat napisany po śmierci żony Carol i jej dedykowany. Hades, ostatnia próba. Zimne serce, miłość i śmierć. Labirynt, mrok i zjazd w dół do Królestwa Nigdzie. Podziemna kraina i tłoczące się cienie. Lira dziesięciostrunna, muzyka przeciw otchłani i pieśń. Persefona, Eurydyka, sen. I powrót. Stroma ścieżka pod górę, ciemność, płacz, milczenie i niepewna jawa. Świetliste wyjście i nikogo za sobą. Słońce, niebo i obłoki. Krzyk, zapach ziół, brzęk pszczół i sen na rozgrzanej słońcem ziemi.

Miłosz przysłał mi tę książkę na Święto Bożego Narodzenia, z dedykacją: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z przyjaźnią” i z życzeniami na pocztówce z reprodukcją Giotta. Znałem Carol, znam ich historię i uważam, że jest to jeden z najpiękniejszych poematów o miłości.

I krąg trzeci. Opisany już, w błyskach, poemat *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, czytany po raz pierwszy w tym tomie, który dostałem od J.A., a potem jeszcze wielokrotnie w różnych wydaniach, z których najlepiej pamiętam znakowskie z 1980 roku i z Biblioteki Mnemosyne. I *To*.

Pisanie jako ochronna strategia, ćwiczenia wysokiego stylu, a pod spodem TO, które jest jak kamienny mur. Cienie, pamiątniki i talizmany. Litera – kryształ, podróż i działające siły. Pamięć i zapomnienie. Ukochane i szczęśliwe miasto. „Na murach ostre granice słońca i cienia”. Kontemplacja, pożądanie i duch lotny, „napojony światłem”. Szmer wody na kamieniach, zachwyt, czarodziejski rejestr. Piękne i truchło. „Fałsz uczuć odgaduje się po fałszu frazy”. Czarna rozpacz i nieoczekiwany dar, łaska. „Między gotyckimi więzami loty jaskółek”. Koniec i początek. Mój powiat i moje cienie. I człowiek ze skazą, który mówi: „Ja też tak samo płakałem nad sobą”.

Strome ścieżki w górę, drzazgi egzaltacji, przebrania, maski i udawania. Ton głębinowy, moce chaosu i działająca świętość. Raz jeszcze: zasada ścisłej hierarchii. „Książę Rebelii naciera, cofają się słudzy jasności”. Cud wierności prochu. Nauka powściągnięcia siebie. Wrota gramatyki, gaje i puszcze słownika. Wdzięczność i podziw. Cierpki smak, dom chaosu i wieczna jasność. Nienasylenie duszy, liczba i pojedynczość. Błądzenie od nadziei do nadziei. Przewidywalność i ciemne, kłębiące się moce. Miłosna przemiana. Dom w słowach, stronice partytury w słońcu. Wirujący lej przeznaczenia. Twoja chwała, modlitwa, strofy, mądrość. I obłoki, dużo obłoków. Niedościgną zasłona. Jasności promieniste. „Dusza i biedne ciało”.

I listy, od których można zaczynać, wszystkie listy Miłosza, jakie czytałem, są ich dziesiątki, jeżeli nie setki, a prawie każdy z nich jest szkicem, esejem lub ważnym fragmentem i jak we wspaniałej mozaice, składają się na ludzki i pisarski obraz Poety. Tomy listów do Mertona, do Giedroycia, do Zygmunta Herta i do Herberta, wymiana listów z Andrzejewskim, listy z *Zaraz po wojnie*, m.in. do Iwaszkiewicza, Wyki, Krońskich, Czapskiego i Różewicza, listy do Watów, do Kridla i do Skwarnickiego, czy listy ogłoszone w „Kwartalniku Artystycznym”.

Tak, na najwyższych półkach stoją książki Miłosza. Jest ich ponad sto i przybývają nowe. A w nich gnieździ się jego duch.

Krzysztof Myszkowski



Anna Nasiłowska

---

Gdyby Miłosz...

Gdyby Miłosz pisał jedynie eseje, jego ranga jako pisarza byłaby podobna jak ranga Jerzego Stempowskiego: kochaliby takiego autora miłośnicy rzadkiej sztuki pięknego snucia literackich rozważań. Choć, zapewne, nie wszyscy, bo materia jego eseistycznego piarstwa jest niejednorodna, raz polityczna, raz – wspomnieniowa, a jeszcze kiedy indziej – polemiczno-intelektualna. A więc ważna jest poezja. I gdyby Miłosz nie wydał po wojnie takiego tomu jak *Ocalenie*, pozostałby może mało znanym poetą z zapomnianej grupy Żagary, gdyż jej mitologii też nie miałby kto stworzyć.

Któż mógłby? Ot, może Putrament, który wspominał dla kokieterii o swoich poetyckich początkach, pomiędzy stronami poświęconymi zmaganiom na plenach KC i zjazdach a zapiskami o wyczynach wędkarskich w jego tasiecowych wyznaniach *Pół wieku*. Jerzy Zagórski o Miłoszu by nie wspominał, po pierwsze do okresu katastrofizmu miał stosunek niechętny, uważał go za swój własny, prywatny „okres błędów i wypaczeń”, przeżyty na tyle wcześniej, by później unikać wynaturzeń. A po drugie – oni się nie lubili, spierali się i rozstawali w złości. Towarzyszem wypraw kajakarskich Miłosza był inny Zagórski, nie poeta, ale jego kuzyn Stefan, o przywisku Słoń.

*Ocalenie*, to ten tom, wydany w 1945 roku, stanowił punkt zwrotny w karierze Miłosza. Z poety młodego, początkującego i poszukującego – robi nagle gwiazdę. I z poety przedwojennego, z epoki, która zaledwie przeczuwała, ale nie do końca ogarniała grozę, staje się Miłosz świadkiem dni próby, mającym odwagę ogłosić jej zamknięcie.

To, o czym piszę, wydaje się mechaniką zewnętrzną, ale jej uruchomienie nie byłoby możliwe bez tego, czym *Ocalenie* jest. Pomostem – między dawnymi a nowymi czasy. Zaczyna się od wierszy przedwojennych. A zamyka tom ten *Przedmowa*, którą autor opatrzył odniesieniem do czasu i miejsca: *Kraków 1945*. Dwa tużpowojenne tomy *Przybosia*, *Póki my żyjemy* i *Miejsce na ziemi* wraz z nieco późniejszym debiutem Różewicza – to najważniejsze zdarzenia w poezji polskiej tuż po wojnie, otwierające nowy okres. Wszystkie trzy wytyczają linie, po których będzie się dalej rozwijać. W *Ocaleniu* Miłosza są wiersze, które weszły do ścisłego kanonu twórczości tego poety, jak: *W mojej ojczyźnie*, *Walc*, *Campo di Fiori*, *Świat (Poema naiwne)*. Od nich należy zaczynać zapoznanie się z tym poetą, toteż wiersze te czyta się dziś w szkole.

I ja też zaczynałam lektury tego poety od *Ocalenia*. Ale nie w szkole, w szkole nie było o Miłoszu ani słowa. Ani na studiach – do pewnego momentu, który potrafię sobie dobrze przypomnieć i umiejscowić w czasie. To było w październiku 1980 roku. Artur Sandauer przyszedł tego dnia na swoje seminarium wyraźnie podniecony. To było seminarium o literaturze greckiej i Biblii, wokół jego tłumaczeń Teokryta, Sofoklesa, Arystofanesa i Eurypidesa, oraz Księgi Rodzaju, otoczone famą ze względu na niego samego i na szeptaną opinię, którą podtrzymywał, że na inny, bardziej współczesny temat seminarium władze wydziału nie wyraziły zgody. Sandauer był zawsze nerwowy, nieobliczalny, tego dnia nie wszedł, ale wtargnął na katedrę i powiedział, że ma całkiem pewną wiadomość, że Czesław Miłosz otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. Opatrzył to bardzo skąpym komentarzem, ale bogatą mimiką i gestykulacją, z której niedwuznacznie wynikało kilka rzeczy: że jego stosunek do tego faktu jest skomplikowany, w zasadzie – uważa Miłosza za hucpiarza i rozrabiakę, i że w najbliższym czasie możemy się spodziewać wielkiej rozróby. Co do tego ostatniego – nie pomylił się, w Polsce wielka rozróża już trwała, w październiku 1980 to były dopiero początki, ale nie z powodu Miłosza i chyba też nie z powodu Papieża, ale z powodów dużo bardziej oczywistych, zbiorowych i doskonale odczuwalnych dla nas wszystkich. Wkrótce na uniwersytecie zaczęło się wiecowanie i ledwie był czas, aby rzeczywiście oddać się lekturom poetyckim. Bardzo szybko powstało na warszawskiej polonistyce seminarium poświęcone twórczości Miłosza, a poprowadził je nie profesor Sandauer, ale Janusz Maciejewski, wówczas – docent.

Moje lektury zawsze były indywidualne i miały własny rytm. W zasadzie przed 1980 rokiem nie czytałam Miłosza, cóż, moja znajomość tego poety ograniczała się do wierszy zamieszczonych w drugim tomie antologii *Poezja polska* w opracowaniu Janusza Maciejewskiego i Stanisława Grochowiaka z 1973 roku, bo to było dostępne. To nie jest mało, aż sięgnęłam po książkę, żeby policzyć, antologisci zamieścili tam aż dwadzieścia utworów, uwzględniając obszernie fragmenty poematów. Oczywiście wiedzieli, co robią i dlaczego. Po 1980 roku moja lektura Miłosza była bardzo świadoma, trzeba było tego poetę przeczytać w całości i porządnie. No i miałam już dwadzieścia dwa lata, byłam już jakoś ukształtowana, przez doświadczenie własnych bardzo wczesnych początków poetyckich, moje wcześniejsze wybory i lektury, oczarowania i trwające studia polonistyczne. I coś, co się dziedziczy – rodzinną pamięć.

Nigdy nie zapomnę zdumienia, mojego własnego zdumienia, gdy przeczytałam *Ocalenie*. W zasadzie – tkwię w tym zdumieniu do dziś. I nawet nie chciałabym z niego wyjść... To nie jest czyste oczarowanie. Tak, są w tym tomie frazy, które powodują skurcz. To są te liryczne, na przykład zakończenie wiersza *Miasto*:

Grajku poranny, komu ty tak grasz,  
Tam są schody bez domu i piętra bez żywych.  
– Tobie gram, najpiękniejsze z urojonych miast  
I najsmutniejsze z prawdziwych.

To o zburzonej Warszawie, z cichym liryzmem, który tym bardziej wzrusza...

Ale ja przecież, nim zaczęłam wglębiać się w Miłosza – zachwycałam się Baczyńskim. I nie mogłam pożegnać się z nim słowami z *Przedmowy*, które są piękne, lecz zimne, odsuwające jego twórczość w cień. Oczywiście wiem, że przemilczanym adresatem *Przedmowy* jest raczej Gajcy, ale Baczyńskiego to zimne pożegnanie także obejmuje: pogański obrzęd sypania prosa lub maku, aby umarli przenieśli się do krainy zapomnienia, z której nie ma już powrotu. A dla mnie Baczyński był wciąż poetą mówiącym. No cóż, na tym polega dorosłość, aby uświadamiać sobie własny dystans i mapę istniejących różnic, nie na tym – by wierzyć i bezgranicznie kochać. Pewnie byłam zbyt dorosła, by jednoznacznie pokochać Miłosza. Nie ma zresztą potrzeby.

W jeszcze bardziej skomplikowany sposób dotyczy to wiersza *Campo di Fiori*. Jedną z prawd, jakie rysowały się jako oczywistość w gorącym okresie 1980 i 1981 roku, było takie zalecenie, by wszelkie generalizujące wizje historyczne, które wpajano nam usilnie acz nieudolnie, zastąpić – mówiąc cytatem z wiersza Krzysztofa Karaska – „prywatną historią ludzkości”, historią rodzinną, zindywidualizowaną, oporną na ideologizację i abstrakcyjne wizje, tworzone zawsze w myśl reguł dominującego dyskursu. W zasadzie ten nurt myślenia okazał się jednym z najpłodniejszych w okresie wielkiej zmiany ustrojowej i trudno powiedzieć, by się wyczerpał, równie dobrze można by jego realizację dostrzegać w nurcie „literatury małych ojczyzn” jak i we współczesnej prozie, inspirowanej feminizmem. Także Miłosz w swojej eseistyce zawsze zaczynał od introspekcji, własnych przeżyć, ukształtowanego przez bezpośrednie doświadczenia punktu widzenia. Moja odziedziczona reakcja na wiersz *Campo di Fiori* sprowadza się do trwogi i zdumienia. Jest to rodzaj konfliktu racji.

Trzeba o tym powiedzieć więcej, i pewnie trzeba będzie kiedyś napisać obszerniej, porządniej. Moja rodzina ze strony ojca przed wojną mieszkała na ulicy Gęsiej. Wywodzili się z drobnej szlachty, z Podlasia, a że w rodzinnych stronach trudno było się na niewielkim spłachetku utrzymać – przenieśli się na początku XX wieku do Warszawy. Mój dziadek był szewcem. Dziś się to kojarzy wyłącznie z reperacją butów; na początku XX wieku szewcy, podobnie jak krawcy, zajmowali się realizacją indywidualnych zamówień. Buty się staloowało u szewca, trzeba było pobrać miarę i określić fason. Mój dziadek był jednak raczej producentem obuwia, w dobrym czasie jego niewielki zakład opuszczało sto par damskich czółenek tygodniowo. Wszyscy pracownicy tej niewielkiej fabryczki byli Żydami. Odbiorcami było dwóch pośredników handlowych, którzy kupowali cały towar: jeden z nich nazywał się Rosenblum a drugi Goldenbaum, choć może moja pamięć tu zawodzi i jeden był Rosenbaumem a drugi – Goldenblumem. Rodzina mieszkała w dawnych koszarach napoleońskich na Gęsiej, oczywiście – w otoczeniu żydowskim. W podwórku było dość miejsca na warsztat, było tam tanio, wygodnie i wszystkie interesy załatwić można było w dzielnicy.

Po wkroczeniu Niemców do Warszawy zaczęły się dziać rzeczy, które przekraczały wyobrażenie mojego ojca. Miasto, do tej pory funkcjonujące niczym jeden wielki organizm, o jednym krwioobiegu, miało zostać podzielone na dwie odrębne części, całkowicie wydzielone, osobne. Jesienią 1940 roku szczęsiosobowa rodzina Nasiłowskich z Gęsiej dostała administracyjny nakaz opuszczenia Gęsiej i przydział innego lokalu na Pradze. Było to mieszkanie po jakiejś rodzinie żydowskiej, która oczywiście powędrowała w drugą stronę, do nowo tworzonego getta. Mniejsze, daleko, ciemne... W nowym miejscu nie było już mowy o produkowaniu butów. Zresztą, nie było z czego i nie było komu – wojna zagarniała kolejnych mężczyzn, najpierw dziadka, potem synów, którzy znikali w łapankach. Na posterunku trwała jedynie babka z młodszym synem, moim ojcem, który zaczął chorować.

Wszystko, co działo się w zamkniętej dzielnicy, w ich dawnym miejscu zamieszkania, obchodziło ich bardzo żywo. Dochodziły stamtąd wieści, które tylko dlatego zaczęły jakoś mieścić się w głowie, że potwierdzało je bezpośrednie doświadczenie tego, co dookoła. Babka zaczęła zarabiać handlem, co groziło oczywistymi konsekwencjami, ciągle kogoś rozstrzeliwano – za znalezionej nielegalną słoninę, kiełbasę czy masło, wygarniano baby z podmiejskiej kolejki, wyłapywano na osłep zakładników. 19 kwietnia 1943 roku, tuż przed

Wielkanocą moja babka jechała z ojcem do lekarza. To był poważny specjalista, który przyjmował prywatnie na Woli. Trzeba było pojechać tramwajem – była taka linia – który przejeżdżała przez getto. Wagony miały zamalowane na biało szyby, a drzwi były zasuwane i zamykane od zewnątrz na rygle, aby nikt nie wsiadł ani nie wysiadł. Na pomost wskakiwał strażnik z karabinem.

Tego dnia lekarz postawił mojemu ojcu diagnozę: bez żadnych wątpliwości była to gruźlica. Dość zaawansowana. „Cóż robić?” – pytała moja babka. Lekarz wypisał receptę, nie było jeszcze wtedy antybiotyków, dostęp do innych leków – ograniczony, więc wymownym gestem rozłożył ręce, zalecił spokój, dobre odżywianie się. Moja babka pomyślała o kolejnych polciach słoniny, które można przyplacić życiem. Wracali tym samym tramwajem, w którym biała farba gdzieniegdzie poodpryskiwała, a może została specjalnie starta. I wtedy – podczas przejazdu przez getto usłyszeli strzały. Nie takie „normalne”, do których wszyscy zdążyli przywyknąć, ale regularną strzelaninę. W tramwaju gruchnęła wieść: „Powstanie! Żydzi walczą!”. Wszyscy rzucili się do okien, zapanował niesamowity entuzjazm, stawano na ławkach, aby zobaczyć coś więcej. Mój ojciec zapamiętał dobrze ten dzień – dobrej i złej wieści, które spotkały się w jednym czasie. Ta dobra wieść, pierwsza od wielu lat – była o dawnych sąsiadach, z domu na Gęsiej, o chłopakach z podwórka, o Rosenbaumie i Goldenblumie, o wszystkich. Nie dadzą się zabić bez walki. Nie mówiono o odwadze i honorze, bo to są słowa wielkie, patetyczne. „My zaraz po nich, następni w kolejce do likwidacji” – mówiono wtedy w Warszawie. „Ale postawili się, nie pójda jak owce na rzeź”.

Wysiedli z tramwaju tuż za gettem, na placu Krasieńskich. Mój ojciec zapamiętał, że było tam sporo osób, wypytyjących się nawzajem, podnieconych, spragnionych jakichś informacji, ale niewiele można było się dowiedzieć, poza ciągłym potwierdzaniem tego samego z ust nieznanym. „Powstanie w getcie! Nareszcie!” – powtarzano sobie w Warszawie tego dnia.

Karuzeli nie widział. Do końca życia mówił: „Karuzeli nie było. Byłem tam, na placu Krasieńskich tego pamiętnego dnia, gdy wybuchło powstanie. Właśnie tego dnia stwierdzono u mnie gruźlicę, i choć to był prawie wyrok, to postanowiłem sobie wtedy: a ja też się nie dam!”.

Gdy w 2003 roku spór o karuzelę znów ożył, wywołany wypowiedzią Ryszarda Matuszewskiego, który uważał obraz zawarty w wierszu Miłosza za fikcję literacką, mój ojciec napisał list do „Rzeczpospolitej”, wydrukowany w „Plus-minus”. Z taką samą tezą, podpisany „J.N.”. To chyba ze względu na

mnie, żeby nie psuć mi opinii, bo inne listy, a pisał ich dużo, zawsze w ważnych sprawach publicznych, podpisywał zwykle imieniem i nazwiskiem. Ta karuzela nie mieściła mu się w jego wyobrazeniach, była sprzeczna z tym, co czuł. Podobnie przeżywał to Ryszard Matuszewski, który w czasie wojny codziennie przemierzał drogę przez plac Krasieńskich, aby dotrzeć do pracy w magistracie. Naoczni świadkowie zwykle widzą to, co nie przekracza ich wyobrażeń. Nie zamierzam dyskutować, czy była karuzela, czy nie. Sprawie tej poświęcił ostatnio wnikliwe studium Tomasz Szarota w książce *Karuzela na placu Krasieńskich*. Fakty nie podlegają dyskusji. Karuzela była. Dyskusja i różnice stanowisk dotyczą tego, kto miał ochotę się na niej kręcić i jak to wówczas przeżywano w Warszawie.

Od pewnego czasu w Polsce ustaliły się podziały, takie jak w sprawie Jedwabnego. Znamy je, nie trzeba ich opisywać. I w zasadzie każdy, kto usiłuje tu powiedzieć: „tak, ale...” wsadza palec między drzwi, co – jak wiadomo – może skończyć się boleśnie i przynieść nieodwracalne skutki. Nic na to jednak nie poradzę, że ta moja strona, moje doświadczenie nie jest ani z tymi, ani z tamtymi, nie nadaje się do chóru oskarżycieli, ale do obrońców czci narodowej – też się nie zapiszę. *Campo di Fiori* Miłosza, w którym mowa o „ludzie Warszawy”, bawiącym się beztrzesko, śmiejącym się, pozostawia mnie z pewnym rodzajem niedowierzania, które wzięło się z odziedziczonych przeze mnie przeżyć polskiego chłopca, który urodził się i wychował w dawnej żydowskiej dzielnicy. Owszem, widział antysemityzm, nie był ślepy. Dostrzegał go przed wojną. Ulubioną zabawą polskich chłopaków z Gęsiej było rzucanie kociego truchła na żydowski pogrzeb, zmierzający na pobliski cmentarz żydowski. Najlepiej było, jak udało się trafić w leżące na marach ciało. Dorośli usiłowali to zwalczać.

Antysemityzm nie skończył się wraz z wojną. To pamiętam już sama, mojego ojca wracającego z Dworca Gdańskiego w 1968 roku. Odprowadzał na pociąg wyrzuconych z Polski przyjaciół. Był tym, co się stało, porażony. I to już nie był chuligański wybryk, to zrobiono w imieniu państwa polskiego. Takiego, jakie było.

Jestem na pewno bardziej niż Miłosz skłonna wierzyć, że zbiorowy entuzjazm nie wydobywa tego, co najgorsze, ale może mieć w sobie szlachetność. Takie było doświadczenie lat 1980–1981, czy 1989 roku. To wszystko nie stało się samo, i nie przeceniajmy roli intelektualistów, łącznie z Papieżem. I Miłoszem, choć jego Nagroda Nobla była z pewnością jednym z zadziwiających elementów przebudzenia i wiary, że inna Polska jest możliwa.

*Ocalenie* Miłosza to reakcja indywidualisty w czasie wielkiej próby. Zapewne, gdyby nie ten ton w *Ocaleniu* – Miłosz nie zostałby emigrantem. Już w tym tomie widać reakcję, która złożyła się na jego gniewny manifest *Nie*, opublikowany w „Kulturze” Giedroycia w 1951. Jego „nie chcę z wami”...

*Ocalenie* to książka, wobec której „tak, ale” jest mi potrzebne, jak zresztą wobec wielu innych jego książek. Na tym chyba polega dorosłość, że trudno uwielbiać bez reszty, poddać się bezrefleksyjnie i całkowicie. Ale chyba nie tego Miłosz oczekiwał.

Anna Nasiłowska

*Mieczysław Orski*

## Przypominam Ziemię Ulro

Człowiek najprawdopodobniej źle pojął i nieodpowiednio wykorzystał wyróżniające go w uniwersum natury dary wolności i świadomości, co może doprowadzić do kompromitacji, a nawet klęski dotychczasowego modelu człowieczeństwa – do takich wniosków doprowadza lektura dziś mniej cytowanej i notowanej na giełdzie krytycznoliterackiej *Ziemi Ulro* Czesława Miłosza (której kiedyś, w końcówce PRL-u, jako książce patronującej cyklowi szkiców poświęciłem tekst, niedopuszczony wtedy do publikacji przez wydawców, a właściwie cenzorów, ze znanego krakowskiego wydawnictwa). „Z ustami zaciśniętymi, posłuszni rozumowaniu / Wkraczajmy ostrożnie w erę wyzwolonego ognia” – tak w wierszu zatytułowanym *Dzieci Europy* ostrzegał poeta mieszkańców „Ulro”, członków okaleczonych po totalnej wojnie społeczeństw, wiernych uczniów Kartezjusza, wyćwiczonych w wyprawianiu „rośliny kłamstwa” z małego „ziarna prawdy”. Była to rada antycypująca dalszy rozwój autorefleksji „dzieci Europy”. W czasie kiedy rodziły się zręby uformowanej ostatecznie w tym eseju myśli Miłosza, jak też w okresie ukazania się pierwszej edycji *Ziemi Ulro* w Paryżu (1977), nie dawały się jeszcze odczuć tak silnie manifestowane później przejawy utraty zaufania do dominujących teorii i praktyk naukowych, nie był tak powszechny i modny opanowujący katedry filozofii i humanistyki nurt pesymizmu

poznawczego, czarnowidztwa zderzającego się z antyscjentyzmem. Nurt, który motywował i nadal motywuje najmocniej poetów, ekologów i niektórych filozofów (Feyerabend, Popper, Agamben...), ale który był podsycany także przez coraz liczniejszą grupę naukowców nawet ze specjalistycznych dziedzin wiedzy. „Nikt o zdrowych zmysłach, kto długo mieszkał w jednym z krajów zachodnich, nie może mieć złudzeń co do zupełnej klęski laickiego humanizmu, spowodowanej przez tego humanizmu sukcesy. Bo wspaniałe dokonania mojego stulecia, jego nauki, techniki, medycyny, powstawały w ściślejszej współzależności z rozpadem, rodziły się z rozpadu i z kolei rozpad poczynają” – pointował swoje rozważania w *Ziemi Ulro* Miłosz. Wywody współtwórcy biologii molekularnej François Jacoba wtórowały pesymistycznym przewidywaniom polskiego pisarza co do ambiwalentnej roli naukowca, izolującego się, nieopatrznie „odgradzającego” od współczesnego świata: zdaniem autora popularnej wówczas *Gry możliwości* (polskie wydanie 1987), „domniemany” świat obiektywny zostaje w XX-wiecznym laboratorium uczonego „pozbawiony ducha i ciała”. Genetyk Jacques Monod, na którego sądy powoływał się Miłosz, głosił, że wybór naukowej praktyki, z początku dokonywany „nieświadomie”, skierował ewolucję kultury na szlak – „który, jak sądził dziewiętnastowieczny scjentyzm, miał wieść bezbłędnie do góry (...) ku *empireum* ludzkości, podczas kiedy my widzimy przed sobą otwierającą się otchłań mroku”.

Kasandryczne prognozy naukowców stanowiły tylko jeden z elementów wspierających katastroficzną wizję polskiego pisarza. Ziemia Ulro odkryta została przez Miłosza, mówiąc przenośnie, na innych szerokościach humanistycznej refleksji aniżeli wieszczone przez światłych krytyków cywilizacji „*empirea*” z „otchłaniami mroku”; niewątpliwie duże znaczenie dla tej poznawczej eksploracji miały osobiste przeżycia poety i eseisty, który po ucieczce z kraju i przeniesieniu się z Paryża do Berkeley, izolowany w kręgach emigracji z powodu swoich wcześniejszych zajęć w PRL-owskich konsulatach na Zachodzie i odcięty od przyjaciół, z dala od swojej „rodzinnej Europy”, w kalifornijskiej samotni podlegał presji nastrojów manichejskich i fascynacji gnozą. Co znalazło wyraz nie tylko w ówczynie pisanych wierszach, lecz także – może najbardziej spektakularny – w książce o Ulro, w której Miłosz kieruje uwagę na inne niż szeroko wymieniane historyczne, racjonalne przyczyny dekadencji rodu ludzkiego, powołując się na dowody pobrane z oryginalnej i zaskakującej tradycji filozoficznej, religijnej i literackiej. W tym przede wszystkim na idee



zaczepnięte z wizjonerskiej, poetyckiej koncepcji Williama Blake'a, którego renesans w polskiej myśli humanistycznej i literackiej rozpoczął się zresztą niedługo po ukazaniu się wydania *Ziemi Ulro*; trudno oczywiście sugerować, że to odkrycie właśnie Miłosza doprowadziło do nasilenia przekładów i omówień pism angielskiego pioniera romantyzmu w Polsce (ze znaczącą w tej inicjatywie rolą zmarłego niedawno Michała Fostowicza), ale nie da się ukryć, że to po tej książce w polskiej humanistyce, eseistyce i twórczości oryginalnej zaczęto odwoływać się na potęgę nie tylko do conceptów i fantazji Blake'a, ale i do zapomnianych teorii angelologicznych Emanuela Swedenborga, a na półkach z filozofią pojawiły się dzieła prawie nieznanego w Polsce wcześniej Lwa Szestowa, kontynuującego nowoczesną gnostycką linię filozofii, markowaną nazwiskami głównie Nietzschego i Dostojewskiego, którzy – podobnie jak wymienieni wyżej myśliciele i poeci – uzyskali poczesne miejsce w eseistycznej narracji Miłosza. Projekt „podziemnego” człowieka i dramatyczne wyzwanie rzucone ludziom przez Dostojewskiego aktualizują obecnie już jawne, fundamentalne „następstwa antynomii, jaka zarysowała się pomiędzy nauką i światem wartości”. Jednak Miłosz jako autor *Ziemi Ulro* nie opowiada się za żadnym konkretnym programem poznawczym czy estetycznym swoich wielkich poprzedników. Nie podpisuje się pod conceptami gnostyków, teoriami woli mocy Nietzschego czy mesjanizmu chrystianicznego autora *Biesów*; z dystansem, choć i fascynacją, opisuje mistycyzm Swedenborga, a najmocniej dystansuje się od „nihilizmu” Beckettowskiego. Chyba jest najbardziej wizjonerem i poetą – ma tu rację zapewne Konstanty A. Jeleński, który interpretuje tę książkę Miłosza jako wielkie dzieło wyobraźni.

„Ulro” to więc termin zaczerpnięty z wizjonerskiej poezji i wpisanego w nią systemu historiozoficznego Williama Blake'a, w którym symbolizuje on ziemię poddaną dyktatowi i niszczycielskiej władzy Rozumu (czyli „Urizena”), przeganiającego ze swego terytorium na nieszczęście ludzkości Wyobraźnię (tu „Urthone”). Dla angielskiego preromantyka żyjącego w czasach rozpoczęcia triumfalnego pochodu rozumu (znanego milowymi odkryciami i naukami także Anglików, Newtona, Bacona czy później Locke'a) pozbawiony zaplecza duchowego i wizjonerskiego Urizen stanowił ukryte, wyrafinowane narzędzie zdobywającego przewagę w nowoczesnym świecie szatana; Urthona zaś jako jedyne antidotum na to diabelstwo miałyby szansę podjąć się dzieła uzdrowienia ludzkości, przywrócenia jej upragnionego stanu „przedustawnego” porządku. Ten wątek wróci w dalszej części rozważań Miłosza, dumającego

o swoiście przez siebie pojmowanej *apokatastasis*, wierzącego w ożywczą szansę przyszłego, mającego się spełnić już w XXI wieku, nawrotu do korzeni ludzkości (tu i teraz żyjąc, widzimy, jak bardzo nierealne i poetyckie były to marzenia), do powrócenia jakby do „bloków startowych” cywilizacji z przekonaniem, że warto zaryzykować nawet regres w dziedzinach podległych intelektowi, by odbudować zaniedbane, duchowe i imaginacyjne, „prześlą” człowieczeństwa. Różniąc się zatem w definiowaniu przyczyn kryzysu cywilizacyjnego od uczonych katastrofistów i pesymistów, powołując się na prorocze widzenia i konstatacje Blake’a oraz na pesymistyczną i gnostycką, przedającą się „wszędzie” jak w wierszu Norwida, „czarną nić” nowoczesnej filozofii, Miłosz wraca niejako do tablicy „pierwiastków pierwszych” duszy ludzkiej i nawołuje do nawrotu do „strofy horacjańskiej”, która symbolizuje u niego nie tyle złoty wiek klasycyzmu, co jednię, zespolenie składników tej duszy – rozumu, wiary i wyobraźni. Tak to wygląda w ważnym fragmencie *Traktatu poetyckiego*:

(...) Trzeszczy w nitach pudło,  
Niesie szaleństwo nasze i niejasność,  
Wiarę ukrytą i brud subiektywny  
I białe twarze poległych bez domu.  
Do wyspy szczęścia? Nie. W tobie i we mnie  
Wicher zagłuszył strofę horacjańską.

Nasza zasadnicza pomyłka „nawigacyjna” polega na tym, że widząc, projektując przed sobą „wyspy szczęścia”, płyniemy w głąb złowieszczej krainy Ulro. Ulegamy złudzeniom oraz impulsom dumy i pychy – dumy wywołanej poczuciem uzurpowanej dominacji wobec natury, i pychy rozumu pełniącego rolę kompasu w prowadzeniu naszego „trzeszczącego pudła”. Odcięta od fundamentalnych domen naszej egzystencji, inaczej mówiąc od swych podstawowych źródeł „zasilania” – czyli po pierwsze od wiary, a po drugie od wyobraźni – natura ludzka okazuje się podatna na wszelkie zakusy zła, na dewiacje, samoniszczycielskie zapędy, o czym świadczy najlepiej bieg dziejów w XX wieku. Nasze historyczne doświadczenia i indywidualne intuicje przekonują, że nie wystarczy nam do szczęścia najdoskonalej przysposobiona do wegetacji nisza materialna; nigdy nie zostaniemy zbiorowością sprawnych inżynierów przyrody, najdoskonalej rozwiniętą kolonią wytworów biologicznego cyklu ewolucji – bo czegoś nam tu zawsze będzie brakować. Oczywiście niekoniecznie akurat alchemii czy wszelakiego hermetyzmu.

Esej Miłosza – z wszystkimi swoimi ryzykownymi roszczeniami, poetyckimi marzeniami, mistycyzmem – w dzisiejszych czasach rozpasanego już do granic możliwości „szaleństwa” intelektu wart jest przypomnienia i solidnej analizy.

Mieczysław Orski

## Jerzy Plutowicz

### O Miłoszu

Jakże mam wybrać, gdy dzieło to jawi mi się jako rodzaj morza literatury? Czesław Miłosz według mego odczucia to dziś niemal instytucja kultury, to wybitna inteligencja, mądrość intelektualisty, to postać czołowa naszego, odchodzącego w mrok oddalenia, potwornego i pięknego XX wieku, obok Stanisława Brzozowskiego, któremu poświęcił piękny esej *Człowiek wśród skorpionów*, obok Brunona Schulza, Witkacego, Gombrowicza, Różewicza, jeśli wymieniam tych dla mnie największych, Europejczyków z krwi i kości, rzeczywistych.

Miłosz przypomina mi postać profesora z pięknego filmu Luchino Viscontiego *Portret rodzinny we wnętrzu*; profesor ów próbuje ocalić wartości klasyczne wobec inwazji barbarzyńców. Pozostał dla mnie Miłosz wierny postawie czyżby niemodnego dziś humanisty, a postawa ta staje przeszkodą dla spazmów kontrkultury, postmodernistycznej cywilizacji sado-masochizmu.

Miłosz to także ogromna praca, która zaowocowała wieloma tomami dzieł zebranych, można nimi obdzielić niejedną literaturę narodową, poskarżył się wszakże w wierszu, „tak mało powiedziałem”. Miłosz to drogowskaz, mimo że w ocenie dziejów kultury przeciwstawił się prostackiemu oświeceniu, opowiedział się po stronie ducha romantyzmu (niezapomniana książka-esej *Ziemia Ulro*). Zapewne miał alergię na ową dobrotliwą gawędę-gaworzenie sarmaczyzny, z jej niechlujstwem myślowym, z jej odorem zadufanej w sobie zaściankowości. W *Ziemi Ulro* objawił mi się nawet jako doktor Faust, umysł bez złudzeń co do kształtu naszego bytu.

W jego dorobku najbliższa mi jest jego proza, może najbardziej *Rodzinna Europa*, proza analizy dorastania indywiduum do życia-egzystencji myślącej,

ale także próba pogodzenia, zdawałoby się nie do przewyciężenia antagonizmu indywidualności i wspólnoty. Jest to nawiązanie do nurtu, być może niestłusznie dziś porzucanego, egzystencjalizmu.

Niestety wciąż uchodzi Miłosz głównie za poetę, w dodatku tego w wydaniu czytankowym, owe „który skrzywdziłeś człowieka prostego”, klepane do znudzenia, owo upupianie, banalizowanie.

A przecież jego dzieło promieniuje światłem nie do zdmuchnięcia.

*Jerzy Plutowicz*

*Jan Polkowski*

## Słownik, zewsząd światło

Pierwsze spotkanie z wierszami Czesława Miłosza, tom *Światło dzienne*. Kartonowe, kremowe okładki, nielegalny spokój książki przemyconej z wolnego świata, książki, zdaniem funkcjonariuszy sowieckiego fantomu o nazwie PRL, pod każdym względem nieistniejącej. Na jasnym tle czarne, graniczne słupy liter mitycznego słowa „Paryż. Stąd mimo carskich gróźb, na złość strażnikom cel, przemyca w Litwę Żyd, tomiki moich dzieł”. Fala publikacji emigracyjnych i podziemnych była jeszcze daleko od Ludowej Polski i zaleje ją książkami, gazetami i broszurami dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku. Tymczasem ja, szczeniak, uczeń II klasy liceum im. Bolesława Bieruta w Nowej Hucie, pomniku polsko-radzieckiej internacjonalistycznej przyjaźni opiewanym lekkimi pióro przez towarzyszy oddelegowanych na front poezji, dotykałem w roku szkolnym 1969/1970 listu z innej rzeczywistości, niedotykalnej, obserwowanej z oddalenia przez zasłonę wytężonego, żmudnego szumu zagłuszarek. Jednak według jakiegoś planu, w którym nie wzięto pod uwagę realiów, to niezwyčajne a nawet niemożliwe spotkanie spełniło się. Zostało jednak jednocześnie obarczone tym rodzajem dwuznaczności, fałszu, manipulacji jakimi przesiąknięty był tamten czas. Jakim skażeni byli ludzie, w których realny socjalizm wyzwalał niewyczerpane pokłady małości, tchórzostwa i pokrętnych ambicji. Kończyła się właśnie duszna, dławiąca noc późnego Gomułki. Niebawem miała rozkwitnąć – na tle ogromnych wcierek

z portretami Lenina i Breżniewa – pierwszymi zerami dewizowego długu publicznego, nowymi sklepami PEWEX-u i bułgarską marynowaną papryką, skorumpowana era znieczulającej szczęśliwości Gierka. Nauczycielka języka polskiego zorientowała się, że mam artystyczne pasje (próbowałem pisać wiersze, na szczęście żadne się nie zachowały) i pewnego dnia, w konspiracji, zaoferowała mi do przeczytania *Światło dzienne*. Połączyła nas wtedy komunizm tajemnicy i sojusz gustów ukrywających się przed popularyzacją. Niebawem jednak moja literacka przewodniczka, między zdania o poezji, sztuce i powinnościach artysty, wplotła mimochodem propozycję, bym dla zmobilizowania kolegów zapisał się do ZMS-u (Związek Młodzieży Socjalistycznej, przedszkole Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). Pani pedagog, przechadzając się ze mną po ścieżkach piękna i prawdy, umożliwiła mi przy okazji wzięcie udziału w zajęciach praktycznych: jak ktoś społecznie i życiowo słaby, uzależniony, niesamodzielny powinien mierzyć się z szarymi sytuacjami, odróżniać dobro od zła i dokonywać jasnego wyboru. Być może polonistka nie rozumiała do końca sensu swojego postępowania. Może myślała, że wyświadcza mi bezcenną przysługę popychając w stronę decyzji wynikających z historycznych i, a jakże, geopolitycznych konieczności. A może nie myślała o niczym więcej ponad zasługę u przełożonych? Bo reszta to marność? W każdym razie w jednej chwili przedzierzgnęła się z mistrzyni w poślednią odźwierną piekła VI kategorii, z powierniczki młodzieńczych rozterek w ubraną w brudny fartuch pokątną akuszerkę zdrady. Jest to zresztą dość charakterystyczna i zapewne do znudzenia powtarzająca się sytuacja w stosunkach nauczyciel – uczeń, nie tylko w systemie totalitarnym. Intelktualne i ideowe uwiedzenie, zawładnięcie młodym umysłem, rozpoczynającym się życiem, marzeniami o lepszym świecie, służyć miało kulturalnemu i eleganckiemu zainfekowaniu wzniosłych ideałów – dwulicowością a porywów serca – etycznym skarleniem. A przy okazji chorobliwym uzależnieniem ofiary od prowadzącego ją mistrza. Próba deprawacji moralnej z Miłoszem jako przynętą – pewnie niełatwo to dzisiaj zrozumieć. Dlatego o tym opowiadam.

Ale, pozostawiając za sobą nieprzyjemny kontekst, czy został jakiś ślad po tej lekturze? Moją wyobraźnią, rytmem myśli, odczuwaniem świata władała wtedy w dużej mierze Tadeusz Różewicz (*Regio*, 1969, pierwsza książka w mojej bibliotece) aczkolwiek trzeba dodać, że jak większość młodych ludzi byłem mieszaniną licznych i sprzecznych wpływów. Lektury układały we mnie paradoksalne ciągi nierzeczywistych dekoracji dla przypadkowych

scen i kwestii, które ze zdziwieniem odczytywałem we własnych myślach lub, o zgrozo, słyszałem z własnych ust. Czekaając na prawdziwe życie, zgadując kim jestem, czy kim mógłbym być, jednocześnie gubiłem siebie i w sumie niewiele o sobie wiedziałem. Od czternastego, piętnastego roku życia nosiłem w sobie Żeromskiego, Mickiewicza, rósł we mnie i jeszcze będzie rósł przez następne trzydzieści lat. Lektura tomu Miłosza nie spowodowała wtedy gwałtownej fascynacji, zmiany temperatury i kierunków myślenia. Najsilniej przeszył mnie gorzką wiedzą, nieubłaganym sarkazmem i ironią wiersz *Dziecię Europy*, który przepisałem odręcznie i przechowywałem.

Sądzę jednak, że to wtedy wpłynęła do mojej krwi charakterystyczna fraza, styl oraz pewien rodzaj patetycznego napięcia, z którym Miłosz podejmuje ciężar tematów uznawanych przez ciągle powracające fale poetów i krytyków za sprzeczne z istotą poezji. Dyskretnie, chociaż nie bezboleśnie, przeniknęła do mojego organizmu za pośrednictwem wierszy ze *Światła dziennego* choroba dialogu z przerażającym barbarzyństwem i porażającą wspaniałością dziedzictwa przeszłych pokoleń. Przeżywania i wyrażania swojej osobności nie poza, ale wewnątrz chóru historii, kodów kultury. Przeżywania i używania pisma innych niż mój losów. Losów wielkich duchów, z których materii ufundowano język kultury, przez który patrzę na świat. Duchów takich, które żywiły zło. I takich, które anonimowo rozplynęły się w alfabecie ludzkości i które ja powinienem uobecnić, pomóc im trwać. Póki mówię.

Coś jednak nie dawało mi spokoju. Czułem, że ta miłoszowska uroczysta, ostateczna fraza, może pozostawiając na boku ironię, współzycząca z podstawowymi pytaniami o sens i cel naszego bytowania, kojarzy się z czymś, co w jakiejś odmianie zamieszkiwało we mnie wcześniej. Ta fraza traktowała z jednej strony język jak muzykę wszechświata, z drugiej była koncertem władczego, zmysłowego piękna zanurzonego głęboko w metafizykę. A na koniec prowadziła zawsze do eschatologicznych rozważań. Posługiwała się prostymi przykładami, jasnymi przypowieściami, wieloznacznymi porównaniami i tajemniczymi, trudnymi w interpretacji parabolami i metaforami. Zaczęło do mnie powoli docierać co to za współbrzmienie, gdy autor *Trzech zim* zaczął tłumaczyć Biblię. Zrozumiałem, że pewien sposób ujęcia w języku sposobu odczuwania horyzontów człowieczeństwa oraz jego wirowania w kosmosie jest wszczepiony w moją tożsamość właśnie za pośrednictwem poezji Psalmów, Ewangelii, ksiąg Starego Testamentu, Apokalipsy. Rytmiczne wersety tych pięknych tekstów wypełniały powietrze, którym oddychałem

zanim narodziłem się w języku. Rytm tych opowieści i pieśni wibrował wokół mnie nieukojonym uniesieniem, kiedy wymawiałem pierwsze sylaby i później, kiedy rozumiałem słowa, ale nie wiedziałem jeszcze, że istnieje dobro i zło, piękno i zło, miłość i zło. Ręka wielkich poetów użyła jasności słów, by rozum pozostał w cieniu poznania i gasiła jasność języka, bym mógł dotknąć niepoznawalnego, przeczuwać, przenikać niewidzialne.

Czesław Miłosz bardzo świadomie chciał odegrać rolę Jana Kochanowskiego naszych czasów. Dlatego gdy rozpoczynał tłumaczenie Pisma Świętego stwierdził jasno: „nie ma współczesnego polskiego języka zdolnego wyrazić Biblię – trzeba go dopiero stworzyć”. Nie jestem całkowicie pewien, czy miał rację. Czy sprawiedliwie ocenił wysiłki przede wszystkim członków swojego cechu. Może, oprócz pragnienia wielkości, będąc rówieśnikiem XX wieku i przewidując, nie tylko groźbę powtórzenia starych błędów ludzkości, ale i nowe wcielenia grozy w nadchodzących czasach, chciał nas jakoś przeciw nim uzbroić, byśmy osłabieni zbyt łatwo nie polegli lub chociaż nie ulegli?

Dzisiaj mogę powiedzieć, że Miłosz przez swoją poezję pobudził, rozwijał i utrwalał we mnie pewien odświętny sposób istnienia w języku i poprzez język. Był wielkim magiem cudowności świata – życia – polszczyzny. Przy okazji tłumaczenia Pisma Świętego potwierdził także, jak ważne były dla niego (i chyba powinny być ważne dla każdego poety) próby wychodzenia poza zmysły, ludzki czas i racjonalne poznanie. Wiem, był także emocjonalnie zaangażowanym synem Oświecenia i Postępu. Kronikarzem dojmującego przemijania, ale chyba nigdy nie zapominał, że „przemijanie ludzi i rzeczy nie jest jedyną tajemnicą czasu”.

Jest jeszcze jeden trop łączący rdzeń mojego istnienia z poezją Miłosza. Otóż moja rodzina wywodzi się po mieczu ze święciańskiego powiatu, z gniazda o nazwie Pniowo (około osiemdziesiąt kilometrów na północny wschód od Wilna). Ja sam urodziłem się po drodze, w miejscu przypadkowym, na Dolnym Śląsku, gdzie rodzice w latach stalinowskich dostali po studiach nakaz pracy. Nie pamiętam tego miejsca i nigdy w nim później nie byłem. Między drugim a trzecim rokiem życia znalazłem się w Nowej Hucie, miejscu, które kształtowało swoją tożsamość w upokorzeniu, upodleniu i cierpliwej walce z treścią, symboliką i praktyką komunistycznej, wyniszczającej utopii. Dotkliwa pamięć przechowuje dotąd jedną z traum mojego życia, brutalne obrazy represji wobec demonstrujących w obronie krzyża w 1960 roku. Z tej *pierekowki* dusz Nowa Huta z wielkim wysiłkiem dźwigała się w czasach Solidarności

i stanu wojennego. Obserwowałem ten proces i w nim uczestniczyłem, ale mimo to nie mogę powiedzieć o Nowej Hucie – to jest moje miejsce na ziemi. Tak jak nie mogę powiedzieć tego, niestety, o żadnym innym miejscu. Koniec końców w rubryce bliższa ojczyzna zapewne wpisałbym Kraków, żeby nie obrazić ulicy Gołębiej, św. Anny czy klasztoru Kapucynów – moich dzisiejszych sąsiadów. Ale w rzeczywistości nie istnieje taki krajobraz, drzewo, zarys budynku, kolor rzeki, nuta światła nawiedzająca wykusz z rudej cegły lub miękki skłon doliny (szczególnie w czerwcu, gdy czerwień dnia jest najgęstsza) który otwiera we mnie domową opowieść. Który był zapamiętany przeze mnie i moich przodków i powtarzany w czulej pamięci, jak nieskończona chwila narodzin, pełna wzajemnego oddania: ludzi, słów i rzeczy. W moim wypadku byli tylko ludzie i słowa. Każdy zaś brak, na ogół, prowadzi do dyktatorskiego panowania pragnienia lub, co gorsza, marzenia. Albo do jakiegoś rodzaju ryzykownej kompensacji. Skoro żadne miejsce, poza ramionami matki, nie było moim matecznikiem, moją ucieczką, a w dodatku nawet pod postacią Brueglowskiego Ikara nie mieściłem się w precyzyjnym krajobrazie ludowej nierzeczywistej rzeczywistości, moją ojczyzną stał się wielogłowy mit wysublimowany z literatury i nieprzeżytej przeszłości. Przez długie lata tę rodzicielską mgłę współtworzył, wyposażał w szczegóły i tło Czesław Miłosz. Był dobrym dekoratorem mitu, bo sam czuł się emigrantem od kiedy zamieszkał w Warszawie w 1937 roku. Już wtedy napisał pobrzmiewający słowem i losem Mickiewicza wiersz zaczynający się od słów: „w mojej ojczyźnie do której nie wrócę...”. Sens tego wyznania wpisał w uniwersalny kontekst w 1967 roku: „Wygnanie jest losem dzisiejszego poety, niezależnie, czy mieszka w swoim rodzinnym kraju, czy za granicą”.

Zastanawiam się często, czy wszystko co o mnie stanowi jest literaturą i z literatury jest wzięte? Zastanawiam się także nad tym, czy łatwiej jest opuścić Raj, gdy każącym mieczem jest wszechogarniające kłamstwo, a anioł przebrany jest w garnitur oficera mówiącego po polsku: „znajdą cię dopiero wtedy jak zaczniesz gnąć”? Czy prościej jest udomowić w sercu wygnańczy los siedząc w celi bez bieżącej wody i kanalizacji? (choć ta okoliczność by podzielić los i posłannictwo wygnańca nie jest konieczna i z pewnością nie decydująca). Marian Stala wskazuje w kontekście interpretacji tekstów twórcy *Drugiej przestrzeni*, że za życie pod dachem wygnania możliwa jest jednak szczodra nagroda: „wygnanie – za cenę wyrzeczenia – umożliwi poznanie rzeczywistości w jej prawdziwym, istotnym kształcie”.



Jako młody człowiek zadałem przed trzydziestu laty pytanie skierowane do umarłych poetów-emigrantów: „Powiedźcie Panowie co słyhać w Polsce?”. Do dzisiaj żarliwie odpowiadają mi swoimi żywymi zdaniem, a ja wsłuchuję się w nie, by choć przez chwilę móc czuć się w świecie u siebie. A kiedy przesuwają się przede mną kolory czasu i pogoda ziemi, sięgam do książki albo odnajduję w pamięci wersy, w których się odbijają i znajdują bezpieczne istnienie. Czesław Miłosz jest dla mnie takim lustrem, rozległym, bezkresnym, pulsującym słownikiem, o który się opieram w ważnych chwilach. Słownikiem nazywania po polsku. A „to co nienazwane zmierza do nieistnienia”.

Jan Polkowski

Marek Skwarnicki

## Ironia i piękno spraw ludzkich

Kilka lat temu wydałem w Wydawnictwie Biały Kruk w Krakowie całą książkę pt. *Mój Miłosz*, w której jest całość moich poglądów i umiowań związanych z Panem Czesławem – jak do niego mówiłem. Teraz mam skupić się na książce Miłosza, która była i jest dla mnie najważniejsza. Muszę od razu dodać, że chodzi o książkę najważniejszą w moim życiu, dlatego, że od początku lektury jego wierszy nigdy nie miałem, wtedy ani potem, stosunku krytycznoliterackiego do wszystkiego, co pisał, a zwłaszcza do poezji. Moimi najcenniejszymi książkami były i są dwa pierwsze tomy jego poezji powojennej: *Ocalenie*, wydane w „Czytelniku” w roku 1945 i *Światło dzienne*. Dużo wierszy z tych dwóch tomów, pierwszych Miłosza, po prostu towarzyszy moim własnym doświadczeniom i przeżyciom z czasów wojny i pierwszych lat komunizmu, przed którym bronić się duchowo i intelektualnie, wspierałem się o Miłosza. Potem przyszedł *Zniewolony umysł*, ale ten już nie wyrażał tak osobistych moich przeżyć, doświadczeń wojennych i powojennych jak wiersze z dwóch pierwszych zbiorów tutaj wymienionych. Można by do nich dodać jeszcze *Traktat moralny*, a w przyszłości również *Traktat poetycki*, *Dolinę Issy*, a z publicystyki *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, *Rodzinną Europę*.

Moralnego przewartościowania okrucieństw ludobójczych i bitewnych II wojny światowej dokonał w poezji najdoskonalej Miłosz oraz pewien ksiądz, prof. Konstanty Michalski w rozważaniach *Między heroizmem a bestialstwem*. Michalski był więźniem Dachau. To, że przeżyłem okupację, Powstanie Warszawskie a potem pobyt w Mauthausen, wymagało od kilkunastoletniego chłopca po wojnie, a nawet studenta, który już miał lat dziewiętnaście wewnętrznego wysiłku do zrozumienia świata zrujnowanych zasad moralnych, niby-chrześcijańskiej Europy. Tu właśnie pojawiały się wiersze Miłosza. Bolesna melancholia wspomniania okupacji, poległych przyjaciół, przewartościowanie tego romantycznych uniesień i hurrapatriotycznych okrzyków w *Traktacie moralnym*, obraz karuzeli wesołego miasteczka pod murami getta na ulicy Bonifraterskiej, czego byłem naocznym świadkiem, ponieważ tamtędy prowadziła moja droga z Żoliborza, gdzie mieszkałem, do handlowego gimnazjum przy ulicy Miodowej majestatu i blasku wydarzeń polskiej i ludzkiej historii. Zanim czytałem wiersze Miłosza, które tu wymieniam z tomu *Ocalenie*, ja już w podobnych rejestrach „muzyczno-lirycznych” przeżywałem te sprawy. A potem przychodzi bunt i rozrachunek z agresywnym komunizmem, z którym musiałem walczyć, zdając maturę w 1949 roku i studiując na UW pod nadzorem seminarium profesora Adama Schaffa i jego asystentów. W obliczu tego zagrożenia umysłowego i moralnego, jakim był materializm dialektyczny i marksistowsko-leninowska historiozofia, takie wiersze Miłosza jak: *Do Tadeusza Różewicza Poety, Który skrzywdziłeś człowieka prostego* no i wspomniany *Traktat moralny* oraz inne wiersze już z emigracyjnego *Światła dziennego* były konstruowaniem etosu buntu i sprzeciwu wobec zniewoleniu młodego umysłu. Tytuł *Ocalenie* to ocalenie od trucizn ukrytych w biegu wydarzeń II wojny światowej, ale i czerwonej zarazy. *Światło dzienne*, jak gdyby okrzyk radości człowieka, który wy dostał się na wolność z więzienia i po mrokach totalitaryzmu ojczyźnianego, wy dostał się nagle właśnie na światło. Takie uczucia w przeszłości zawsze przeżywałem tak wiele razy przekraczawszy Żelazną Kurtynę. Niektóre powiedzenia poezji pierwszego okresu twórczości powojennej Miłosza, jak wiemy, przeszły do mowy potocznej, jak „z dobrą miną do złej gry” albo o wzgardzie w stosunku do zwykłych ludzi, nie polityków tylko pisarzy, którym to Miłosz rzucił wezwanie w słynnym swoim manifestie *Nie*, drukowanym po ucieczce do Paryża w „Kulturze” Giedroycia. Także fraza: „Niczego mi Panie tak nie żał jak porcelany”, będącej symbolem

kruchości świata zmiądzzonego przez II wojnę światową. To właśnie siła liryzmu Miłosza, że zwykły człowiek, którego dom został rozwalony bombą żałuje porcelany. Pamiętam, że kiedy prowadzono mnie na dworzec zachodni w czasie Powstania, by zawieźć mnie do Pruszkowa, a potem do Mauthausen szła koło mnie kobiecina, która oglądając się na ścianę dymu nad Warszawą bez ustanku biadoliła, że miała takie piękne dywany, które właśnie płoną. A z drugiej strony szedł robociarz i za każdym grzmiotem wybuchu w mieście mówił: „działo, napijmy się, żeby się lepiej działo”, i wyciągał flachę popijając wódkę. Ten nastrój, przedziwny, warszawskiego ludu, stołecznej hekatombi, straszności walki w getcie z kręcącą się obok pogodną karuzelą polskich antysemitów w jakiś dziwny sposób, właściwy tylko poezji, potrafił przeżyć czytelnikowi *katharsis* i wyzwolenie z bezsensu zła i śmierci.

W *Świetle dziennym* znajduje się wspaniała wiersz do Jonathana Swifta nawołujący do uspokojonej przez rozum duszy człowieka, który wiele przeżył. A jeszcze w *Ocaleniu* jest wiersz pt. *Walc*. Poza niezwykłą treścią balu w jakimś chyba zaścianku litewskim z tłem nadchodzących nawałnic i burz dziejowych I i II wojny światowej, zachwyca niezwykle kunszt rytmiczny tego wiersza. Jest on napisany w rytmie walca i właściwie można go zatańczyć.

Ponieważ chodzi o najważniejsze rzeczy, nic więcej nie będę już wspominał, ani już przedstawiał. Miłosz dla mnie nie był jednym z poetów, ale był prawdziwym przyjacielem życiowym, zanim zaczął nim być w przyszłości. Dodam tylko, że aczkolwiek nie znam całej literatury krytycznoliterackiej o Miłoszu i już jej nie poznam, bo wzrok mi na to nie pozwala, to jednak sądzę, że pokolenie powojenne, a zwłaszcza obecne nie przeżywa tego, co nazwałbym liryką mijającej epoki i poezją zaczerpniętą przez Miłosza zapewne z historiozofii profesora Zdziechowskiego z Uniwersytetu w Wilnie. Jan Paweł II stworzył pojęcie, też właściwie poetyckie „liturgii dziejów”. Ta tonacja dominuje w pierwszych tomach poezji autora *Ocalenia*. Literatura okresu dwóch wojen światowych i międzywojenna pełna była patosu, głównie patriotycznego. *Traktat moralny* Miłosza jest lekarstwem dla rozumu w stosunku do nawet tak dobrej poezji jak Baczyńskiego lub Gajcego. Ironia i piękno spraw ludzkich to najcenniejsze, co Miłosz odziedziczył, prawdopodobnie po Norwidzie. Znajomi z UJ twierdzą, że obecni poloniści i młodzi poeci nie rozumieją Miłosza. Trudno żeby rozumieli, skoro szkoły średnie paru pokoleń go przemilczały, a poza tym, zrozumieć Miłosza to nie jest to samo, co zrozumieć Brzechwę.

Marek Skwarnicki

ks. Jan Sochoń

## Poetycka sztuka myślenia

A ja powtarzam: „Wierzę w Boga” i wiem,  
że nie ma na to żadnych usprawiedliwień.

Czesław Miłosz, *Wbrew naturze*<sup>1</sup>

Twórczość Czesława Miłosza wsączała się w mój życiowy krwioobieg od czasów wczesnostudenckich. Od tamtego momentu, kiedy ukradkiem wynosiłem z biblioteki Instytutu Badań Literackich w Warszawie przepisane na kartce papieru fragmenty poezji późniejszego noblisty, patrzyłem już nieco inaczej na otaczający mnie wtedy świat. Z biegiem czasu narastała ilość książek Miłosza, które można było bezzwłocznie, w cywilizacyjny sposób kupić, wzbogacało się przeto i moje egzystencjalne doświadczenie. Którą z nich uznałbym za najważniejszą, najbardziej literacko doniosłą? Taką, która porusza do głębi i nie daje spokoju do dzisiaj? Zasadniczo należałoby wskazać na niemal wszystkie twórcze dokonania pisarza.

Spontanicznie jednak, niemal odruchowo, wskazuję na *Drugą przestrzeń*. W niej bowiem doszło do czegoś zdecydowanie wyjątkowego. Oto praca poetyckiej wyobraźni Miłosza przekroczyła (może: przewyciężyła?) stan epifanijnego olśnienia i otworzyła się na czysto teologiczne – nie zawsze zresztą ortodoksyjne (w katolickim sensie) tony. Poeta nie oczekuje już na znaki Objawienia, które w nagłym błysku ukażą wewnętrzną, pulsującą stronę rzeczy i ludzi, ich powinowactwa z odwieczną tajemnicą istnienia, lecz zdaje się na samego siebie, na swój wysiłek zmierzający do nawiązania intymnego dialogu z Bogiem.

Wcale nie ukrywa tego pragnienia, chce jawnie i prosto zarazem, odwołując się, co najwyżej, do arcydzielnych tropów literatury światowej, uczynić z poezji sposób odsłaniania pierwszych pytań, które wymusza rzeczywistość, a które ogniskują się wokół pojęcia prawdy. Wypada rzec, że poeta zawierzył własnemu życiowemu doświadczeniu, czyli mądrości wzrastającej wraz z upływem lat. Czas i mądrość przecież wyraźnie zazębiają się ze sobą.

W ten sposób sprzeciwił się dyskursowi i dyktatowi współczesności<sup>2</sup>, którego wyznawcy przekonują, że prawda, po pierwsze, może odnosić się

<sup>1</sup> *Drugą przestrzeń*, Kraków 2002.

<sup>2</sup> Choć Miłosz przychylnie odnosił się do pewnych postmodernistycznych opinii, generalnie

tylko i wyłącznie do wyodrębnionego stopnia społecznego porozumienia w obrębie pewnej tradycji, stąd też prawdy są prawdziwe jedynie wewnątrz konkretnych gier językowych, a po drugie, prawda pozostaje niedosięglą, nieogarniona, choć nigdy nie odmówi podążającemu za nią dostępu. Ten sceptycyzm wobec prawdy, a więc i wobec realnej rzeczywistości, wypływa z obawy, że potraktowana absolutystycznie stanie się narzędziem dominacji, wykluczania bądź paternalizmu. Poznaniu ludzkiemu tedy odmawia się wymiaru uniwersalistycznego, czego konsekwencją jest utrata obiektywnych kryteriów prawdy i dobra.

Miłosz zdecydowanie nie akceptuje takich głosów. Gdyby bowiem pójść ich śladem, należałoby zanegować rozumność ludzkiej osoby, a więc także jej zdolność do tego, co w średniowieczu, nazywano *intelligibilitas entis*, czyli podstawą zrozumiałości świata (bytu). Wyraźnie natomiast przyjmuje, że dzięki poezji jest w stanie żyć ze świadomością uczestniczenia w realnym świecie, mającym sens, który jednakże nie byłby możliwy „bez absolutnego punktu odniesienia”<sup>3</sup>.

Oto ważki moment wywołujący we mnie poznawczy i po prostu ludzki zachwył. Miłosz to poeta olśnienia tym, co stworzone, choćby to był zaledwie pyłek na piasku czy kosz warzyw na straganie. Istniejące (*esse*) zawiera niepoliczalną ilość tajemnic, pozostaje otwarte na niekończące się odczytania, smakowania, rozkoszowania się, w Augustyńskim wydźwięku tego słowa. I w konsekwencji prowadzi do progu religijnych zawierzeń.

By osiągnąć taki duchowy stan, potrzebna jest dojrzałość, rozsądne i rozważne widzenie krajobrazów czasu, w którym się żyje. Należy dostąpić łaski wejścia w „klarowność poranka”. Miłosz ze swego rodzaju estetyczną przyjemnością pożegnał dekadencję i język swego wieku – „czasu szyderczej szpetoty” (Oskar Miłosz), rozumiejąc, że i jego dokonania niekiedy były z owym językiem zbieżne. Zawarł zaś trwale przymierze z dziękczynnym stylem bycia, z dobrem-bytem, który nie wymaga uzasadnień, ponieważ wywodzi się z Bożych mocy. Przychylam się do uwagi Jana Błońskiego<sup>4</sup>, że

---

uważał się za poetę antymodernistycznego, czyli kogoś, kto materia sztuki czyni realny świat, doświadczone przeżycia, nie zaś lingwistyczne gry słowne. W tym znaczeniu pozostaje on twórcą staromodnym, staroświeckim, radującym się pięknem, nie zaś postmodernistyczną kategorią wzniosłości.

<sup>3</sup> Czesław Miłosz, *Traktat teologiczny*, w: *Druga przestrzeń*, dz. cyt.

<sup>4</sup> Jan Błoński, *Jeszcze o poezji i świętości*, w: *Poznawanie Miłosza 2. Część pierwsza 1980–1998*, redakcja Aleksander Fiut, Kraków 2000.

metafizyczne „tak” zgłoszone przez Miłosza to jakby zaślubiny poezji i bytu. *Ens et pulchrum conveniuntur*, nierozłącznie związane są piękno i byt.

Z tej priorytetowej zasady Miłosz wyprowadzał niemal wszystkie swe twórcze zamiary. *Druga przestrzeń* zbiera je niejako w jedną – nie tylko edytorską – całość. Pozostają one jednakowoż podstawą, niczym więcej. Do wielowarstwowej rzeczywistości trzeba się bowiem ze znacznym trudem przedzierać, odrzucając zbyt podniosłe brzmiące zaproszenia na wyżynę Prawdy i Piękna<sup>5</sup>. Jak gdyby szło się przez gęsty las, potykając się o wystające konary, wpadając w niespodziewane rozpadliny. Za ledwie chwila uśpienia powoduje wewnętrzny skurcz, osłabia wolę. Wówczas łatwo rezygnujemy z wysiłku, poprzestajemy na tym, co nie wymaga zbytńich poświęceń. Dlatego Miłosz nigdy nie traktował swych pasji, jako ostatecznie spełnionych, zrealizowanych. Pozostawał w drodze, w stanie poznawczego nienasycenia, unikając tzw. spokoju wiary, ocierając się o obrzeża herezji. Nie chciał, by go w jakikolwiek sposób klasyfikowano, układano jak martwego motyla w krytyczno-literackiej szufladzie. Wymykał się nawet własnemu językowi, który – jak zapewniał – nie zawsze potrafi podążać za przeżyciem, stykiem ze skorupą świata, miłosno-erotyczną emocją. Doświadczenie wyniesione z życia wydawało mu się wciąż zbyt ogromne, by mogło zostać, nawet w poezji, w pełni ujawnione i wyczerpane.

Wyróżniają nas jednak, podkreślał, stygmaty pamięci. Żyjemy wspólnie z tymi, którzy już umarli, ale właściwie nigdy nas nie opuścili. Krążą w teraźniejszym krwioobiegu, ustawiając świat wobec fundamentalnych pytań, jakich umarli nie muszą stawiać. Poznali już bowiem swój podniebny byt dogłębnie i rozumieją, co w istocie znaczyło być człowiekiem. Z tej też racji Miłosz nasłuchuje, wmyśla się w głosy przeszłości, stara się je oswoić i zarazem zgłębić. Pamięć w jego ujęciu stanowi rezerwuuar piękna, duchową przestrzeń zachowującą ślady epifanii, ale i poznawczego niespełnienia, gdyż ostateczny wymiar rzeczywistości jest i zawsze będzie przed człowiekiem zakryty, tak, jak Bóg będzie zawsze *Deus absconditus* – Bogiem ukrytym. Dzięki pamięci możliwe jest jednakże ocalenie estetycznego wymiaru życia, który poeta uważał za fenomen wręcz poprzedzający etykę.

Co to właściwie znaczy? Od razu naprowadza na intuicję zgłoszone i rozpropagowane zwłaszcza przez Fiodora Dostojewskiego, bądź, jak w Polsce, przez Cypriana Kamila Norwida. Ale czy tylko? Przywołajmy kilka wzorów

<sup>5</sup> Zob. Czesław Miłosz, *Przedmowa*, w: Oskar Miłosz, *Storge*, przełożył Czesław Miłosz, Kraków 1993.

tradycyjnej estetyki. Greckie słowo *kalós*, tłumaczone najczęściej jako „piękny”, odnoszono w dawnej kulturze greckiej do wielu spraw. Piękne mogło być zabijanie wrogów, albo coś użytecznego bądź piękna klacz. W każdym razie częściej mówiono o pięknie kosmosu, moralności, wewnętrznych przymiotów człowieka niż o pięknie sztuki. Harmonijne uporządkowanie rzeczywistości oczarowywało, wzbudzało, jak to dzisiaj określamy za Romanem Ingardenem, jakości estetyczne. Mikro i makrokosmos wiązały reguły zarówno matematyczne, jak i te wywoływane przez czarowne urządzenie ziemi. Później, w kulturze europejskiego średniowiecza przyjmowano powszechnie, że kosmos zbudowany jest podobnie do cytry, w której różne rodzaje strun rozbrzmiewają w sposób harmonijny, tworząc niesłyszalną dla człowieczego ucha kosmiczną symfonię. Boga uznawano za twórcę wszelkich miar i porządku, a natura, wyrażana w symbolach odnosiła do wyższego transcendentnego porządku.

Święty Tomasz z Akwinu za neoplatonczykami podkreślał, że piękne jest to, co wzbudza upodobanie i co powinno spełniać trzy warunki: ma dysponować pełnią, czyli doskonałością, harmonią i jasnością. Nie chodziło mu więc o jakieś uczuciowe zadowolenie czy zmysłowe oglądanie, lecz przede wszystkim o kontemplację określonego przedmiotu, angażującą rozum i wolę. To, co staje lub zjawia się przed nami wypada nie tylko poznawać albo przekształcać, ale należy kontemplować. Z tej racji istniejące byty spostrzegamy jako swoistą syntezę prawdy i dobra. Tyle zatem jest i będzie na ziemi piękna, ile bytu, prawdziwości i dobroci. Wskazany związek dobra z pięknem skłonił starożytnych Greków do ukucia wspólnego terminu dla obu tych wyrażen: *kalokagathia*, czyli „pięknodobroć”.

Nim ten fakt sobie uświadomimy, wskazywał Miłosz, już przedtem spontanicznie akceptujemy istniejącą rzeczywistość, mamy w niej miłość – upodobanie. Po prostu piękno rzeczy niejako „uderza” w nas, także w nasz rozum i wolę. Coś nam się podoba, coś zachwyca, coś powoduje uczucie zawstydzienia, szpetoty. Dlatego w pierwszej kolejności przedmioty, ludzi, zdarzenia nazywamy pięknymi lub brzydkimi, a dopiero potem określamy, czym są. Doświadczamy wówczas pięknościowych przeżyć, które należą do naszych najbardziej pierwotnych doświadczeń. I marzymy, aby taki świat ocalić; świat wynurzający się z cielesnych, ba: mięsistych ekscytacji i uniesień.

W takich okolicznościach – konstatują myśliciele nawiązujący do neotomistycznej tradycji – dochodzi do specyficznej sytuacji, mianowicie każdy fragment świata jako piękno wyraża sobą zgodność i jedność z intelektem

i wolą Stwórcy lub twórcy, i ład ten oraz zgodność zaprowadza w naszym życiu osobowym. Byt – piękno wiąże ze sobą władze poznawcze i wolitywne człowieka, dzięki czemu spełnia się on jako osoba w dialogu kontemplacyjnym oraz w twórczym działaniu. Ale, co oczywiste, jedynie sam Bóg, poznając „idealne typy” wszystkich rzeczy i chcąc ich realnego urzeczywistnienia, ustanawia nie tylko ich prawdziwość i dobroć, ale widzi też całą ich piękność – blask formy (*splendor formae*), zgodnie z biblijnym oznajmieniem: „I widział Bóg wszystko, co uczynił. A oto było ono bardzo dobre” (Rdz I, 31).

W takim razie zauważcie, zachęcał Miłosz, jak wiele zależy od codziennych nastawień, umiejętności dostrzegania w świecie ogromnego bogactwa. Piękno ukryte jest dosłownie w najmniejszej części bycia. Każde napotkane stworzenie ujawnia się jako doskonałe, spełnione, szlachetne w swej bytowej okazałości. Uniżona afirmacja świata oraz innych ludzi powinna należeć do zwykłej egzystencjalnej potoczności, co nie oznacza duchowo-poznawczej beztroski. Świat jest zbyt okrutny, przesycony grozą, śmiercią i najróżniejszymi zmorami, by ze spokojem wyśpiewywać radosne glosolalia.

Powyższe przypomnienie jasno sugeruje, że piękno – Miłosz przystaje na taki punkt widzenia – jest nieprzemijające i że jego doświadczenie ma moc przebudowywania świata i ludzkiego życia. Blask, harmonia, *storge*, czyli miłość i egzystencjalna troska; otóż, one właśnie sprawiają, że możemy odnosić się do Boga z pokorą i świadomością własnego miejsca w stworzonej rzeczywistości. Miłosz, choć wypowiadał często głośne sprzeciwy wobec instytucji kościelnych, dysponował, jeżeli moge w ten sposób określić, kościelną wrażliwością na przygodny sposób istnienia człowieka. Nie wynosił się ponad naturalne ograniczenia. „Jestem grzesznikiem”, pisze jako osoba dojrzała, w wieku niemal biblijnym. A skoro tak, trzeba porzucić uludne kreacje, maski, udawania. Doświadczenie podpowiadało mu, że przed Bogiem ma już tylko modlitwę i nadzieję, że zostanie wysłuchany, choć zdarzało mu się niekiedy skłaniać przed nicością, nie zauważać znaków Bożej chwały chociażby w locie jaskółki czy irysach na rynku kwiatowym. Wprost, odważnie, osobiście rozmawiał z Bogiem, bo któż mógłby być tym najważniejszym partnerem dysputy.

Ta rozmowa, i to cenię szczególnie u Miłosza, zostaje rozpisana na wiele tonów, na wiele fenomenologicznych odcieni. Jest niekończącym się pytaniem zarówno o samego Boga, o sens stworzenia, o grzech pierworodny, o bunt aniołów, o Księgę Hioba, o Szatana i źródła Zła, o Adama i Ewę, o Niebo i Piekło, o całe niepojęte urządzenie wszechświata. Dosłownie o wszystko, co tka teologiczny kobierzec ludzkiej świadomości, przenikniętej do głębi



zwątpieniem, urazą, skandalem śmierci, bólu (zwłaszcza niezawinionego) i strachu. *Druga przestrzeń* zdaje sprawę z tych zasadniczych pytań. Z tej racji zaliczam ją do książek będących wzorcowym przykładem poetyckiej sztuki myślenia. To zaś oznacza – jak postulują znawcy hermeneutyki – sztukę pytania o to, co się właściwie sądzi o tym, o czym się myśli i mówi. A równocześnie wskazuje na konieczność poszukiwania języka – jako wspólnego. Słowo, które nie zostało skierowane do kogoś drugiego, jest przecież słowem pustym. To właśnie decyduje o primacie rozmowy, rozwijającej się za sprawą pytań i odpowiedzi, tworząc w ten sposób wspólny język. Dzięki temu w krąg owego „wspólnego języka” wchodzi Bóg, ale i poeci, wyjątkowo uwrażliwieni na język – warunek rozumiejącego docierania do wszelkiej rzeczywistości.

Miłoszowi chodzi tutaj zapewne o procedurę, polegającą na przenoszeniu pewnej sensownej treści z innego „świata” do własnego, wypowiedzenie tego, co niejasno przychodzi ze strony Objawienia. Taki zamiysł sprawił, że *Druga przestrzeń* przybrała traktatowy charakter. Mniej niż w innych tomach znajdujemy w niej błysków lirycznych, więcej zaś „sztuki myślenia”, intelektualnego komentowania spraw naprawdę ważnych.

Staram się podążać drogami Miłoszowych pytań. Powtarzam je we własnym języku, włączam w prywatną wrażliwość. W ten sposób zyskuję, przyznając, oczekiwane wsparcie, i mogę zwrócić się do Boga z olśniewającą prośbą: „Zaprowadź [mnie] tam, gdzie mieszka Twoje tylko światło...”.

ks. Jan Sochoń

Sergiusz Sterna-Wachowiak

## „Rozprawiając o zabobonach pobożnego dziecka”<sup>1</sup>

„Jeżeli wspominam o chłopcu, który w szkolnych zeszytach rysował mapy swoich fantastycznych krajów – kończy Miłosz *Ziemię Ulro* – to dlatego, że

<sup>1</sup> „Błędy i dziecinne pomysły poszukiwaczy tajemnicy / powinny być wybaczone. // Mnie wyśmiewali za Swedenborgi i inne ambaje, / ponieważ wykraczałem poza przepisy literackiej mody. // Wykrzywione w szyderyczym grymasie gęby / małpoludów rozprawiających o moich zabobonach / pobożnego dziecka. // Które nie chce przyjąć jedynej dostępnej nam wiedzy, / o wzajemnym stwarzaniu się ludzi / i wspólnym stwarzaniu tego, co nazywają prawdą” – Czesław Miłosz, *Traktat teologiczny*.

jesteśmy skłonni uważać »rzeczy ostateczne« za uroczyste i dostojne, za dziedzinę siwobrodych mędrców i proroków. Tymczasem spoza niejednej millenarycznej tęsknoty przeziara dziecinność. Pieśń niewinności i pieśń doświadczenia mają ten sam temat. »Katastrofizm« w okrutnym i podłym stuleciu marzył o ziemi sielskiej, gdzie »siano pachnie snem« a drzewa, ludzie i zwierzęta razem wychwalają piękno Rajskiego Ogrodu. Przypominając, że i tamten chłopiec i poeta – »katastrofista« i stary profesor w Berkeley są tym samym człowiekiem, postępuję zgodnie z zasadą tej książki, dziecinnej i dorosłej, wzniosłej i przyziemnej”.

Jedno z najbardziej fascynujących zjawisk w pisarstwie Miłosza: „ten sam człowiek” napisał „na ten sam temat” *Świat (poema naiwne)* i *Ziemię Ulro*, dzieła poprzedzające zarówno *Traktat teologiczny*, jak i wstrząsające *To*. Miłosz najważniejszy, zrodzony w tyglu rodzimej różnowierczej przeszłości i na wskroś współcześnie, czyli nie bez zwątpienia poszukujący Boga, Miłosz na dziesięciolecia, może na stulecia dający do myślenia i sprawiający, że frazes o „szczeroci aż do bólu” staje się nazwą rzeczywistej postawy poety – jest zarazem Miłoszem najmniej przeczytanym i zrozumianym. Najbardziej hermetycznym.

Konstatacja ta dotyczy *Świata* nie mniej, chyba bardziej nawet, niż *Ziemi Ulro*. „Ponieważ napisałem *Świat* łatwym wierszem, rymowanym – mówił Miłosz na prowadzonym przeze mnie w Teatrze Nowym w Poznaniu wieczorze Sceny Verbum w czerwcu 1996 roku – jest używany już w szkołach i zupełnie wbrew swojej istocie. Jest to utwór napisany w specjalnych okolicznościach, w 1943 roku, czyli na dzień piekła okupacji niemieckiej. Utwór, który miał, że tak powiem, rehabilitować istnienie jakiegoś normalnego świata, niszczonego wtedy codziennie. To jest utwór nie powiedziałbym, że pisany pod wpływem Williama Blake’a, bo ja wtedy właściwie nie znałem Blake’a, ale niektóre rzeczy Blake’a analogiczne dają klucz do tego utworu. Mianowicie, William Blake napisał dwa cykle wierszy – *Songs of Innocence* i *Songs of Experience*, *Pieśni Niewinności* i *Pieśni Doświadczenia*. *Pieśni Niewinności* miały przedstawiać świat naiwny, taki, jak przedstawia się dziecku. *Pieśni Doświadczenia* miały przedstawiać ten sam świat okrutny, poznany przez ludzi dorosłych. I mój utwór, *Świat*, to jest próba rehabilitacji spojrzenia naiwnego. Nie chodzi tutaj tylko o to, że niektóre, najczęściej cytowane części, jak *Wiara*, *Nadzieja*, *Miłość* – kryją trudne problemy filozoficzne. Rzecz polega na tym, że cały cykl jest utworem ironicznym. Nie w tym sensie ironicznym, że ja się naśmiewam, tylko że to jest utwór z dystansu, mający właściwie swoje pełne miejsce na tle

horrorów, które odbywały się naokoło. Czyli jest to utwór, którego nie można traktować naiwnie, ponieważ przedstawia świadomie świat naiwny”. Inne nieporozumienie, tyżące *Ziemi Ulro*, można ukazać na przykładzie fragmentu *Roku myśliwego*, w którym poeta przywołuje komentarz Stefana Kisielewskiego do *Bram Arsenalu*. Czytamy tam: „Miłosz to dla mnie poeta lęku, fascynujący niewiarą, pesymizmem wynikłym z przenikającego go do szpiku kości poczucia kruchości, polotności wszelkich światów: duchowych czy materialnych. Wierzę w autentyczność jego grozy, nie wierzę w jego pociechy. Ani w pociechy świeckie rozsądnie i lewicowo »humanistyczne«, ani w podpory religijne, mistycyzmy, Swedenborgi, ziemie Ulro. A przekłady starotestamentowe? To poetycko-językowy kostium, maska duszy – trzeba przecież coś robić na tym świecie, »pan się religijnie bałamuci, pan to przecież jutro zrzuci«”. Cytując Kisielewskiego, późniejszy autor *To* wyznaje: „W tym fragmencie ma dużo złośliwej racji. Jednak nie bierze pod uwagę pewnej rzeczy dość zasadniczej: wszystkie moje ruchy umysłu są religijne i w tym sensie moja poezja jest religijna. A również (może to samo) jest z Bytem przeciw Nicości”. Poemat *Świat* ukazuje po części rzeczywistość pierwszą i nie wiadomo, czy powrotną; utraconą po zerwaniu owocu z Drzewa Wiadomości i wygnaniu Adama i Ewy z Raju. *Ziemia Ulro* to szukanie Boga upragnionego i wytęsknionego, który miałby być doznany bezpośrednio, spoza zasłon, a pozostaje ukryty, zazdrosny o Siebie, pogrążony w nieobecności, oddalony w Swym niestawiennictwie.

Miłosz nie jest człowiekiem niewiary. Nie jest piewcą końca religii, agnostykiem ani heretykiem, gdy w *To*, wyznaniu radykalnie granicznym, niebywale autentycznie i szczerze jak na spowiedzi zwierza się z przerażenia istnieniem, odsłania swoją „noc ciemną”. Jak Jan od Krzyża, przywołuje bowiem w pobliżu swego doświadczenia *fascinans* równie głęboko przeżywane doświadczenie *tremendum*:

Żebym wreszcie mógł powiedzieć, co siedzi we mnie.  
Wykrzyknąć: ludzie, okłamywałem was  
Mówiąc, że tego we mnie nie ma,  
Kiedy TO jest tam ciągle, we dnie i w nocy.  
Chociaż właśnie dzięki temu  
Umiałem opisywać wasze łatwopalne miasta,  
Wasze krótkie miłości i zabawy rozpadające się w próchno,  
Kolczyki, lustra, zsuwające się ramiączko,  
Sceny w sypialniach i na pobożowiskach.

Pisanie było dla mnie ochronną strategią  
Zacierania śladów. Bo nie może podobać się ludziom  
Ten, kto sięga po zabronione.

Przywołuję na pomoc rzeki, w których pływałem, jeziora  
 Z kładką między sitowiem, dolinę,  
 W której echu pieśni wtórzy wieczorne światło,  
 I wyznaję, że moje ekstatyczne pochwały istnienia  
 Mogły być tylko ćwiczeniami wysokiego stylu,  
 A pod spodem było TO, czego nie podejmuję się nazwać.

TO jest podobne do myśli bezdomnego, kiedy idzie po mroźnym,  
 obcym mieście.

I podobne do chwili, kiedy osaczony Żyd widzi zbliżające się  
 ciężkie kaski niemieckich żandarmów.

TO jest jak kiedy syn króla wybiera się na miasto i widzi świat  
 prawdziwy: nędzę, chorobę, starzenie się i śmierć.

TO może też być porównane do nieruchomej twarzy kogoś,  
 kto pojął, że został opuszczony na zawsze.

Albo do słów lekarza o nie dającym się odwrócić wyroku.

Ponieważ TO oznacza natknięcie się na kamienny mur,  
 i zrozumienie, że ten mur nie ustąpi żadnym naszym błaganiom.

(To)

Przeżyć dziś, ogarnąć wyobraźnią, sercem i rozumem zamknięte dzieło Czesława Miłosza, nie odbierając mu wewnętrznego sensu, geniuszu i piękna, i nade wszystko prawdomównego, człowieczego autentyzmu – można tylko, nie odłączając *Świata* od *Ziemi Ulro*, a *Traktatu teologicznego* od *To*. Czyli pojmując metafizyczną koniunkcję *fascinosum* i *tremendum* jako jednię aktu wiary, doświadczenia Boga, Absolutu, Prawdy oraz jako ontologiczną jednoczesność afirmacji stworzonego świata i pewności jego upadku, apokalipsy. Kłopot Miłosza – a czasami „kłopot” z Miłoszem – polega także na tym, że swoje wierszowane i niewierszowane konfesyjne rozprawy przyszło mu formułować w polszczyźnie, czyli tworzywie kultury, która nie rodzi i „nie rozumie” owoców prywatnej wyobraźni teologicznej. Wyjątek stanowią polscy poeci, nierzadko powołujący w swych wierszach całe poetyckie teologie, ale filozofujący i teologizujący wprost i jawnie Miłosz, był i będzie u nas podejmowany o ezoteryzm, okultyzm i gnozę.

Tymczasem u autora *Nieobjętej Ziemi* obcujemy z wyjątkowo mocnym, nieustępliwym, całożyciowym głodem bezpośredniego doświadczenia Absolutu. Wychowany na teologicznych lekturach, do których należały Biblia protestantów, pisma polskich chrystian przezywanych arianami, traktaty kalwinistów, jezuickie *Ćwiczenia duchowe*, jak też Grecy, ojcowie Kościoła, mistrzowie duchowości chrześcijańskiej i mistycy różnych religii, wśród których dalej pojawili się Tomasz z Akwinu, Jan od Krzyża, Teresa z Ávila, Thomas Merton, buddyści *zen*, kabbaliści i mistycy żydowscy, Miłosz szukał prawdy i natchnienia do wiary także poza systemami. U Boehmego, Swedenborga, Mickiewicza, Blake'a i Oskara Miłosza. Metafizyczne doświadczenie bytu, duchowe przeżycie „tego, co rzeczywiste” – poeta pisze: „Rzeczywiste” – i wrażliwość człowieka religijnego, „pobożnego dziecka”, nie zdołały zaspokoić jego głodu pewności. Wyplątać pewności istnienia z aporii do pewności nieistnienia, a tym bardziej z opozycji do niepewności istnienia. Autor *Hymnu o Perle* rozczytywał się przecie w końcu w raptularzach podróży do Nieba, w ekstazach porwania przez Anioły, w zapisach bezpośredniego doświadczenia Boga, którego chyba bardzo pragnął. Inaczej jednak, niż poeci wiary, Boehme, Swedenborg, Mickiewicz, Blake, Oskar Miłosz, objawienia nie dostąpił. Nie dopadła go epifania, nie uniosła pewność, nie zanurzył się w „z innego świata światle”, w którym, jak mówi Paweł w *Hymnie o miłości*, ogląda się nie „niejasno jak w zwierciadle”, lecz „twarzą w twarz”. Tu zamilcz, serce...

Pytany o ulubionych poetów albo o pisarzy, których książki wywarły na mnie wpływ, jestem w kłopotcie. Nie mam ukochanych autorów, mistrzów sztuki pisania, autorytetów w dziedzinie piękna, chociaż podziwiam wielu. Należę do może mniej licznej rodziny tych, którzy u bardzo różnych poetów znajdują czasami fragmenty, wersy, akapity, zdania napisane tak, jak gdyby należały do nich, wyszły spod ich ręki. Tu moim piórem napisał coś Rilke, tam Auden, a tam znów Grochowiak, Herbert albo Eichendorff. Nie wiem, jak nazwać podobne zjawisko i nie jestem pewien, czy ma ono jakąś wartość dla mnie samego – na pewno nie ma dla czytanych autorów – i jeśli zwierzam się z mojej wstydlivej przypadłości, to z zamysłem wyjawienia na tym tle pewnej jej odmiany. Miłosz jest dla mnie jednym z najważniejszych pisarzy hermetycznych, metafizyków w ścisłym, czyli siedemnastowiecznym tego pojęcia znaczeniu. Konfesyjny, prywatny dramat teologiczny autora *Świata i Ziemi Ulro*, jak też *Traktatu teologicznego* i *To*, przekuty w wysoką sztukę poetycką,

pozostaje autentycznie prawdziwy dla mieszkańców naszej współczesności, do których chcąc nie chcąc się zaliczam. Moja empatia z „tym, kto mówi” w dziełach Miłosza dotyczy jednak w nie mniejszej mierze mojej prywatnej domowej przeszłości, czyli pamięci. Przechowuję w niej moich katolickich, ewangelickich i czeskobraterskich przodków, ich życie na dawnym pograniczu Wielkopolski i Dolnego Śląska, w ziemi wschowskiej z Leszmem i Wschową nazywaną Fraustadt, gdzie podobnie, choć inaczej niż w Litwie – gwar wielu religii, katolickiej, luterańskiej, kalwińskiej, chrystiańskiej, judaistycznej, husyckiej, mennonickiej podsyczał głód bezpośredniego doznania Absolutu. Teologiczna przygoda życia wewnętrznego Miłosza – poeta przedstawiał się czasami jako mieszkaniec XVII wieku – sprawia, że ma on swój litewski „domek i gniazdeczko” niedaleko dolnośląskiego gniazdeczka i domku Anioła Ślązaka i Andreasa Gryphiusa, poetów ciemnowielmożnych.

Sergiusz Sterna-Wachowiak

*Leszek Szaruga*

## Krok naprzód i krok w tył

### 1

W pierwszym z „sześciu wykładów o dotkliwościach naszego wieku” składających się na tom *Świadectwo poezji* pisze Czesław Miłosz: „Urodziłem się i wyrosłem na samej granicy Rzymu i Bizancjum. Czyż to możliwe – słyszę pytanie – wspominać dzisiaj o tak dawnych, symbolicznych już tylko potęgach? A jednak podział ten przetrwał wieki, zakreślając linię, choć nie zawsze na mapie, pomiędzy domeną rzymskiego katolicyzmu i domeną prawosławia. W ciągu wieków Europa utrzymywała ten dawny podział i była poddana prawu osi północ-południe”. I dalej: „za wcześnie byłoby odestać Rzym i Bizancjum w niepowrotną przeszłość, skoro ich dziedzictwo przybiera stale nowe, nieraz trudne do nazwania, formy”<sup>1</sup>. I ta właśnie intuicja Miłosza wydaje się najbardziej interesująca, ale wcale nie tak klarowna, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

<sup>1</sup> Czesław Miłosz, *Świadectwo poezji. Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku*, Paryż 1983.

Miłosz bowiem – podkreślając swój związek z rzymskim obszarem, który utożsamia z Zachodem i przeciwstawia Trzeciemu Rzymowi, którego ośrodkiem stały się Moskwa i Petersburg – zdaje się pomijać istotne doświadczenie zachodnioeuropejskie, jakim była reformacja. Ważny jest dlań katolicyzm: „w szkole uczyłem się przez sporo lat historii Kościoła katolickiego i dogmatyki z grubych podręczników, dziś wszędzie zarzuconych, a wątpię czy równie dokładne są teraz używane w seminariach duchownych”<sup>2</sup>. W innym zaś miejscu: „Wiele zawdzięczam mojej szkole, dobrej szkole dwudziestolecia niepodległości, ale najbardziej jestem wdzięczny za siedem lat łaciny. Jak też Kościołowi rzymskiemu za łacinę jego niedzielnej mszy”<sup>3</sup>. Ten związek z Rzymem sprawia, iż – pozostając w przestrzeni katolicyzmu, zdaje się poeta nie zwracać uwagi na pęknięcie, które sprawiło, że cywilizacja europejska, wskutek reformacyjnego rozłamu, w konsekwencji doprowadziła do rozdziału Kościoła od państwa, co okupione zostało m.in. hekatombą wojny trzydziestoletniej, którą bez przesady można uznać za wzorzec, który powtórzony został w dwóch kolejnych wojnach światowych XX stulecia. Przy czym warto przypomnieć, że Polska, choć ją owa wojna w zasadzie ominęła, nie wyszła z tego rozłamu bez szwanku: ocalenie katolickiej dominacji opłacone zostało wygnaniem z kraju arian – którzy osiedli w Niderlandach tworząc tam dynamiczny ośrodek intelektualny, z którego dorobku korzystał m.in. John Locke pisząc swój *List o tolerancji*.

Ów rozłam jednolitej i scementowanej do wystąpienia Lutra katolickiej cywilizacji sprawił, że różnice między świeckim Zachodem i zespolonym z prawosławiem Wschodem stały się szczególnie wyraziste. Granica oddzielająca Rzym od Bizancjum utwierdziła się i wzmocniła za sprawą podtrzymywania przez Trzeci Rzym bizantyjskich tradycji imperialnych, co sprawiło, jak pisze o tym Ryszard Przybylski, że „wartości religijne zredukowano tam do instytucji politycznych”<sup>4</sup>, gdy tymczasem Zachód konsekwentnie przeprowadzał proces rozdziału między państwem i religią: w tym kontekście zatem należałoby pojmować „Rzym” Miłosza jako kontynuację raczej republikańskich niż cesarskich tradycji antycznych, podczas gdy „Bizancjum” byłoby tu emblematem nie tylko praktyki złączenia władzy i religii, ale także utrwa-

<sup>2</sup> Tamże.

<sup>3</sup> Czesław Miłosz, *Nieobjęta ziemia*, Paryż 1984.

<sup>4</sup> Ryszard Przybylski, Maria Janion, *Sprawa Stawrogina*, postłowie Tadeusz Komendant, Warszawa 1996.

leniem ambicji imperialnych. Tak też należałoby chyba interpretować uwagi pomieszczone w *Rodzinnej Europie* dotyczące zasadniczych różnic dzielących polskich i rosyjskich przeciwników caratu: „Rewolucjoniści polscy i rosyjscy walczący z caratem powinni byliby być braćmi. Niezależnie jednak od tego, co mówią dzisiaj podręczniki, trwałe przymierze pomiędzy tymi ludźmi, na równi ofiarnymi i na równi wykształconymi, dzięki swemu pochodzeniu z klasy oświeconej, utrudniała *incompatibility of temper* czyli różność historycznych formacji”<sup>5</sup>. Zatem, opowiadając się po stronie Rzymu odnajduje się Miłosz w przestrzeni historycznej ciągłości, w obszarze sankcjonowania tradycji, która dla rosyjskich buntowników jest balastem, gdyż, jak czytamy dalej, „chcieli burzyć i na ziemi zmienionej w *tabula rasa* zacząć budować od nowa”<sup>6</sup>. I wreszcie: „Ale rewolucjoniści rosyjscy, marząc o *tabula rasa*, kłamali samym sobie. Usadowiwszy swoich wodzów na Kremlu, mogli budować z tego tylko materiału ludzi, przyzwyczajęń, obyczajów jaki znaleźli pod ręką, a co gorsza sami byli materiałem ulepionym przez ducha tej ziemi”<sup>7</sup>. W istocie byli spadkobiercami Bizancjum łączącego w nierozzerwalnym węźle władzę świecką oraz duchową, co w oczywisty sposób nie pozwalało im nie tylko zrozumieć „łacinników”, ale także podążyć za tropem myśli, którego owocem stał się *List o tolerancji* Johna Locke’a.

Coraz częściej, gdy oddaję się lekturze zapisów Miłosza, zauważam, że Bizancjum – w jego rosyjskim wcieleniu – było dlań nie tyle punktem odniesienia, co wyzwaniem: odczytywał jego tradycję jako przestrożę. W nocy poświęconej *Biesom* Dostojewskiego czytam: „Drżenie o losy Rosji, od których według pisarza zależały losy świata, było prawdziwym, najsilniejszym bodźcem jego pisarskiej działalności. Zachodnia Europa była według niego skazana na komunizm wynikający logicznie z przesłanek ateistycznych, te znowu wynikały logicznie z przesłanek nauki, takiej jaka powstała w orbicie zachodniego chrześcijaństwa. Ideami tymi zaraziła się rosyjska inteligencja i nie od niej oczekiwał Dostojewski ocalenia Rosji, ale od mas chłopskich wiernych prawosławiu”<sup>8</sup>: wiernych prawosławiu, a więc wiernych także samodzierżawiu, owej kwintesencji cesaropapizmu. I właśnie – tak to odczytuję – tu gdzieś odnaleźć można jeden z węzłów myśli autora *Zniewolonego*

<sup>5</sup> Czesław Miłosz, *Rodzinna Europa*, Paryż 1980.

<sup>6</sup> Tamże.

<sup>7</sup> Tamże.

<sup>8</sup> Czesław Miłosz, *Ogród nauk*, Paryż 1979.



*umysłu*: w refleksji dotyczącej miejsca wiary i religii w życiu społecznym. Powiada bowiem w innym miejscu: „Co uderza w Polsce dzisiejszej, to ponowne pojawienie się dwóch języków, tyle że miejsce marksistowskiego zajął język katolicki. Można tylko życzyć księżom, żeby tak powszechnie wyrażana zgoda na wiodącą rolę katolicyzmu jako religii całego narodu nie przesłoniła im prawdy nieco innej, ujawnianej w rozmowach, które milkną w ich obecności”<sup>9</sup>.

## 2

Przestrzeń wiary zdaje się w pisarstwie Miłosza – szczególnie w późnej jego fazie – stanowić centrum konstruowanego świata. Jej instytucjonalne formy – których ekstremalnym wyrazem jest bizantyjskie dziedzictwo Rosji – wydają się pisarzowi, gdy zastygają w doktrynalnych i sztywnych strukturach, niebezpieczne. Pisze: „...wszystkie moje ruchy umysłu są religijne i w tym sensie moja poezja jest religijna. A również (może to samo) jest za Bytem przeciw Nicości. Choć, jeśli chodzi o chrześcijaństwo, jest stale na tak i nie. Zauważyła to J.W., co w rozmowie prywatnej o »sześciu wykładach wierszem« powiedział Jan Paweł II: »Robi pan zawsze krok naprzód i krok w tył«, na co ja: »A czy dzisiaj można inaczej pisać poezję religijną?«”<sup>10</sup>. Ale też zaraz potem można przeczytać w wierszu *Uczciwe opisanie samego siebie nad szklaneczką whisky na lotnisku, dajmy na to w Minneapolis*:

(...) robię to tylko, co zawsze robiłem, układając sceny tej ziemi  
z rozkazu erotycznej wyobraźni.

Mamy zatem połączenie religijnych ruchów umysłu i rozkazów erotycznej wyobraźni i można sądzić – może to zbyt zuchwałe? – że w tym zaplocie ujawnia się dążenie Miłosza do przezwyciężenia zakorzenionego w tradycji chrześcijańskiej dualizmu ducha i ciała. Jak pisze Ryszard Przybylski: „Chrześcijanin jest człowiekiem boleśnie rozdwojonym. Jego stosunek do ciała zawsze był pokrętny, żeby nie powiedzieć obłudny. (...) Z tego, że ktoś sens życia znalazł w igraszkach seksualnych, nie sposób było wynosić, iż wstrzeźliwość otworzy wrota do Królestwa Niebieskiego. To Bóg ulepił

<sup>9</sup> Czesław Miłosz, *Metafizyczna pauza*, wybór, opracowanie i wstęp Joanna Gromek, Kraków 1995.

<sup>10</sup> Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, Paryż 1990.

człowieka z materii i spełtał jego ciało koniecznościami”<sup>11</sup>. Toteż nic dziwnego, że w dalszym fragmencie cytowanego wiersza Miłosza czytamy:

Jeżeli po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj, tyle że pozbędę się tępych zmysłów i ociążałych kości.

Wszystko to zwieńczają słowa *Traktatu teologicznego* o przemianie Adama kuszonego przez siły Natury:

Adam uległ pokusie, a wtedy Bóg zesłał na niego głęboki sen.

Kiedy się obudził, stała przed nim Ewa.

I oto odnajdujemy się w przestrzeni poszukiwań mistycznych, w którą wprowadza poetę lektura Mickiewicza (dość przypomnieć jego tłumaczenia Anioła Ślązaka w *Zdaniach i uwagach*), ale też zanurzenie w pismach Swedenborga i Blacke’a oraz Oskara Miłosza zaświadczone zapisami w *Ziemi Ulro*, a wreszcie i Jakuba Böhme. Lecz jest to lektura zdająca sprawę z wtajemniczenia:

Aż zrozumiałem, że pisał szyfrem i że taka jest zasada poezji, dystans między tym, co się wie i tym, co się wyjawia.

Tym bardziej, że owa wiedza jest migotliwa:

Katolickie dogmaty są jakby o parę centymetrów za wysoko, wspinały się na palce i wtedy przez mgnienie wydaje się nam, że widzimy.

Wyjawić tego, co się widzi, nie sposób: nie tylko ze względu na ów „dystans”, lecz również dlatego, że lęk przed niepojętym zdaje się niewyraźny: „Ulegałem prawu Wyobraźni – czytamy w *Ziemi Ulro* – tak jak je pojmował William Blake. Nie znaczy to, że spodziewam się razem ze średniowiecznym Joachimem de Fiore i polskimi romantykami nastania Trzeciej Ery, Ducha, i że razem z O.W.M., kiedy był stary, zapowiadam początek millenium za rok czy dwa. S ł o w a s ą z r e s z t ą w tej dziedzinie wyjątkowo z d r a d l i w e i dlatego oczekiwanie Królestwa nigdy nie oddzielało się wyraźnie od oczekiwania na koniec świata czyli koniec eonu”. I w tym właśnie kontekście *Traktat teologiczny* pomyślany został jako „pożegnanie dekadencji, / w jaką popadł poetycki język mego wieku”.

<sup>11</sup> Ryszard Przybylski, *Pustelnicy i demony*, Kraków 1994.

Owo dążenie do przewyciężenia kryzysu języka w jego dążeniu do zdania relacji z poczuciem, że „przez mgnienie” zdołamy coś zobaczyć nie jest zresztą – wypada tu o tym wspomnieć – zmaganiem podjętym jedynie przez Miłosza: dość przypomnieć nieodczytany wciąż przez krytykę poemat Tymoteusza Karpowicza *Odwrócone światło* zmierzający do prześwielenia uroszczeń „światła rozumu”. W nieco inny sposób podejmuje to zagadnienie Przybylski, gdy pisze: „Skoro tedy świat jak w zwierciadle, *en ainigmati*, to każdy językowy wyraz naszego poznania ma charakter metaforyczny”<sup>12</sup>. W istocie sprowadza się to do formuły mówiącej, iż poezja jest „szyfrem”, którego horyzont poznawczy wyznaczany jest przez utraconą, jak chce tego Jakub Böhme, *lingua adamica*.

## 3

Jednym z mistrzów, u których terminował Miłosz, jest Marian Zdziechowski. W wierszu mu poświęconym pisze:

Magnificencjo Rektorze, podszedłem do ciebie, młodziutki, na stopniach  
Biblioteki pod wieżą Poczobutta malowaną w znaki Zodiaku.  
W mieście, które na bolszewikach zdobyli polscy ufani, świadomy, czekałeś  
„w obliczu końca”.

W tym samym utworze – *Zdziechowski* – cytuje z wydanej w 1915 roku pracy swego bohatera *Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa*: „Nie ma Boga – głosem wielkim wołają i natura, i historia... ale głos ten ginie w harmonii psalmów i hymnów, w tym wielkim, odwiecznym, z najgłębszych głębin ducha idącym wyznaniu, iż jako »ziemia bez wody« jest dusza człowieka poza Bogiem. Bóg jest. Tylko fakt istnienia Boga to coś przekraczającego zakres myśli światem zewnętrznym zajętej, to cud. *Le monde est irrationnel. Dieu est un miracle*”.

Książka Zdziechowskiego *W obliczu końca* ukazała się niemal w przeddzień wybuchu wojny, w roku 1937. Wcześniej jednak uczony, dłuгоletni profesor uniwersytetu w Wilnie, opublikował szereg prac relacjonujących sytuację „na pograniczu Rzymu i Bzancjum”. W roku 1912 pisał: „Mesjanizm polski znalazł wspaniałe zakończenie w modlitwie Krasieńskiego »Daj nam, Panie, świętymi czynami samych wskrzesić siebie«. Ale na opoce stanąć i »świętymi czynami« dać świadectwo prawdzie dane jest tylko rzadkim wybrancom,

<sup>12</sup> Ryszard Przybylski, Tamże.

n i g d y narodom"<sup>13</sup>. Tymi słowami, stanowiącymi swego rodzaju *summę* przemyśleń na temat różnic dzielących mesjanizm katolicki od prawosławnego, definiuje Zdziechowski jeden z głównych problemów poruszanego ruchami religijnymi umysłu Miłosza konsekwentnie dystansującego się od narodowego wymiaru polskiego katolicyzmu, od owego „braterstwa”, które pojawia się w myśli rosyjskiej i które trafnie charakteryzuje Przybylski, gdy opisuje sprzeciw prawosławia wobec Rzymu: „Jedność katolickiego Rzymu jest fałszywa, pisał Iwan Kirejewski, ponieważ jej podstawą jest przymus. Prawdziwa jedność, pisał z kolei Aleksy Chomiakow, jest osiągalna jedynie we wspólnocie prawosławnej opartej na braterstwie. Aby zrozumieć siłę tego nieprzejednania wystarczy przeczytać kilka stron *Dziennika pisarza Dostojewskiego*”<sup>14</sup>. Katolicyzm jest w tym kontekście wyzwaniem dla jednostki świadomej ryzyka własnych wyborów, gdy prawosławie staje się swego rodzaju „lepiszczem” zapewniającej bezpieczeństwo wspólnoty.

O tym ryzyku mówi wiersz *Alkoholik wstępuje w bramę niebios*:

(...)  
 i zapytałem Ciebie, Wszechwiedzący, czemu  
 udręczasz mnie. Czy to próba, jak u Hioba,  
 aż uznam moją wiarę za ułudę  
 i powiem: nie ma Ciebie ni twoich wyroków,  
 a rządzi tu na ziemi przypadek?  
 Jak możesz patrzeć  
 na równoczesny, miliardokrotny ból?  
 Myślę, że ludzie, jeśli z tego powodu nie mogą uwierzyć,  
 że jesteś, zasługują w Twoich oczach na pochwałę.  
 (...)

Oto ja modłę się do Ciebie, ponieważ nie modlić się nie umiem.

Czy to rozpacz? Trudno o tym jednoznacznie przesądzać. Zapewne jest sporo racji w osądzie, jakiemu Jan Paweł II poddał postawę Miłosza: „zawsze krok naprzód i krok w tył”. Podobnie jak w wierszu *bez Tadeusza Różewicza*:

życie bez boga jest możliwe  
 życie bez boga jest niemożliwe

*Leszek Szaruga*

<sup>13</sup> Marian Zdziechowski, *U opoki mesjanizmu. Nowe szkice z psychologii narodów słowiańskich*, Lwów 1912 [podkr. moje – L.S.].

<sup>14</sup> Ryszard Przybylski, *Wdzięczny gość Boga. Esej o poezji Osipa Mandelsztama*, Paryż 1980.

Piotr Szewc

## Wybieram *Ocalenie*

Mógłby to być *Rok myśliwego*. Albo *Dolina Issy*. Lub *Rodzinna Europa*. Mogłyby to być tomy poetyckie *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* lub *Hymn o Perle*. Mogłyby to być też tomy *Dalsze okolice*, *Na brzegu rzeki* lub *To*. Ale wybieram *Ocalenie*.

Rozpoczęły się moje przedmaturalne wakacje, zastanawiałem się, co ze sobą za rok zrobić, skoro nie zamierzałem poprzestać nauki na ukończeniu Technikum Rolniczego. Wtedy właśnie – wiadomość o Noblu literackim dla Czesława Miłosza miała nadejść jesienią – w czerwcu 1980 roku, otrzymałem przesyłkę od Ryszarda Matuszewskiego. Wspaniałym darem był rozklejony, prawie rozsypujący się, ale kompletny egzemplarz Miłoszowego *Ocalenia*. Przytaczam dedykację, którą opatrzył książkę przysły autor *Zapisków świadka epoki*: „Miłemu Piotrowi Szewcowi / ten sfatygowany egzemplarz / posyła z przyjaźnią / i nadzieją, że podtrzyma / jego piękny entuzjazm dla poezji / Ryszard Matuszewski / Warszawa, 24 VI 1980”. Na tytułowej stronie u góry widnieje odręczny, wcześniejszy od dedykacji autograf ofiarodawcy złożony zielonym atramentem.

Książka miała kilka, przypadkowych lub nieprzypadkowych, „załączników”. Dwa wycinki prasowe z wierszami Miłosza; w jednym *Szydercza piosenka o porcelanie*, *Koncert* i *Ocean*; w drugim *Żuławy*, *Na małą Murzynkę grającą Chopina* i *Pamięci Teresy Żarnower*. Pięciostronicowy maszynopis fragmentu *Toastu* (fragment rozpoczyna się od słów: „W szkole już mi się kpina niejedna dostała...”, a kończy: „Tą formą presji zwykle najczęściej się wskóra”). Maszynopis utworu *Myśl o Azji*, który, opatrzone miejscem i datą powstania, znalazł się w tomie *Światło dzienne*; na przebitkowym papierze ze znaku wodnego odczytuje Neenah Old Council Tree oraz Made in USA. W maszynopisie utwór opatrzone jest tytułem *Krótką myśl o Azji*; wyraz „Krótką” przekreślony ołówkiem, a „myśl” poprawiona na dużą literę. I jeszcze jeden maszynopis, też na przebitkowym papierze, już bez znaku wodnego. U góry pośrodku: Czesław Miłosz. Poniżej wersalikami: ZAPISANE WCZESNYM RANKIEM. Ale nie o cykl *Zapisane wczesnym rankiem* mówią niewiązaną z tomu *Miasto bez imienia* chodzi. Jest to odbiegająca od znanej z tomu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* wersja utworu *Tak mało*,

opatrzonego miejscem i datą powstania. W maszynopisie, którym dysponuję, utwór ten brzmi następująco:

Tak mało powiedziałem.  
Krótkie dni.

Krótkie dni,  
krótkie noce,  
krótkie lata.

Tak mało powiedziałem,  
nie zdążyłem.

Serce moje zmęczyło się  
zachwytem,  
rozpaczą,  
alkoholem,  
nadzieją.

Paszczka Lewiatana  
zamykała się na mnie.

Nagi leżałem na brzegach  
bezludnych wysp.

Porwał mnie w otchłań ze sobą  
biały wieloryb świata

I teraz nie wiem  
co było prawdziwe.

Różnica jest nie tylko, gdy wziąć pod uwagę obowiązujący tytuł utworu i pisownię dużymi literami początków wersów. Nie odbiorę zainteresowanym satysfakcji porównania obu wersji. Przypuszczam, że zarówno *Myśl o Azji*, jak i pierwotna wersja *Tak mało* zostały przysłane drogą pocztową przez samego autora. Czy Miłosz przysłał je Ryszardowi Matuszewskiemu, czy też maszynopisy tych dwu utworów Matuszewski dostał od innej osoby i włożył je między stronicę *Ocalenia*? Nie wiem. Zastanawiałem się nad tym i nadal się zastanawiam. Również ta zagadka, która towarzyszy mi od roku 1980, sprawia, że *Ocalenie* jest dla mnie szczególnie książką Czesława Miłosza.

Piotr Szewc

*Andrzej Szuba*  

---

**Jak w pigułce**

Gdyby nie spotkanie z kilkoma książkami Miłosza, byłbym innym człowiekiem. Dlatego ważne są dla mnie na przykład *Prywatne obowiązki*, bo znalazłem tam takie – między wielu innymi – zdanie:

Zważywszy na zbyt dużą ilość zadrukowanego papieru może pora już byłaby wprowadzić przepis ograniczający artykuły, eseje, itp. do jednego zdania?

Postulat-żart, oczywiście niespełnialny, ale godzien refleksji w epoce parapoetyckiego słowotoku oharystów, ashberystów itd. Bo rozumiem, że „itp.” to wiersze.

Jeszcze wyraźniejsza jest inna książka, *Hymn o Perle*, a właściwie jedno znajdujące się w niej – między wielu innymi – zdanie, fragment utworu pod tytułem *Stan poetycki*:

Byłem niecierpliwy i drażniło mnie tracenie czasu na głupstwa, do których zaliczałem sprzątanie i gotowanie. Teraz z uwagą kroję cebulę, wyciskam cytryny, i przyrządzam różne gatunki sosów.

Czy to znaczy, że w późniejszym okresie życia głupstwem staje się pisanie wierszy? I ile lat trzeba mieć, żeby dojść do takiego, słusznego wniosku?

Ale najważniejszy jest zbiór *Dalsze okolice*, a w nim jeden – między wielu innymi – znakomity wiersz *Sens*:

– Kiedy umrę, zobaczę podszewkę świata.  
Drugą stronę, za ptakiem, górą i zachodem słońca.  
Wzywające odczytania prawdziwe znaczenie.  
Co nie zgadzało się, będzie się zgadzało.  
Co było niepojęte, będzie pojęte.

– A jeżeli nie ma podszewki świata?  
Jeżeli drozd na gałęzi nie jest wcale znakiem,  
Tylko drozdem na gałęzi, jeżeli dzień i noc  
Następują po sobie nie dbając o sens,  
I nie ma nic na ziemi, prócz tej ziemi?

Gdyby tak było, to jednak zostanie  
Słowo raz obudzone przez nietrwale usta,

Które biegnie i biegnie, poseł niestrudzony,  
Na międzygwiazdne pola, w kołowrót galaktyk  
I protestuje, woła, krzyczy.

– bo jest w nim, jak w pigułce, wszystko to, co towarzyszy całej twórczości Miłosa, a więc rozpacz, zwątpienie, ale także duma i trochę trudnej nadziei i wiary.

#### *Postscriptum*

Po ukazaniu się *Wierszy ostatnich* żał, że to nie wiersze przedostatnie...

Andrzej Szuba

### Janusz Szuber

## Przestałem się wahać: *Ocalenie!*

Kiedy otwieram szafę z książkami, na wprost mojej głowy, bo siedzę na wózku inwalidzkim, jest półka wypełniona w całości Miłoszem i dużo, dużo wcześniej, niezależnie od niniejszej ankiety, zadawałem sobie pytanie, który z tych kilkudziesięciu tomów wybrałbym, jako mi najbliższy, gdyby okoliczności nie pozwoliły zabrać ze sobą więcej niż jedną książkę. I nieodmiennie odpowiadam, że *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, do tego koniecznie w wydaniu Znakowskim: *summa*, szczyt poetyckich możliwości, dalej dojść na tej drodze już chyba nie można.

Ale po okresie absolutnej, jak mi się wydawało, pewności, zacząłem się wahać. Kolejne odczytania *Ocalenia* sprawiły, że coraz częściej patrzyłem w stronę szarego, nadstrzępionego grzbietu i teraz już nie wątpię, że wybrałbym jednak to dzieło, oczywiście w edycji z 1945, nie tylko z powodów bibliofilskich i sentymentalnych, ale przede wszystkim ze względu na zawartość, układ wierszy i podział całości pierwodruku.

Gdybym mój wybór miał uzasadnić na piśmie, byłoby mi niezręcznie ciągnąć swoją wypowiedź za uszy, tyle bowiem, mądrze i nie całkiem mądrze, napisano o Miłoszu, z minami odkrywców powtarzając siebie i nie-siebie na różne sposoby, jaki więc sens przyczyniać się do pomnażania bytów niekoniecznych? Miłość, wierność, zachwyty nie wymagają takich zabiegów. Wybieram *Ocalenie* i już.

Janusz Szuber



Marta Wyka

## Traktat poetycki w dwóch odsłonach

Może się wydać nieco dziwne, iż ten właśnie utwór Miłosza (bo czy można go nazwać książką?) decyduję się wybrać. A jednak wracam do niego – z jakich zaś przyczyn, spróbuję wyjaśnić. Istnieje on dla mnie jakby w dwóch czasach, więcej, w dwóch wersjach. I tak właściwie jest: napisany na emigracji drugi z traktatów (pierwszy to *Traktat moralny*) został po wielu latach skrupulatnie skomentowany przez poetę, zaś na okładce fakt ten zaznaczono: „z moim komentarzem”. A więc jakiś jest inny ten traktat z roku 2001, w porównaniu z tym, który zaczął drukować Giedroyc w roku 1956. Jak pisze poeta, Amerykanie się nim zachwycili i – zaopatrzone w przypisy prawie równej objętości jak sam tekst – był czytany i podziwiany w nowym stuleciu. A więc poezja nie może się oddzielić od historii, albo od wielu historycznych opowieści, zupełnie (chyba tak?) hermetycznych dla cudzoziemskiego czytelnika? „Pieczęcie, w których odcisnął się styl” muszą zostać rozszyfrowane? A jednak skłonna byłabym sądzić, iż „poetyckość” *Traktatu*, która zawsze mnie poruszała, istnieje jako jego esencja, nie wymagająca objaśnień. Oczywiście nie mam pretensji do poety, że spreparował swój *Traktat* i nadał mu tym samym inny kształt, szkolarski, encyklopedyczny, komunikacyjny. To przecież stały problem polskiej kultury i sposobów jej przysposobienia do kultury europejskiej czy amerykańskiej. Nie tylko polskiej zresztą: *Ziemia jałowa* też puchnie od przypisów. Więc raczej próbuję się zastanowić, które wątki wydawały mi się po pierwszym czy drugim czytaniu bezwzględnie poetyckie, zatem odrzucające konieczność ich objaśniania? Które obrazy tak ekspresyjne, że nie poszukujące analogii w jakichś innych obrazach? „Tam nasz początek” – ta scena i wszystko co po niej w tekście nastąpi i jest jej konsekwencją wydaje się tłumaczyć bez pomocy przypisowych protez. Chociaż? Jaką rolę odgrywa w niej małe galicyjskie miasto? Dlaczego takie ważne są jego kawiarnie, zaś wieści o cesarzu i o docencie Freudzie z Wiednia pobudzają zbiorową wyobraźnię? Czy mansarda zawsze była ulubionym mieszkaniem poetów (przyodzianych w peleryny)? Jak rozumieć: „Styl nasz choć to jest przykre, tam się rodzi”? Wymieniam tutaj oczywistości naszej kultury, a zatem również mojego sposobu czytania *Traktatu*... Nie jako rymowanego

podręcznika historii polskiej poezji, lecz jako opowieści antropologicznej, z którą wciąż chętnie się identyfikuję, to znaczy rozumiem ją i akceptuję, choć jej akt założycielski miał przecież miejsce przed stuleciem... Z tego miasta pisarz angielski Joseph Conrad musiał wywędrować, aby wstąpić w dwudziesty wiek. W tym mieście Wyspiański miał pozostać i nie zaznać nigdy światowej sławy. To miasto Conrad wymienił na inne, ale cena owej wymiany też była wysoka. Niedaleko był Wiedeń – i stamtąd zapewne nie trzeba było uciekać. Zatem miejsce akcji *Traktatu poetyckiego* jest tak swojskie, że dla cudzoziemca niepojęte. Dla mnie zaś jako czytelniczki zupełnie oczywiste. Jego sekretne podwórka, zakątki, i mansardy, dziś już puste, ale chętnie poddające się wypełnieniu. Wciąż istniejąca rama seksualnych wtajemniczeń, które niegdyś miały miejsce w tych przestrzeniach. Przemiana kawiarnianych poetów w żołnierzy, wyruszających z ulicy Oleandry pod wodzą Piłsudskiego, też wydaje się naturalna. Może dlatego, że piosenkę, którą w tym kontekście Miłosz przywołuje, słyszałam kiedyś, w dzieciństwie, nuconą przez moją mamę, która jako żywo nie znała *Traktatu poetyckiego*. Ale nuciła, bo inni też to znali: „szumiały mu echa kawiarni, całunem się kładły na skroń”. Moja relacja z lektury *Traktatu* nie jest jednak relacją sentymentalną. Rozumiem intencję poety, starającego się udostępnić „innemu” czytelnikowi tę naszą historyczność. Opisując ją w tekście poetyckim, w języku retorycznym, czyli traktatowym, uzyskał efekt artystyczny który jest – co dziwne się wydaje – głęboko empatyczny. I za każdą moją osobistą lekturą ta empatia zostaje pobudzona przez poetę. A jednocześnie ogarnia ona coraz szersze kręgi doświadczenia – choć nie jest to już moje doświadczenie. Ani „obce miasto na sypkiej równinie”, ani „pluśnięcie bobra w noc amerykańską”, ani oda do października nad zatoką Hudsona... *Traktat poetycki* mówi o niewielkich (gdy przymierzać je do makro-skali) epizodach historycznych związanych z artystami pewnego kraju, w pewnych okolicznościach, na pewnych warunkach, wygranych i przegranych, w większości nieznanymi. Ale jednocześnie oni – ci artyści, czyli Kultura, wygrali w oczach czytelnika. Okazują się bowiem godnymi partnerami Natury i nie zostali przez nią pokonani. I jednocześnie zmierza cały *Traktat* ku takiej oto konkluzji:

Jeżeli z błędem, tylko historyczni,  
Nie dostaniemy wieńców długiej chwały  
To ostatecznie, co?

Mogłabym powiedzieć, że oczekując na tę konkluzję, wracam do *Traktatu poetyckiego*.

Marta Wyka

Joanna Zach

## Najważniejsza książka Miłosza

### Odpowiedź pierwsza

Najważniejszą książką Miłosza jest dla mnie *Ziemia Ulro*. Nie kocham *Ziemi Ulro* i nie rozumiem jej, ale od lat zadaję sobie pytanie, co tutaj znaczy: rozumieć, nie rozumieć... Bo naprawdę się starałam. Czytałam Swedenborga (zaledwie kilka tomów, ale jednak) i *Les Arcanes* Oskara Miłosza w wydaniu Andre Silvaire'a. W Berkeley, w antykwariacie na Telegraph Avenue, zaopatrzyłam się w *The Gnostic Bible* i pisma katarów. Słowem, gromadziłam książki na półkach: William Blake, Lew Szestow, Simone Weil. To już ogrom, a gdzie jeszcze – Mickiewicz, Dostojewski, Gombrowicz? Próbowałam odrobić tę lekcję, odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego Miłosz musiał o nich wszystkich napisać. Bo przecież musiał: w tym rzecz. Nie da się tego wszystkiego ogarnąć, nie sposób sprostać erudycji poety. A jednak nie tędy droga. To wszystko jeszcze za mało i jeszcze nie to! Nie wystarczy zwykła ciekawość; tyle prawdziwej wiedzy, ile żarliwej tęsknoty. Są pytania, w których zawiera się cały ciężar istnienia i z takich właśnie pytań zrodziła się *Ziemia Ulro*. Zdałam sobie sprawę, że jest coś absolutnie niezwykłego w samym sposobie, w jaki Miłosz sięga po lektury – coś, co sprawia, że uchyla się zasłona czasu i radca Królewskiej Komisji Górniczej, Emanuel Swedenborg, zasiada z nim do intymnej rozmowy (odwiedziłam grób uczonego w Uppsali; niestety, nie pomogło). Jest różnica między niekłamany nawet podziwem dla dokonań ludzkiego umysłu, a autentycznym poszukiwaniem mądrości. Miłosz mi tę różnicę uświadomił. Nie opowiadał o swoich duchowych przygodach dla bibliotecznego kurzu. Czego szukał w księgach „mistrzów i proroków”? Lekarstwa na straszność świata i chorobę wieku? Prawdziwej miary ludzkich dążeń, które są zawsze sązione

według mody i upodobań czasu? „Skoro człowiek nie jest zwierzęciem – napisał w *Ogrodzie nauk* – i obcuje z całą przeszłością swego gatunku... nie może nie przygnębiać nas myśl, że zamiast starać się dorównać największym ludzkim osiągnięciom, ulegamy filozofiom podrzędnym, tylko dlatego, że są nam współczesne”. Jeżeli zapomnieliśmy o tym, że istnieją księgi, nie pozostaje nam nic innego, jak podziwiać „walory estetyczne” i przewrotne sztuczki intelektu. *Ziemia Ulro* jest dla mnie przypowieścią o utraconym słowie, o takim wymiarze ludzkiej mowy, który umożliwia obcowanie żywych i umarłych. I nie jest to aluzja do ezoterycznych wtajemniczeń. Myślę o czymś zupełnie zwyczajnym: o sztuce czytania, o zdolności do przyjęcia i spożytkowania daru, o czułości dla wyblakłych stronic.

### Odpowiedź druga

Ależ to oczywiste, że najważniejsza jest poezja! To ona przecież odsłania i ubogaca nasze intymne doświadczenie siebie i świata. Powiedziałabym bez namysłu: *Na trąbach i na cytrze!, Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada!* Po namyśle, wymienię raczej dwa wiersze, w których poeta, czy raczej jego persona, przemawia głosem kobiety: *Pieśń* z roku 1934 i *Stronę 25 z Osobnego zeszytu* („Mówiłeś, ale po waszych mówieniach zostaje cała reszta. / Po waszych mówieniach, poeci, filozofowie, układacze romansów. / Cała reszta wywiedziona z głębi ciała, / Które żyje i wie, nie to, co wiedzieć wolno...”). Wiersze te odczuwałam zawsze jako wypowiedzi bardzo osobiste, emocjonalnie nagie. Persona staje się tu niejako przezroczysta, więcej odsłania niż zasłania, nie przestaje być jednak enigmatyczna i wieloznaczna. Kto mówi? *Anima* poety? *Androgyne*? Istotne jest to, że pierwiastek żeński jest w tych wierszach głęboko uwewnętrzniony, a przemiana płci ma znamiona autentycznej transgresji. Jak gdyby pewne obszary ludzkiego doświadczenia można było przywołać jedynie głosem kobiety. Bohaterka *Pieśni* to postać symboliczna, projekcja duchowych zmagañ poety. Kobieta z *Osobnego zeszytu* jest, jak można przypuszczać, oczyszczonym wspomnieniem realnej osoby, a jej monolog odnosi się do sytuacji intymnej. Pierwsza jest głosem uwięzionej w ciele tęsknoty do nadziemskiej ojczyzny, druga wyraża tajemniczość ciała i współczucie wobec istot pozbawionych mowy. Spotykają się w doświadczeniu ludzkiej samotności. Historia moich duchowych przygód mogłaby być książką o tych dwóch wierszach Miłosza.

Joanna Zach

*Andrzej Zawada*

## Ciemno Wielmożny Profesor Miłosz

Od tomiku *Trzy zimy*, który uważam za jedną z najlepszych książek poetyckich w polskiej literaturze, zaczęło się moje urzeczenie poezją Czesława Miłosza. Fascynacja tą twórczością miała początek w czasie studiów, w roku 1968, może 1969, kiedy Miłosz jeszcze oficjalnie w Polsce nie istniał. Na wrocławskiej polonistyce oczywiście wiedzieliśmy o nim i docieraliśmy do tzw. prohibitów, czyli książek, które nie były udostępniane, ale znajdowały się w Ossolineum. Sami przepisywaliśmy wiersze i dzięki temu mieliśmy teksty publikowane w paryskiej „Kulturze”, które dla nieuprzywilejowanego czytelnika nie istniały. Od poezji szedłem do innych książek wydanych przez Jerzego Giedroycia: przede wszystkim do *Rodzinnej Europy* i *Zniewolonego umysłu*, który otaczała prawdziwa legenda książki zakazanej.

Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, która z książek Czesława Miłosza jest dla mnie najważniejsza. Wciąż czytam całe jego dzieło, w różnych okresach i momentach życia sięgam już to po wiersze, już to po eseje, już to po liczne gawędy mniej lub bardziej autobiograficzne. Sugestywność i bogactwo znaczeniowe, a także urok estetyczny tego dzieła nie słabnie, wciąż urzeka nowym pięknem i nową mądrością przy każdej kolejnej lekturze. Wracam raz po raz do jego wierszy, które działają na mnie z siłą nie mniejszą niż kiedyś, przed trzydziestu paru, dwudziestu czy też przed dziesięciu laty.

Za niezwykle cenną i bogatą uważam poezję Miłosza, całą, każdego okresu jego twórczości, od wspomnianych *Trzech zim* do zbiorów późnych i do poematów takich jak *Traktat teologiczny* czy *wspaniałe Orfeusz i Eurydyka*.

Obszerne i mocno niedocenione dzieło poetyckie Czesława Miłosza wsparte jest na przynajmniej trzech elementach. Pierwszym z nich jest pamięć, podstawowy składnik kultury.

Obok pamięci wspólnej, tej którą nazywamy historią, jak i tej, którą dziedziczymy pod postacią symboli i mitów, jest też pamięć indywidualna. Obydwie łączą się w jedność, przenikają, wzajemnie objaśniają lub zaciemniają. Poezja autora *Ocalenia* jest wielogłosowa. Wypowiada się w niej wiele wykreowanych przez autora person, jakby aktorów, którzy są głosami. Reprezentują różne epoki historyczne, odmienne miejsca, odległe od siebie krajobrazy, indywidualne doświadczenia, osobne światopoglądy. Wytwarza się literacki

substytut powtórnego istnienia, świata poza czasem, coś w rodzaju katolickiego „świętych obcowania”.

Z pamięcią łączy się poznanie, uwaga koncentrowana na rzeczywistości. To drugi element konstrukcyjny poezji Miłosza.

Poeta przygląda się światu stale i z najwyższą uwagą. Dla scharakteryzowania takiej postawy stworzył nawet neologizm: uważność. Bez uważności nie możliwy jest szacunek dla rzeczywistości. Bez szacunku nie ma zrozumienia.

Wnikliwa obserwacja rzeczywistości dokonuje się w poezji Miłosza z kilku perspektyw naraz. Nie tylko z perspektywy indywidualnej i powszechnej, ale także w planie szczegółowym i ogólnym. Miłosz widzi chwilowe detale i uniwersalne prawa egzystencji. Jak Nils z *Cudownej podróży* patrzy na świat z wysoka i zarazem z bardzo bliska, jak zamieniony w muchę bohater *Gucia zaczarowanego*.

Stała świadomość nietrwałości ludzkiego związku z rzeczywistością, subiektywizm świata nieustannie zmieniającego się w strumieniu czasu, kruche, poza dobrem i złem usytuowane piękno natury, jest dla poety źródłem estetycznej satysfakcji i egzystencjalnej radości. Żywiolowe uwielbienie istnienia to trzeci z konstrukcyjnych elementów tej poezji. Magiczny i religijny, zmysłowy i duchowy, intensywny podziw dla cudu życia wyróżnia tę lirykę spośród twórczości wszystkich współczesnych.

Miłosz regułą swego poetyckiego postępowania uczynił przyswajanie z obydwu głównych, zwalczających się tendencji w poezji XX wieku, awangardowej i tradycjonalistycznej, twórcze, innowacyjne używanie tego wszystkiego, co wzbogacało jego poetykę i pomagało ignorować ograniczenia. Jednym z rezultatów takiej postawy wobec dziedzictwa przeszłości i wobec współczesnych wysiłków artystycznych, stała się otwartość poezji Miłosza na przeszłość literatury, szczególnie na starsze jej obszary, słuch dla języka XVI i XVII wieku, odrzuconego przez romantyków.

Pozwoliło to zasadniczo wzbogacić współczesną poezję, przywrócić jej zdolność i odwagę podejmowania ważnych, jednostkowych i uniwersalnych tematów.

Obserwując dzisiejszą recepcję poezji Czesława Miłosza, w gruncie rzeczy dość wątpliwie, nabieram przekonania, że wciąż tkwimy w czytelniczych stereotypach, przywiązani do fałszywych dychotomii narzuconych niegdyś przez doraźne spory poetów międzywojennego dwudziestolecia. Od czasu do czasu słyszę obiegową opinię, że poezja Miłosza jest „za trudna”. Pozwala to potencjalnym czytelnikom pozostać w fazie potencjalności.

Książką eseistyczną, którą jako młody człowiek czytałem przez dłuższy czas, co oznaczało nawroty lektury i niemal kontemplacyjne przyglądanie się tekstowi, jest *Rodzinna Europa*. Ogólnie wiadomo, czym jest ta opowieść. Jej zadaniem było objaśnienie czytelnikowi zachodniemu kulturowo-historycznej specyfiki Europy Wschodniej. Tematem jest tutaj polskość. Autor wydobywa dwa zasadnicze jej aspekty: odrębność pierwiastka polskiego w kulturze europejskiej i stapianie się pierwiastków uniwersalnych z kulturą polską.

Jednym z pierwszych wątków *Rodzinnej Europy* stała się kulturowa specyfika ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, jako regionu modelowego dla kwestii wielonarodowej symbiozy. Dalszy zespół zagadnień to złożone doświadczenia historyczne i polityczne – I wojna światowa i rewolucja w Rosji, narastanie totalitaryzmów w latach trzydziestych i marksizm jako ich ewentualna alternatywa, okupacje niemiecka i sowiecka, emigracja wewnętrzna i emigracja rzeczywista.

Niewątpliwie miał rację Witold Gombrowicz, kiedy notował w *Dzienniku* 1953–1956:

„...Miłosz walczy na dwa fronty: tu idzie nie tylko o to, aby w imię kultury zachodniej potępić Wschód, lecz także o to, aby Zachodowi narzucić własne, odrębne przeżycie, stamtąd wyniesione, i swoją nową wiedzę o świecie”.

Opinia ta powstała po lekturze *Zniewolonego umysłu*, ale w tym samym stopniu odnosi się do *Rodzinnej Europy*.

Wspaniałe i najgorsze jest to, że *Rodzinna Europa*, opublikowana więcej niż pół wieku temu, w roku 1957, nie zestarzała się ani trochę. Przeciwnie: czyta się ją dzisiaj nieomal jako manifest nowoczesnej i wręcz modnej wielokulturowości, pochwałą złożonej tożsamości kulturowej środkowej Europy, uświadamiającej sobie wartość i siłę dziedzictwa zaniedbanego, a po części również zwalczanego przez ciasnotę horyzontów mononarodowych. Miłosz z imponującą trafnością i precyzją opisuje składniki fundamentu naszej tożsamości: dom rodzinny, szkołę, Kościół katolicki, a raczej religię. Doskonałe jest to lustro. Zmieniła się epoka, a ono nie zmatowiało. I to właśnie jest najgorsze. Wciąż mówi ono nam, jak lustro z bajki o królewnie Śnieżce, że może jesteśmy piękni, ale nie najpiękniejsi.

Przełamując atrakcyjną w tamtych czasach i nie tylko w krajach tzw. socjalistycznych optykę proletariackiego internacjonalizmu, Miłosz proponował dowartościowanie lokalności. Pokazał, że istnieją dwa przeciwstawne sposoby jej rozumienia: pozytywny, w którym „mała ojczyzna” jest miejscem autentycznego doświadczenia i zakorzenienia osobowości (Żmudź, Wilno),

oraz sposób negatywny, w którym lokalność oznacza świadome zamknięcie poznawcze, dobrowolne i zarazem lękowe unikanie wiedzy o rzeczywistości, hołubienie wygodnych stereotypów, egocentryczny komfort łatwych, a kategorycznych opinii. Miłosz konsekwentnie się tej drugiej lokalności przeciwstawiał, przez co najpierw był okrzyknięty zdrajcą i ubekiem (Wraga, 1951), później również pluli na niego zarówno emigranci, jak władcy PRL, jeszcze później atakowali go także poeci sobie jedynie przypisujący prawo do miana patriotów (Herbert). Aż w końcu polska kultura nie godziła się na pochówek Miłosza na Skałce, upierając się do tego stopnia, że niezbędna okazała się osobista interwencja Jana Pawła II.

A teraz obchodzimy (dwuznaczne słowo) Rok Miłosza. I przypomina się obraz z wiersza Poety:

Jaka procesja! *Quelles délices!*  
Jakie birety i z wylogami togi!  
(...)  
Ciemno Wielmożny Profesor Miłosz,  
Który pisywał wiersze w bliżej nieznanym języku.

*Andrzej Zawada*



Czesław Miłosz  
Metamorfozy

I żółte z zielonego dębu sączyły się miody  
Owidiusz

Mityczne miody piłem,  
Głowę w laury stroilem,  
Byle nie pamiętać.

Wędrowałem niewinny,  
Czuły i dobroczynny  
Aż po klepsydrę i cmentarz.

Ale przed Tobą, Panie,  
Na nic moje staranie  
O imię sprawiedliwego.

Natura moja czarna,  
Świadomość piekła warta,  
I urażliwe ego.

Takiego mnie Ty chciałeś,  
Do Twoich prac wezwałeś,  
Nieszczęśnika.

I tak się niedorzeczny  
Żywot i w sobie sprzeczny  
Zamyka.

\* \* \*

Obrócenii twarzami ku Niemu,  
otrzymaliśmy wzrok nowy, zdolny  
patrzeć w Słońce.

Czyż nie było zawsze naszym  
największym pragnieniem  
żyć i na wieki zamieszkać w jasności?

Ślepi, kulawi, paralitycy, pokręcenii  
żyliśmy w wigorze lat odzyskiwanych.

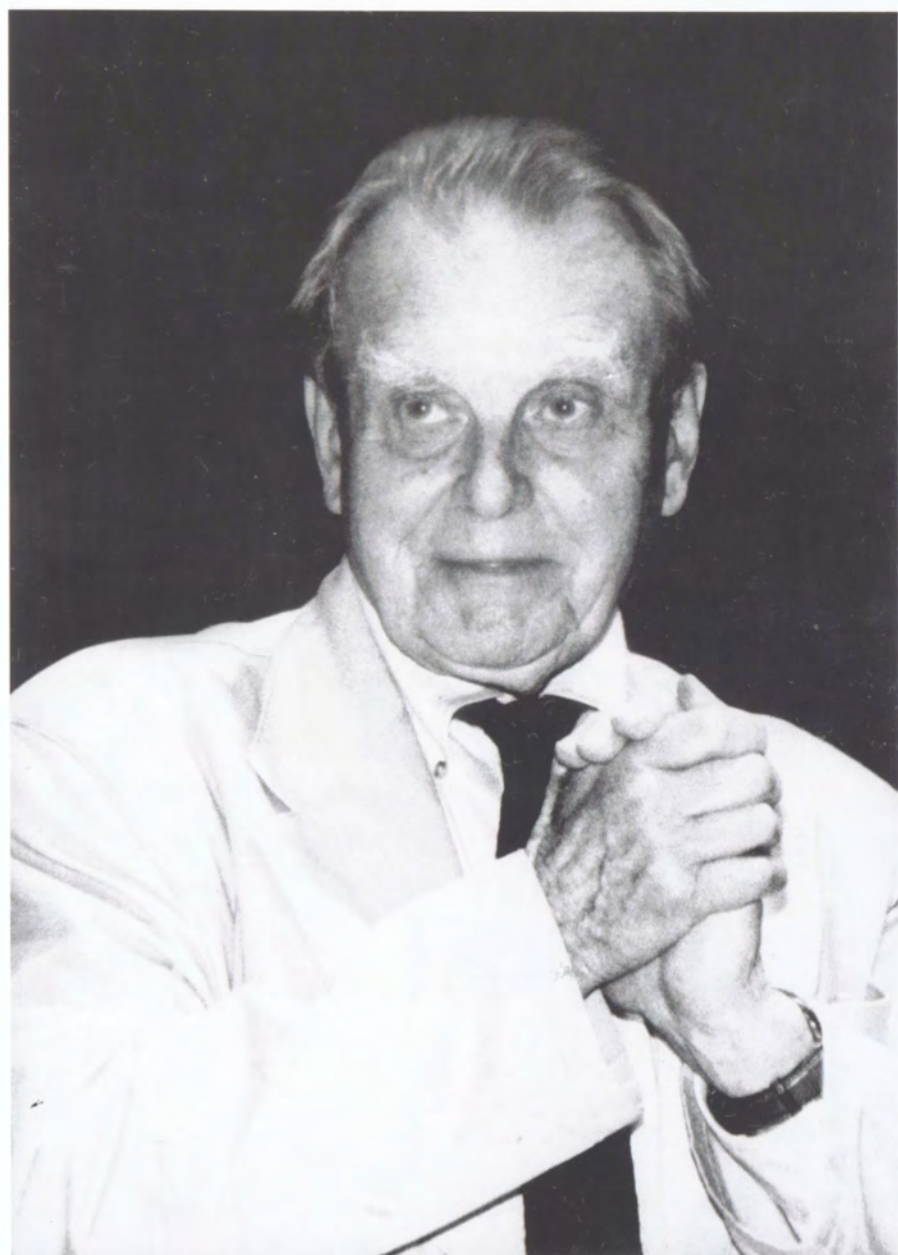
Czas przeszły, czas teraźniejszy i czas przyszły  
łączyły się w jeden niby-czas.

Co było, co jest i co będzie  
ukazywały się niemożliwe do rozróżnienia.

Nareszcie rozumieliśmy nasze życie,  
ze wszystkim, co się w nim nadziało.

*Czesław Miłosz*

**Czesław Miłosz**  
w Toruniu i w Bydgoszczy

























- 1, 4, 5, 6, 7. W Filharmonii Pomorskiej im. Ignacego Paderewskiego w Bydgoszczy w czasie spotkania z czytelnikami w ramach współorganizowanego przez „Kwartalnik Artystyczny” cyklu „Mistrzowie literatury w Filharmonii”, 8 czerwca 1995.
2. Z Krzysztofem Myszkowskim w Józefkowie k. Skępego, w drodze z Warszawy do Torunia, w letnim domu Krzysztofa Iwaszkiewicza.
3. Na werandzie w Józefkowie z żoną Carol, Grażyną Strumiłło-Miłosz i Krzysztofem Myszkowskim, 7 czerwca 1995.
8. W czasie kolacji w hotelu Pod Orłem w Bydgoszczy, 8 czerwca 1995.
- 9, 10. Z m.in. Grażyną Strumiłło-Miłosz i Krzysztofem Myszkowskim na Kępie Bazarowej, na lewym brzegu Wisły w Toruniu, 7 czerwca 1995.
- 11, 12. Z m.in. profesorem Zenonem Hubertem Nowakiem z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i Krzysztofem Myszkowskim na Starym Mieście w Toruniu – na Rynku Staromiejskim i, niżej, na ulicy Żeglarskiej, pod Katedrą, 7 czerwca 1995.
13. W towarzystwie Grażyny Strumiłło-Miłosz i Krzysztofa Myszkowskiego w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Toruniu, 7 czerwca 1995.
14. W Dworze Artusa w Toruniu, w towarzystwie żony Carol i Krzysztofa Myszkowskiego.
15. W Dworze Artusa z profesorem Januszem Kryszakiem z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i z Krzysztofem Myszkowskim.
16. Przed Collegium Maius – siedzibą Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, 9 czerwca 1995.

[Fotografie z Archiwum „Kwartalnika Artystycznego”]

## Czesław Miłosz w „Kwartalniku Artystycznym”

- 1993 nr 3: *Miasto młodości*; „...mnie chodzi tylko o język...” – z Czesławem Miłoszem rozmawia Krzysztof Myszkowski; „Zapytałby Pan Kubusia Puchatka...” – z Czesławem Miłoszem rozmawiają Krzysztof Myszkowski i Aleksander Fiut
- 1995 nr 4 (8): *O pisaniu*
- 1997 nr 1 (13): *Osobny zeszyt – kartki odnalezione. America*; \*\*\* (26 IX 1976. *Wieczór. Jakaż ulga! Jakie szczęście!...*); \*\*\* (*Katedra moich olśnień...*); \*\*\* (*Nawet rzecz najmniej uroczyista...*); \*\*\* (*Anioł śmierci powabny...*); \*\*\* (*Aby uśmierzona była ciemność...*); *Z okna u mego dentysty*; \*\*\* (*O, przedmioty mego pożądania...*)
- 1997 nr 3 (15): *Trzy wiersze*
- 1997 nr 4 (16): \*\*\* (wspomnienie o Jerzym Andrzejewskim)
- 1998 nr 2 (18): *Do leszczyzny*
- 1998 nr 3 (19): \*\*\* (życzenia na V-lecie „Kwartalnika Artystycznego”)
- 1998 nr 4 (20): *Alkoholik wstępuje w bramę niebios*
- 1999 nr 1 (21): Denise Levertov – wiersze w przekładach i z komentarzami Czesława Miłosza
- 1999 nr 2 (22): *O poezji, z powodu telefonów po śmierci Zbigniewa Herberta*
- 1999 nr 3 (23): *Osoby*
- 1999 nr 4 (24): *Torquato Tasso, Sicilia sive insula Mirandae*
- 2000 nr 2 (26): *Obrzęd; Jeden i wiele*
- 2000 nr 3 (27): *To jasne; Litwa, labirynt, nadzieja* – z Czesławem Miłoszem rozmawia Krzysztof Myszkowski
- 2000 nr 4 (28): *Druga przestrzeń*
- 2001 nr 1 (29): *Późna dojrzałość*
- 2001 nr 2 (30): „Ja”; 90-lecie Miłosza: Czesław Miłosz na fotografiach z albumu rodzinnego
- 2001 nr 3 (31): *Oczy; Czeladnik; Literatura polska*
- 2002 nr 2 (34): *Nika*
- 2002 nr 4 (36): *Orfeusz i Eurydyka*
- 2003 nr 2–3 (38–39): *Żywotnik*
- 2003 nr 4 (40): *Toaścik* (życzenia na X-lecie „Kwartalnika Artystycznego”)
- 2004 nr 1 (41): *W garnizonowym mieście*
- 2004 nr 3 (43): *Dar; O pisaniu; Trzy wiersze; Trzy rozmowy: „...mnie chodzi tylko o język...”* – z Czesławem Miłoszem rozmawia Krzysztof Myszkowski, „Zapytałby Pan Kubusia Puchatka...” – z Czesławem Miłoszem rozmawiają Krzysztof Myszkowski i Aleksander Fiut; *Litwa, labirynt, nadzieja* – z Czesławem Miłoszem rozmawia Krzysztof Myszkowski; *Osobny*

zeszyt – kartki odnalezione. *America*; \*\*\* (26 IX 1976. *Wieczór. Jakaż ulga! Jakie szczęście!...*); \*\*\* (*Katedra moich olśnień...*); \*\*\* (*Nawet rzecz najmniej uroczysta...*); \*\*\* (*Anioł śmierci powabny...*); \*\*\* (*Aby uśmierzona była ciemność...*); *Z okna u mego dentysty*; \*\*\* (*O, przedmioty mego pożądania...*); *Do leszczyny*; *Alkoholik wstępuje w bramę niebios*; *O poezji, z powodu telefonów po śmierci Zbigniewa Herberta*; *Osoby*; *Torquato Tasso, Sicilia sive insula Mirandae*; *Obrzęd; Jeden i wiele*; *To jasne*; *Druga przestrzeń*; *Późna dojrzałość*; „*Ja*”; *Oczy*; *Czeladnik*; *Orfeusz i Eurydyka*; *Żywotnik*; *W garnizonowym mieście*; *Psalm 19, Psalm 23, Psalm 27 w tłumaczeniach z hebrajskiego Czesława Miłosza*; *Życzenia dla „Kwartalnika Artystycznego”*

2005 nr 3 (47): *W garnizonowym mieście*; *Wezwanie i zadanie* – z Czesławem Miłoszem rozmawiają Janusz Kryszak i Krzysztof Myszkowski; *Czesław Miłosz na fotografiach Andrzeja Miłosza i Antoniego Miłosza*; *„Żeby dawać te rady, sam musiałem przejść ewolucję”* – listy Czesława Miłosza do Krzysztofa Myszkowskiego; *Psalm 130 w tłumaczeniu z hebrajskiego Czesława Miłosza*

2006 nr 2 (50): *Dedykacje dla Tadeusza Różewicza*; *Różewicz*

2006 nr 3–4 (51–52): *Żywotnik*; *W garnizonowym mieście*; *Prywatność poezji* – z Czesławem Miłoszem rozmawia Henryk Grynberg

2007 nr 3 (55): *List Czesława Miłosza do Artura Międzyrzeckiego*

2007 nr 4 (56): *Listy Czesława Miłosza do Aleksandra Fiuta*

2008 nr 3 (59): *Czesław Miłosz – Listy do rodziny*; *Czesław Miłosz – Z albumu rodzinnego (fotografie z albumu Grażyny Strumiłło-Miłosz)*



## O Czesławie Miłoszu w „Kwartalniku Artystycznym”

- 1994 nr 4: Krzysztof Myszowski, *Apokatastasis panton* (rec. *Na brzegu rzeki*)
- 1995 nr 4 (8): Mirosław Dzień, *O byciu poetą – czyli Czesława Miłosza rozprawa o „śnie umysłu”*
- 1996 nr 1 (9): Janusz Kryszak, *Tajemnica tożsamości. Trzy listy Czesława Miłosza*
- 1997 nr 3 (15): Krzysztof Myszowski, „...jak rzeka...”; Grzegorz Kalinowski, *Obok siebie* (rec. *Życia na wyspach*); nota z *Jakiegoż to gościa mieliśmy. O Annie Świrszczyńskiej*
- 1997 nr 4 (16): Mirosław Dzień, *Czesław Miłosz: „Piesek” prawie teologiczny. Zamyślenia millenarystyczne* (rec. *Pieska przydrożnego*); Krzysztof Myszowski, *Miłosz czyta Miłosza...* (rec. *Miłosz czyta Miłosza. Miłosz czyta Mickiewicza – płyty CD*)
- 1998 nr 2 (18): Aleksander Fiut, *W amerykańskiej „szkole Miłosza”*
- 1998 nr 4 (20): Krzysztof Myszowski, *Miscezki z kolorami* (rec. *To, co pisałem i sześciu tomików przekładów biblijnych*)
- 1999 nr 1 (21): Krzysztof Myszowski, *Na głos* (rec. *Antologii osobistej*)
- 1999 nr 4 (24): Krzysztof Myszowski, *Ogród wycinków* (rec. *Wyprawy w Dwudziestolecie*)
- 2000 nr 1 (25): Krzysztof Myszowski, *Wielkie czytanie Miłosza* (rec. *Zniewolonego umysłu, Zdobycia władzy, Kontynentów z Dzieł zebranych i Poezji*)
- 2000 nr 2 (26): Krzysztof Myszowski, *Inne okolice* (rec. *Widzeń nad Zatoką San Francisco*); *Na biegunach* (rec. *Człowieka wśród skorpionów*)
- 2000 nr 3 (27): Krzysztof Myszowski, *Księga olśnień* (rec. *Wypisów z książek użytecznych*)
- 2000 nr 4 (28): Krzysztof Myszowski, *O!* (rec. *To*); Mirosław Dzień, *W stronę przerażenia* (rec. *To*); Krzysztof Myszowski, *W dolinie, w świetle* (rec. *Doliny Issy*)
- 2001 nr 1 (29): Krzysztof Myszowski, *Niebo i ziemia* (rec. *Ziemi Ulro*)
- 2001 nr 2 (30): *90-lecie Miłosza*: Krzysztof Myszowski, *Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin*; Julia Hartwig, *Poeta nie tylko poetów*; Joanna Pollakówna, *Głos Miłosza*; Stanisław Lem, \*\*\*; Jan Józef Szczepański, \*\*\*; Jan Błoński, *Pisać całym sobą*; Irena Sławińska, *Zamiast uroczystych życzeń...*; Aleksander Fiut, *Pewien debiut*; Janusz Szuber, *Czesławowi Miłoszowi z urodzinowym pokłonem*; Zofia Zarębianka, *Krajobrazy pamięci*; Krzysztof Myszowski, *Moje okolice* (rec. *Rodzinnej Europy*); *Hak nieba* (rec. *Roku myśliwego*)
- 2001 nr 3 (21): Krzysztof Myszowski, *Nikt i Ktoś* (rec. *Wierszy tom 1*); Krzysztof Myszowski, noty z *Wierszy pół-perskich* i z *Traktatu poetyckiego z moim komentarzem*

- 2001 nr 4 (32): Jan Błoński, *Gombrowicz i Miłosz w Europie*; Krzysztof Myszowski, *Przeciw Wielkiemu Nijaczeniu* (rec. Prywatnych obowiązków); *Podróż do domu* (rec. Szukania ojczyzny)
- 2002 nr 1 (33): *Druga przestrzeń* Czesława Miłosza: Jacek Bolewski SJ, *Wierny niedocieczonej intencji... Wokół „Traktatu teologicznego” w „Drugiej przestrzeni” Miłosza*; Mirosław Dzień, *Czesława Miłosza „Druga przestrzeń”. Parę uwag o klarowności i dalszych podróżach*; Krzysztof Myszowski, *Dolina, znaki, światło; Rytuał obcowania* (rec. Abecadła)
- 2002 nr 2 (34): Krzysztof Myszowski, nota z *Kultury masowej* w wyborze, w przekładzie i z przedmową Miłosza; nota z *Serca Litwy*, albumu fotograficznego Adama Bujaka z wierszami i tekstami Miłosza
- 2002 nr 3 (35): Krzysztof Myszowski, *Punkt, z którego patrzysz* (rec. Wierszy tom 2); *Linia życia, linia literatury* (rec. Rozmów. Renata Gorczyńska, *Podróżny świata*)
- 2002 nr 4 (36): „*Orfeusz i Eurydyka*” Czesława Miłosza: Irena Sławińska, *Dar*; Krzysztof Myszowski, *Dwa światy*; Zbigniew Żakiewicz, *Poeta – Orfeusz*
- 2003 nr 1 (37): Krzysztof Myszowski, *Punkt odniesienia* (rec. Rozmów. Aleksander Fiut, *Autoportret przekorny*)
- 2003 nr 2–3 (38–39): Krzysztof Myszowski, *Ostrość i przezroczystość* (rec. Wierszy tom 3); *Pod skorupą* (rec. Listów Mertona i Miłosza)
- 2004 nr 1 (41): Aleksander Fiut, *Spotkania poetów: Miłosz i Venclova*; Krzysztof Myszowski, *Rytuał oczyszczenia* (rec. *Ksiąg biblijnych*); *Ziarna na siew* (rec. *Przygód młodego umysłu. Publicystyki i prozy 1931–1939*)
- 2004 nr 2 (42): Krzysztof Myszowski, *Pokarmy literackie* (rec. *Spizarni literackiej*)
- 2004 nr 3 (43): Krzysztof Myszowski, *Z Miłoszem*; *Czesław Miłosz w „Kwartalniku Artystycznym”*; *Czesławowi Miłoszowi in memoriam*: Jan Paweł II, papież, *List do Franciszka Kardynała Macharskiego, Arcybiskupa Metropolity Krakowskiego – wspomnienie i błogosławieństwo dla ś.p. Czesława Miłosza*; Marzena Broda, *Odkrywca świata*; Mirosław Dzień, „*Przyparty do muru*”. *Miłosz u kresu drogi*; Aleksander Fiut, *Kilka nieskładnych myśli po śmierci Czesława Miłosza*; Jacek Gutorow, \*\*\*; Julia Hartwig, „*Trwam dzięki zakłęciu*”; Aleksander Jurewicz, „*Ale książki będą na półkach...*”; Grzegorz Kalinowski, *Świadek naszego czasu i świata*; Julian Kornhauser, \*\*\*; Ryszard Krynicki, *Silniejsze od lęku*; Antoni Libera, *Wielki spełniony los*; Rafał Moczkodan, \*\*\*; Grzegorz Musiał, *Wejść przez szeroką bramę*; Krzysztof Myszowski, *Linie losu*; Marek Skwarnicki, *Epitafium znad Niemna*; Ewa Sonnenberg, *Sprawy duchowe*; Piotr Szewc, \*\*\*; Janusz Szuber, \*\*\*; Wisława Szymborska, \*\*\*; Zbigniew Żakiewicz, *Czesław Miłosz – „na zawsze”*; Krzysztof Myszowski, *Ciemne korytarze labiryntu* (rec. *O podróżach w czasie*); nota z *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*

- 2004 nr 4 (44): Krzysztof Myszkowski, *W środku przezroczystej kuli* (rec. *Wierszy tom 4*); *Kilka słów o poezji* (rec. *Świadectwa poezji. Sześciu wykładów o dotkliwościach naszego wieku*)
- 2005 nr 3 (47): *Głosy i głosy w 1. rocznicę śmierci Czesława Miłosza*: Kazimierz Brakoniecki, *Czerwiec 1976*; *Mój Miłosz*; Mirosław Dzień, *To, co w duchu przetrwać musi*; Michał Głowiński, *Ze wspomnień Czytelnika*; Henryk Grynberg, *Kim jest Miłosz dla mnie*; Julia Hartwig, *Minął rok*; Aleksander Jurewicz, *On jest*; Bogusław Kierc, *Spełnienie Miłosza*; Janusz Kryszak, *Przesłanie Miłosza*; Krzysztof Lisowski, *Miłosz*; Krzysztof Myszkowski, *Czego nauczył mnie Miłosz*; Grażyna Strumiłło-Miłosz, *...i będzie znowu Boże Narodzenie*; Janusz Szuber, *Wielki Poeta odchodzi*; Adriana Szymańska, *Przeciw nicości*; Bolesław Taborski, *Poezja jest sprawą ducha*; Zbigniew Żakiewicz, *Moje spotkanie z Miłoszem*; Aleksander Fiut, *Na granicy wiary i niewiary (O ostatnich wierszach Czesława Miłosza)*
- 2005 nr 4 (48): Krzysztof Myszkowski, *Kraina poezji* (rec. *Przekładów poetyckich*); noty z *Jasności promienistych i innych wierszy i z „Mojego wileńskiego opiekuna”*. *Listów do Manfreda Kridla*
- 2006 nr 3–4 (51–52): *Głosy i głosy o „Wierszach ostatnich” Czesława Miłosza*: Julia Hartwig, *Okruchy z sutego stołu – O „Wierszach ostatnich” Czesława Miłosza*; Agnieszka Kosińska, *Glosa do „Wierszy ostatnich” Czesława Miłosza*; Mirosław Dzień, *Zanim ustало krążenie słowa. Czesława Miłosza „Wiersze ostatnie”*; Aleksander Jurewicz, *Tajemnica ostatnia*; Julian Kornhauser, *Muzyka sfer*; Krzysztof Myszkowski, *Dwanaście ostatnich wierszy Miłosza*; Marek Skwarnicki, *Pośmiertny los poezji Miłosza*; Piotr Szewc, *„wiórek nad otchlanią”*; Janusz Szuber, *Sarmacki Orfeusz*; Krzysztof Myszkowski, *Ulice Wilna i inne punkty widzenia* (rec. *Zaczynając od moich ulic*); *Głos Miłosza* (rec. *Rozmów, tom 1*); noty z *Korespondencji Herberta i Miłosza i z Not o wygnaniu*
- 2007 nr 3 (55): Krzysztof Myszkowski, *Popioły* (rec. *Zaraz po wojnie*)
- 2007 nr 4 (56): Aleksander Fiut, *Żagarysta w listach do skamandryty*; Krzysztof Myszkowski, *Spotkania z Miłoszem*
- 2008 nr 1 (57): Krzysztof Myszkowski, *Próba Hioba* (rec. *Wierszy tom 5*)
- 2008 nr 2 (58): Krzysztof Myszkowski, nota z *Historii ludzkich*
- 2008 nr 3 (59): Krzysztof Myszkowski, *Portret Miłosza z Giedroyciem i z „Kulturą” w tle* (rec. *Listów 1952–1963 Giedroycia i Miłosza*)
- 2009 nr 1 (61): *„taką miałem fantazję, żeby posłać Panu coś” – z Markiem Skwarnickim o Wierszach i ćwiczeniach Czesława Miłosza rozmawia Joanna Zach*; Krzysztof Myszkowski, noty z *Poezji wybranych/Selected Poems i z Wierszy i ćwiczeń*
- 2010 nr 2 (66): Krzysztof Myszkowski, *Prawdziwszy punkt oparcia* (rec. *Legend nowoczesności*)

2010 nr 3 (67): Renata Gorczyńska, *Kartki z Ameryki. Ślady Miłosza*; Robert Hass, *Dla Czesława Miłosza w Krakowie*

2010 nr 4 (68): Krzysztof Myszkowski, *Dolina mojej rzeki* (rec. *O podróżach w czasie*)

*Czesław Miłosz*

---

*Sanctificetur*

Cóż jest człowiek bez Twego imienia na ustach?

Twoje imię jest jak pierwszy łyk powietrza  
i pierwszy płacz niemowlęcia.

Wymawiam Twoje imię i wiem, że jesteś bezbronny,  
ponieważ potęga należy do Księcia tego świata.

Rzeczy stworzone oddałeś we władzę konieczności,  
dla siebie zachowując serce człowieka.

Uświęca Twoje imię człowiek dobry,  
uświęca Twoje imię pożądający Ciebie.

Wysoko nad ziemią obojętności i bólu  
jaśniej Twoje imię.

## O zbawieniu

Zbawiony dóbr i honorów,  
Zbawiony szczęścia i troski,  
Zbawiony życia i trwania,  
Zbawiony.

*Czesław Miłosz*

# V A R I A

*Václav Burian*

## Wizyta Miłosza w Ołomuńcu

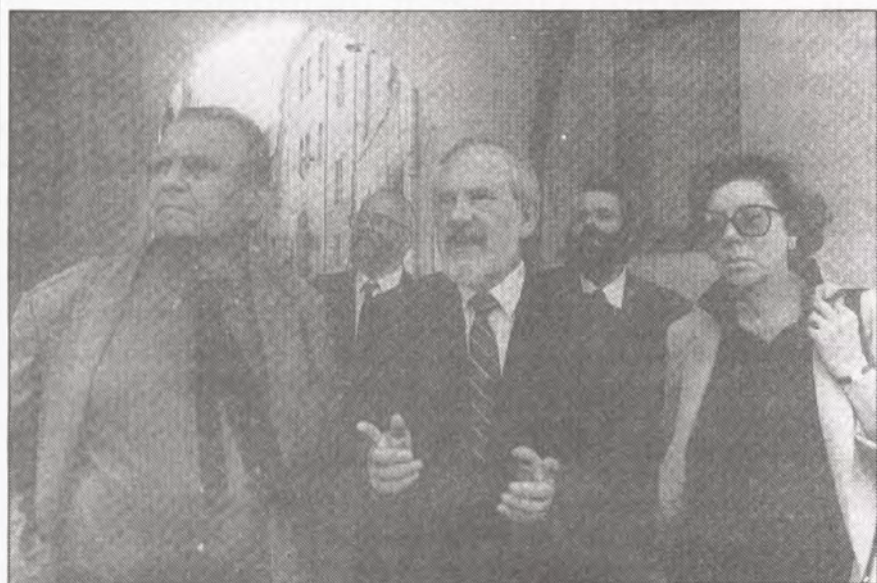
Dobry kapelusznik jednak z Ołomuńca?

„Pierwszym miasteczkiem zachodnioeuropejskiego typu, jakie wypadło nam oglądać, był Litomyśl, w Czechosłowacji, gdzie gościnnie nas podejmował poznany przypadkiem kapelusznik”. Tak, niestety, dla mnie niestety, pisze Czesław Miłosz w *Rodzinnej Europie* i muszę się z tym chyba pogodzić, chociaż w jednym z wydań rozmów Aleksandra Fiuta z nim w tej zaszczytnej roli występuje mój Ołomuniec. Ale po pierwsze – *Rodzinna Europa* jest o wiele starsza, a więc bliższa legendarnej pielgrzymce młodych polskich intelektualistów przez Pragę do Paryża, po drugie w kolejnych wydaniach *Autoportretu przekornego Ołomuńca* też już nie ma. Chyba z mojej winy. O ówczesną rolę Ołomuńca pytałem Mistrza w trakcie jego pierwszej – czy jednak drugiej? – wizyty w moim mieście w 1993 roku. A on, zawsze skrupulatny, zapewne się zastanowił i informację w obu książkach ujedynocił... na korzyść Litomyśla.

Jakaś pociecha dla Ołomuczana zostaje. Młodzi przyjaciele podróżowali koleją, a jednak wygodniejsze połączenie Wilno – Warszawa – Praga prowadziło przez Ołomuniec. Żadnej bezpośredniej linii do Litomyśla nie mogło być, przez Litomyśl pociągi zresztą nie przejeżdżają, tylko kończy się tu lokalna kolej, na północy były w 1931 roku Niemcy, a o – na przykład – niewątpliwie zachodnioeuropejskim mieście Breslau i dwukrotnym przekraczaniu granicy niemieckiej we wspomnieniach mowy nie ma.

Myślę więc, że w 1993 roku Czesław Miłosz odwiedził Ołomuniec po raz drugi. Ale jestem nieskromny – do wdzięczności losowi wystarczy przecież jego tutaj bytność jedyna. A Litomyśl jest jednym z najpiękniejszych czeskich miast. Kiedyś to była po trosze duchowa stolica Czechów. Urodził się tam Bedřich Smetana, ważną część życia spędzili dla Czechów pisarze tak zasadniczy jak Božena Němcová, Alois Jirásek lub Teréza Nováková. Niech mają Miłosza też!

*Václav Burian*



### **CZESLAW MILOSZ V OLMOUCI**

Od úterního večera do včerejšího odpoledne pobyl Univerzity, při níž mu byla udělena pamětní medaile, zavítal polský básník, nositel Nobelovy ceny za literaturu za rok 1980 Czesław Miłosz (narozen 30. června 1911 ve Vil-

Muzea umění (do češtiny je tlumočili olomoučtí překladatelé Václav Burian a Iveta Mikešová) a odpovídal na otázky publika.

Na snímku Luďka Peřiny básník s manželkou v doprovodu rektora UP Josefa Jařana.

Wiadomość z pierwszej strony ówczesnej najważniejszej gazety lokalnej – „Hanácké noviny”, Olomuniec, 3 czerwca 1993.



Václav Burian



Czesław Miłosz w Pradze, 1990; z lewej teolog i dyplomata Michał Klinger, z tyłu Carol Miłosz.

Václav Burian



Polski Ośrodek Kulturalny i Informacyjny przy ulicy Jindřišská, Praga 1990.

Václav Burian



Czesław Miłosz przy tablicy pamiątkowej przypominającej pobyt młodego W.A. Mozarta w Ołomuńcu.

Václav Burian



Czesław Miłosz z Carol w Ołomuńcu u Václava Buriana, 2 czerwca 1993.

Luděk Peřina



Carol i Czesław Miłosz, tłumacze Iveta Mikešová i Václav Burian, bohemista i dyplomata Jacek Illg, Zbigniew Machej i rektor Josef Jařab, Ołomuniec, 2 czerwca 1993.

## Z Archiwum Krystyny i Stefana Chwinów

Krystyna Chwin



26 listopada 1998 roku w Sali Mehofferowskiej Wydawnictwa Literackiego w Krakowie odbyła się dyskusja poświęcona „literaturze nowego tysiąclecia”. Wzięli w niej udział: Czesław Miłosz, Ewa Lipska, Stefan Chwin, Sławomir Mrożek (nie powiedział ani słowa) i Stanisław Lem, który nie mógł przybyć osobiście, stąd jego wypowiedź prezentowana była za pośrednictwem telebimu. Dyskusję prowadziła Teresa Walas. Fotografia przedstawia Czesława Miłosza, Sławomira Mrożka i Stefana Chwina wychodzących z Sali i komentujących dyskusję.



Czesław Miłosz i Stefan Chwin w restauracji „Chimera” w Krakowie 26 maja 1997 roku, po promocji *Życia na wyspach* w Znaku. W kolacji uczestniczyli: Czesław Miłosz, Jerzy Illg, Marek Zaleski, Aleksander Fiut, Teresa i Jan Błoński, Krystyna i Stefan Chwinowie i Henryk Woźniakowski. Rozmowa Czesława Miłosza i Stefana Chwina dotyczyła książki Miłosza *Alfabet* (tego, co pisał w niej o Konstantym Jeleńskim), wydarzeniach 1968 roku na Uniwersytecie w Berkeley, nowej polskiej prawicy, literatury, języków na Litwie i Białorusi oraz innych spraw... Podczas tego wieczoru Czesław Miłosz powiedział: „Ja mieszkam niedaleko Mrożka. Żony nasze się zaprzyjaźniły, bo mogą sobie pogadać po angielsku. A do Krakowa sprowadzają się też Kryniccy”.

Krystyna Chwin



Czesław Miłosz i Stefan Chwin, 26 maja 1997 roku, w siedzibie Znak w Krakowie po promocji *Życia na wyspach*. Toast za spotkanie i pomyślność literatury.

Czesław Miłosz wysłał tę kartkę z życzeniami świątecznymi do Krystyny i Stefana Chwinów w 1997 roku. Z powodu niewłaściwego adresu kartka wróciła do Berkeley. Miłosz zatelefonował do Gdańska, sprawdził adres, po drugiej stronie umieścił żartobliwy dopisek i wysłał kartkę ponownie.



Warm and cheery Christmas wishes to you.

To jest karta, którą posłałem  
z powodu nieaktualnego  
adresu. Proszę ją zwrócić  
w sprawie książki Puchek.

Barbara Górska z synem  
& innymi adresatami  
w d  
Czesław + Carol  
Miłosz

Krzysztof Myszkowski

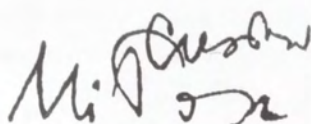
## Dedykacje Miłosza

Pierwszy raz pismo Czesława Miłosza zobaczyłem w 1979 roku w mieszkaniu Jerzego Andrzejewskiego w alei Świerczewskiego w Warszawie, gdy pokazał mi przyslaną z Berkeley zieloną, w twardej płócienniej oprawie księgę – wydane w 1976 roku w Ann Arbor nakładem Michigan Slavic Publications *Poems. Utwory poetyckie* z dedykacją: „Jerzemu / na pamiątkę wszystkich naszych / błyskawic / Czesław / 6 I 77 Berkeley”, obszerny, czterystustronicowy wybór od *Trzech zim* do *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*. I ten tom od razu dostałem do czytania i trzymałem go u siebie w Toruniu i w Bydgoszczy do czasu, gdy w Oborach w lipcu 1981 Andrzejewski podarował mi pierwsze peerelowskie, przygotowane przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik” wydanie *Poezji Miłosza*, do którego wpisał: „Krzysiu, żeby miał swojego Litwina – J.A.”. Ciekawostką jest fakt, że ten pierwszy w PRL-u wybór wierszy Miłosza wydrukowany został w Toruniu.

Wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że kiedyś będę miał choćby tylko jedną dedykację od Miłosza. Byłem szczęśliwy, bo po raz pierwszy, miałem własny wybór jego wierszy (ten, który dostałem wcześniej, wydany na powielaczku przez Oficynę Poetów pt. *Wiersze*, stuosmiostronicowy, od *Trzech zim* do *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, to była bardziej broszura, niż książka). W tamtych latach książki Miłosza trudno było zdobyć i J.A. dał mi egzemplarz, który dostał z „Czytelnika” po znajomości.

Ale stało się tak, że zacząłem prowadzić z Miłozem korespondencję (patrz: cykl listów „Kwartalnik Artystyczny” nr 3/2005), a 23 maja 1994 roku w Krakowie spotkaliśmy się po raz pierwszy i nagrałem z nim rozmowę, która ukażała się w „Kwartalniku” nr 3/1994. Poprosiłem wtedy o wpis do wydanego w 1980 roku przez Znak tomiku pt. *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (było to w PRL-u pierwsze po trzydziestu pięciu latach wydanie Miłosza), do którego wpisał: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / Czesław Miłosz / Kraków, 22 maja 1994”. Następnego dnia podarował mi *Haiku*, wydane w Bibliotece „NaGłosu” przez Wydawnictwo M z ilustracjami Andrzeja Dudzińskiego, wpisując: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z podziękowaniem za spotkanie / Czesław

Miłosz / Kraków 24 maja 1994", natomiast do pierwszego wydania *Dalszych okolic* (Znak, 1991), wpisał: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z najlepszymi życzeniami / silnej prozy / Czesław Miłosz / Kraków, 24 maja 1994”. W czasie drugiego spotkania, w sierpniu tego roku, w *Wypisach z ksiąg użytecznych* (Znak, 1994), które wtedy się ukazały, wpisał: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / Czesław Miłosz / 18.VII.94”.



Dalsze okolice

Krzysztofowi Myszkowskiemu

z najlepszymi życzeniami

silnej prozy

Czesław Miłosz

Kraków, 24 maja 1994



Następne dedykacje pochodzą z czerwca 1995 roku, gdy Miłosz i jego żona Carol gościli w Bydgoszczy i w Toruniu. W drodze z Warszawy do Torunia, podczas postoju w letniskowym domu Krzysztofa Iwaszkiewicza w Józefkowie, Miłosz wpisał do *Na brzegu rzeki* (Znak, 1994): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z podzięką za życzliwość i gościnę / Czesław Miłosz / Józefkowo, 7.VI 95”. Natomiast na zakończenie wizyty, w Toruniu, w *Metafizycznej pauzie* w wyborze, opracowaniu i ze wstępem Joanny Gromek (Znak, 1995): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / sprawcy / i znakomitemu / organizatorowi / pięciodniowego pobytu / w Toruniu i / Bydgoszczy. Dzięki! / Czesław Miłosz / 10.VI.95”. W czasie tych spotkań widziałem, jak Miłosz przez ponad godzinę podpisywał książki otaczającym go i czekającym na swoją kolej czytelnikom. Nikomu nie odmówił, chociaż był po męczących występach, na których na stojąco czytał wiersze, a potem odpowiadał na pytania.

Dedykacje z roku 1996 znajdują się: w *Wierszach wybranych* wydanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy w tzw. złotej serii, „Kolekcji poezji polskiej XX wieku”: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z podzięką za wizytę / w Krakowie / 5 lipca 1996 / Czesław Miłosz”, w *Poezjach wybranych. Selected Poems* wydanych w dwujęzycznej serii Wydawnictwa Literackiego (1996): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z najlepszymi życzeniami / Czesław Miłosz / 5 lipca 1996 / Kraków”, w *Nieobjętej ziemi* (Wydawnictwo Dolnośląskie, 1996): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / bardzo przyjaźnie / Czesław Miłosz / Kraków 5 lipca 1996”, w drugim wydaniu *Szukania ojczyzny* (Znak, 1996): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / tę ważną (dla mnie) / książkę ofiarowuję / Czesław Miłosz / Kraków 5 lipca 1996” i w *Legendach nowoczesności. Esejach okupacyjnych. Listach-esejach Jerzego Andrzejewskiego i Czesława Miłosa* (Wydawnictwo Literackie, 1996): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / tę książkę / o niektórych / znajomych / Czesław Miłosz / 5 lipca 1996 / Kraków”.

Z roku 1997 jest jedna dedykacja napisana w *Życiu na wyspach* (Znak, 1997): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / jeszcze raz w Krakowie / 11. VII. 97 / Czesław Miłosz”.

Z roku 1998 dedykacje zamieszczone są: w znakowskim wydaniu *Pieska przydrożnego* (1997): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / w upalne lato, 23 lipca / 1998 roku, Kraków / Czesław Miłosz” i w *Księżde Pięciu Megilot*, przekład

Czesława Miłosza z hebrajskiego i greckiego, z przedmową tłumacza, wydanej w serii „Przekładów biblijnych Czesława Miłosza” przez Wydawnictwo Literackie w 1990 roku: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z okazji jego ponownej wizyty / 23 lipca 1998 / Czesław Miłosz.

Z roku 1999 wpisy zostały dokonane w *Antologii osobistej. Wiersze, poematy, przekłady* (Znak, 1998, w tym cztery kasety z nagraniami Miłosza czytającego): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / bardzo serdecznie / Czesław Miłosz / 22. VII. 99” i w *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945–1950* (Znak, 1998), z m.in. wymianą listów z Jerzym Andrzejewskim: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / bardzo serdecznie / Czesław Miłosz / Kraków 22 lipca 1999”.

W roku 2000 dostałem od Miłosza *Caffe Greco* – pierwsze bibliofilskie wydanie tego wiersza, które ukazało się z okazji 75-lecia Jerzego Turowicza z inicjatywy Arcybractwa Bibliofilów, Łoży Białego Kruka w Krakowie w nakładzie 333 ponumerowanych egzemplarzy, nr CXXX, z rysunkiem *W Cafe Greco* Stanisława Rodzińskiego (Znak, Kraków 1987) – z wpisem: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / wizyta w Krakowie / i nagrania / 22.VII.2000 / Czesław Miłosz”, *Świat. Poema naiwne* (Wydawnictwo Literackie, 1999), fotokopia oryginału, wydanie bibliofilskie, pierwsze w tej edycji, nakład 1000 numerowanych egzemplarzy, nr 0001 z podpisem: „Czesław Miłosz” oraz *Świat. Poema naiwne* (Wydawnictwo Literackie, 1999, reprint), *Eseje w wyborze i z posłowiem Marka Zaleskiego* wydane przez Świat Książki (2000): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / Czesław Miłosz / 22. VII. 2000” oraz tomik wierszy Denise Levertov, *Żółty tulipan* w przekładzie, opracowaniu i ze wstępem Miłosza (Znak, 1999): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / Czesław Miłosz / 22. VII. 2000 / w Krakowie / na pamiątkę wizyty”.

Z roku 2001 są wpisy: w *Wierszach, tom 1* i jest to jedyna dedykacja, jaką mam w *Dzielałach zebranych*, których zebrało się już trzydzieści jeden tomów: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / jeszcze jeden tom / ofiarowuję z wdzięcznością / za jego teksty / Czesław Miłosz / lipiec 2001”, w *Wierszach pół-perskich. Goszyce. Styczeń 1945* (Znak, 2001, reprint, wydanie z płytą CD „Turowicz czyta wiersze Miłosza”, na 90. urodziny Miłosza): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / Czesław Miłosz / ofiarowuję ten najlepszy / ton czytania moich / wierszy”, w *To* (Znak, 2000): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / bardzo serdecznie /

**CZESŁAW  
MIŁOSZ**  
Wiersze tom 1

Krzysztofowi Myszkowskiemu  
jesień julek tom  
ożemni z wyrostki  
z jaja farty  
Czuł miłoss  
lipiec 2001

Kraków 2001  
Wydawnictwo Znak

Czesław Miłosz / lipiec 2001 / Kraków" i w *Traktacie poetyckim z moim komentarzem* (Wydawnictwo Literackie, 2001): „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z serdecznym pozdrowieniem / Czesław Miłosz / lipiec 2001 Kraków”.

W pierwszym, pięcioletnim wydaniu *Orfeusza i Eurydyki* (Wydawnictwo Literackie, 2002) – ostatniej jego poetyckiej książki – znajduje się wpis: „Krzysztofowi Myszkowskiemu / z przyjaźnią / Czesław Miłosz / 23.XII.2002 / Kraków”.

Krzysztofowi Myszowskiemu

z przyjaciół

Czesławowi Miłoszowi

23. XII 2002

Kraków

I rok 2003 – w *Misteriach* Oskara Miłosza w wyborze i ze wstępem Ireny Sławińskiej i w przekładach Ireny Sławińskiej i Bronisławy Ostrowskiej (Katolicki Uniwersytet Lubelski, 1999): „Czesław Miłosz / 3.07.2003 / Kraków”, w *Drugiej przestrzeni* (Znak, 2002): „Krzysztofowi Myszowskiemu / bardzo serdecznie / Czesław Miłosz / 5.VII.2003 / Kraków” i, po raz ostatni, wpis z jesieni 2003 roku w bibliofilskim wydaniu wiersza *Na cześć księdza Baki*, Czesławowi Miłoszowi na 92. urodziny przyjaciele z Wydawnictwa Znak, odbito 92 egzemplarze numerowane na papierze Gmund o gramaturze 135 g czcionką Venetian, egzemplarz nr 53/92: „Krzysztofowi”.

Krzysztof Myszowski

# RECENZJE

*Krzysztof Myszkowski*

## Spizarnia literacka

O, ziarnko lube! / Wschodź i wypływaj / Na wiosny chlube!  
Adam Mickiewicz, *Podrózny* (z Goethego)

Zaczyna się od humorystycznych wierszyków i piosenek Boya-Żeleńskiego, które zgromadzone w *Słówkach* toczyły, jak mówi Miłosz, walkę o „sprowadzenie polszczyzny na ziemię” z jej młodopolskich górnołotności, przygotowując powodzenie poetów „Skamandra”. A więc pod znakiem *Stefanii* i z wyjętym z niej zawołaniem: „Z tym największy jest ambaras, / Żeby dwoje chciało naraz”, zaczyna się ta późna książka autora *Ogrodu nauk*. Humorystycznie, ale zasadniczo, przysłowiowo i z misją.

Dowiadujemy się o niepokojach Tuwima wyrażonych w wierszu pt. *Wiec*, który Miłosz prostuje za pomocą hipotez, o ulubionej książce Józefa Czechowicza, czyli *Pieśniach ludowych, celtyckich, germańskich, romańskich* i jego ulubionym wierszu – *Pięknej łani* w przekładzie Edwarda Porębowicza, o nastrojach *La Belle Époque* w świetle satyrycznego wierszyka Boya z Zielonego Balonika, o faktycznym pochodzeniu kapitana Nemo, o wierszu nie do wyjaśnienia Adama Ważyka i o dwóch wierszach Johna Guzłowskiego – poety amerykańskiego polskiego pochodzenia; przy tej okazji Miłosz podaje swoje poetyckie wzory i priorytety: szukanie więzi z przeszłością, ujmowanie rzeczywistości z dystansem i w miarę możliwości w sposób obiektywny i wreszcie – ideał poezji, którym są wiersze będące jakby odpowiednikami holenderskich martwych natur z XVII wieku, obecne w antologii pt. *Wypisy z ksiąg użytecznych*.

W związku z wierszem Oskara Miłosza przywołana zostaje egipska księżniczka Karomamá i meandry młodopolskiego przekładu autorstwa Bronisławy Ostrowskiej, *Fletnia chińska* Staffa, *Miguel Mañara* i Leśmian, a w związku z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim jego *Poemat dla zdrajcy*, czyli atak na Miłosza z 1951 roku, który w wydaniu z 2002 roku został oceniony tak,

jakby nikt niczego nie pamiętał (chyba po to, żeby poratować biednego K.I.G., którego Miłosz i tak stara się usprawiedliwić).

Jest tekst o Marianie Czuchnowskim, emigracyjnym poecie, o którym dziś mało kto pamięta – o jego losie i wierszach, z których Miłosz jeden cytuje, wyznając, że ta technika pisarska miała na niego wpływ. Wspomina Peipera, *Antologię poezji społecznej* i Philipa Larkina. W szkicu pt. *Źle o filmie* wyjaśnia, na czym polega różnica pomiędzy autorami powieści a reżyserami filmów i rozprawia o współczesnej sztuce (nie tylko filmowej), która jak była, tak jest w niewoli i na usługach banału, kiczu i poprawności politycznej; mówi o języku słów i języku obrazów („Język to ludzki głos poddany prawom rytmu, czyli – pod tym względem zbliżony do muzyki – jest zasadniczo ewokacją rytmiczną jakiejś rzeczywistości. W języku ukazuje się zarówno teraźniejszość jak i przeszłość”) i o manipulatorach obrazami, którzy dla zmylenia udają, że nie podlegają, w przeciwieństwie do literatury, żadnej konwencji.

Czytamy o melancholijnych i trochę jakby zabawnych, napisanych na modernistyczną nutę *Erotykach* Józefa Weyssenhoffa i zaraz przeskakujemy od nich do pomysłowej pieśni dziadowskiej: „A tam w Jużynach stoi kościół murowany / przez Wajsengopa upundowany. / I w tym kościele święta Jura stoi / i diabłu piko w sama dupa koli. / Aj, jak jemu boli”, do *Koziółka Matółka* Kornela Makuszyńskiego, do wierszy Staffa, do Zielonego Balonika i *Słówek* Boya, a po nich czytamy gorzki wiersz *Post mortem* Jana Darowskiego, kolejnego tu poety emigracyjnego i zapis propagujący, na kanwie *Antologii poezji polskiej na obczyźnie*, poetów piszących poza krajem. Są rozważania o religijności i o arcydzielnych aforyzmach miłośnika Dostojewskiego – Wasilija Rozanowa, którego Miłosz zestawia z Lwem Szestowem porównywanym przez Czapskiego z Simone Weil, jest opis sprawy Abrama Terca/Andrieja Siniawskiego, który też rozczytywał się w pismach Rozanowa i tak jak on pisał aforyzmy (niektóre z nich publikowaliśmy w „Kwartalniku” w przekładzie Piotra Mitznera).

Jest *Campo di Fiori*, wspomnienie karuzeli kręcącej się na placu Krasieńskich pod murami getta w Niedzielę Wielkanocną 1943 roku i zastanowienie nad skomplikowanymi relacjami wypadku poszczególnego z tym, co typowe. Są zapisy o dwumiesięczniku „Ateneum” redagowanym przez Stefana Napierckiego i zestawienie go tak z wileńskim „Athenaeum” wydawanym przez Józefa Ignacego Kraszewskiego, jak z „Piórem”, jednonumerowym pismem

Józefa Czechowicza i Ludwika Frydego i z paryską „Kulturą” Jerzego Giedroycia. I jest ważne wyznanie: „Naturalnym niejako biegiem rzeczy moja wybredność skierowała mnie do »Ateneum« i podaję to, żeby przypomnieć, jak wielkie jest znaczenie elitarnych pism, dostarczających schronienia przed nastrojami zbiorowymi” – tak ważne, że biorę je sobie do serca wraz z dopisem, że, redaktorom tych pism: Czechowiczowi, Frydemu i Napierskiemu, „należy się tytuł obrońców cywilizowanego świata wbrew zbliżającemu się panowaniu dzikości”.

Ta narracja, mozaikowa i jednocześnie kapryśna, prowadzona jakby od przypadku do przypadku, przypomina szlachecką gawędę, która toczy się wartko i z namysłem, w naturalny i w zaciekawiający sposób, a niekiedy przypomina wędrówkę po tajemniczym labiryncie, co jest jej dodatkową atrakcją. Znajdujemy się na przykład w Maisons-Laffitte wraz z jego mieszkańcami przedstawionymi w karykaturalny sposób w świetle poematu Aleksandra Wata pt. *Sny sponad Morza Śródziemnego*, w którym występuje Król bez państwa, czyli przemianowany Giedroyc i jego wierny klucznik lub szambelan, czyli Zygmunt Hertz; przy tej okazji dowiadujemy się, że „karykatury mają podobną wartość, co portrety wierne”. W *Doświadczeniu* podaje historię klanów Młodnickich i Wolskich, z których połączenia wywiodły się młodopolskie poetki i malarki, a wśród nich Beata Obertyńska i rozszerza ją o związek z klanem Pawlikowskich osiadłym w Medyce i na Kozińcu w Zakopanem. Wykwintna poetka Obertyńska stała się kronikarką ludzkiego poniżenia, przeżywając więzienie i zsyłkę w głąb ZSRR i Miłosz zastanawia się, w jaki sposób tradycja może być pomocna w opisie rzeczywistości nowej i piekielnej, w której człowiek nie ma żadnych praw.

I dalej, w następnych sekwencjach, kolejne przeskoki i jednocześnie kontynuacje podjętych tematów i wątków: porzekadła i dowcipy, które obecne są w języku polskim, krótka charakterystyka polszczyzny wileńskiej, tradycja szopek bożonarodzeniowych (dwa razy przytacza tu Miłosz dwuwiersz, który z tamtych czasów zapadł mu w pamięć: „Nikomiu tak nie dobrze jest jak Herodu w piekle. / Napiwszy się, najadłszy się, siedzi sobie w ciepłe”) i językowe wpływy litewskie (np. „ja był poszedłszy”), a także błyski humoru i wspomnienie babki Miłoszowej z domu von Mohl. Jest Syrokomla, do którego dochodzimy przez wspomnienie o Leonor Fini i Kocie Jeleńskim, tłumaczu niektórych z tych smutno-śmiesznych wierszy wypełniających *Melodie z domu obłąkanych*, a po nich nowe tematy i postaci: dwujęzyczność,

*Postwar Polish Poetry*, Bogdan Czaykowski i warta odnotowania myśl: „Rodzimy się w określonym punkcie na kuli ziemskiej i temu punktowi musimy dochować wierności, zachowując miarę w naszym dostosowaniu się do mód cudzoziemskich”.

Zalążkiem wielkiego szkicu i całej niezwykle ważnej dziś i potrzebnej dyskusji, której jednak nie będzie, bo nie ma jej kto prowadzić, jest *Wielka polemika*. Dotyczy odpowiedzialności moralnej pisarzy i krytyków, jej braku i wynikających z tego skutków. Jak to możliwe, że po kataklizmie dwóch wojen światowych pojawił się w sztuce europejskiej postmodernizm, którego istotą jest zaprzeczenie pojęcia prawdy? – pyta Miłosz. A przecież dzieła nie istnieją same dla siebie, lecz wpływają na stan ducha i umysłów i oddziałują dalej, zataczając szersze lub węższe kręgi. Mówi, że zwycięstwo zdaje się należeć do „krainy nic” i stwierdza, że „jedynie z Rzymu rozlegają się słowa obrony rozumu, wbrew powszechnemu zniaczeniu kryteriów prawdy”. Patrzę na to, co dzieje się we współczesnej literaturze i sztuce i co przechodzi do tzw. kultury, do mediów i do polityki i widzę, jak aktualne są opinie i spostrzeżenia Miłosza, który mówi, że znowu znaleźliśmy się w punkcie zero, podobnym do tego, od którego zaczął się katastrofalny wiek XX i że „wierność czyszczenia nadal czeka na krytyków godnych tego imienia”.

W następnym szkicu szerzej podejmuje ten temat, mówiąc o brzydocie, którą zapowiadał Stanisław Ign. Witkiewicz i o jej transformacji w piękno, czyli o Czystej Formie, o „niemytych duszach”, rządach niwelistów i generale Kocmołuchowiczu, a także o upadku estetyki, o saturacji, o kulturze masowej i o kulturze wysokiej, o Tolkienie i o odradzaniu się pojęć dobra i zła, piękna i brzydoty, a także o witkacowskim Istnieniu Poszczególnym. Wywołuje Lechonia, zastanawia się nad jego biografią i wierszami, z których przytacza ten, który jest „jak spowiedź i oczyszczenie” – *Powstałem nagi z mego snu*. Wspomina Marszałka Piłsudskiego: „Byłem wychowany w kulcie Piłsudskiego” i zakreślając krąg: Uniwersytet Wileński, Akademicki Klub Włoczęgów, „Żagary”, kryzys ekonomiczny, lewicowość, zmiany sytuacji politycznej, „Miesięcznik Literacki” Wata, dochodzi do Józefa Łobodowskiego i jego wiersza pt. *Piłsudski*.

Zjawiają się: uchodźca z Estonii, urodzony w Rydze, czyli w mieście, w którym urodzili się babka i ojciec Miłosza, poeta Ivar Ivask i ustanowiona przez niego międzynarodowa nagroda literacka, która z czasem uzyskała duże znaczenie – The Neustadt International Prize for Literature, lwowsko-



-warszawski poeta Tadeusz Hollender, rozstrzelany w 1943 roku w ruinach getta, a za nimi Josif Brodski, Adam Mickiewicz, Franciszek Karpiński, Jarosław Iwaszkiewicz i Józef Czechowicz – Miłosz dzieli się z nami swoim respektem dla cieni, którym, co powtarza za Brodskim, powinniśmy starać się podobać.

W *Sezonach* zestawia Kadena-Bandrowskiego ze Stanisławem Ign. Witkiewiczem, mówi o Słonimskim i jego słabym wierszu pt. *Sztuka*, w którym jednak, jak zauważa, wyraża się duch dwudziestolecia, który, o dziwo, jest optymistyczny. Mówi o sztuce i o naturze, o Baudelaire, o Rodziwiczównie i o Francisie Baconie, a w *Życiorysach* snuje rozważania o głodzie rzeczywistości i powrotach do „królestwa cieni”, które podlega niezliczonym przemianom i deformacjom i niemożliwe jest do jednoznacznego określenia.

Cytuje starą żołnierską piosenkę wywiedzioną z tzw. szmoncesu, wspomina swoją „paryską strefę” i obecnych w niej, dla niego najważniejszych: księdza Sadzika i Jana Lebensteina, oraz: Czapskiego, Olgę Scherer, Danutę Szumską, Kota Jeleńskiego i Zygmunta Hertza, przywołuje Czechowicza i wraz z nim „Pion”, „Pióro” i inne pisma, które wychodziły w tamtym czasie: „Wiadomości Literackie”, „Ateneum”, „Prosto z mostu”, kreśląc literacką topografię ówczesnej Warszawy, wskrzesza w pamięci Mary Skrzyżalin, nauczycielkę języka angielskiego, dedykując jej piosenkę z *Jak wam się podoba* w swoim przekładzie, a obok przytacza piosenkę o kapitanie Papawaju napisaną w epoce „Kwadrygi”, której autorem jest prawdopodobnie Lucjan Szenwald, o którym zamieszcza kilka słów przypomnienia i usprawiedliwienia i wreszcie pojawia się groźny Giava – jezuita z *Samego wśród ludzi* Stanisława Brzozowskiego: „Nie chcę bynajmniej, drogi Czytelniku, żebyś zagłębiał się w pyły bibliotek i czytał Brzozowskiego. Ale zastanówmy się: jeżeli prawdą jest, co powiedziała Simone Weil o przeszłości, którą możemy się żywić, nie bacząc na spustoszenia dokonane przez kulturę masową, to być może w takich utworach jak wielka powieść Brzozowskiego czy *Rękopis znaleziony w Saragossie* kryją się wzbogacające nas skarby” – stwierdza i przechodzi do ulubionych książek dzieciństwa: *Cudownej podróży* Selmy Lagerlöf, *Gucia zaczarowanego* Zofii Urbanowskiej i *Doktora Muchołapskiego* Erazma Majewskiego, mówiąc o właściwej wszystkim podwójności.

Wygłasza mowę *Przeciw czarnowidztwu*, tym fatalnym zatruciu u źródła, które ma swoje „mocne” gatunki jak: ironia, sarkazm i podstępne szyder-

stwo. Czy nie zaległy się one najpierw we francuskiej prozie dwudziestego wieku? – pyta. I mówi o swoim „skrzywieniu optymistycznym” i o samodyscyplinie, która „popuszczanie sobie w negacji” uważała za niehonorowe i że chroniło go „doświadczenie odmian stylu”. A w *Pismach XIX wieku* opisuje wtajemniczenia, których doświadczał, czytając w dzieciństwie dziewiętnastowieczne pisma, takie jak: „Kłosa”, „Biesiadę Literacką” i „Wieczory Rodzinne” i raz jeszcze mówi o swojej podwójności, wynikającej z urodzenia się w polskim dworze: „A przez ile warstw wstydu muszę się przebić, żeby o tym mówić swobodnie teraz, kiedy na żadnym *decorum* już mi nie zależy”.

I na koniec zestawia *Czarodziejską górę* i *Doktora Faustusa* z *Pożegnaniem jesieni* i *Nienasyceciem* Stanisława Ign. Witkiewicza, stwierdza, że „sama natura dostarcza nam gotowego podziału na dobro i zło”, przypomina spory przyrodników i wiersz Mandelsztama pt. *Lamarck*, „który jest przykładem zmagania się poezji z treścią intelektualną i jako taki może być odtrutką przeciw poezji, która nie oznacza nic poza samą sobą”, a w dodanych do drugiego wydania tekstach mówi o tym, jakiej prozy jest zwolennikiem, wspomina m.in. Bohdana Korzeniowskiego i Andre Silvaire’a, opisuje swój pojedynek, który się nie odbył, mówi o Wilnie i o bajkach japońskich.

Te teksty ukazywały się od czerwca 2003 do czerwca 2004 w „Tygodniku Powszechnym”, a z Indeksu nazwisk wynika, że najczęściej wspomniani w nich są: Czechowicz, Giedroyc, Stanisław Ign. Witkiewicz i Mickiewicz. *Spiżarnia* to obok *Abecadła* i *Pieska przydrożnego* ciekawe świadectwo poszukiwań „formy bardziej pojemnej” i dobry zaczyn prozatorski, daj Panie Boże, dobre ziarno na wiosnę.

Krzysztof Myszkowski

Krzysztof Myszkowski

## Rozmowy absolutnie wspaniałe

Drugi tom *Rozmów polskich* Czesława Miłosza z lat 1999–2004 liczy ponad tysiąc stron i czyta się go prawie bez odrywania, tak jak wcześniej czytało się równy mu objętościowo tom pierwszy [patrz: recenzja w „Kwartalniku” nr 3–4/2006 (51–52)]. Jest to zarazem już trzydziesty pierwszy tom tych monumentalnych *Dzieł*, z którymi obcowanie jest łaską i pokrzepieniem ducha.

W jednej z rozmów Miłosz mówi: „Któryś z krytyków zwrócił uwagę, że istnieją rozmaite stopnie identyfikacji Miłosza z podmiotem. Czasem dalekie, kiedy indziej bardzo bliskie. W moich wierszach następuje jakby rozdwojenie na autora i podmiot liryczny, który jest jakby moim dzieckiem, niekoniecznie jednak mną samym. Bardzo często obserwujemy przeplatanie autora w podmiot i podmiot w autora. Stwarzam podmiot: on przemawia, początkowo ja stoję z boku, by po jakimś czasie zidentyfikować się z nim. Dzieje się tak na przykład w cyklu wierszy pisanych w czasie wojny *Głosy biednych ludzi*. Uchwycić zagadnienie za rękę nie jest jednak łatwo”. Kto mówi w tym tomie: kiedy jest to on sam, a kiedy stworzony podmiot i jak to się uzupełnia?

Miłosz opowiada i jest to rodzaj szlacheckiej gawędy, czyli najmocniejsze pasmo narracji w polszczyźnie. Mówi o swoich wierszach i książkach i o wierszach i książkach innych, o Litwie, o Wilnie, o Warszawie, o Krakowie i o swoim powieście, o Polsce, o Europie i o Ameryce, o sztuce i o historii, o wierze i o religii, o czytaniu i o przekładach Biblii. Zapytany, kim jest, odpowiada, używając czasu przeszłego: „to był człowiek, który starał się działać na rzecz porozumienia pomiędzy poszczególnymi narodami”, a pytany, dlaczego podjął się roli pisarza, odpowiada w beckettowskim stylu: „Dlatego, że nie umiałem robić nic innego”.

Mówi o emigracji i o świadomości, o ateizmie i o erozji wyobraźni religijnej, o języku, o polszczyźnie i o stylu wysokim, który jest koniecznym rejestrem, o polskiej szkole poezji i o gospodarstwie literatury polskiej, o rosyjskiej literaturze i o historii, o diable i o siłach demonicznych, paradoksach i sprzecznościach: „Poezja chwyta wszystkie sprzeczności życia ludzkiego. Naszą zmysłowość, nasze uwikłanie w materię, ale i nasze wzloty. W języku abstrakcyjnym nie istnieje ciało i umysł równocześnie. A poezja odnosi się zarazem do naszej cielesności i naszej duchowości. I oddając to niesamowite

sprężenie, które w nas jest, poezja jakoś posuwa naprzód całą problematykę religijną”.

Snuje rozważania o transcendencji, o *decorum*, o formie i o tożsamości, o samotności, o zbawieniu i o potępieniu, o przyrodzie, o problemie zła w świecie i o hierarchii, która jest podstawą sztuki i cywilizacji: „Pojęcie hierarchii, wydaje mi się, polega między innymi na tym, że poezja nie stawia się na piedestale. Nie poezja jest szczytowym osiągnięciem człowieka, ale życie wewnętrzne, wyrażające się w rozmaity sposób. Wewnętrzne życie duchowe. I poezja, jeżeli staje się idolem kosztem życia wewnętrznego, to bardzo źle, to jest zakłócenie hierarchii”.

Opowiada o swoich stronach rodzinnych, o Szetejniach, które są dla niego środkiem świata, o tajemnicy, która jest istotą religii i poezji, o powściągach i o dystansie, o natchnieniu i o ekstatycznym pesymizmie, o destylacji i o daimonionie, o bezpośrednim wyrazie i o braku bezpośredniego wyrazu, o chrześcijaństwie i o Kościele, o duchu i o utracie ducha, o osobności i o poczuciu wspólnoty, o romantyzmie i o wewnętrznym zadaniu, które jest do wykonania.

Centralnym punktem tej książki jest, usytuowana prawie w jej środku, długa, siedemdziesiąt siedem stron licząca rozmowa z przyjacielem poety – księdzem Józefem Sadzikim pt. *Obecność chrześcijaństwa*, przeprowadzona w Paryżu pod koniec lat siedemdziesiątych. Jest w niej pokazany jakby w pigułce cały Miłosz, główny jego rdzeń i zakres.

Znajdujemy ciekawe wyznanie: „Ja stopniowo wracałem do swoich sarmackich korzeni, ale przez długi czas...”. Mówi, że najważniejsze dla niego wpływy, to te najwcześniejsze: Oskara Miłosza i polskiej poezji romantycznej. O autorze *Miłosnych wtajemniczeń* stwierdza: „Trudno, żeby ktoś, kto był pod urokiem jego twórczości, jego osoby, był niereligijny. Przecież to jest cała jego twórczość”. Wyjaśnia, dlaczego nie został powieściopisarzem. Dociekany o swoją religijność, odpowiada: „...gdybym nie był człowiekiem tak dziwnie pokreślonym, to może bym inaczej pisał. Trudno to rozdzielać, ale na pewno u mnie to wszystko jest wielowarstwowe, tak jak moje wiersze – i pełne sprzeczności”. A o chrześcijaństwie mówi: „Przyznam, że moje odczytanie w zakresie teologicznym czy religijnym jest bardzo duże i jakoś tak empirycznie doszedłem do wniosku, że wszystko to, co się sprzeciwia chrześcijaństwu, wszystkie te ruchy są skazane na zniszczenie. To nie jest z mojej strony optymistyczne twierdzenie, tylko ja tak w życiu empirycznie przekonałem się, że tylko prawda ma trwałe życie. Kłamstwo, prędzej czy

później, ginie, rozpada się. To jest niesłuchanie optymistyczne, ale tylko z pozoru, dlatego, że zwycięstwo kłamstwa może trwać lat pięćset". To jest prawda i znamy to z doświadczenia, ale kto dziś tak mówi i tak pisze?

Widzimy, jak Miłosz świetnie zakorzeniony jest w Biblii, nie raz o tym mówił i pisał. Od dziecka miał z nią kontakt i w jej duchu formował go Oskar, który uczył, „że nie ma żadnej innej księgi, która by mogła Biblii dorównać. Bo jest to księga sakralna, jest to księga z natchnienia Bożego. Wszelka inna poezja jest o ileś tam stopni niżej. On bardzo wysoko cenił *Fausta* Goethego, Dantego, ale to są wszystko stopnie niżej, nic nie mogło się równać. Więc ja, będąc bardzo wrażliwy na jego nauki, przyjmowałem to już jako młody człowiek”.

W tym kontekście czytamy wyznanie: „Przed wszystkim muszę najpierw sprostować to, co ty mówisz, że ja nie mógłbym żyć bez tego, co dla mnie najważniejsze, że jestem cały wymierzony w jednym kierunku. To niezupełnie jest tak, dlatego że wszystko to, co napisałem, co piszę, ja odczuwam jako margines, jako funkcję jakiejś pogoni. To nie jest to. (...) Muszę gonić, ale to, za czym gonię, jest prawdopodobnie tym samym, co ciebie rozplómię. Przecież ludzie mogą pod różnymi nazwami gonić to samo. [...] ... świat kultury żyje tylko światłem pochodnym, nie ma w sobie sam światła, to stąd u mnie jest religia”.

Nie raz Miłosz to w różnych wersjach, wariantach i kontekstach powtarza. I to, co mówi o respekcie, bez którego nie można w istotny i w rzeczywisty sposób istnieć w literaturze i w sztuce, czy w ogóle w kulturze: „Odrzucało mnie zawsze od Sartre'a, dlatego że ja dzielę wszystkie zjawiska kultury na takie, w których jest respekt i w których brak respektu (...) Respektu dla bytu, dla tajemnicy, dla sakralności”. I dopełnia: „Wyobraźmy sobie, że wszystko co przekazuje Biblia jest złudzeniem, to twoja rola jako księdza katolickiego jest najwyższa w świecie kultury, jeżeli wszystko odrzucić. Jeżeli – jak powiada Dostojewski – Chrystus umarł i nie zmartwychwstał, ludził się – no w każdym razie, jeżeli weźmiemy cały gmach kultury, to i tak twoje miejsce jest »nad«. Bo to co mówi Heidegger, niewątpliwie jest prawdziwe – poszukiwania tego bytu. Cały świat kultury istnieje tylko przez to, a ty jesteś tym pasterzem, pasterzem bytu, to i tak jesteś wyżej niż wszyscy razem poeci i malarze. Ks. Jan Sadzik: Ale ty przecież lepiej pasterzujesz. Miłosz: Ja nie pasterzuję, ja tylko od czasu do czasu coś tam napiszę, ale to jest tylko krążenie dokoła, a ty jesteś bliżej”.

„Patrz, o ilu rzeczach my tu mówimy. Czy ty wiesz, że tego rodzaju rozmowy są absolutnie wspaniałe. Powinniśmy tak co dzień rozmawiać, moglibyśmy wielkie dzieło w ten sposób napisać” – tak kończą, a my uświadamiamy sobie, że całe te dwa tomy są taką absolutnie wspaniałą naszą z Miłozem rozmową i jego wielkim monologiem, arcyciekawą gawędą współczesną. I zastanawiamy się, jaki inny współczesny czy nie współczesny, polski czy nie polski pisarz miałby nam tyle ważnego do powiedzenia.

„Ogromne ładunki religijne” znajduje Miłoz m.in. u Becketta, u Różewicza i u Szyborskiej, a o Gombrowiczu mówi, że jest mu jednak bliski, bo czuł respekt (w przeciwieństwie do Sartre’a). Mamy tu uwagi m.in. o Swedenborgu, Blake’u, Schopenhauerze, Dostojewskim, Weil, Szestowie, Oskarze Miłoszu i o pisarzach polskich, m.in. o Mickiewiczu, Norwidzie, Andrzejewskim, Iwaszkiewiczu, Czechowiczu, Witkiewiczu, Brzozowskim, Mackiewiczu, Hulewiczu, Świrszczyńskiej, Białoszewskim, Herbercie, a także o Marszałku Piłsudskim i o Janie Pawle II. Mówi, że zawsze jest w literaturze po stronie jasności i precyzji, po stronie jasnego i precyzyjnego pisarza, w prozie i wierszu, bo czy innymi warto się zajmować? A kontekstem tych rozważań są także jego książki, które ukazały się w tamtym czasie: *Wyprawa w Dwudziestolecie, To, Druga przestrzeń, Orfeusz i Eurydyka, Spiżarnia literacka, Abecadło* oraz wznowienia, m.in. *Zniewolony umysł*.

W przenikaniach istniejące repetycje, powtórzenia, raz po raz powracające motywy i wątki przeprowadzane w różnych wariantach, innymi słowami i z innymi akcentami, w gąszczu spraw i komplikacji, bo sam Miłoz jest niczym „gąszcz puszczańskiego matecznika”. Do tego dochodzą iskry humoru, ironii i autoironii. I dobroć, o której mówi, że jest więcej warta niż sztuka i literatura, która jest tylko „turniejem garbusów”. *Notabene* ostatni wiersz, jaki Miłoz podyktował, zapisany 22 grudnia 2003 roku i niepublikowany za jego życia, nosi właśnie tytuł *Dobroć* (zamieszczony jest w *Wierszach ostatnich* i także w niniejszym numerze „Kwartalnika Artystycznego”, na stronie 79).

Na zakończenie, jeszcze dwa ważne, godne zapamiętania zapisy: „Mowa polska dla mnie będzie zawsze mową poezji” i: „Sądzę, że prawdziwie wielkie dzieła powstają wtedy, kiedy pisze się je na przegraną, ze świadomością przegranej, nie na sukces, nie na zrozumienie”.

To użyteczna i świetlista księga.

Krzysztof Myszkowski

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

[www.kwartalnik.art.pl](http://www.kwartalnik.art.pl)

„...jest pismem, na które zawsze czekam...”

Wisława Szymborska

Poezja  
Proza  
Esej  
Dzienniki  
Listy  
Rozmowy  
Recenzje  
Bloki tematyczne  
Noty o książkach  
Numery  
monograficzne  
Najwybitniejsi pisarze  
współcześni



# Miłosz i jego wiek. Życie i dzieło w datach

Wydawnictwo Literackie

Jesień 2011



Pierwsza, w świecie, monografia życia i twórczości Czesława Miłosza (1911–2004) w formie kalendarium, autorstwa jego ostatniej, w latach 1996–2004, osobistej sekretarki i współpracownicy.

Książka powstała w oparciu o materiały źródłowe, niepublikowane listy, pamiętniki, dokumenty epoki, prywatne archiwa zdjęć, konfrontowane z wiedzą zgromadzoną przez Agnieszkę Kosińską w czasie ośmiu lat pracy z Miłoszem. Autorka stawia sobie zadanie ustalenia faktów nieznanych, oświetlenie zafałszowanych, osadzenie życia i dzieła pisarza w realiach historycznych i obyczajowych. Bogato ilustrowane, w większości nieznanymi dokumentami i zdjęciami, a także cytatami z obszernej korespondencji noblisty. Na siatce dat rozpięte życie codzienne, rodzinne, zawodowe, podróże i nieustanny rytm twórczości. Autorka stara się również odtworzyć warsztat pracy pisarza: nad czym i w jaki sposób pracował w danym momencie swojego życia.

Opowieść o Miłoszu w formie kalendarza jest zarazem opowieścią o historii XX i XXI wieku i miejsc, w których mieszkał i był oraz o losach ludzi, których dane mu było spotkać.

Całości dopełniają bogate indeksy, genealogie, spisy lektur Miłosza, biogramy oraz portrety ważnych w jego życiu osób. Wybór ikonografii: A. Kosińska, Kamil Kasperek.

*Agnieszka Kosińska*



## Noty o autorach

**Jacek Bolewski SJ**, ur. 1946 w Poznaniu; teolog i eseista; w latach 1992–1995 redaktor naczelny „Przeglądu Powszechnego”; opublikował m.in. *Nic jak Bóg. Postaci iluminacji Wschodu i Zachodu* (1993), *Sztuka u Boga. Duchowość obecna w twórczości* (2003), *Sztańskie czy boskie?* (2009). Mieszka w Warszawie.

**Kazimierz Brakoniecki**, ur. 1952 w Barczewie; poeta, eseista, tłumacz i krytyk literacki; w latach 1991–1997 redaktor naczelny pisma „Borussia”; autor m.in. *Światowania* (1999), *Moralioń* (2002), *Europy minor* (2007). Mieszka w Olsztynie.

**Václav Burian**, ur. 1959 w Přerowie; poeta, krytyk literacki, dziennikarz i publicysta; tłumaczył wiersze i eseje Czesława Miłosza; publikował m.in. w „Literaturze na Świecie”, „Kresach”, „Przeglądzie Literacko-Artystycznym”; redaktor pisma „Listy”, które powstało w Rzymie w 1971 roku. Mieszka w Ołomuńcu na Morawach.

**Andrzej Busza**, ur. 1938 w Krakowie; eseista i krytyk literacki; profesor literatury angielskiej na University of British Columbia; laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich; współpracował z „Kulturą” i „Kontynentami”; opublikował m.in. *Polish Literary Background* (1966), z J.H. Stape *Joseph Conrad. The Rover* (1992); tłumaczył na angielski m.in. Miłosza, Herberta, Białośzewskiego, Iwaszkiewicza, Wierzyńskiego, Jastruna. Mieszka w Vancouver.

**Stefan Chwin**, ur. 1949 w Gdańsku; powieściopisarz i historyk literatury, eseista; laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich i Nagrody im. Andreasa Gryphiusa; profesor Uniwersytetu Gdańskiego na Wydziale Filologicznym; opublikował m.in. powieści: *Ludzie-skorpiony* (1984), *Krótką historią pewnego żartu* (1991), *Hanemann* (1995), *Esther* (1999), *Dolina Radości* (2006); dwa tomy dzienników: *Kartki z dziennika* (2004) oraz *Dziennik dla dorosłych* (2008), szkice krytyczne m.in. *Bez autorytetu* (1981, wspólnie ze Stanisławem Rośkiem), zbiór esejów *Romantyczna przesłucha wyobraźni* (1998); ostatnio ukazał się esej *Samobójstwo jako doświadczenie wyobraźni* (2010); w 2011 roku ogłosił powieść *Panna Ferbelin* (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” nr 3 (67)/2010). Mieszka w Gdańsku.

**Aleksander Fiut**, ur. 1945 w Żywcu; historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z członków-założycieli Fundacji Miejsc Rodzinnych Czesława Miłosza, członek Rady Programowej The Institute of Czesław Miłosz (USA); wykładał na uniwersytetach m.in. w Lille (Francja), Berkeley (USA), w The Institute of European Studies w Wiedniu; autor m.in. *Czesława Miłosza autoportretu przekornego – rozmów z Czesławem Miłoszem*; w 1988 roku ogłosił monografię *Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza, ostatnio W stronę Miłosza* (2003); laureat m.in. Nagrody im. Kazimierza Wyki. Mieszka w Krakowie.

**Olga Glondys**, ur. 1979; doktor filologii hiszpańskiej Uniwersytetu Autonomicznego w Barcelonie; autorka szkiców i artykułów publikowanych w Polsce i w Hiszpanii. Mieszka w Barcelonie.

**Michał Głowiński**, ur. 1934 w Warszawie; prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, profesor IBL PAN; opublikował m.in. *Powieść młodopolską* (1969), monografie o Tuwimie, Leśmianie, Gombrowiczu: *Poetyka Tuwima a polska tradycja literacka* (1962), *Zaświat przedstawiony. Szkice o poezji Bolesława Leśmiana* (1981), *Gombrowicz a nadliteratura* (2002), studia analizujące język propagandy komunistycznej: *Marcowe gadanie* (1991), *Peereliada* (1993), *Mowa w stanie obłąkania* 266 (1996), *Końcówka* (1999), cykl wspomnieniowy: *Czarne sezony* (1998), *Magdalena z razowego chleba* (2001), *Historia jednej topoli i inne opowieści* (2003), *Fabuly przerwane. Małe szkice* (2008); ostatnio ukazały się *Kręgi obcości* (2010) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” nr 2 (66) / 2010); laureat m.in. Nagrody im. Jurzykowskiego (1986), PEN-Clubu (1992), Nagrody im. Herdera (2004) i Nagrody im. Jana Parandowskiego (2008). Mieszka w Warszawie.

**Renata Gorczyńska**, ur. 1943 w Warszawie; eseistka, tłumaczka i dziennikarka; w latach 1975–1993 mieszkała w Stanach Zjednoczonych i we Francji; od 1980 roku przez cztery lata była sekretarzem osobistym Czesława Miłosza; książka jej rozmów z Poetą, *Podróży świata. Komentarze* ukazała się po raz pierwszy w 1983 roku w Nowym Jorku; tłumaczka wierszy Miłosza na angielski; współpracowała z paryską „Kulturą”; laureatka Nagrody Literackiej im. Zygmunta Hertzga, za przygotowanie wielkiego czytania *Pana Tadeusza* Mickiewicza wyróżniona Nagrodą im. Dariusza Fikusa; za działalność radiową otrzymała Złoty Mikrofon Polskiego Radia. Mieszka w Gdyni.

**Henryk Grynberg**, ur. 1936 w Warszawie; prozaik, eseista; w latach 1959–1969 aktor Teatru Żydowskiego; od 1967 roku przebywa w USA; autor dziewiętnastu tomów prozatorskich, opublikował m.in. *Żydowską wojnę* (1965), *Drohobycz*, *Drohobycz* (1997), *Memorbuch* (2000), ostatnio *Ciąg dalszy* (2008); dziewięciu tomów poetyckich, ostatnio *Dowód Osobisty* (2006), trzech dramatów; studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim, pracował w US Information Agency, w Głosie Ameryki w Waszyngtonie, współpracował z pismami emigracyjnymi; laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1966), Nagrody im. Jurzykowskiego (1991), paryskiej „Kultury” (1969) i londyńskich „Wiadomości” (1975) oraz Koret Jewish Book Award (2002), Mieszka w Los Angeles.

**Jacek Gutorow**, ur. 1970; krytyk literacki i tłumacz; opublikował sześć tomów poetyckich, ostatnio *Nad brzegiem rzeki. 1990–2010* (Biuro Literackie, Wrocław 2010), trzy zbiory krytyczne: *Na kresach człowieka. Sześć esejów o dekonstrukcji* (2001), *Niepodległość głosu. Szkice o poezji polskiej po 1968 roku* (2003), *Urwany ślad. O wierszach Wirpsy, Karpowicza, Różewicza i Sosnowskiego* (2007), i monografię *Luminous Traversing. Wallace Stevens and the American Sublime* (2007). Mieszka w Opolu.

**Wojciech Gutowski**, ur. 1945; historyk literatury, profesor Akademii Bydgoskiej im. Kazimierza Wielkiego, kierownik Katedry Literatury Polskiej XX wieku, autor m.in.: *W poszukiwaniu życia nowego. Mit a światopogląd w twórczości Tadeusza Micińskiego* (1980); *Pasje wyobraźni. Szkice o literaturze romantyzmu i Młodej Polski* (1991); *Wśród zsyfrów transcendencji. Szkice o sacrum chrześcijańskim w literaturze polskiej XX wieku* (1994); *Mit – Eros – Sacrum. Sytuacje młodopolskie* (1999). Mieszka w Toruniu.

**Julia Hartwig**, ur. 1921 w Lublinie; poetka, eseistka, tłumaczka; autorka kilkunastu tomów wierszy, bajek dla dzieci i powieści dla młodzieży, które pisała wraz z mężem, Arturem Międzyrzeckim, autorka monografii Apollinaire’a i Gérauda de Nerval, przełożyła z francuskiego m.in. wiersze: Apollinaire’a, Gérauda de Nerval, Julesa Superviella, Maxa Jacoba, Pierre’a Reverdy, wraz z Arturem Międzyrzeckim korespondencję Artura Rimbauda *Ja to ktoś inny*, Fryderyka Chopina z George Sand i jej dziećmi, wraz z Joanną Guze *Dzienniki. Część I Eugena Delacroix*; z angielskiego m.in. Mariannę Moore, Allena Ginsberga, Sylwii Plath, Williama Carlosa Williamsa; ostatnio ukazały się w Wydawnictwie słowo/obraz terytoria *Podziękowanie za gościnę* (2006), w Wydawnictwie a5 *Wiersze wybrane* (2010) i *It will return. Poems* (Northwestern University Press, 2010); laureatka nagród m.in.: Fondation d’Hautivilliers „Prix de Tradition” (Francja, 1978), Thornton Wilder Price (USA, 1986), Georga Trakla (Austria, 1999), Wielkiej Fundacji Kultury (2004), Polskiego PEN-Clubu im. Jana Parandowskiego (2009). Mieszka w Warszawie.

**Grzegorz Kalinowski**, ur. 1955 w Inowrocławiu; krytyk literacki. W 2010 roku ukazał się tom jego miniatur prozatorskich *tylko biel*. Mieszka w Bydgoszczy.

**Bogusław Kierc**, ur. 1943 w Bielsku-Białej; poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser, edytor utworów Rafała Wojaczka; wydał piętnaście tomów wierszy, ostatnio *Cło* (2008) i szkice literackie, m.in. *Przybós* i (1976), *Wzniosły upadek anioła* (1992), *Rafał Wojacek. Prawdziwe życie bohatera* (2007). Mieszka we Wrocławiu.

**ks. Janusz Kobierski**, ur. 1947 w Wólce Łysowskiej koło Siedlec; eseista i krytyk literacki; wydał trzynaście tomów poetyckich, ostatnio *Dotykając jasności* (2009). Mieszka w Warszawie.

**Ryszard Krynicki**, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria); poeta, tłumacz, wydawca; współwłaściciel Wydawnictwa a5; w latach siedemdziesiątych oraz osiemdziesiątych związany z opozycją demokratyczną, współpracownik „Zapisu” (1978–1981); autor dwunastu tomów wierszy; ostatnio opublikował *Kamień, szron* (2005); tłumacz poezji niemieckiej, m.in. Paula Celana, Nelly Sachs, Hansa Magnusa Enzensbergera; laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1976), Nagrody A. Jurzykowskiego, Nagrody im. Karla Dedeciusa (1989) i Nagrody Polskiego PEN-Clubu. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” nr 2 (18) / 1998). Mieszka w Krakowie.

**Antoni Libera**, ur. 1949 w Warszawie; prozaik, tłumacz, reżyser; interpretator i tłumacz twórczości Samuela Becketta, przełożył m.in. wszystkie jego dramaty; tłumaczył także dramaty Sofoklesa, Shakespeare’a i Wilde’a, libretta operowe m.in. *Czarnej maski* Krzysztofa Pendereckiego, *Śmierci w Wenecji* Benjamina Brittena; w 2003 ogłosił przekłady wierszy Friedricha Hölderlina i Konstantinosa Kawafisa; jego powieść *Madame* przetłumaczono na dwadzieścia języków; autor opowieści autobiograficznej *Godot i jego cień* (2009). Mieszka w Warszawie.

**Krzysztof Lisowski**, ur. 1954 w Krakowie; poeta, krytyk literacki; pracuje w Wydawnictwie Literackim, wykładowca Studium Literacko-Artystycznego na Uniwersytecie Jagiellońskim debiutował w 1975 roku tomikiem wierszy *Próba obywatelstwa*; ostatnio ogłosił *Greckie lustro* (2011). Mieszka w Krakowie.

**Paweł Mackiewicz**, ur. 1981 w Żmigrodzie; krytyk i historyk literatury; pracuje w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pisane osobno. O poezji polskiej lat pierwszych* (2010). Mieszka we Wrocławiu.

**Piotr Matywiecki**, ur. 1943 w Warszawie; poeta, eseista; autor siedmiu tomów wierszy, antologii poezji polskiej *Od początku* (1997), esejów *Kamień graniczny* (1994), ostatnio ogłosił tom wierszy zebranych *Powietrze i czerń* (2009), monografię *Twarz Tuwima* (2007); laureat m.in. Nagrody Polskiego PEN-Clubu. Mieszka w Warszawie.

**Leszek Aleksander Moczulski**, ur. 1938 w Suwałkach; poeta, ostatnio opublikował tom wierszy *Dziękczynienia po Komunii Świętej* (2006); autor tekstów piosenek do m.in. utworów Skaldów, zespołu Anawa Marka Grechuty i Czesława Niemena, autor słów oratorium *Nieszpory ludźmier-skie*; laureat Nagrody Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego. Mieszka w Krakowie

**Krzysztof Myszkowski**, ur. 1952 w Toruniu; prozaik, eseista i krytyk literacki, laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich za *Pasję według świętego Jana* (1992); ostatnio opublikował powieść *Funebre* (1998). Mieszka w Bydgoszczy.

**Czesław Miłosz**, ur. 1911 w Szepietnie na Wileńszczyźnie, zm. 2004 w Krakowie; poeta, eseista, prozaik, tłumacz; współzałożyciel poetyckiej grupy Żagary; od 1951 na emigracji; do 1960 roku mieszkał w Paryżu, później w USA; pracował na Uniwersytecie Kalifornijskim jako profesor języków i literatur słowiańskich; laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1980 roku; wydał m.in. tomy poetyckie *Trzy zimy* (1936), *Ocalenie* (1945), *Traktat poetycki* (1957), *Miasto bez imienia* (1969), *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (1974), *Hymn o Perle* (1982), *Kroniki* (1987), *Na brzegu rzeki* (1994), *To* (2000), *Druga przestrzeń* (2002) i w tym samym roku *Orfeusz i Eurydyka*, pośmiertnie *Wiersze ostatnie* (2006); w 1955 ogłosił powieści *Dolina Issy* i *Zdobycie władzy*; autor zbiorów esejów: *Zniewolony umysł* (1953), *Rodzinną Europą* (1959), *Ziemia Ulro* (1977), *Zaczynając od moich ulic* (1985), *Ogród nauk* (1979), *O podróżach w czasie* (2004), *Spizarnia literacka* (2004); przetłumaczył na język polski księgi biblijne Starego Testamentu: Księgę Psalmów, Księgę Hioba, Księgę Eklezjastesa, Księgę Ruth, Pieśń nad pieśniami, Treny, Księgę Estery oraz Księgi Nowego Testamentu: Ewangelię według św. Marka i Apokalipsę; autor przekładów poezji anglo-amerykańskiej m.in. poematy Eliota *Ziemia jałowa*, *Środa Popielcowa*, *Wydrążeni ludzie*, a także Shakespere'a, Walta Whitmana, Robinsona Jeffersa, Johna Milтона, Wiliama Blake'a, Davida Herberta Lawrence'a, z języka francuskiego m.in. Baudelaire'a, Oskara Miłosza; Rok 2011 został ogłoszony przez Sejm RP Rokiem Miłosza. (Patrz numery monograficzne poświęcone Czesławowi Miłoszowi: „Kwartalnik Artystyczny” nr 2 (30) / 2001; nr 3 (43) / 2004; nr 3 (42) / 2005; nr 3 (59) / 2008).

**Anna Nasiliowska**, ur. 1958 w Warszawie; pracownik naukowy IBL PAN; autorka m.in.: wierszy, miniatur prozatorskich, powieści, esejów, studiów krytycznoliterackich; opublikowała m.in. *Poezja opisowa Stanisława Trembeckiego* (1990), *Persona liryczna* (2000) *Literatura stanu przejściowego* (2006), powieść *Historie miłosne* (2009). Mieszka w Warszawie.

**Mieczysław Orski**, ur. 1943 we Lwowie; debiutował tomikiem wierszy *Wyspa*; autor tomów esejów o współczesnej literaturze m.in. *Etos lumpa* (1978), *Kontestator wśród narodowych znaków* (1989), *Lustratorzy wyobraźni* (2002), *Rozbite zwierciadło* (2006); od 1996 roku redaktor naczelny „Odry”; ostatnio ogłosił *Opowieści dla dorosłych i opowiadki dla niedorosłych* (2010). Mieszka we Wrocławiu.

**Jerzy Plutowicz**, ur. 1947 w Bielsku Podlaskim; jest autorem ośmiu tomów wierszy; ostatnio opublikował *Zapomniana wojna (Europa po deszczu)* i tom esejów *Nagle, w świecie*. Mieszka w Białymstoku.

**Jan Polkowski**, ur. 1953 w Krakowie; poeta, wydawca; autor ośmiu tomów wierszy; m.in. *To nie jest poezja* (1980), *Drzewa* (1987); w Wydawnictwie a5 opublikował *Cantus* (2010), w Wydawnictwie Znak w tym samym roku ogłosił *Cień*. Mieszka w Krakowie.

**Marek Skwarnicki**, ur. 1930 w Grodnie; poeta, tłumacz, publicysta; od 1951 redaktor „Tygodnika Powszechnego”; opublikował jedenaście tomików wierszy, ostatnio *Wygności z rajów. Poezje zebrane 1956–2006* (2006); autor m.in. powieści *Marcin* (1967), cykli reportaży, m.in. z pielgrzymki Jana Pawła II do Australii, wspomnień o Janie Pawle II pt. *Namiot Karola Wojtyły* (2009), *Biografii Jana Pawła II* (2002), wspomnień *Mój Miłosz* (2004). Mieszka w Krakowie.

**ks. Jan Sochoń**, ur. 1953 w Wasilkowie na Podlasiu; eseista i krytyk literacki; kierownik Katedry Filozofii Kultury na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego; autor tomików wierszy, prac z zakresu teologii, filozofii, krytyki literackiej i literatury; ostatnio opublikował *Religia jako odpowiedź. Eseje przygodne* (2008), *Tama. Opowieść o życiu i męczeństwie księdza Jerzego Popiełuszki* (2010) oraz tomy poetyckie: *Intuicje codzienne* (2008), *Powtórzenie raję* (2010). Mieszka w Warszawie.

**Sergiusz Sterna-Wachowiak**, ur. 1953 roku w Lesznie; krytyk literacki, eseista, tłumacz, autor scenariuszy teatralnych, radiowych i telewizyjnych; od czerwca 2008 roku prezes SPP; współzałożyciel i redaktor poznańskiej „Gazety Malarzy i Poetów”; opublikował siedem tomów poetyckich, dwie powieści i kilka tomów eseistycznych. Mieszka w Poznaniu.

**Leszek Szaruga**, ur. 1946 w Krakowie; eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej, historyk literatury, autor tomików wierszy, powieści, współredaktor pism m.in. „Nowaja Polska”, laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1986); opublikował trzynaście tomów wierszy, ostatni *Bląg* (2008), szkice m.in. *Ludzki język muz.*, *Czytanie Różewicza* (2008), *Lustro poezji* (2008), *Powinności literatury i inne szkice krytyczne* (2008), ostatnio tom prozy wspomnieniowej *Podróż mego życia* (2010). Mieszka w Warszawie.

**Piotr Szewc**, ur. 1961 w Zamościu; poeta, prozaik, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; autor dwóch tomów wierszy, ostatnio opublikował *Moje zdanie* (2009); autor powieści *Zagłada* (1987), za którą otrzymał Nagrodę im. Stanisława Piętaka; ostatnio ogłosił powieść *Bociany nad powiatem* (2005); jest autorem rozmów z Julianem Strykowskiem *Ocalony na Wschodzie* (1991). Mieszka w Warszawie.

**Andrzej Szuba**, ur. 1949 w Gliwicach; tłumacz poetów angielskich, amerykańskich, irlandzkich; pracuje jako lektor na Uniwersytecie Śląskim; autor ośmiu tomów poetyckich; ostatnio dwujęzyczne wydanie *Postscripta wybrane/Selected postscripts* (2003) w przekładzie Jeana Warda; tłumaczył m.in. Wilhelma Butlera Yeatsa, Ezrę Pounda, Thomasa Stearnsa Eliota, Walta Withmana, Allena Ginsberga, Seamusa Heaney’a, Emily Dickinson. Mieszka w Gliwicach.

**Janusz Szuber**, ur. 1947 w Sanoku; poeta, eseista; autor dwudziestu jeden tomów poetyckich; debiutował w 1995 roku tomem *Paradny ubranko i inne wiersze*; ostatnio ogłosił *Wyżej, niżej, już* (2010); laureat m.in. Nagrody Kazimierza Iłakowiczówny oraz Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich. Mieszka w Sanoku.

**Marta Wyka**, ur. w Krakowie; krytyk i historyk literatury, profesor UJ, redaktor naczelny „Dekady Literackiej”; autorka m.in. *Głósów różnych pokoleń* (1989), *Punktów widzenia* (2000), ostatnio opublikowała zbiór szkiców krytycznoliterackich *Niecierpliwść krytyki* (2006) oraz książkę autobiograficzną *Przypisy do życia* (2007). Mieszka w Krakowie.

**Joanna Zach**, ur. w Krakowie; historyk literatury; pracownik Katedry Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki UJ; autorka *Młósz i poetyka wyznania* (2002). Mieszka w Krakowie.

**Andrzej Zawada**, ur. 1948 w Wieluniu; eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, redaktor naukowy serii Biblioteka Narodowa; opublikował m.in. *Grę w ludowe* (1983), *Dwudziestolecie literackie* (1995); w 1996 roku ogłosił monografię Czesława Miłosza. Mieszka we Wrocławiu.

## Noty o książkach

\*

Prawie półtora tysiąca stron wierszy – wszystkie, które napisał Czesław Miłosz.

Julia Hartwig w słowie wstępnym pt. *Ocalony* mówi, że nikt w poezji polskiej, poza bardzo jemu bliskim Mickiewiczem, nie przekazał nam „tak przejmująco obrazu naszego człowieczeństwa, w jego nadziejach i ułomnościach”. I jest to rekomendacja najlepsza, jaka może być. Waga i skala problemów, które porusza w swoich wierszach Miłosz, ranga pytań i dociekań, które prowadzi, język i artyzm, obecność teologii i metafizyki, a nawet mistyki, rozdzielanie dobra i zła, jasności i ciemności, co przecież jest tak ważne nie tylko w dzisiejszym świecie, miłość do słów i do człowieka stawiają go wysoko, właściwie najwyżej z poetów XX wieku. Który z nich obdarowany był jak on: takim umysłem, talentem, siłą ducha, pracowitością i darem łaski? Nie znam podobnego. Miłosz przewyższył wszystkich.

Nazywał siebie „mistrzem pokonanej rozpacz” i jest to najwyższe miano dla pisarza tego morderczego wieku. W tym, na swój sposób, bliski jest Beckettowi. Zmagał się przez całe długie życie ze Złym i ze Złem i wiemy, że wyszedł z tych zmagania obronną ręką – jego poezja i cała twórczość są tego świadectwem. Dlatego go kochamy i podziwiamy. Nie wyobrażam swojego życia bez niego, bez jego teraz już innej, ale ciągłej i intensywnej obecności. Idzie dalej i wskazuje kierunek. Prowadzi do celu.

K.M.

Czesław Miłosz, *Wiersze wszystkie*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011

\*

Jubileuszowe wydanie wierszy wileńskich Czesława Miłosza z okazji setnej rocznicy jego urodzin otwiera przemówienie Poety, które wygłosił w tym mieście 2 października 2000 roku. Mówi w nim m.in. o swojej niechęci do nacjonalizmu, o Wilnie polskim, litewskim i żydowskim (wśród Żydów amerykańskich najwyżej cenione jest pochodzenie z Wilna), o kolebce Romantyzmu i o tym, że mityczną Litwę stworzyli pisarze polscy (Strykowski,

Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski), o pięknie geograficznego położenia i architektury tego miasta, które ma w sobie coś magicznego i nazywane jest Jeruzolimą Północy, umieszczoną na granicy cywilizacji Bizancjum i Rzymu, o Bundzie, o Wielkim Księstwie, a następnie polsko-litewskiej Rzeczypospolitej, o Uniwersytecie Stefana Batorego, o traumie wygnania z miejsc rodzinnych, o przeszłości i o terażniejszości, o dziedzictwie i o sprawie tożsamości, która nie lakieru i powierzchni dotyczy, ale wnętrza, czyli istoty każdego człowieka.

Wiersze z tej wileńskiej antologii (po lewej stronie jest tekst polski, po prawej litewski – autorem większości przekładów jest Tomasz Venclova) pochodzą z *Gucia zaczarowanego*, *Miasta bez imienia*, *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, *Kronik*, *Dalszych okolic*, *Na brzegu rzeki*, *To*, *Drugiej przestrzeni* i *Wierszy ostatnich*; pojawiają się w nich wileńskie ulice, m.in.: Zamkowa, Niemiecka, Arsenalska, Bernardyńska, Nadbrzeżna i Bakszta, Wilija, kościoły Świętych Piotra i Pawła, Anny i Mikołaja, Werki, Zamek, Góra Trzykrzyska i Góra Bekieszowa, księgarnie w Zaułku Literackim, Cudowna Panna i dzwony u Świętych Jana i Kazimierza, w Katedrze i u Misjonarzy, u Świętego Jerzego, u Dominikanów i u Świętego Jakuba. „Miasto było ukochane i szczęśliwe / Zawsze w czerwcowych piwoniach i późnych bzach, / Pnące się barokowymi wieżami ku niebu” (*W Wilnie kwitną bzy*).

Piękne bibliofilskie wydanie (1000 ręcznie ponumerowanych egzemplarzy) zdobią czarno-białe fotografie.

M.W.

Czesław Miłosz, *Wilno/Vilnius*, koncepcja antologii i fotografie Joanna Gromek-Ilg, Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt 2011

\*

Jerzy Illg to jeden z najbardziej zasłużonych wydawców Miłosza, człowiek dobrze zorientowany w tym, kim był i kim jest Miłosz w literaturze polskiej. Otrzymaliśmy dokonany przez niego wybór wierszy autora *Ocalenia*, pierwszy, jaki ukazuje się w Polsce od jedenastu lat.

Tytuł tomu – *Jak powinno być w niebie*, to tytuł jednego z programowych wierszy Miłosza z 1986 roku, który znajduje się w *Kronikach* (1988). Od *Trzech zim* (1934) do *Wierszy ostatnich* (2006), razem około sto dziewięćdziesiąt utworów (w tym fragmenty *Pieska przydrożnego*) na prawie trzystu stronach, a więc wybór obszerny i solidny, chociaż brak w nim przynajmniej kilku moim zdaniem ważnych wierszy i poematów, na przykład *Czeladnika*. Ale jak

stwierdza w posłowiu pt. *To mój Miłosz* Illg, są to jego ulubione i według niego najważniejsze wiersze autora *Orfeusza i Eurydyki*. Podziw i szacunek budzi przywiązanie Illga do Miłosza, a także wdzięczność, wierność i zachwyt dla jego dzieła, wrażliwość na różne pasma i tony tej bogatej twórczości, która stanowi mocny rdzeń polszczyzny XX wieku, chociaż nie wiadomo jak wielu podpisałoby się pod słowami: „My z niego wszyscy!”.

K.M.

**Czesław Miłosz**, *Jak powinno być w niebie, Wiersze wybrane*, wybrał i posłowiem opatrzył Jerzy Illg, Wydawnictwo Znak, Kraków 2010

\*

Mała antologia: czterdzieści jeden wierszy Czesława Miłosza i album – ponad setka zdjęć z miejscami ważnymi w jego twórczości. Jak stwierdza w przedmowie Aleksander Fiut wiersze te to „swego rodzaju poetyckie *itinerarium*, zapis olśnień, wrażeń i refleksji wywoływanych w poecie przez rozmaite miejsca jego dłuższego lub krótszego pobytu”. Z rodzinnej Litwy przez Francję aż za ocean, w takich miastach i miejscach jak m.in. Wilno, Warszawa, Paryż, Berkeley, Kraków, Szetajnie, Pornic, Waszyngton, Mediolan, Brie-Comte-Robert, Mittelbergheim, Capri, Salem, Campo dei Fiori, San Francisco, Dolina Śmierci, Świętobrość, rue Descartes, Pierson College, Hawaje, Rocamadour, Sacramento, Opitołoki, Krasnogruda, Genua, Yale, Beinecke Library, Jaszuny i Werki. Te miasta i miejsca stały się cudownym wehikułem Poety.

M.W.

**Czesław Miłosz**, *Tak zwane widoki ziemi/The so-called sights of the earth, Wybór wierszy/Selected Poems*, koncepcja i wybór wierszy Aleksander Fiut, Wydawnictwo BOSZ, Olszanica 2011

\*

Tom pt. *Wiek Miłosza* zawiera wszystkie utwory noblisty, które były recytowane w Polskiej Filharmonii Bałtyckiej, w kościołach Świętej Katarzyny i Świętego Jana, na sopockim cmentarzu, w gdańskiej Synagodze, a także w czasie Lekcji w ramach jubileuszowego Roku Miłosza.

Ewangelię według Marka czytano na wieczorze, na którym wykonano *Pasję według świętego Marka* Jana Sebastiana Bacha. Przy grobie matki Miłosza na katolickim cmentarzu w Sopocie przeczytano m.in. *Grób matki, Z nią, Rok 1911*

i *W Sztejnjach*. Słuchano *Sonaty F-dur na fortepian i skrzypce* i czytano m.in. *W mojej ojczyźnie*, *Spotkanie*, *W Mittelbergheim*, *Miasto bez imienia*, *Moją wierną mowę*, *Czarodziejską górę*, *Rzeki*, *Filologię* i *Werki*. *Sonacie a-moll na wiolonczelę i fortepian* Schuberta towarzyszyły m.in. *Powrót*, *Wieczorem wiatr*, *Elegia dla N.N.*, *Piosenka o porcelanie*, *Piosenka o końcu świata* i *Orfeusz i Eurydyka*. Słuchano fragmentów *Apokalipsy*, *Doliny Issy*, *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, *Podróżnego świata*, *Pieska przydrożnego*, a także m.in. *Krainę poezji*, *Wiarę*, *Dar*, *Który skrzywdziłeś* i *To*, a obok Messiaena – zabrzmiały m.in. *Czego nauczyłem się od Jeanne Hersch*, *Uczciwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky na lotnisku*, *dajmy na to w Minneapolis*, *Przypowieść*, *Esse*, *Maria Magdalena i ja*, *Władca Albanii*, *Do Józefa Sadzika* i *Veni Creator*. Przy *II Suicie d-moll* Jana Sebastiana Bacha słuchano listów Mertona i Miłosza, natomiast przy muzyce jazzowej w Synagodze w Gdańsku-Wrzeszczu m.in. *Biednego chrześcijanina patrzącego na getto*, *Gucia zaczarowanego*, *W drodze* i *Metamorfoz*.

U Świętego Jana odprawiono mszę w intencji Poety oraz wysłuchano *Mszy koronacyjnej* Mozarta, a w „Koncercie dla Czesława Miłosza” w Filharmonii zagrano dwa *Koncerty na obój i orkiestrę* Vivaldiego, *Kantatę „Orfeo”* Pergolesiego i *V Symfonię B-dur* Schuberta i przeczytano m.in. *Wyznanie*, *Powrót do Krakowa w roku 1880*, *W garnizonowym mieście*, *Oczy*, *Dobranoc* i *Jasności promieniste*. W spotkaniach udział wzięli m.in. Renata Gorczyńska, Agnieszka Kosińska, ks. Krzysztof Niedałtowski, Barbara Toruńczyk, Olgierd Łukasiewicz, Mikołaj Trzaska, Krzysztof Czyżewski, Bogdan Tosza, Irena Jun, Halina Winiarska, Tomas Venclova i Jerzy Zelnik.

*Wiek Miłosza* jest zapisem tych spotkań, a więc świadectwem tego, jak Trójmiasto obchodziło setną rocznicę urodzin największego współczesnego polskiego poety.

M.W.

*Wiek Miłosza, Partytura spotkań* Kai Bumann, „Spotkania poezji i muzyki”, Gdańsk 18–25 marca 2011, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria i Polska Filharmonia Bałtycka, Gdańsk 2011

\*

Jest to pierwsze pełne polskie wydanie *Historii literatury polskiej* Czesława Miłosza: poprzednie trzy, okrojone o rozdział XI dotyczący czasów drugiej wojny światowej i pierwszych dwudziestu lat Polski Ludowej i bez *Epilogu*, który obejmuje lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte XX wieku, ukazywały się



od 1993 do 1997 roku, również nakładem Wydawnictwa Znak (w Ameryce *Historia* opublikowana została w roku 1969). Tom otwiera wstęp autora do wydania w języku angielskim, a kończy zamieszczona w Nocie wydawcy *Przedmowa do polskiego wydania*.

We Wstępie Miłosz stwierdza, że pisząc *Historię literatury*, przeznaczoną pierwotnie dla amerykańskich studentów, starał się w miarę możliwości trzymać faktów i pozostać bezstronnym, chociaż perspektywa jego była podwójna: „twórczego pisarza przez długie lata zaangażowanego w polskie życie literackie oraz samozwańczego kronikarza”. W związku z tym musiał na przykład napisać kilka słów o sobie samym, jako jednym ze współczesnych poetów polskich lub wystawiać cenzurki koleżankom i kolegom, ale gdyby tego nie uczynił, to obraz całości byłby dziwacznie okrojony i niepełny. A dla nas jest to pożyteczne i interesujące – obserwować Miłosza w roli historyka literatury, chociaż jemu ta podwójna perspektywa nie raz nie ułatwiała zadania.

Jak mówi, wybrał formę „staroświeckiego” podręcznika: wzorował się na *Historii literatury francuskiej* Lansona, na której wychowało się wiele pokoleń Francuzów i którą podziwiał za jasność wykładu; wziął z niej układ materiału: najpierw jest zwięźle ukazane tło historyczne danego okresu, potem życiorysy pisarzy oraz omówienie ich dzieł. Mówi, że obcy język, w którym te wykłady powstawały, dawał mu potrzebny dystans i możliwość zdobycia się „na powściągliwość tam, gdzie osobisty stosunek do poszczególnych okresów historii i literackich postaci musiałby zwrócić mnie ku polemikom, kosztem informacji, która przecie jest podstawowym wymogiem tego rodzaju prac”.

Tak widzi i opisuje literaturę polską Czesław Miłosz, jej w XX wieku najwybitniejszy twórca i jeden z najwybitniejszych w całej jej historii. Najwięcej miejsca poświęca Mickiewiczowi, Kochanowskiemu i Słowackiemu (w tej kolejności), a następnie: Krasińskiemu, Norwidowi, Conradowi, Wyspiańskiemu, Brzozowskiemu i Gombrowiczowi, co na pewno jest wyborem znaczącym. Mamy tu znakomite szkice poświęcone tym pisarzom, a także krótsze i jakże celne w swojej lapidarności, dotyczące między innymi: Reja, Sępa Szarzyńskiego, Skargi, Paska, Krasickiego, Niemcewicza, Kraszewskiego, Fredry, Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Kasprowicza, Przybyszewskiego, Żeromskiego, Żeleńskiego-Boy'a, Leśmiana, Witkacego, Schulza, Borowski, Tuwima, Lechonia, Gałczyńskiego, Przybosa, Słonimskiego, Staffa, Jastruna, Ważyka, Wata, Parnickiego, Stempowskiego, Andrzejewskiego, Kołakowskiego, Różewicza, Herberta, czy Szymskiej. W szeroko zarysowanym

tle występują najwięksi pisarze europejscy, między innymi: Balzac, Baudelaire, Beckett, Byron, Camus, Diderot, Dostojewski, Erazm z Rotterdamu, Flaubert, Goethe, Horacy, Nietzsche, Puszkina, Rimbaud, Rousseau, Schiller, Shelley, Shakespeare, Stendhal, Tasso, Wergiliusz, Wolter i Zola.

Miłosz to zwierzę literackie, doskonale w gąszczach i ostępach literatury osadzony i zadomowiony, można powiedzieć, że organicznie z nią związany i poświęcony, a także mocno o niej stanowiący – o jej kontynuacji i o jej rozwoju. I trudno jest mi z Miłoszem rozmawiać o literaturze w sposób polemiczny, bo w niemal naturalny sposób jego hierarchie, opinie i oceny są prawie takie same jak moje. Miłosz występuje tu jako autorytet, a siłę jego wywodu wzmacnia klarowność myśli, pisarskie doświadczenie, siła i moc jego języka.

Jest to obowiązkowa lektura tak dla miłośników literatury polskiej jak i w ogóle literatury. Zastanawiam się, który z obecnie żyjących polskich pisarzy byłby w stanie napisać takie dzieło, które oprócz wiedzy i kompetencji jest także świadectwem miłości do literatury polskiej. Dla Miłosza duchowym patronem tej pracy był pewnie Adam Mickiewicz. Dla kogo takim wzorem i patronem stanie się Miłosz?

K.M.

Czesław Miłosz, *Historia literatury polskiej*, przełożyła Maria Tarnowska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2010

\*

Specjalny numer „Zeszytów Literackich” poświęcony Czesławowi Miłoszowi otwiera wiersz, który pierwotnie miał wejść do *Nieobjętej ziemi – Do Heloizy*, będący pożegnaniem z kochaną kobietą, z którą spędził trzy szczęśliwe lata i od której odciąga go „los niepodzielnie dany” i zazdrosny daimonion, „żeby dyktować w ciemności niezrozumiałe zaśpiewy”. Wiele dobrego jest w tym specjalnym numerze „Zeszytów Literackich” znakomicie zredagowanym przez Barbarę Toruńczyk: jest to numer różnorodny i jednolity, który przy całym swoim bogactwie imponuje jednocześnie zwartością, będąc świadectwem możliwości formy bardziej pojemnej.

A niebezpiecznie jest zajmować się Miłoszem, występować obok niego, czy w związku z nim, bo na tle kolosa, czy w jego bliskości zawsze wypadnie się w większym zmniejszeniu i słabości, żeby nie powiedzieć – bezradności. Do-

świadczą tego tak znakomici przecież w swoich kategoriach pisarze i krytycy jak Aleksander Wat, Józef Czapski, Jerzy Stempowski, Leszek Kołakowski, Aleksander Schenker, Alain Bosquet, czy Konstanty A. Jeleński, a przecież jednocześnie tak ich jak i czytelników, Miłosz wynosi do góry, i umacnia.

Raz jeszcze widzimy, na przykład w liście do Kota Jeleńskiego z 4 października 1962 roku, czy w szkicu pt. *O źródłach polskiej poezji współczesnej* jak Miłosz bezbłędnie zorientowany jest w poezji polskiej, jak mocno w niej osadzony, i jak w niej po królewsku panuje.

W prezentowanych szkicach i listach Miłosza, a także w rozmowach z nim znajdujemy kapitalne opinie i diagnozy dotyczące poezji polskiej od jej początków do współczesności, zapisy o wierszach m.in. Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Leśmiana, Tuwima, Iwaszkiewicza, Słonimskiego, Gałczyńskiego, Wata, Czechowicza, Przybosia, Różewicza, Białoszewskiego, Herberta, Brodskiego, a także o Krasińskim, Conradzie i Stanisławie Ign. Witkiewiczu, czy o Apollinaireze, zdumiewającą, bo przygnębiającą i radosną historię wydania słynnego „zielonego” amerykańskiego tomu pt. *Utwory poetyckie. Poems*, artystyczne credo: „Poeta – zanim gotów będzie stanąć wobec pytań ostatecznych – musi przestrzegać pewnego kodeksu. Powinien czuć bojaźń Bożą, kochać swój kraj i ojczysty język, polegać na własnym sumieniu, unikać sojuszy ze złem i być przywiązany do tradycji. O tych elementarnych zasadach nie wolno pocie zapominać, ani ich ośmieszać, przyswojenie ich bowiem jest częścią jego inicjacji lub – ściśle – ślubów w świętym rzemiośle”, czy ważne, można powiedzieć, że kluczowe wyznania autotematyczne i jednocześnie uniwersalne: „Zasadą mojej poezji jest zwartość wersu czy zdania, czyli, inaczej, gęstość, m e t a l i c z n o ś ć, ale poza troską o oryginalność metafor czy porównań”; „Czyż poezja nie cierpi dzisiaj wszędzie na chorobę zwężenia, zubożenia swego człowieczeństwa, które wymaga minimum łączności z innymi, w gniewie czy nadziei, aby mogło nie ulec atrofii? (...) Ćwiczenie się w pracach zaledwie wykonalnych nie przemija bez śladu. Wtedy każdy tekst najbardziej osobisty ma podtekst troski o inne istoty ludzkie i możliwe jest to, co wyróżnia według mnie tych współczesnych poetów polskich, których lubię: surowość, ironia, prostota”; „Co można robić, to przeciwdziałać przemianie języka w bełkot i ustalić hierarchię ludzi i zjawisk”; „A tymczasem ja naprawdę tylko polskim językiem jestem zainteresowany i to Biblią w tym języku, mając poczucie, że jestem bodaj ostatnim pokoleniem wychowanym »w otoczce łaciny« i że powinienem zrobić użytek z moich językowych umiejętności”.

Pełne napięcie są listy do Józefa Wittlina, w których opisuje powody zerwania z PRL („Listy sprzed i po”). Ważny i pouczający jest list do profesora Wacława Lednickiego napisany przed objęciem stanowiska profesora na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Duże pole do rozmyślań dają listy ukazujące stosunki Miłosza, Wata i Jeleńskiego z Jerzym Giedroyciem, który wcale nie uważał, że „siła pisma jest w jakości literackiej”, a do tego był uparty i bezkompromisowy w kontaktach ze swoimi wybitnymi autorami (znane jest powiedzenie, że „Kultura” to Miłosz bez wzajemności). A z jaką determinacją służył literaturze polskiej i ludziom z nią związanym, świadczy korespondencja z Olą Watową, czy listy do Brodskiego.

Przy okazji umocniłem się w przekonaniu, że wiersz *W garnizonowym mieście* jest jednak jeżeli nie o Suwałkach, to o Wilnie, do którego w latach trzydziestych Oskar Miłosz wysyłał do swojego młodego krewnego awangardowe paryskie wydawnictwa (pisze o tym Jeleński do Schenker). A w jak przewrotny sposób aktualne są: szkic *Sen rozumu* z 1994 roku i *Etiudy rewolucyjne* – rozmowa Renaty Gorczyńskiej, Jana Kotta i Miłosza z Wacławem Solskim, w młodości bardzo aktywnym i czynnym komunistą, który pod koniec życia stwierdza, że komunizm to „największa tragedia”.

Tom dopełnia wyjaśnienie Józefa Czapskiego komentujące dwie ważne wypowiedzi Miłosza, a zamyka pamiętny wiersz *Ale książki z Kronik*, który swój pierwodruk miał właśnie w „Zeszytach Literackich”.

K.M.

Czesław Miłosz, *I książki mają swój los*, numer specjalny „Zeszytów Literackich” pod redakcją Barbary Toruńczyk, Warszawa-Paryż 2011

\*

Czesław Miłosz, jak sam powiedział, lubił Rosjan, a nie lubił Rosji. Podziwiał literaturę rosyjską, ale w sposób umiarkowany. Świetnie znał Dostojewskiego i wykładał o nim na amerykańskim uniwersytecie. Przyjaźnił się z Brodskim, z którym dużo rozmawiał o literaturze rosyjskiej, pisał m.in. o Puszkynie i L.N. Tołstoj, o rosyjskich filozofach i myślicielach. Interesowała go rosyjskość przejawiająca się w myśli religijnej i historycznej, w filozofii, w literaturze i w polityce. Ale nie tyle literackość literatury go interesowała, co ciężar filozofii danego pisarza, „żarliwość, z jaką odnosi się on do rzeczy ostatecznych”, a więc także, jeżeli nie przede wszystkim jej (literatury) wymiar

religijny. Wyraźnie i dobitnie mówi o tym w rozmowie z Cezarym Gawrysiem i Józefem Majewskim.

W prezentowanym pierwszym tomie *Rosji*, który w zamierzeniu wydawcy jest zbiorem szkiców będących kontynuacją *Zniewolonego umysłu* „w szerszej perspektywie czasu i obszaru geograficznego”, znajdujemy w większości znane szkice poświęcone Dostojewskiemu i problematyce z nim związanej oraz teksty pokazujące skomplikowane podejście Miłosza do Rosji.

W części pierwszej znajdują się m.in.: szkic o Dostojewskim i Mickiewicz z *Ziemi Ulro*, zapis o Dostojewskim z *Życia na wyspach* i *Rosja z Rodzinnej Europy*, a w drugiej – wypowiedzi z rozmów o Dostojewskim, a także m.in. szkic *Biesy z Ogrodu nauk* i teksty zestawiające Dostojewskiego ze Swedenborgiem i Sartrem. Część trzecia zawiera erudycyjne eseje o bliskich Miłoszowi „wizjonerach rozpaczy”, m.in. o Bielińskim, Sołowjowie, Szestowie, Rozanowie i Zdziechowskim, a część ostatnia, czwarta, zatytułowana *Zamiast podsumowania – Diagnozę nieostateczną*, rozmowę o rosyjskiej historii, literaturze i polityce.

M.W.

Czesław Miłosz, *Rosja. Widzenia transoceaniczne*, tom I. *Dostojewski – nasz współczesny*, teksty wybrały Barbara Toruńczyk i Monika Wójcik, opracowała i ułożyła w tom Barbara Toruńczyk, wstępem opatrzyła Clare Cavanagh, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2010

\*

Jedyna jak do tej pory monografia poezji Czesława Miłosza w sposób szeroki i zajmujący omawia i prezentuje twórczość, duchowość i światopogląd autora *Ziemi Ulro* i przedstawia pełny rejestr tematów, zagadnień i motywów obecnych w jego dziele. Niniejsze czwarte, poprawione i poszerzone wydanie obejmuje także interpretacje sześciu ostatnich tomików, z *Wierszami ostatnimi* włącznie.

Opublikowany po raz pierwszy w Paryżu w 1987 roku *Moment wieczny* Aleksandra Fiuta dobrze wprowadza w świat Miłosza. Krakowski badacz i krytyk formułuje ważne pytania dotyczące tej twórczości, uzupełnia, prostuje czy też doprecyzowuje swoje wcześniejsze sformułowania, otwiera nowe możliwości interpretacyjne, pokazując ich złożoność, meandryczność i dynamikę. Jest to rodzaj komentarza do książek Miłosza i zarazem oddanie głosu jemu samemu – opis jego dialogów z samym sobą i z innymi poetami i pisarzami, a także z tekstami swoimi i z tekstami innych. Fiut z punktu wi-

dzenia hermeneutyki oraz dialogowej koncepcji tekstu pokazuje, jak bardzo dialogowa jest koncepcja języka Miłosza.

Kompozycja książki pomyślana i zrealizowana jest w ten sposób, żeby można było docierać tak do ukrytych sensów pojedynczego zdania, jak i komentować i interpretować cały wiersz, który dane zdanie zawiera, co jest bardzo w Miłoszowskim stylu i duchu. Jak mówi Fiut: „Podczas lektury dzieła naprawdę wybitnego wystarczy czasami długo porozmyślać nad jednym zdaniem”. Tytuł został zaczerpnięty z wiersza pt. *Notatnik: Brzegi Lemanu*, który zawiera zdanie będące według Fiuta rodzajem klucza do tej poezji:

A kto w tym, co jest,  
Znajduje spokój, ład i moment wieczny,  
Mija bez śladu. Godzisz się, co jest,  
Niszczyć i z ruchu podjąć moment wieczny  
Jak blask na wodach czarnej rzeki? Tak.

Książka ta jest wędrówką przez ten wielki labirynt, jakim jest poezja Miłosza. W rozdziale pierwszym ukazane są m.in. sposoby przewycięzania przez poetę sprzeczności pomiędzy bezpośredniością wrażeń zmysłowych a dystansem wynikającym z kontemplacji, pomiędzy wiernością szczegółowi a dążeniem do wysokiej abstrakcji, pomiędzy nieuchwytnością przedmiotów a ich esencjonalnym jądrem. W kolejnych rozdziałach Fiut podąża śladem Miłoszowych dociekań dotyczących istoty natury ludzkiej, pokazując różne ich wymiary i przestrzenie: przyrodę, historię, związki międzyludzkie, apokaliptykę i eschatologię, bada ciekawe zależności, które występują pomiędzy autorem, podmiotem a bohaterem, pokazuje jego walkę o tożsamość w rozkawałkowanym świecie. W rozdziale pt. *Palimpsest* wraca jakby do początku, odwracając przyjęty poprzednio porządek: zamiast pytać o stosunek sztuki do rzeczywistości, zajmuje się sztuką zwróconą ku własnym regułom, mówi o cudzej mowie w dziele Miłosza i o jego dialogu wewnętrznym, opisuje kręgi aluzji, w których poeta się porusza, rysuje zarys Miłoszowej Księgi. W *Podsumowaniu?* odnosi się do napisanych w ostatnim dziesięcioleciu życia poety tomików: *Na brzegu rzeki*, *To*, *Drugiej przestrzeni*, *Orfeusza i Eurydyki* i do *Wierszy ostatnich*.

Książka Fiuta to nie tylko nieocenione wprowadzenie w poezję Miłosza, zachęta i pomoc do jej poznawania i otwarcie na dalsze w niej poszukiwania, ale także świadectwo humanizmu, olśnienia, podziwu i pokory, filologicznej pasji i krytycznej dociekliwości. Jan Błoński napisał, że od tej książki „będzie

musiał zaczynać każdy, kto zechce głębiej Miłosza zrozumieć" i mimo, że od tamtego czasu ukazało się wiele różnych prac o Miłoszu, to opinia Błońskiego pozostaje aktualna.

K.M.

Aleksander Fiut, *Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011

\*

Kalendarz na Rok Czesława Miłosza przygotowany przez Zbigniewa Fałtynowicza, autora m.in. albumowego *Wieczorem wiatr...*, jest serdeczną pamiątką po pobytach Miłosza w Krasnogrudzie i na Suwalszczyźnie i będzie nam wiernie towarzyszyć od stycznia do grudnia w tym pamiętnym roku. Zawiera na każdej karcie fotografię Noblisty, także autorstwa jego brata Andrzeja, oraz wypowiedzi wyjęte z *Nieobjętej ziemi*, z *Osobnego zeszytu: Gwiazdy Piolun*, z listu do Jarosława Iwaszkiewicza i z rozmów z nim, m.in. z lokalnych „Krajobrazów”; wykorzystano także fragmenty map powiatu suwalskiego, a na kolejnych kartach umieszczone są noty biograficzno-informacyjne.

M.W.

*Rok Miłosza*, redaktor Zbigniew Fałtynowicz, opracowanie graficzne Stanisław J. Woś, Muzeum Okręgowe w Suwałkach, Suwałki 2010

## Nowe książki

Krakowskie Biuro Festiwalowe

2. *Festiwal Czesława Miłosza – Rodzinna Europa, 9–15.05.2011*, koncepcja i przygotowanie almanachu Joanna Gromek-Ilłg, Kraków 2011

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

*Miłosz listy pisze*, pod redakcją Jana Wolskiego, Rzeszów 2011

Wydawnictwo Literackie

Czesław Miłosz, *Abecadło*, Kraków 2010

Czesław Miłosz, *Rodzinna Europa*, Kraków 2011

Czesław Miłosz, *Wyprawa w Dwudziestolecie*, Kraków 2011

Marek Zaleski, *Zamiast*, Kraków 2011

Wydawnictwo słowo/obraz terytoria

Zbigniew Kaźmierczyk, *Dzieło demiurga. Zapis gnostyckiego doświadczenia egzystencji we wczesnej poezji Czesława Miłosza*, seria „Wokół literatury”, tom 10, Gdańsk 2011

Łukasz Tischner, *Miłosz w krainie odczarowanej*, seria „Wokół Literatury”, tom 19, Gdańsk 2011

Wydawnictwo W.A.B.

Emil Pasierski, *Miłosz i Putrament. Żywoty równoległe*, Warszawa 2011



ABSE ACHMATOWA ADAMIEC ADCOCK AJVAZ AMITJW AMICHAJ ANGET ANDERMAN  
ANDRZEJEWSKI ANTONIUK APPEL ARP ASMUS ASPENSTROM ATWOOD AUSLANDERAUSTER  
AWIDAN BACHMANN BACON BACZAK BADZIAG BAGINSKI BAJSIĆ BAKEVSKI BALANTIC  
BALCERZAN BALINSKI BANACH BANVILLE PARAN BARANOWSKA BARELKOWSKA BARRAL  
BARTCZAK BARTOSZEWSKI BATHELIER BECKETT BEDNARCZYK BE'ER BELMONT BENKA  
BENN BERLIN BERNACKI BERNHARD BESANCON BESZCZYŃSKA BEYER BIALOSZEWSKI  
BIELSKA KRZYWICZ BIENKOWSKA BIENKOWSKI BIGA BLIN BLOOM BLASIAK BŁOŃSKI  
BOBKOWSKI BOCHENSKI BOCZKOWSKI BOLECKA BOLECKI BOLEWSKI BORGES  
BORKOWSKA BOROWIEC BORUN BRAKONIECKI BRAUN BRAUTIGAN BRAY BRKA  
BRODA BRÓDZKI BRONIEWSKI BROWN BRZOSKA BUKOWSKI BUNIN BUREK  
BURIAN BURYLA BUSZA CALDER CELAN CELINE CENDRARS CHALFI CHETWYND  
CHEVILLARD CHLEBNIKOW CHOJNOWSKI CHOLIN CHWIN CHLECKI CIELESZ  
CHESIELSKA CISLO CLAUDEL CLUCHEY CRONIN CUMMINGS CVETKOWSKI  
CYRANOWICZ CZARKOWSKI CZAYKOWSKI CZĘSTOCHOWSKI CZUCHNOWSKI  
CZUKU Cwikliński CECEC DANILEWICZCIELIŃSKA DĄBROWSKA DĄBROWSKI  
DEHNEL DELEUZE DERDOWSKI DEVILLE DEBICZ DICKINSON DŁUSKI  
DOBIES DOMARUS DOOLITTLE DORN DRAWERT DRIVER DUBOWIK  
DUNIN DUPIN DURAKOWICZ DURAS DYAKOWSKI DZIEN DZIERZYŃSKI  
ECHENOZ T.S.ELIOT ENGELKING ENRIGHT ENZENSBERGER ESSLIN  
FABJAN FAFARSKI FERENC FERRINI FIETT FILIPLAK FIUT FLEISCHMANN  
FLETCHER FRAJLICH FRANASZIK FRANIA FRIEDELÓWNA FUCHS GALLIY  
GALAS GARDZIELWSKA GARLICKA GENET GIACOMETTI GIDLECKA  
GIEDROYC GILBOA GINSBERG GJERSZEWSKI GIZYLA GLONDYS GŁOWIŃSKI  
GOERKE GORCZYŃSKA GOMORI GRABOWSKI GROSSMAN GRUCHALA  
GRUDZIŃSKA GRUNBEIN GRZEBAŃSKI GRZESIAK GRUSE GRYSKO GRYNBERG  
GURI GUTOROW GUTOWSKI HALAS HASKALO HANDKE HARRIS HARTWIG HASS  
HASSEK HAVEL HEDLUND HELLIKES HERBERT HERING-GRUDZIŃSKI HERTZ HETMAN  
HIEBEL HOFMAN HOFFMANN HOLUB HONIT HÖLDERLIN HRYNACZ HUNKELER HUNTER  
JONESCO IWANIUK JACCOTTET JAKUBOWSKA-FIJALKOWSKA JANKOWSKI JANKO JAN PAWEŁ II  
JARNIEWICZ JARZEBSKI JASEK JASPERS JASTRUB JASTRZEBIEC-MOSAKOWSKI JEJELNE JEDLIŃSKI  
JELLOUN JENTYS JONATAN JOYCE JARROZ JULIET JURIEWICZ JURKOWSKA JURZYSTA KAJAK  
KAKAREKO KALANDYK KALB KALISZER-HAZAZ KATJNOWSKI KALOTA-SZYMANSKA KANTOR  
KAPUSCINSKI KARASEK KAROLAK KASTELBLUM KAWAFIS KEDZIERSKI KIBIROW KIELAR  
KIEPUSZEWSKI KIERC KIJOWSKI KITSCH KIZNY KLEJNOCKI KOBIEBSKI KOHLER KOLBE KOITES  
KOLACKA KONWICKA KOVILOWSKI KORNHAUSER KORBENIOWSKI KOSIŃSKA KOSIALKOWSKA  
KOTANSKI KOTLARCZYK KOZIOL KOZMIŃSKI KRASIŃSKI KRAUSS KREMER KRÓL KRYŃCOKI  
KRYSZAK KRZYŻAN KUBIAK KUCIAK KURAS KURK KURYLAK KURYLUK KUS KUZMIŃSKI  
KWIAKOWSKI LALIC LASECKI LASKERSCHULER LATAWIEC LE CHEZIO LEFCOWITZ LEKSYCZYKI  
LEM LEMPP LENOIR LEOCIĄK LESZKOWICZ LEWANDOWSKI LEVERTOV LEVINE LIBERA LIGEZA  
LINDON LIPKA LIPSKA LIPSKI LIRA-SIWA LISOWSKI LORD LOVELL LUBIŃSKA LUDWIKOWSKA LUPA  
LUKASIEWICZ MACIERZYŃSKI MACKIEWICZ MADEJSKI MAJ MAJERSKI MAKOTYMALISZCZYŃSKI MARCZEWSKI  
MAGEN MARIJANSKA MASIANSKI MASON MATUSZEWSKI MATYWIECKI MAUVIGNIER MacCAG MCMULLAN  
MELBECHOWSKA-LUTY MELECKI MENASSI MESCHONNIC MICHALANIOŁ MICHAŁOWSKI MIELHORSKI  
MIESZKO MIEDZYRZECKI MIKOLAJCZAK MIKOLAJEWSKI MIŁOSŁAWSKI MIŁOŚZ MISIAK MITTERMAYER  
MITZNER MIZERKIEWICZ MLADENOSKI MOCARSKA-TYCOWA MOCZKODAN MOCZYSKI MORAWIEC  
MOŚCICKI MOYER MUSIAL MUSZYŃSKI MYSZKOWSKI NAPIORKOWSKI NASIŁOWSKA NDIAYE NIEMIEC  
NIXON NOWACKI NOWAKOWSKA NOWICKI NOWOSIELSKI OLEK OLEDKA-FRYBESOWA ONDAATJE  
ORDAN ORŁOŚ ORSKI OSTER OSTI OSZAJCA OZKOK PACHOCKI PACHOLSKI PANCZENKO  
PANKOWSKI PAWLUS PAWLÓWSKA PAZNIIEWSKI PENDERECKI PETRESKI PIASCZYŃSKI PIECHOCKA  
PIECHOWICZ PIECZYŃSKI PIETRYK PIŁCII PINGET PINTER PINTHIE PIRIE PIWKOWSKA PJECHUH  
PLATH PLIĆOWICZ POLKOWSKI POLLAKÓWNA POMORSKI POTOKAR POUND PRAZMO PROCKI PRUSS  
PRZYBYŁAK PRZYBYŚLAWSKI PUCIATA QUADREJG RABINOWICZ RADZIEJOWSKI RAWIKOWICZ REŚCICKI  
REUBNER REYERDY RENROTH RIEGEL RIEGER ROBBE-GRILET ROBERTS RODOWSKA ROGUŚKI  
ROMANOW ROSENTHAL ROŚSET RÖTH ROTHMANN ROUAUD RÓZEWICZ RÓZEWICZ RÓZYCKI  
RUBINSTEIN RUTKOWSKI JARBYMKIEWICZ RZUDZIAŃ SACHS SADECKI SALAMON SALMONOWICZ  
SALSKA SARAJIĆ SARNA SARRAUTE SARTRE SCHILLER SCHEIDEGGER SCHNEIDER SCHUBERT  
SEIFERT SEJAS SENKTAS SEXTON SIEGEL SIEMASZKO SIMIĆ SIMON SINGER SIWCZYK SIWIEC  
SKREŃDO SKWARŃCICKI SŁAWIŃSKA SŁAWNIKOWSKI SMALCERZ SNYDER SOBKOVIĄK SOBOLCZYK  
SOBOLIEWSKI SOCHOŃ SOKOŁOWSKI SOLIŃSKI SOMMER SONNENBERG STACHURA STANIŁKO  
STANKOWSKA STARCZAK-KOZŁOWSKA STASIUK STAŚKIEWICZ STEFKO STERN STOHC STREERLWITZ  
STERNA-WACHOWIAK STRUMILLO-MIŁOŚZ STRUMYK STYCZEŃ SULEJMAN SUSLIN SYLVESTER SYNDER  
SYNORADZIKA SZARMACH SZARUGA JJSZCZEPANSKI SZEWIC SZKŁOWSKI SZŁOŚAREK SZYBA SZUBER  
SZWAJBE SZYMANSKA SZYMANOWSKI SZYMBORSKA ŚMIEJA TABORSKI TANSKI TERG THOMAS  
TICLINER TKACZYŃCZYŃ-DYCKI TOCINÓVSKI TOMASIK TOUSSAINT TRAKL TRIEHEL TRZECIAKOWSKI  
TUNNER TUSZYŃSKA TWARDÓWSKI TYRANKIEWICZ VARGA VIEL VODUSEK WAJDA WALC WALSER  
WANIEK WĄTUCH WARTA WEBER WENCEL WENDORF WHIELAW WHITMAN WIECZOREK WILDE  
WILLIAMS WNIARSKI WIRPSZA WIŚNIEWSKI WITKOWSKI WOJCIECHOWSKA WOJCIECHOWSKI WOLSKI  
WOŁOŻYŃ WOROZYŃSKI WOJCIR WRÓBLIŃSKI WYKA YEMTS ZACH ZADURA ZAGAJEWSKI ZAJG  
ZAMIARA ZAREBIANKA ZAWADA ZAWISTOWSKI ZFGARLIŃSKI ZEITINGER ZIEJENKIEWICZ ZAKIEWICZ  
ZYŁKO ŻAGAR

18 lat



9 771232 210116

ISSN 1232-2105 INDEX 36294  
CENA Z DODATKIEM 16 zł (w tym 5% VAT)

*Milans* 